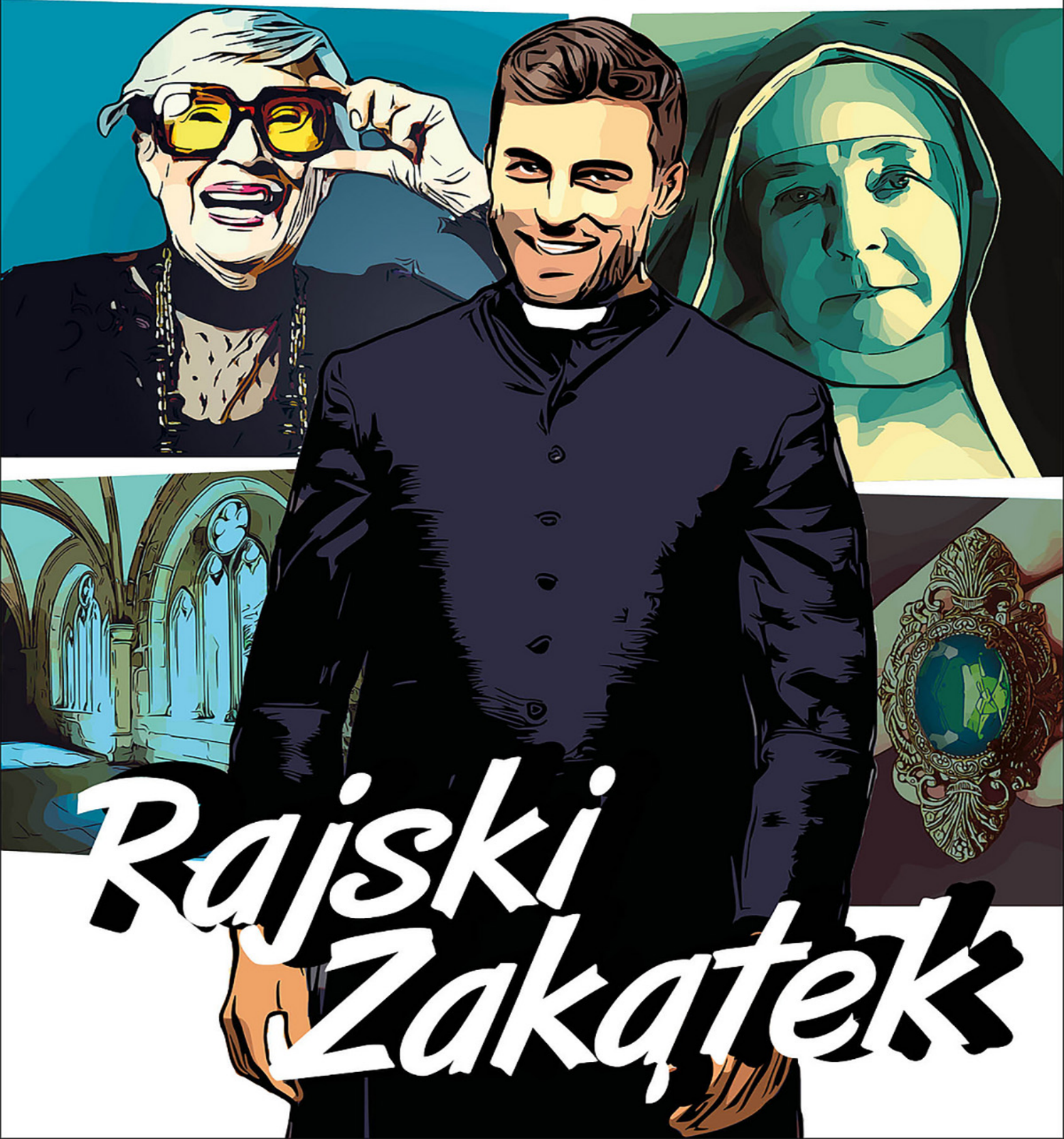


RYSZARD ĆWIRLEJ



Rajski
Zakątek

RYSZARD
ĆWIRLEJ

*Rajski
zakątek*


HARDE
WYDAWNICTWO

Spis treści

Prolog
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Epilog
Przypisy

Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2024

Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska

Opracowanie graficzne: TYPO Marek Ugorowski

Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal; mhlal@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Redakcja: Filip Modrzejewski

Korekta: Wioleta Grządkowska-Nita, Joanna Misztal

Grafiki na okładce: Shutterstock/Olga Bołdok-Banasikowska

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2024

Wydawca:

TIME SA

ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

ISBN: 978-83-8343-292-2

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Prolog

Dzięgielów

Poniedziałek, 4 czerwca 2023 roku

Godzina 3.10

Drzwi były zamknięte. Na szczęście miała klucz. Ukradła go wczoraj i schowała pod luźną deską na schodach. Leżał tam do dzisiaj, kiedy wreszcie postanowiła go wykorzystać. Gdy go kradła, nie zastanawiała się nad tym. To był impuls. Dostrzegła go na stole kuchennym i nie mogła się oprzeć. Patrzyła jak zahipnotyzowana. Od razu wiedziała, co to za klucz. Poznała po czerwono-żółtej plecionce, do której był doczepiony. Klucz od tylnych drzwi, prowadzących na małe podwórko gospodarcze, gdzie są szopa na drewno, magazyn rzeczy kompletnie niepotrzebnych, takich jak połamane narzędzia i taczki bez kółek, no i do tego jeszcze murowany i zadaszony śmietnik. Stało tam kilkanaście plastikowych kubłów do segregacji, a za nimi znajdowała się furtka, przez którą wystawiało się te kubły na drogę w przeddzień przyjazdu śmieciarek. Kilka razy brała w tym udział, ale nigdy nie była w śmietniku sama. Zawsze pracę organizowała któraś ze starszych, Maria albo Antonina. Ona i inne młodsze pracowały pod ich nadzorem i robiły to, co im kazano, czyli wyjeżdżały tymi kubłami na drogę i tam je zostawiały. Starsze sprawdzały, czy wszystko jest w porządku, i drzwi były zamykane. Tym samym kluczem na plecionce, który służył do otwierania drzwi z budynku. Jeden klucz wystarczy więc, by wydostać się na mały dziedziniec, przejść przez śmietnik, otworzyć furtkę i wyjść.

Gdy zobaczyła ten klucz, od razu pomyślała, że to szansa dana jej przez Pana. Modliła się do Niego, prosząc Go, by dał jej możliwość wyrwania się stąd. Po tym, co zobaczyła, i po tym, co usłyszała, gdy podzieliła się swoją wiedzą z osobą, na której chciała polegać i którą dotąd darzyła wielkim zaufaniem, nie mogła tu zostać. Gdy usłyszała odpowiedź, zrozumiała, że to już nie jest miejsce dla niej, że musi się stąd wyrwać, bo jeśli nie ucieknie, może skończyć jak...

Obiecywała w tych modlitwach, że zrobi wszystko, by był z niej zadowolony, tylko żeby zechciał jej pomóc, a ona już mu się odwdzięczy, chwalać Jego imię każdego dnia.

O Panie, mój Boże, dziękuję, że mnie znasz i kochasz. Twoje słowo mówi, że tym, którzy proszą, będzie dane, ci, którzy szukają, znajdą, a tym, którzy pukają, będzie otworzone. Proszę, wysłuchaj mojej modlitwy o cud i spełnij moją prośbę. Pomóż mi bardziej zawierzyć Tobie, niż polegać na własnej sile, pomóż zaufać, że zawsze czynisz to, co dla mnie jest najlepsze. Niech Twój pokój, który przewyższa wszelki rozum, strzeże mego serca i umysłu...

Odmawiała w myślach modlitwę o ratunek i cud się spełnił. Znalazła klucz, potem ukryła go pod obluzowaną deską, a dziś obudziła się w środku nocy i od razu wiedziała, że to właśnie ten moment.

Otworzyła drzwi, starała się, żeby nikt nie usłyszał zgrzytu zamka i uderzeń jej serca, które zdawało się bić w piersi głośno jak dzwon kościelny. Z uspiętego budynku nie dobiegł najmniejszy hałas. Nikt niczego nie usłyszał. Ośmielona wyszła na dziedziniec. Był środek nocy i wszystko oświetlał księżyc. Nie miała więc najmniejszego problemu ze znalezieniem właściwej drogi. Wyszła na zewnątrz, ostrożnie stawiając stopy w lekkich sneakersach. Rozejrzała się dookoła, ale nikogo nie było w pobliżu. Naraz jej spojrzenie zatrzymało się na dwóch jasnych punktach. Czyjeś błyszczące oczy wpatrywały się w nią. Mało brakowało, a krzyknęłyby ze strachu. Na szczęście udało jej się opanować. Świetliste oczy zniknęły po chwili, a przez podwórko przebiegł kot. Odetchnęła z ulgą. Do śmietnika zawsze przychodziło sporo kotów, które liczyły pewnie na jakieś resztki. Ten widać miał nadzieję na jakiś smakołyk, a jej pojawienie się przeszkodziło mu w poszukiwaniach. Pomyślała, że wynagrodzi mu to i otworzy klapę od śmietnika. Niech ma, na pamiątkę po niej. Nigdy więcej się nie spotkają, więc może zachowa ją w dobrej pamięci.

Przeszła dziedziniec i weszła do zadaszonego śmietnika. Tu było ciemno, bo nie docierało światło księżyca, ale ona pamiętała rozstawienie kubłów. Podeszła do pierwszego, do którego wysypywano resztki kuchenne, i otworzyła go. Smrodliwa chmura uniosła się z pojemnika, a wraz z nią na zewnątrz wyleciały przebudzone muchy. Dziewczyna skrzywiła się z obrzydzeniem. To, co dla niej było paskudne, dla głodnego kota mogło być zapowiedzią prawdziwej uczyty.

Masz, kicia, najedz się do syta, pomyślała, idąc ku furtce prowadzącej na zewnątrz.

Namaciała klamkę, a potem włożyła klucz. Przekręciła go bez trudu. Drzwi ustąpiły. Pchnęła je lekko, zazgrzytały nieoliwione zawiasy. Jednak nie był to dźwięk na tyle głośny, by wyrwać kogoś ze snu. Zrobiła krok naprzód, potem jeszcze dwa i znalazła się na zewnątrz. Na wszelki wypadek zamknęła drzwi na klucz. Nie miała pojęcia, po co to robi, ale była przekonana, że tak trzeba. W końcu nikt nie musi wiedzieć, którędy wyszła. No właśnie, przecież rano, o szóstej, jeśli nie wyjdzie z pokoju, zaczną jej szukać. Już sobie wyobraziła minę matki przełożonej, gdy ta stwierdzi, że jej łóżko jest pościelone i wygląda tak, jakby w ogóle nie kładła się spać. A ona tymczasem chciała wprowadzić przełożoną w błąd. Pewnie siostra będzie myślała, że ona wcale się nie kładła i uciekła przed północą. Może to wywołać nieco zamieszania i zmyli tych, którzy chcieliby jej szukać. No właśnie, będą próbowali ją znaleźć. Przecież ze zgromadzenia nie można ot tak odejść, nie mówiąc już o ucieczce. Złamała najważniejszy zakaz, wydostając się na zewnątrz, a to mogło oznaczać tylko jedno: będą jej szukać. Będą, ale nie znajdą. Byle tylko dotrzeć do jakiejś drogi. Złapie okazję i ucieknie jak najdalej stąd, żeby nigdy tu nie wrócić i zapomnieć o dwóch latach, które zupełnie niepotrzebnie straciła, wiążąc się z tymi ludźmi, którzy okazali się zupełnie inni niż myślała. Nigdy więcej jej nie zobaczą, a ona już nigdy nawet o nich nie pomyśli. Tylko czy to jest możliwe? Przecież tam została jej przyjaciółka, jej siostra. O niej zawsze będzie pamiętać. Może uda się ją jakoś stamtąd wyciągnąć? Ale najpierw trzeba myśleć o sobie.

Spojrzała na ponurą fasadę dwupiętrowego budynku o spadzistym dachu z dwoma bocznymi skrzydłami, rysującą się wyraźnie na tle rozświetlonego księżycowym blaskiem nieba, i ruszyła biegiem przed siebie. Wiedziała, że musi przebiec jakieś trzysta metrów tą drogą, po otwartej przestrzeni. Nieraz spoglądała tam z okien na górze, tam, gdzie były sypialnie. Droga biegła między polami, ciągnąc się aż do ściany lasu. A las... Tego nie wiedziała, ale jedna ze starszych sióstr mówiła, że tam jest już granica z Czechami. Nie miała zamiaru uciekać do Czech. Chciała tylko dostać się między drzewa, żeby być niewidoczną dla tych, którzy mogliby ją ścigać, przejść tym lasem jakiś kilometr, dwa, a może nawet więcej, i gdy zrobi się widno, zejść do najbliższej miejscowości. A gdy znajdzie się na

szosie, pewnie złapie jakiś samochód, który ją stąd zabierze. Plan miała prosty: byle jak najdalej od tego miejsca.

Biegła spokojnym truchtem, oddychając tak, jak ją uczył w szkole nauczyciel WF, spokojnie i miarowo, cały czas przez nos. Wiedziała, że może tak biec nawet godzinę. Kiedyś myślała, że mogłaby brać udział w maratonie, bo jest wytrzymała i długie dystanse przemierzone miarowym krokiem nie stanowiły dla niej problemu. Do lasu zostało jakieś pięćdziesiąt metrów. Przyspieszyła, choć nie było ku temu specjalnego powodu. Żadnych niepokojących znaków, nikt jej nie ścigał, gdzieś z dołu słychać było ujadanie psów, które coś musiało zaniepokoić, oraz monotony dźwięk silników samochodowych. Ale to wszystko w oddali i jakby nierealne. Tu była tylko ta wyjeżdżona droga, coraz bliżej las i nad głową księżyc oświetlający całą okolicę.

Naraz usłyszała coś za sobą. Chyba ktoś krzyknął, a potem zawarczał odpalany silnik. To tam, w domu, z którego uciekła, coś się wydarzyło. Czyżby odkryto jej ucieczkę? A jeśli nawet, to co jej zrobią? Jeśli ją złapią tu, na drodze, powie, że nie chce do nich wracać, że się rozmyśliła, że ma tego wszystkiego dość i odchodzi definitywnie. Niech się pieprzą. Nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Nigdy więcej jej noga nie przestąpi progu tego strasznego miejsca.

Do lasu zostało jeszcze ze dwadzieścia metrów. Dobiegnie tam, zanim auto wyjedzie na drogę. Nie mają najmniejszej szansy, żeby ją dopaść. Przyspieszyła, dziwiąc się, że w ten pośpiech nie wkłada specjalnego wysiłku. Biegnie się jej nadzwyczaj lekko, mimo że nie trenowała biegania od dwóch lat.

Odwróciła głowę. Na końcu drogi, tam, koło domu, pojawiły się światła reflektorów i wypłynęły na gliniastą nawierzchnię. Samochód wyjeżdżał przez główną bramę. Do ściany lasu zostało jeszcze dziesięć kroków, jeszcze pięć. Poczła intensywny zapach sosen. Dotknęła pierwszego pnia i pobiegła dalej, w głąb leśnej gęstwiny. Uśmiechając się, biegła przed siebie. Już wiedziała, że jej nie znajdą. Na drodze jeszcze mieli jakąś szansę, ale tu, w lesie, najmniejszej. Poczła, że jest wolna i nigdy już nie będzie musiała robić tego, co jej każą tamci ludzie. Koszmar się skończył. Nikt jej już nigdy do niczego nie zmusi.

Auto przejechało wzdłuż ściany lasu, podążając w dół zbocza. A ona biegła przed siebie, zostawiając z tyłu wszystko, co złe. Teraz mogło być już tylko dobrze. Poczła, że jest szczęśliwa, i dlatego za to szczęście

musiała podziękować. Zaczęła więc w myślach powtarzać słowa, które wydały się jej w tej chwili najodpowiedniejsze:

Panie Jezu Chryste, dziękuję, że jesteś moją siłą i napełniasz moje serce radością. Na Twoje Imię góry się trzęsą, morze wzburza, stworzenie śpiewa z radością, a demony uciekają. Na Twoje Imię zgina się każde kolano, a język wyznaje, że jesteś Panem. W Twoje potężne Imię modłę się o potrzebną łaskę. Daj mi pewność, że nie ma nic większego nad Ciebie. Daj mi pociechę, nadzieję i wzmocnij moje serce na każdym kroku, który podejmę. Proszę o to w Tve potężne Imię.

Przystanęła na chwilę i zaczęła nasłuchiwać. Samochód zatrzymał się. Ktoś otworzył drzwi, ktoś zakaszłał, silnik zgasł.

– Tam w górę, do lasu pobiegła! – usłyszała znajomy głos i poczuła ciarki przechodzące po plecach. Chciała ruszyć przed siebie, ale but uwiązał jej między gałęziami. Wyszarpnęła nogę. But został. Odgłosy wydawane przez nadchodzących ludzi zbliżały się. Nie było czasu na szukanie buta. Pobiegła na wprost między drzewami. Nie dogonią jej nigdy w życiu.

– Tam jest! – zawołał ktoś chropowatym głosem.

– Stój!

Możecie sobie krzyczeć, przeszło jej przez głowę. I tak mnie nie dogonicie.

Miała rację. Nie mieli żadnych szans w wyścigu z młodą, wysportowaną dziewczyną. Ale dobrze wiedzieli, jak ją zatrzymać.

Wybiegła na niewielką polanę. Nie było czasu na okrążanie jej i przeciskanie się przez gęstwinę. Puściła się na przełaj i prawie jej się udało. Już wbiegała między drzewa, już czuła intensywny zapach igliwia...

I wtedy nocną ciszę rozdarł głośny huk karabinowego wystrzału.

Rozdział I

Warszawa

Sobota, 10 czerwca 2023 roku

Godzina 10.30

– No przecież to niemożliwe, żebyś nie rozumiała takich prostych rzeczy. Mieszkanie jest moje, bo jestem jego właścicielem. A ty jesteś tu tylko zameldowana.

– No to jak jestem zameldowana, to znaczy, że jest też moje, bo jestem zameldowana, nie? – wyjaśniła z właściwą sobie umiejętnością tłumaczenia wszystkiego w sposób jasny i prosty.

Podniosła wzrok znad gołej stopy opartej piętą o kuchenny taboret. Brodę miała na kolanie, w prawej dłoni trzymała pędzelek do lakierowania paznokci, a lakier miała w lewej dłoni. Była tak zajęta nakładaniem karminowej farby na paznokcie, że w pierwszej chwili wcale nie zauważyła, że wszedłem do mieszkania. Zresztą mogła nie usłyszeć przekręcania klucza w zamku, bo z głośnika na blacie kuchennym płynęła głośno rąbanka techno. Mimo najszczerszych chęci i jako takiego muzycznego rozeznania nie dałbym rady odpowiedzieć na pytanie: kto to gra? Zresztą w ogóle ktoś coś grał? Wyraźny był rytm, wystukiwany na czymś, co raczej nie było perkusją, a oprócz tego dziwne dźwięki, które artysta muzyk wydobywał zapewne z rur kanalizacyjnych, o czym oprócz metalicznych odgłosów świadczyły charakterystyczne łazienkowe bulgoty.

Dopiero gdy się odezwałem, stając w progu kuchennych drzwi, spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– O, Miśku, to ty? – powiedziała lekko zdziwiona.

Powitała mnie tak, jakbym właśnie przed chwilą wyszedł po bułki i mleko. Tymczasem nie było mnie tu od miesiąca. W moim własnym domu mnie nie było. Bo ja, właściciel tego pięknego, trzypokojowego mieszkania na Woli, mieszkałem kątem u Kamy, podczas gdy w mojej chacie gnieździła się ona, przyczyna wszystkich moich nieszczęść i kłopotów,

Dżesi, jedna z najpiękniejszych modelek w Warszawie, a kto wie, czy nie w całej Polsce.

– No ja, a kto inny by mógł tu wejść bez pukania, otwierając drzwi własnymi kluczami?

– He? No tak, masz rację – odparła w roztargnieniu. – Tylko ty, ewentualnie Łukasz. Bo Łuki też ma klucze.

– Jak to? Klucze do mojego mieszkania ma jakiś...

– Oj, Miśku, a jak miałyby nie mieć, jak mnie niekiedy nie ma w domu. Przecież jak mnie nie ma, to musi się jakoś tu...

– Hej, hola, czy ty słyszysz, co mówisz?

– No, co? – najwyraźniej zniecierpliwiona wcisnęła pędzelek do buteleczki z lakierem i odstawiła ją na blat.

Spojrzałem tam i dostrzegłem plamki lakieru na białej płycie. Tego paskudztwa nie da się zmyć. Nieskazitelna biel mojego blatu kuchennego została zapaprana jakimś gównianym lakierem do paznokci... Już chciałem coś powiedzieć, ale uświadomiłem sobie, że otwieranie kolejnego frontu nie ma sensu. Na razie trzeba wyjaśnić sprawę pieprzonego Łukiego.

– Co to za typ, który ma klucze do mojego mieszkania? Pierwszy raz słyszę o Łukim.

– Co: słyszę? – powtórzyła.

– To, że opowiadasz mi o jakimś gościu, który wchodzi do mojego mieszkania jak do siebie.

– No nie, Miśku, wchodzi do naszego, bo gdzie ma wchodzić nocą, jak wraca do domu? Przecież nie myślisz, że pójdzie spać na Centralny.

– To obcy facet! – rzuciłem, czując, że przegrywam bitwę na argumenty, pokonywany przez nieoczywistą logikę mojej byłej dziewczyny.

– Oj tam, obcy zaraz. Wcale nie jest obcy. To mój... – Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiednim określeniem – ...Łuki jest moim partnerem na... backstage'u. No, wiesz, o co chodzi.

Pokręciłem głową. Nie miałem zielonego pojęcia, kim jest partner na backstage'u. Ale przecież tak naprawdę było to bez znaczenia. To, co było istotne, to fakt, że ona siedzi w moim mieszkaniu, a ja stoję w drzwiach jak petent, który przyszedł do urzędu. Czuję się idiotycznie i nie wiedziałem, co z tym zrobić. Za to ona najwyraźniej nie odczuwała dyskomfortu. Uważała, że jest u siebie, a ja...

Poznaliśmy się cztery lata temu podczas kręcenia reklamy nowej pasty do zębów. Oboje robimy w medialnym show-biznesie. Dżesika jest modelką, pracuje na wybiegach i w reklamach, a ja jestem dziennikarzem i reporterem telewizyjnym, który od czasu do czasu robi reklamowe fuchy. Wtedy byłem producentem i scenarzystą reklamy, w której lekarka miała wychwalać zalety pasty Zembix white. Nie zajmowałem się castingiem, więc nie miałem pojęcia, kto został wybrany do odegrania głównej roli. Warunek był jeden, aktorka musiała mieć piękne, równe i białe zęby. Dżesi wygrała ten casting. Przyjechała na plan spóźniona jakieś dwadzieścia minut, kiedy już chciałem dzwonić do agencji z prośbą o przysłanie jakiejś innej początkującej gwiazdy. Dżesika podeszła do mnie, uśmiechnęła się czarująco, ukazując te swoje lśniące zęby, a potem powiedziała coś o pierdolonym tramwaju, który się zepsuł.

Szybko przebrała się w biały lekarski fartuch, założyła na nos brzydkie, wielkie okulary i bezbłędnie wyrecytowała przed kamerą swoją kwestię:

„Pasta do zębów Zembix white wybieli twoje zęby, które staną się śnieżnobiałe jak arktyczny śnieg już po miesiącu regularnego używania. Użyj pasty Zembix white, a twój uśmiech będzie olśniewający. Jestem stomatologiem i wiem, co mówię, bo sama codziennie używam pasty Zembix white”, mówiła w reklamie, a potem szczerzyła swoje olśniewająco białe zęby.

Ten uśmiech zrobił wtedy na mnie piorunujące wrażenie. Stałem i patrzyłem na monitor, zastygły jak żona Lota, która na swoją zgubę popatrzyła na deszcz siarki i ognia, który zniszczył jej dom w Sodomie albo Gomorze. Gdybym był bardziej przewidujący, powinienem się zorientować, że Dżesika ma w sobie coś z jadowitego pająka, który najpierw hipnotyzuje spojrzeniem swoją ofiarę, potem ją otacza pajęczą siecią, a w końcu wysysa z niej wszystko, co się da. Ale pokażcie mi faceta, który na widok jej olśniewającego uśmiechu nie zareagowałby tak jak ja, kompletnym zidioceniem. Później powiedziała mi, że na niej zrobiły wrażenie moje bystre niebieskie oczy. Wyznała mi to, gdy nasza znajomość stała się zdecydowanie bardziej pogłębiona. Ta piękna blondynka o długich nogach i niebieskich, niemal granatowych oczach w ciągu kilku dni wywróciła mój świat do góry nogami. Najpierw się do mnie wprowadziła, właściwie nie pytając mnie o zgodę, bo wydawało jej się to zupełnie naturalne, a kilka miesięcy temu postanowiła się ze mną rozstać. I nie byłoby w tym nic

dziwnego, bo przecież ludzie, nawet najbardziej zakochani, po jakimś czasie mogą się sobą znudzić. Ale ona zrobiła to w sposób dla siebie charakterystyczny, zupełnie inaczej, niż coś takiego robią ludzie, którzy postanowili się rozstać. Bo jeśli chcecie się rozstać z osobą, do której się wprowadziliście, to pakujecie swoje rzeczy i się wynosicie, nieprawdaż? Dżesika nie była jednak taka jak wszyscy.

– Ja już to przemyślałam, Miśku – powiedziała do mnie wtedy. – Myślę sobie, że będzie najlepiej, jakbyś się spakował i wyprowadził. No wiesz, na początek może tak na miesiąc. No i wtedy zobaczymy, jak to wyjdzie. Bo wiesz, rozstania są najlepszą próbą uczuć.

– Zaraz, jak to wyprowadzić?

– No a kto miałby się wyprowadzać? Przecież widzisz, ile ja mam rzeczy. To są całe trzy szafy. Czy ty myślisz, że ja to zmieszczę do dwóch walizek? No a twoje rzeczy to w końcu tylko kilka póltek.

– Dżesika, wybacz, ale czegoś nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz, głuptasku?

– Czy ty mi właśnie proponujesz, żebym się wyprowadził z mojego mieszkania?

– Oj, Miśku, no przecież ci mówię, że jak ja bym miała się wynosić, to nie miałabym gdzie tego wszystkiego spakować i w ogóle...

Ni mniej, ni więcej, tylko dokładnie tak zaproponowała mi, żebym wyprowadził się z własnego trzypokojowego mieszkania na Woli, w niezłej lokalizacji, za które każdego miesiąca płacę ponad trzy tysiące raty kredytu. Na szczęście nie jest to kredyt we frankach.

I co na to powiecie? Powiniennem był zapakować jej ciuchy do worków na śmieci i wystawić za drzwi. Tak zrobiłby każdy normalny facet, którego olała dziewczyna. Ale nie ja. Marcin Engel po raz kolejny obronił tytuł mistrza świata w konkursie na największego ćwoka – tak mógłby wyglądać pasek grozy w programie informacyjnym, relacjonującym moją historię z mieszkaniem koło muzeum kolejnictwa.

Tak jest, dobrze się domyślacie, wyprowadziłem się natychmiast. No nie, przecież nie na stałe. Miała poszukać sobie jakiegoś lokum i za miesiąc, może dwa...

To było we wrześniu ubiegłego roku. A teraz mamy czerwiec, a ona nadal jest w moim mieszkaniu i jeszcze zagnieździł się tu jakiś pieprzony Łuki.

– A poza tym on musi gdzieś mieszkać – stwierdziła z przekonaniem. – Bo wiesz, Łuki teraz właśnie remontuje mieszkanie na Ochocie i dopóki jest tam firma budowlana, to on nie może tam być. Ale jak wyremontuje już to mieszkanie, a ma piękne, cztery pokoje w przedwojennym budownictwie, w sumie ponad sto metrów, to wtedy się tam wprowadzi i ja się wprowadzę do niego. Wiesz, tam jest przestrzeń, nie to, co tu... – pokazała palcem coś, co zapewne było tą ograniczoną przestrzenią mojego niewielkiego mieszkania. Nie zwróciłem na to za bardzo uwagi. Najważniejsze było to, co powiedziała o wyprawdzie. Ogłosiła, że się wyniesie. Mój prywatny Jerzy Dąbczak wyniesie się w cholere i może nawet zabierze posag Lusi... ¹

– Kiedy to będzie? – zapytałem rzeczowo.

– Hej, no wiesz, Łuki mówi, że po wakacjach jego norka będzie gotowa.

Ja pierdzielę, ona naprawdę powiedziała „norka”. To znaczy, że pieprzony Łuki to jakiś hobbit... Zaraz, co mnie to wszystko obchodzi? Grunt, że się wyprawdzają. Muszę zaraz zadzwonić do Kamy i powiedzieć, że się od niej wyprawdzę... Nie, nie wyprawdzę się. Przecież jej nie zostawię samej. Wcale nie mam zamiaru się od niej wyprawdzać. Ale moje mieszkanie wreszcie do mnie wróci i coś będę musiał z tym faktem zrobić. Muszę to przegadać z moją dziewczyną. Kama to moja dziewczyna, a Dżesika jest... Cholera, czy życie musi być takie trudne, a decyzje życiowe muszą zawsze oznaczać problemy? Dżesika to była dziewczyna, która mnie wyrzuciła z mojego mieszkania, bo nie byłem dość silny, żeby się jej przeciwstawić, i teraz cierpię. Wszystko rozumiecie?

– A po co właściwie przyszedłeś? – z zamyślenia wyrwał mnie głos Dżesiki.

Podeszła do kranu, nalała sobie wody i ze szklanką poszła do mikrofali. Podgrzewała wodę, a potem do niezbyt gorącej wlewała trochę mleka, żeby nie pić samego, ale rozcieńczone, bo podobno robi to dobrze na gardło.

Ohyda, jak można pić coś takiego? Swoją drogą ciekawe, że gdy mieszkaliśmy razem, woda z mlekiem mnie śmieszyła, a teraz wydaje mi się, że to idiotyzm. No cóż, nasze postrzeganie świata zmienia się w zależności od tego, z jakiego punktu obserwacyjnego patrzymy.

– Muszę zabrać walizki. Wiesz, wyjeżdżam na kilka dni i...
– Walizki? A które?
– No jak to które? Moje trzy walizki, caterpillary, czerwone.
– Ach, te – Dżesi zrobiła minę, jakby sobie naraz przypomniała o ich istnieniu. – Wiesz, Łuki je pożyczył, jak jechał do Gdyni. Powiem mu, żeby je oddał. Bo chyba zawiózł później do siebie do domu... Zadzwoń, Miśku, jutro, to ci powiem, co z tymi walizkami.

Zakląłem w myślach paskudnie, ale nie dałem niczego po sobie poznać. Przyszło mi natychmiast na myśl, że powinienem ją w jakiś inteligentny sposób ukarać, ale nic tak od razu nie przyszło mi do głowy, więc przywaliłem z grubej rury:

– To w takim razie musisz mi powiedzieć, kiedy się wyprowadzisz z mojego mieszkania, bo wiesz, muszę sobie wszystko przygotować, no rozumiesz, chodzi mi o dokładną datę.

Dostrzegłem, jak zmienia się na twarzy, jej oczy robią się wielkie, a w ich kącikach pojawia się wilgoć. No tak, stary numer, chciała mnie wziąć na łyzy. Była doskonałą aktorką i umiała przybierać różne maski, dosłownie w ciągu sekundy.

– Mówiłam ci, że Łuki remontuje mieszkanie, a poza tym nie mam do tego głowy. Mam większe zmartwienia niż przeprowadzka. Moja ciotka Magda zniknęła.

– Jaka ciotka?

– No Magda, ta, co mieszka na Saskiej Kępie, na ulicy Słowackiej. Nie ma jej w domu od kilku dni i nikt nie wie, co się z nią stało. Pojechała gdzieś na początku czerwca i teraz jej nie ma.

– E, może wybrała się gdzieś na wakacje – próbowałem zbagatelizować sprawę. Ciotka Magda była bardzo sympatyczną osobą, a do tego robiła bardzo dobry torcik bezowy. Uwielbiałem go.

– No niby gdzieś pojechała, ale nie odbiera telefonu od kilku dni, więc się niepokoję. To znaczy, dzwoniłam do niej dokładnie pierwszego czerwca. Wtedy odebrała i mówiła, że się spieszy, bo właśnie jedzie, i nie może gadać, ale oddzwoni, i nie oddzwoniła. To teraz we czwartek zadzwoniłam i nie odebrała, i już nie ma z nią kontaktu.

– Pewnie się dobrze bawi...

– Zwariowałeś? Magda i zabawa? Ona się dobrze bawi tylko w kościele.

– To trzeba zapytać księdza, czy nie pojechała na jakąś pielgrzymkę.

Dżesi pokręciła głową.

– Nie. Powiedziałyby mi. Ale wiesz, tak sobie myślę, że ty byś mógł jej poszukać. Nawet myślałam, żeby do ciebie zadzwonić w tej sprawie, bo Łuki to się na takich śledztwach nic a nic nie zna.

Patrzyła na mnie tymi swoimi wielkimi oczami i już wiedziałem, że nie mam innego wyjścia i że muszę sprawdzić, co się stało z ciotką Magdą. Choć byłem święcie przekonany, że to jakieś nieporozumienie i kobieta szybko się znajdzie. No ale w sumie co mi szkodziło? W końcu mogłem podjechać na Saską Kępę i się rozejrzeć. Pomyślałem, że jak ją odnajdę, to Dżesi się uspokoi i będzie mogła pomyśleć o wyprawdzie, a to przecież najważniejsze.

Ustroń Godzina 11.30

Aspirant Michał Pilarski dopił resztkę coli i wyrzucił butelkę do śmietnika. Nawet specjalnie nie chciało mu się pić, a słodki napój był odgazowany i ciepły, ale jakoś tak głupio mu było wyrzucić plastik do śmietnika, jeśli było w nim jeszcze trochę napoju. W końcu za tę colę zapłacił dziś rano na stacji benzynowej, na której zatrzymał się, żeby podpompować koło w swoim passacie. No a jak już się zatrzymał i napompował, to w zasadzie nie miał innego wyjścia, musiał wejść do środka i kupić hot doga w zestawie z colą.

To było silniejsze od niego. Ilekroć zatrzymywał się na stacji, zawsze kończyło się hot dogiem. Brał za każdym razem tego z kabanosem, zawsze z musztardą i keczupem. Nawet nie był specjalnym wielbicielem tych hot dogów. Lubił je, owszem, ale nie aż tak bardzo jak kwaśnicę czy golonkę. Ale by spożyć takie specjały, trzeba było iść do knajpy, zamówić i poczekać przynajmniej dwadzieścia minut, potem zjeść i popić piwem albo dwoma. A z hot dogami prościej: płaciło się, chwilę czekało i się jadło. No i stąd ta cola, której w porę nie dopił, a teraz żał mu było wyrzucić.

– Czołem, panie aspirancie! – odezwał się od drzwi starszy sierżant Roman Okrasa. Postawny i dobrze zbudowany, mierzący prawie dwa metry wielkolud, który z trudem mieścił się za kierownicą służbowej toyoty.

Pilarski na jego widok uśmiechnął się niewyraźnie. Temu Okrasie to zawsze dopisuje humor, jakby chłopak był zadowolony z życia. No ale

wiadomo, młody to i głupi, i jeszcze nie wie, że na człowieka ciągle czyhają jakieś pułapki, które potrafią popsuć humor, jak choćby ciepła cola, nie mówiąc o tych poważniejszych, jak leżące na biurku teczki z aktami. Pięć teczek dokładnie, a każda dotycząca innej sprawy, i wszystkie na jego głowie.

– Co ma pan taką kwaśną minę? – zapytał Okrasa, sadowiąc się za biurkiem. Położył na blacie teczkę i zamierzał zacząć jakąś papierkową robotę.

– A, takie tam – aspirant machnął ręką, dziwiąc się, że młody sierżant odkrył jego tajemnicę. Wydawało mu się, że ma twarz pogodną i wypoczętą. A tymczasem ten wielkolud go rozszyfrował. Trzeba będzie trochę popracować nad mimiką czy jak się to nazywa. Nie można się wykrzywiać, tylko trzeba się uśmiechać.

Cholera, człowiek cały czas musi udawać, żeby nikt nie dostrzegł wewnętrznej walki, którą prowadzi ze sobą każdy, co to chciałby osiągnąć coś wielkiego, a tymczasem zajmuje się pierdołami typu kradzież rur kanalizacyjnych. Właściciel pensjonatu przywiózł nowiutkie plastikowe rury, zrzucił je na podwórku, na które prowadziła szeroko otwarta brama, jak zaproszenie dla złodziei, więc nic dziwnego, że mu je rąbnęli. No i teraz on, człowiek z aspiracjami, musi szukać tych zasrańców od rur, co jeszcze zasunęli dziesięć worków cementu. Może za głupotę trzeba by posadzić najpierw właściciela pensjonatu, co to majątku nie potrafi upilnować, a potem dopiero organizować poszukiwanie plastikowych rur. A przecież on stworzony jest do rzeczy większych, do poważnych spraw kryminalnych, takich, jakie w telewizji pokazują, jakie opisywali świetni dziennikarze, taki Wiesław Łuka lub Monika Góra na przykład.

No więc chciał badać i wyjaśniać zbrodnie, a musiał zajmować się zasranymi rurami. Do tego stworzony jest taki Okrasa, któremu było obojętne, czym się zajmuje. Miał zawsze dobry humor i wszystko w policji mu się podobało, łącznie z jeżdżeniem samochodem, do którego ledwo włąził.

– Czyli że co? – chciał wiedzieć sierżant, z którego twarzy nie znikło życzliwe zainteresowanie.

– Kurwa, chłopie, jak mi się nic nie chce – rzucił zgodnie z prawdą Pilarski i spojrzał przez okno na dziedziniec przed posterunkiem i podjazd wiodący ku bramie, żywopłot, a za nim ulicę i po przeciwnej stronie sklep

spożywczy w parterowym pawilonie. A w sklepie pewnie zimne piwo prosto z lodówki... Napiłby się teraz takiego piwa!

– No, to nie jest jeszcze tak źle, skoro do roboty pan przyszedł – stwierdził sierżant.

– Co ty gadasz?

– Że jak się nic nie chce i się chłop z łóżka zwlec nie może, to jest źle, ale jak już się zwlecze i przylezie do pracy, to nie najgorzej, bo to nie żaden urok, ino najwyżej głątwa.

– Co ty pieprzysz?

– Głątwa to jak się kto opije i na drugi dzień go życie boli, że mu się nawet nie chce palcem ruszyć. Tylko by siedział i patrzył w okno, albo nawet w ścianę.

– Nie, mnie się nie chce samo z siebie – oświadczył Pilarski. – Nie ożarłem² się wczoraj ani nic, bo tylko cztery piwa wieczorem wypilem.

– No prawda, po czterech głątwy nie może być. Ale może pan chory, tak zwyczajnie, na przeziębienie?

Pilarski pokręcił głową.

– Zdrowy jestem jak ryba. Tyle że mi się nic nie chce. – Pilarski spojrział z obrzydzeniem na akta dotyczące kradzieży w pensjonacie Źródółko przy ulicy Źródlanej. – A jak patrzę na te papiery, to mi się w ogóle niedobrze robi.

Odsunął wszystko na sam skraj biurka, tak daleko, jak to tylko było możliwe. Uważał przy tym, żeby papiery nie spadły, bo gdyby poleciały na podłogę, trzeba by je zbierać, a na to nie miał ani siły, ani ochoty.

– Jak ci się nie chce, to jest jedna metoda – stwierdził autorytatywnie Okrasa. – Trzeba się chwycić za robotę.

– Też mi coś, za ro...

– Wiem, co mówię. Trzeba się chwycić czegoś, co sprowadzi na właściwą drogę. Dlatego niech pan pojedzie se do Dziegielowa.

– Gdzie?

– No do Dziegielowa, tam, gdzie zamek...

– No przecież wiem, gdzie jest zamek. Tylko po co mam tam jechać?

– Bo tam zgłosili to zaginięcie – oznajmił sierżant.

– Zaraz, bo nie rozumiem. Mówisz o tym, co zgłaszał ten ksiądz, że niby zaginęła im jedna zakonnica?

– Dokładnie – potwierdził Okrasa. – Piątego czerwca był tu ten księżulek, taki ten, no, przystojniak, i narobił rabanu, że dziewczyna

zniknęła, a szef powiedział, że się oczywiście tym zajmiemy, i tyle żeśmy się zajmowali.

– No pamiętam. Ale jak Jabłoński powiedział, że się zajmiemy, ale żeśmy się nie zajęli, to znaczy, że to nic ważnego. To niby po co tam miałbym jechać?

Przypomniał sobie, jak w ubiegły wtorek przyjechał ten ksiądz, co opiekuje się klasztorem w Dziegielowie, a właściwie niedaleko tej miejscowości. Pilarski nie przyjmował co prawda zgłoszenia, ale siedział w swoim pokoju przy otwartych drzwiach, więc wiedział i słyszał, co dzieje się w dyżurce. Zazwyczaj gdy ktoś tam gadał po przeciwnej stronie korytarza, a on miał swoją robotę, zakładał na uszy słuchawki i włączał muzykę, żeby się odciąć od rzeczywistości. Wtedy akurat nie mógł, bo słuchawki zostawił w samochodzie i nie chciało mu się po nie iść. I jak to bywa w takiej sytuacji, nawet jeśli się nie chce, to i tak mimo woli człowiek zaczyna uczestniczyć w cudzej rozmowie.

– My się niepokoiimy, bo to już drugi dzień, a siostra Anastazja nigdy nie oddalała się nawet na krok. To nie w jej stylu.

– A ile lat ma ta siostra? – zapytał dyżurny, aspirant Jaromir Marczak.

– Osiemnaście. Nie, dziewiętnaście.

– E, to jak taka młoda, to pewnie poszła w długą!

– Jak pan może? To bogobojna i oddana naszemu domowi siostra.

– No, wie ksiądz – Marczak zaczął się wycofywać – z młodymi dziewczynami różnie bywa.

– To jest członkini naszego zgromadzenia, która wybrała najprostszą drogę do Pana. Więc nie poszła w żadną długą, coś się musiało stać.

– No dobra, jak to wszystko spiszę, zaczniemy szukać. Tylko że przydałoby się zdjęcie. Ma ksiądz jakąś fotkę?

– Nie mam. U nas nikt nie robi sobie zdjęć. To zwykle zaspokajanie próżności, więc sam pan rozumie...

– Rozumiem. Jak kto nie chce, niech nie robi. Ale dziewczyna musi mieć dowód przecież i tam zdjęcie.

– Niestety, dowodu nie ma. Nie został w naszym zgromadzeniu. Tak jakby zabrała go ze sobą...

– No to jak znikająca siostra zabrała dowód, to znaczy, że był jej potrzebny. A potrzebny jest wtedy, jak się gdzieś wyjeżdża. Na przykład za

granicę. Może pojechała do Czech?

– A niby po co miałyby tam jechać?

Zainteresowany rozmową Pilarski wstał zza biurka i wyszedł na korytarz. Za szybą oddzielającą biuro przepustek od niewielkiego holu dla interesantów dostrzegł młodego, mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę, ubranego w czarną koszulę z krótkimi rękawami i koloratką pod szyją. Raczej nie widział go nigdy do tej pory, ale może gdzieś się na niego natknął, tylko nie pamięta. Tymczasem stojący za szybą gość wcale nie wyglądał na księdza. Raczej na aktora z thrillerów i filmów grozy. Pilarski musiał przyznać, że ten szczupły brunet o wygolonej i wypielegnowanej twarzy zapewne robił silne wrażenie na kobietach, zanim zatopił zęby w białej skórze na szyi.

Na nim też zrobił, na tyle, że policjant poczuł ukłucie zazdrości, gdy spojrzał na swój okazały brzuch. Do tego jeszcze łysina, bo aspirant łysiał na czole tak mocno, że właściwie widać mu było już cały czubek głowy. A ten księżulek mógł liczyć sobie, tak jak on, jakieś trzydzieści dwa, trzydzieści trzy lata, miał włosy gęste i ładnie przystrzyżone, lekko podgolone na skroniach, więc wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł od fryzjera. Pilarski nie miał czasu na fryzjera, a często nawet na ogolenie się. Porównanie z księdzem nie wyszło zbyt korzystnie, nic więc dziwnego, że nie polubił tamtego klechy od pierwszego wejrzenia. A nawet słowa nie zamienili.

I teraz Okrasa proponuje mu, żeby pojechał do klasztoru czy jak się to nazywa.

– Jakby pan tam pojechał, toby im pan powiedział, że niczego nie znaleźliśmy, a oni by dali obiad.

– Co? Jaki obiad? – zainteresował się nagle. Obiad zawsze może być poważnym argumentem.

– Byłem tam na drugi dzień, niby żeby porozmawiać z tymi siostrami – przypomniał sobie Okrasa. – I właśnie byłem koło południa. Taki obiad mi dali, że...

Pilarski spojrzał na zegarek. Dochodziło południe, a on właśnie poczuł głód. Znowu miałyby iść do sklepu po sałatkę jarzynową z majonezem w plastikowym pudełku? A tam mógł dostać...

– Dali mi grochówkę na pierwsze i mielonego na drugie...

To zdecydowało. Pilarski wstał z krzesła i poprawił mundur. Potem spojrzął na drzwi wiodące na korytarz.

– W razie czego powiesz staremu? – spytał czujnie Okrasę.

Ten wzruszył ramionami.

– A starego coś to obchodzi? Jakby co, to powiem, że ktoś z tego klasztoru zadzwonił.

Aspirant uśmiechnął się, a potem klepnął młodszego kolegę w ramię.

Młody miał nieraz dobre pomysły, choć jeszcze sporo musi się nauczyć. Ale ma szczęście, bo może brać nauki od najlepszych, od starych wyjadaczy, takich jak aspirant Pilarski, który wychodząc z pokoju, zagwizdał pogodną melodię. Pomyślał, że dobre jedzenie jest najlepszym sposobem na głotwę, oczywiście oprócz zimnego piwa, którego na służbie pić nie wolno. Ale po służbie kto wie. Do końca zmiany zostało już niewiele czasu. Więc jak w tym klasztorze dadzą mu jeść, to po wizycie wróci do Ustronia, przebierze się w cywilne ciuchy i pójdzie na piwo.

A co, należy mu się za ten niezbyt udany poranek.

Warszawa Godzina 12.10

Zatrzymałem samochód przy krawężniku. Na szczęście można tu parkować. Tak mi się przynajmniej zdawało, bo nie widziałem znaku zakazu, a auta stojące, tak jak moje, wzdłuż osi jezdni świadczyły o tym, że raczej można. Na szczęście nie musiałem szukać parkomatu, bo strefa płatnego parkowania na razie tu nie dotarła. Czytałem w gazecie, że radni chcą wprowadzić tu opłaty za parkowanie, a wojewoda się nie zgadza. Tak długo, jak ten konflikt trwa, nie trzeba się przejmować i można do woli parkować za darmo.

Wyłączyłem silnik mojego całkiem nowego BMW, które kupiłem zaledwie dwa miesiące temu. Granatowa trójka prezentowała się bardzo ładnie i mówiąc o niej „nowe”, wcale się nie pomyliłem. Samochód był z dwa tysiące dwudziestego roku, więc miał niespełna trzy lata, i został sprowadzony z Niemiec, prosto z komisju w Monachium, bez żadnego pośrednika. Była więc duża szansa, że te osiemdziesiąt tysięcy, które miał na liczniku, to był rzeczywisty dorobek jakiegoś niemieckiego właściciela.

Byłem bardzo zadowolony z tego zakupu, do tego stopnia, że ostatnio zdecydowanie częściej jeździłem samochodem niż metrem. No ale co tam, raz się żyje. W końcu kiedyś trzeba się nacieszyć fajnym autem.

Nim zdążyłem wysiąść, rozległ się dźwięk połączenia telefonicznego. Mój telefon łączył się z samochodem za każdym razem, gdy do niego wsiadałem, i mogłem rozmawiać na głośnomówiącym. W moim starym opalu nie miałem takiej opcji, więc teraz dopiero mogłem docenić, co znaczy w aucie technika na wysokim poziomie.

– Kama, cześć – powiedziałem, odebrawszy połączenie. Dzwoniła moja dziewczyna. Pewnie chce się dowiedzieć, jak sobie poradziłem.

– No i jak sobie poradziłeś? – zapytała z miejsca.

Wzruszyłem ramionami, bo co miałem powiedzieć. Że jak zwykle zaliczyłem totalną porażkę w kontaktach z moją byłą.

– Wiesz, ona mi powiedziała... – przez sekundę zastanawiałem się, jak to ująć, żeby nie okazać się kompletnym ćwokiem, ale Kama to zaraz wyczuła.

Ona w ogóle ma jakiś nieprawdopodobny dar wyczuwania moich nastrojów. Już dawno odkryliśmy, że właściwie to rozumiemy się bez słów, co dobrze rokuje dla naszego związku. To znaczy, dokładnie jest tak, że ona od razu wie, co chcę powiedzieć, a czego nie. Kama jest niesamowita, jeśli chodzi o intuicję i te wszystkie kwestie dotyczące mnie i... No i dzięki temu zna mnie doskonale.

– Powiedziała, że masz zadzwonić jutro!

– Skąd wiesz?

– Marcin, jak miałabym nie wiedzieć, jak ona zawsze cię w ten sposób zbywa.

Odruchowo pokiwałem głową, choć ona nie mogła przecież tego zobaczyć. No, miała trochę racji, ale nie wiedziała wszystkiego. Na przykład tego, że trochę w tej ostatniej rozgrywce jednak wygrałem.

– Słuchaj, Kama, wiesz, ona ma swoje za uszami, ale są też dobre informacje.

– Oddała ci caterpillary? – domyśliła się.

– No nie, nie do końca. Jutro ma mi oddać, bo wiesz, pożyczył je od niej jakiś Łuki.

– Kto to jest Łuki?

– To chyba jej znajomy z backstage'u. Nie wiem. Nie drążyłem tematu. Dość że Łuki pożyczył, ale jutro odda. Tyle że najlepsze jest to, że

ten Łuki remontuje mieszkanie i ona po wakacjach się do niego wyprowadza.

– Zemi się wyprowadza? – zapytała zdumiona.

– Tak, Zemi się wyprowadza – odruchowo powtórzyłem, choć nie używałem tego przezwiska.

Kama ją tak nazwała po reklamie pasty Zembix white, na której Dżesi szczyrzyła zęby do kamery. Nie wiem dlaczego, ale od początku nie zapalały do siebie jakimś cieplejszym uczuciem. W zasadzie powinno mi to być obojętne, bo spotykały się tylko na gruncie zawodowym. Kama była moją researcherką i asystentką podczas realizacji tamtej reklamy. Do pierwszego spięcia doszło już na planie, kiedy Kama kazała Dżesi zapiąć lekarski fartuch pod samą szyję.

– Przecież muszę pokazać trochę swoich atutów – stwierdziła Dżesi, wodząc palcami po obnażonym dekolcie. – Nie mogę być ubrana jak zakonnica, hę!

– Atuty będziesz pokazywać, jak cię wynajmą do reklamyibratorów. To jest reklama pasty do zębów, której się nie używa do smarowania cyków – rzuciła Kama ostro i ta jedna wypowiedź wykopała rów, którego nie dało się później zasypać.

Dziewczyny obchodziły się szerokim łukiem, pilnując, by na siebie nie trafić, choć było to dość trudne, bo Dżesi wkrótce wprowadziła się do mojego mieszkania, a z Kamilą pracowałem w telewizji na Wiertniczej. Siłą rzeczy musiały się ze sobą spotykać, a ja przy każdym takim spotkaniu przeżywałem horror, czekając na to, aż jedna drugiej wbije nóż w plecy.

– Dżesi chce się wynieść już niedługo do Łukiego – powiedziałem z zadowoleniem. – We wrześniu odzyskamy moje mieszkanie.

Zrobiło się cicho. Napawałem się moim tryumfem, a Kama pewnie analizowała konsekwencje tego, co się wydarzy. Jej mózg zawsze działał jak najlepszy komputer, dlatego tak świetnie nam się współpracowało. Jeśli chodzi o kwestie wyciągania słusznych wniosków na podstawie niepełnych danych, była bezkonkurencyjna, a w swoich osądach rzadko się myliła.

– OK, pożyczmy, zobaczymy – powiedziała stanowczo. – A jeśli się rzeczywiście wyprowadzi, to trzeba będzie przeprowadzić się do ciebie

i wynajmując moje mieszkanie. Dzięki temu będzie kasa co miesiąc na spłatę twojego kredytu – zdecydowała, a ja poczułem dumę.

Moja dziewczyna jest nieprawdopodobna. Jak mogłem przez te wszystkie lata być z Dżesi, która przy Kamie wygląda jak intelektualny pustostan?

– A teraz gdzie jesteś?

– Na Saskiej Kępie. Muszę coś załatwić i jadę do domu – powiedziałem, ale na wszelki wypadek nie zdradziłem, co robię po drugiej stronie Wisły. Po co Kama ma wiedzieć, że obiecałem Dżesi się tam rozejrzeć.

– To czekam na ciebie. Pa! – przerwała połączenie, a ja wysiadłem z auta.

Piętrowa willa sprawiała wrażenie nieco zaniedbanej. Stary tynk dawno poszarzał i domagał się gruntownego czyszczenia wraz z uzupełnianiem licznych ubytków. Ale ciotka Magda nie miała głowy do takich rzeczy. Mieszkała w tym domu przez całe życie i widać było, że budynek starzał się razem z nią. Jeszcze kilka lat temu willa była pełna życia. W latach dziewięćdziesiątych mąż ciotki, wujek Antoni, miał na parterze kancelarię adwokacką. Mieszkanie zaś było na piętrze. Ale z tego, co wiem, a co usłyszałem od Dżesi, po śmierci wuja ciotka wynajmowała je przez jakiś czas pewnemu prawnikowi, jakiemuś koledze mecenasa Kurzyńskiego, jednak i ten wkrótce zmarł, szczęśliwie opłaciwszy czynsz z góry do dwa tysiące dziesiątego roku. Gdy zmarł, nie można było nikomu wynajmować parteru. Kancelaria niszczała i pokrywała się kurzem. A potem, gdy było można pomyśleć o nowym najemcy, ciotce nie chciało się szukać kogoś, komu mogłaby zaufać.

Stałem przed zieloną furtką i nacisnąłem dzwonek oznaczony nazwiskiem Kurzyńscy. Nikt nie odpowiedział. Oczekałem więc chwilę i nie doczekawszy się żadnej reakcji, włożyłem klucz do zamka. Dżesi miała zapasowe klucze, więc dała mi je, bym mógł się rozejrzeć. Furtka otworzyła się ze zgrzytem. Ruszyłem chodnikiem przecinającym zaniedbany ogródek, bezładnie porośnięty krzakami. Do domu wiodły schodki, kończące się betonowym podestem. Gdy stanąłem przed drzwiami, zapukałem na wszelki wypadek, ale moje łomotanie nie obudziło żadnego śpiącego w środku ducha.

– Pani Kurzyńskiej nie ma! – usłyszałem głos za swoimi plecami.

Odwróciłem się. Na chodniku stał starszy mężczyzna w białym kaszkiecie, ubrany w zieloną koszulkę polo i narzuconą na nią wędkarską kamizelkę, kremowe spodnie i sandały nałożone na czarne skarpetki. Prawą dłoń opierał na pałaku wózka na kółkach, służącego za pojazd do przewożenia zakupów. Nie wiadomo dlaczego przyszło mi na myśl, że to doskonały wynalazek, który niemal całkowicie wyeliminował z naszych ulic bawełniane, szarobure siatki, ułatwiając zakupowe życie starszym ludziom.

– Tak, wiem. Mam coś zabrać z domu – uśmiechnąłem się do emeryta i uniosłem w górę pęk kluczy, który powinien był zaświadczyć o moich dobrych intencjach.

– A co pan ma zabrać? – zainteresował się mężczyzna.

– Pan wybaczy, ale to sprawa siostrzenicy pani Magdy.

– To ona ma siostrzenicę? – zdziwił się sąsiad, który najwyraźniej odczuwał potrzebę przeprowadzenia pogłębionego wywiadu, połączonego z sąsiedzką kontrolą. – A gdzie mieszka ta siostrzenica? – indagował dalej.

Nie miałem zamiaru się tłumaczyć. Nie byłem przecież włamywaczem, ale człowiekiem poważnionym.

– W Warszawie, na Woli – rzuciłem i zacząłem dopasowywać klucze z pęku do czterech zamków. Pierwszy, taki największy, wszedł od razu do właściwego. – Jest modelką i występuje w reklamach – dodałem na wszelki wypadek, żeby uwiarygodnić się w oczach wścibskiego przechodnia.

– A, to ta od Zembix white – ucieszył się emeryt. – Pani Magdalena mówiła, że to jej siostrzenica. Teraz sobie przypomniałem. Taka piękna dziewczyna i ma takie ładne białe zęby. A wie pan, że od tego czasu, jak jest ta reklama w telewizji, to ja tylko pasty Zembix używam. Chociaż już nie mam wszystkich zębów, ale te, co mi zostały, są znacznie bielsze.

Drugi klucz udało się dopasować. Jeszcze tylko dwa.

– Ja też jej używam – potwierdziłem, wpychając trzeci klucz w niewłaściwa dziurkę. Wyciągnąłem go i włożyłem w ostatnią. Pasował.

Nie miałem wyjścia. Musiałem używać Zembixa, ponieważ po zdjęciach do spotu został mi ogromny karton pasty do zębów. Wszystko wskazywało na to, że będę nią mył zęby do końca życia i kto wie, może kilkadziesiąt tubek odziedziczą po mnie wnuki.

– Jak coś w telewizji pokazują, to musi być dobre – potwierdził mężczyzna.

Pokiwałem głową. Oto żywy dowód na to, że moja reklama trafia do ludzi i jest skuteczna.

– A jak już taką pastę zachwala doktorka, to musi być dobra.

Już miałem na końcu języka, że Dżesi nie jest dentystką, ale w porę się powstrzymałem. Po co gościa pozbawiać złudzeń? Przynajmniej dzięki Kamie Dżesi nie wyglądała w reklamie jak aktorka z niemieckiego pornola. No ale z drugiej strony, gdyby zostawić jej rozpięty fartuch, to kto wie, czy sprzedaż pasty nie wzrosłaby lawinowo.

Ostatni klucz wszedł we właściwą dziurkę i drzwi się otworzyły.

– Muszę już iść. Do widzenia.

– A pani Magda, kiedy przyjedzie z tego Ustronia? – zapytał jeszcze.

– Nie wiem dokładnie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Przecież nie miałem pojęcia, kiedy wróci ani dokąd pojechała.

– Ustronie? Czyżby wyjechała nad morze? Pogoda ładna, to pewnie wygrzewa się na plaży.

– Nie na plaży, tylko na stoku. Mówiła, że jedzie do tego Ustronia na Śląsku. Wie pan gdzie? Tam, gdzie Wisła wypływa.

– Ano tak, musiało mi się coś pomylić. Do widzenia panu.

Wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Zaraz odwróciłem się i spojrzałem przez wizjer. Emeryt stał na chodniku przed furtką i patrzył w ślad za mną. W końcu podrapał się po brodzie i ruszył przed siebie, w kierunku skrzyżowania, gdzie ulica Słowacka przecinała się z Czeską.

Pomyślałem, że facet należy do nieformalnej, obywatelskiej straży sąsiedzkiej. Dzięki takim ludziom żaden włamywacz nie może czuć się pewnie, bo w ciągu kilku minut zostanie wytropiony i dokładnie przepytany na okoliczność kręcenia się po okolicy. Emeryci są znacznie skuteczniejsi niż najlepszy nawet monitoring, przed nimi nic się nie ukryje.

Ustroń Godzina 13.20

Stare tranzystorowe radio na parapecie nastawione było na jedynekę. Nie trzeba być znawcą, żeby od razu się domyślić, że to program skierowany do ludzi, którzy słuchając rocka, mogliby dostać palpacji serca. Dlatego czas spędzany w kuchni albo na domowej krzątaninie umiłały im dźwięki nienapastliwe, melodyjne i przede wszystkim sentymentalne, przywodzące

na myśl piękne chwile z lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku. W tej chwili za pas transmisyjny wspomnień z czasów gierkowskiego dobrobytu służyła piosenka Heleny Vondráčkovéj o malowanym dzbanku. Zza otwartego okna dolatywał ptasi świergot i delikatny, jednostajny szum, który mylnie można by wziąć za odgłos przepływającej niedaleko stąd Wisły. Mimo że rzeka płynie wartkim strumieniem, pieniając się i bulgocząc, to jednak jej odgłosy nie dochodziły do budynku sanatorium, położonego na stoku pomiędzy Czantorią a Wielką Równicą. Szum, który odbijał się od ściany lasu na górskich zboczach, wytwarzały silniki aut przejeżdżających nieodległą czteropasmówką, która opasuje od zachodu Ustroń i biegnie dalej, do miasteczka Wisła.

– A co pani sobie myśli, że na starość będę mieszkała w pokoju z jakąś niedołączną staruszką? – powiedziała zniecierpliwionym tonem kobieta w trudnym do określenia wieku, gdzieś między sześćdziesiątką a setką.

Jasne, proste włosy do ramion spięta gumką w kitkę. Ubrana w czarne sztruksy, kamizelkę dżinsową i białą koszulkę z nadrukowanymi scenkami z jakiegoś komiksu, wyglądała jak osoba starająca się w nienachalny sposób zakotwiczyć w przeszłości, być może nie tylko strojem.

– Ze zgłoszenia wynika, że pani Makowska jest starsza od pani zaledwie o rok – odpowiedziała młoda recepcjonistka w sanatorium i uśmiechnęła się promiennie. – O, mam tu pani dane, proszę bardzo, pani Matylda Kaczmarek, rok urodzenia...

– Jeden rok jeszcze o niczym nie świadczy – odparła Matylda, przerywając dziewczynie. – W pewnym wieku to może być kolosalna różnica. Pani nie wie, jak ludzie potrafią się nagle zestarzeć. Z dnia na dzień można się tak posunąć, że... Ale co ja będę tu pani opowiadać. Dość o tym i wróćmy do najistotniejszej sprawy. Otóż wykupując ten turnus, zaznaczyłam opcję „pokój jednoosobowy”, i wniosłam stosowną opłatę. Ta kwestia jest, jak rozumiem, bezdyskusyjna.

– Tak, ma pani całkowitą rację. Sprawdziłam w komputerze i rzeczywiście tak jest – oznajmiła kobieta.

Miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, jasne włosy spięte w koński ogon opadały jej na plecy. Ubrana była w jasnopopielatą garsonkę, założoną na białą koszulkę polo. Ta garsonka miała pewnie dodać jej nieco więcej powagi, ale Matylda stwierdziła, że zabieg ten jest mało skuteczny. Pod tym amatorskim przebraniem kryła się dziewczynka, która zaczęła tu całkiem niedawno swoją pierwszą pracę.

– Pani... – wysunęła głowę, próbując odczytać imię na plakietce przypiętej do piersi. Zamrugała przy tym kilka razy, jak to robią dalekowidze.

– Anna mam na imię – odpowiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się znowu.

– No i tak – potwierdziła Matylda. – Tak, przeczytałam – powiedziała zgodnie z prawdą, nie miała przecież żadnej wady wzroku.

Widziała doskonale z bliska i z daleka. Nie musiała nosić okularów, nawet do czytania, ale na wszelki wypadek udała osobę niedowidzącą, bo – jak lubi powtarzać – niekiedy nasze ułomności mogą stać się bronią, którą da się zaskoczyć przeciwnika. Co prawda ta dziewczyna nie wyglądała na przeciwniczkę, z którą Matylda miałaby w najbliższym czasie stoczyć jakiś pojedynek, ale cóż zrobić, jeśli człowiek przyzwyczajony jest do różnego rodzaju potyczek, bo przez większą część swojego życia rozgrywał je niemal codziennie. Matylda Kaczmarek była bowiem przez wiele lat oficerem śledczym Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej, a pod koniec kariery kierowała nawet Wydziałem Dochodzeniowo-Śledczym. I dlatego nauczyła się wielu przydatnych w tej pracy sztuczek, które pozwalały ukryć przed postronnymi prawdziwą twarz, i zakładała, jak wytrawna aktorka, różne maski. Dzisiejsze mrużenie oczu było tylko prostą etiudą, odegraną jakby z przyzwyczajenia i dla podtrzymania aktorskiej sprawności.

– Ja widzę doskonale, ale niekiedy... – Matylda niby chciała się wytłumaczyć, a pobłażliwy uśmiech na twarzy dziewczyny utwierdził ją w przekonaniu, że Ania dała się oszukać i jakby co, będzie mogła przysiąc, że Matylda niedowidzi i próbuje to ukryć. – Niekiedy mi oczy wysychają – dodała.

– Jakby pani chciała, to na miejscu jest nasza apteka. Na pewno mają krople do oczu.

– Och nie, dziękuję. Poradzę sobie. Ale wracając do naszych spraw, ustaliłyśmy już chyba, że powinnam mieć pokój jednoosobowy, bo za taki zapłaciłam.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– No cóż... Muszę panią bardzo przeprosić, ale to niemożliwe.

– Co takiego?

– Nie wiem, jak to się stało, ale system przydzielił panią do pokoju dwuosobowego.

– To niech mnie przydzielą do pojedynczego.

– Już nic się nie da zrobić. Wszystkie pokoje na tym turnusie mamy pozajmowane.

– I co w takim razie pani proponuje? – zapytała Matyllda.

– Musi pani zamieszkać z panią Makowską. To bardzo kulturalna osoba.

– Mam przez dwa tygodnie mieszkać w pokoju z kompletnie nieznaną mi kobietą? Przecież ona może mieć zupełnie inne poglądy. Czy pani myśli, że przyjechałam tu się z kimś kłócić na tematy polityczne?

– No skąd. U nas nie ma mowy o kłótniach. Tu się ludzie relaksują, zapominają o kłopotach i przede wszystkim się leczą. To co, meldujemy panią w pokoju, pani Matylldo? – zapytała pracowniczka sanatorium.

– Zaraz, a jeśli dostanę ten pokój dwuosobowy z jakąś babcią, to chyba on jest tańszy niż jednoosobowy, prawda? To znaczy, że należy mi się zwrot nadpłaty.

Recepcjonistka spojrzała w ekran komputera. Przez chwilę siedziała nieruchomo i przesuwiała kursorem po ekranie. W końcu zapisała coś i cała uśmiechnięta zwróciła się do Matylldy:

– Ma pani całkowitą rację. Jest nadpłata w wysokości ośmiuset dwudziestu sześciu złotych. W tej sytuacji proponuję pani dwa dodatkowe masaże, dwie dodatkowe kąpiele borowinowe, jedną sesję krioterapeutyczną, a w ramach bonusu jedną sesję w salonie fryzjerskim.

– To macie tu fryzjera dla kuracjuszy? – zdziwiła się Matyllda.

– Oferujemy wszystko, co tylko może umilić pobyt. A sesje w salonie piękności sprawiają, że nasze kuracjuszki czują się zdecydowanie lepiej, jeśli zajmie się nimi nasz profesjonalista, pan Zbigniew.

No i co ja mam zrobić?, zastanawiała się Matyllda. W zasadzie powinnam wracać do domu. Przecież wcale nie miałam ochoty tu przyjeżdżać.

Wszystko przez cholernego Bronka, jej kolegę, a właściwie można by powiedzieć, że więcej niż kolegę. Przyjaźnią się od lat, od kiedy oboje znaleźli się na emeryturze. Ona odeszła ze służby w dziewięćdziesiątym, a Bronka, który w wydziale był jej podwładnym, dziesięć lat później. Nie, wcale nie musiała odchodzić. Nowi szefowie proponowali jej nawet, żeby została. Poszło szybko.

Nowy przełożony, major, który należał do grupy jej wychowanków, zaprosił ją i oznajmił, że w związku ze zmianami w policji musi zmienić jej zaszeregowanie służbowe oraz przydział. I dlatego od teraz nie będzie już nosić stopnia podpułkownika, ale nadal dwie gwiazdki na dwóch belkach, tyle że będzie się ten stopień nazywać młodszy inspektor.

– A w związku z reorganizacją proponuję pani, po rozmowie z komendantem głównym, przejście do pracy na innym odcinku, czyli do archiwum. Zostanie pani szefową naszych wszystkich akt. Wie pani podinspektor, jaka to ważna robota.

– To znaczy, że wypieprzacie mnie na zbity ryj – rzuciła, patrząc prosto w oczy swojemu następcy.

– Ależ pani podinspektor, po co takie słowa? Wie pani, jak bardzo panią szanuję za inicjatywę, za operatywność, za umiejętność podejmowania właściwych decyzji. Sam przecież wiele się od pani nauczyłem i była to doskonała szkoła...

– Grzesiu, nie pierdol! Kazali ci mnie wypieprzyć, to miej choć tyle odwagi, żeby mi to powiedzieć prosto w oczy.

– Nie, skąd, pani podinspektor...

Matylda podniosła się z krzesła, patrząc na swojego wychowanka z ironią i politowaniem.

– Nie podinspektor, ale pani pułkownik. To po pierwsze, a po drugie, powiedz temu swojemu komendantowi, żeby pocałował mnie w dupę. Albo nie, nie dam mu tej przyjemności. Powiedz mu, żeby się pierdolił. A, i jeszcze jedno, niech dba o archiwum, bo prędzej czy później sam tam wyląduje, gdy już nie będzie potrzebny nowej władzy.

Kilka miesięcy po tej rozmowie Broniek przyszedł do niej do domu i oznajmił, że nowy komendant główny, ten sam, który wyrzucał ją z pracy w pałacu Mostowskich, dostał propozycję etatu w archiwum. Podobno odmówił.

Wyciągnęła z torebki telefon, żeby zadzwonić do Bronka i powiedzieć mu, w co ją wpakował. W końcu to on namówił ją na ten wyjazd. Odszukała numer w spisie kontaktów i już chciała nacisnąć zieloną słuchawkę, ale pomyślała, że właściwie po co ma mu psuć wakacje. Broniek pojechał właśnie nad morze, do swojego domu, który w zeszłym roku odziedziczył po zmarłej ciotce. Pewnie teraz wyleguje się na plaży i dyskretnie

przygląda opalającym się dziewczynom. Niech mu tam będzie. Niech się opala i odpoczywa. Ciekawe tylko, czy założył na siebie koszulkę, tak jak mu radziła, bo ze słońcem w jego wieku nie ma żartów. Takie opalanie może się źle skończyć. Zadzwoń do niego wieczorem i jeszcze raz mu naświetli problem raka skóry.

Włożyła telefon do torebki i uśmiechnęła się do recepcjonistki Anny.

– Dobra, biorę ten pokój razem z tą babcią w bonusie!

Z radia płynęła właśnie piosenka Zbigniewa Wodeckiego *Chałupy welcome to*. Matyldzie przeszło przez myśl, że do jej sytuacji bardziej pasowałby Młynarski i słowa: „Jesteśmy na wczasach w tych góralskich lasach”. Tyle że ona nie jest już atrakcyjną panną Krysią z turnusu trzeciego. Ale lasy są takie same jak dawniej.

Jesteśmy na wczasach, taki był tytuł piosenki.

Warszawa Godzina 13.40

Myślałem, że załatwię tę sprawę w dziesięć minut, tymczasem minęła ponad godzina. Uświadomiłem to sobie, spoglądając na zegar ścienny z wahadłem w bogato rzeźbionej skrzyni, przypominającej manierystyczny karawan. Zegar był bardzo interesujący, ale niestety nie chodził. Przekonałem się o tym, gdy spojrzałem na cyferblat i zobaczyłem, że ciągle jest na nim przed dwunastą. Taka sama godzina była, jak tu wszedłem, więc błyskotliwie połączyłem kropki i okazało się, że zegar stoi. Upewnił mnie w tym przekonaniu fakt, że wahadło wisiało nieruchomo, mogłem sobie do woli czekać na dwanaście uderzeń.

Popatrzyłem na swój zegarek i zakląłem pod nosem. Dochodziła druga, a ja się umówiłem z Kamą, że na drugą będę w domu na obiedzie. Miało być moje ulubione spaghetti carbonara. Do tego jeszcze włoskie białe wino, którego nazwy nie zapamiętałem, ale Kama twierdziła, że jest świetne. No więc za chwilę mój makaron będzie na stole, a ja mało skutecznie próbuję namierzyć ciotkę Magdę.

Przeszukałem cały dom i nie znalazłem niczego, co pozwoliłoby mi stwierdzić, że ciotka przebywa w jakimś określonym miejscu. Być może pojechała do Ustronia Śląskiego, ale równie dobrze mogła być w Ustroniu Morskim albo na wakacjach w Egipcie. Szukałem więc jakiegokolwiek

śladu, ale niczego nie znalazłem. Przetrzęsnałem sypialnię, kuchnię, pokój gościnny i wreszcie salon. Nic, kompletnie nic. Ale ten sąsiad powiedział przecież, że pojechała w góry. To znaczy, że komuś mówiła o swoim wyjeździe. Tylko czy aby na pewno podała prawdziwą destynację?

Usiadłem na kanapie na wprost pięknego zegara i wydobyłem z kieszeni telefon. Chyba źle zacząłem poszukiwania. Powinienem najpierw dowiedzieć się od Dżesi, co wie na temat zniknięcia ciotki. Gdy byłem rano u niej w domu, niczego się nie dowiedziałem. Wyszedłem z okruchami wiedzy, będąc przekonany, że wystarczy tylko wejść do domu Magdy, by od razu natrafić na rachunki czy wydruki z zaznaczoną stacją docelową. Tak robi przecież Matylda, moja przyszywana babcia, która każdą podróż planuje w najdrobniejszym szczególe. Ale nie wziąłem pod uwagę, że Magda mogła być zupełnie inna.

– Halo, Dżesika, mówi Marcin – odezwałem się, gdy usłyszałem przeciągłe „halo”. Nie było najmniejszej wątpliwości, kto odebrał.

– Miśku, nie mogę teraz rozmawiać, jestem bardzo zajęta. Za chwilę zaczynam sesję. Wiesz, do tej nowej kolekcji Art-Fashion-Stars, mówiłam ci.

– Nie mówiłaś, ale to nie ma żadnego znaczenia...

– Jak to nie mówiłam? Pamiętam, że mówiłam. Nawet wysyłałam ci zdjęcia nowych sukienek i butów. Musiałeś widzieć te czerwone szpilki...

– Dżesi, niczego mi nie wysyłałaś. Już od dawna niczego mi nie wysyłaś.

– Tak? No popatrz. A ja byłam przekonana, że to do ciebie pisałam, Miśku. To do kogo chciałam wysłać te szpilki?

– Pewnie do Łukiego.

– A wiesz, że to może być prawda. Tak, chyba wysyłałam do niego, bo mówił, że te szpilki są jak z enerdowskiego pornola. On ma pomysły, nie?

Uśmiechnąłem się na myśl o pornosie z NRD. Gość ma poczucie humoru. W NRD nie powstawały pornole, bo za czasów, gdy istniało komunistyczne państwo niemieckie, nie wolno było kręcić niczego poza oficjalnym obiegiem państwowym. Więc musiało mu chodzić o to, że buty były dość obciachowe, jak cała socjalistyczna gospodarka DDR-u.

– No dobra, Miśku, ale ja nie mam czasu teraz rozmawiać, bo zaraz Julka będzie mi robić make up. O, już idzie, to co, dzwoniemy się później...

– Poczekaj chwilę. Powiedz mi tylko, czy Magda, to znaczy twoja ciotka, planowała jakiś wyjazd do sanatorium?

– Magda? Wyjazd? W jakim sensie?

– No wiesz, zabiegi lecznicze, masaże... Mówiłaś, że jak rozmawiałyście ostatnim razem przez telefon, to powiedziała, że się śpieszy i dokąd jedzie. Tak powiedziała?

– He! No, jak ty mówisz, że sanatorium, to ja ci powiem, że coś mówiła, że pojedzie do Ustronia.

– Jakiego Ustronia? – spróbowałem uściślić.

– No jak to jakiego Ustronia, Miśku. Tego, gdzie się jeździ na wakacje, znaczy, nad morze chyba.

– Jesteś pewna?

– No raczej.

– Ale dokładniej: nad morze czy w góry?

– No jak do Ustronia, to chyba nad morze, nie?

– Jest Ustroń Śląski i Ustronie Morskie.

– No coś ty? Są dwa Ustronia? Ale czad. Zaraz powiem o tym Julce. Ciekawe, czy ona o tym wie? Julka, słyszałaś, że jest morskie i górskie Ustronie...

– Dżesi, skup się, proszę, i powiedz, do którego Ustronia pojechała Magda?

– No mówię ci, że mówiła coś, że do Ustronia pojedzie, ale którego, to ja nie wiem, bo skąd mam wiedzieć, jak dotąd myślałam, że jest tylko ten Ustroń nad morzem. I ona chyba tam pojechała, ale nie powiedziała nawet, kiedy jedzie. To sobie pomyślałam dzisiaj rano, jak do mnie przyszedłeś, że pojechała, albo jak nie pojechała, to zaginęła. A ty coś znalazłeś w jej domu?

– Nic, kompletnie nic.

– A, no to pogadamy później, bo Julka już na mnie krzywo patrzy. No, Juluś, już się malujemy, bo widzisz, Misiek mi tu zawraca głowę...

– Misiek? – Marcin usłyszał głos Julki. – To znowu jesteście razem?

– No coś ty...

Przerwała połączenie.

No to niczego się nie dowiedziałem. Właściwie to nawet nie miałem punktu zaczepienia. Magdy nie ma na Saskiej Kępie, a to mogło oznaczać, że nic jej się nie stało. Bo wchodząc do tego domu, przez chwilę miałem dość realistyczną wizję, że znajdę ją leżącą na podłodze albo w wannie,

albo w łóżku, zimną i sztywną. Na szczęście moje czarnowidztwo się nie sprawdziło. Czyli że Magda pojechała gdzieś i nie zawiadomiła o tym swojej siostrzenicy. Nic nadzwyczajnego. Gdyby Dżesi bardziej się interesowała ciotką, to dowiedziałaby się, że ta jedzie gdzieś tam, ale niestety moja była dziewczyna żyje w zupełnie innym świecie i często nie zwraca uwagi na drobiazgi, takie jak cel wyprawy własnej ciotki.

Już chciałem wstać z kanapy, gdy dostrzegłem kolorową kartkę leżącą pod szwedzką ławą. Wystawał tylko rożek, wcześniej go nie dostrzegłem. Pochyliłem się i sięgnąłem po to coś. Okazało się, że to folder pensjonatu. Pensjonat nazywał się Źródło i znajdował w Ustroniu Śląskim. Zacząłem przeglądać zdjęcia, na których widać było porządnie urządzone pokoje w przyzwoitym standardzie. Czyli Ustron się w pewnym sensie potwierdził.

Przejrzałem folder i już chciałem włożyć go do kieszeni, gdy zobaczyłem, że w jednym miejscu jest coś napisane ręcznie. Był to ciąg cyfr, zapisany na marginesie. Oczywiście nic mi nie powiedział, dopóki nie sprawdziłem numeru komórki należącej do recepcji pensjonatu. Był ten sam. Od razu domyśliłem się, o co chodzi. Magda jest dalekowidzem i dlatego do czytania używa okularów. Numer wydrukowany na folderze był *petitem*, więc przepisała go wyraźnymi, wielkimi cyframi. A skoro zadała sobie tyle trudu, chciała z tego numeru skorzystać. Czyli dzwoniła do pensjonatu Źródło.

Niewiele się namyślając, wbiłem ciąg cyfr. Niemal natychmiast ktoś odebrał połączenie, tak jakby na nie czekał.

– Źródło, słucham – odezwał się męski głos.

– Dzień dobry, mówi Marcin Engel. Czy mogę rozmawiać z panią Magdaleną Kurzyńską?

– Z kim?

– Magda Kurzyńska, moja ciocia z Warszawy. Miała wynająć u was pokój. Trochę się niepokoję, bo nie odbiera komórki, więc dzwonię...

– Pan jest jej krewnym? – spróbował się upewnić facet z pensjonatu.

– Tak, to moja ciocia – skłamałem bez zająknięcia. Nie widziałem potrzeby tłumaczenia moich relacji z Dżesiką. – Mieszka w Warszawie przy ulicy Słowackiej dwadzieścia pięć i...

– Proszę pana, jest pewien problem.

– Problem? Co takiego? Czyżby ciocia się źle poczuła i pojechała do szpitala? – spróbowałem się domyślić.

Na chwilę zapadła cisza.

– Nie, to nie to. Ciocia, pańska ciocia, nie pojechała do szpitala.
– A dokąd? – zapytałem, jakbym był przekonany, że jeśli już, to musiała gdzieś pojechać.
– No więc właśnie nigdzie nie pojechała. A właściwie to nie wiemy, czy pojechała, czy poszła. W każdym razie nie ma jej od kilku dni.
– Jak to nie ma?
– No normalnie, wyszła na spacer i nie wróciła.
– Szukaliście jej?
– Cały czas jej szukamy i nic.
– Cholera – rzuciłem do słuchawki poirytowany. – A szpitale, policja i straż, oczywiście nie pożarna, tylko górską. To znaczy GOPR.
– Nikt nic nie wie, a wszędzie zgłosiliśmy jej zaginięcie. Wie pan, to góry, mogła pójść na wycieczkę na Czantorię na przykład i zasłabnąć. Tak się zdarza. Albo wjechać na górę wyciągiem, a potem postanowiła zejść spacerkiem. Schodząc po nierównym, postawiła źle stopę i trach w przepaść. Z górami nie ma żartów.
– Proszę zapisać mój numer, na wypadek gdyby się pan czegoś dowiedział – zaproponowałem.
– To nie przyjedzie pan tu, żeby jej szukać? – zdziwił się facet z pensjonatu.

Cholera, nie wiedziałem, co mam robić. Przecież nie rzucę wszystkiego, żeby szukać Magdy. Ręce pełne roboty, reportaż na ukończeniu i jeszcze reklama napoju energetycznego, do której od dwóch tygodni pisałem scenariusz, i niczego mądrego nie potrafiłem wymyślić. I co, miałem jechać do Ustronia, żeby szukać Magdy? Fakt, lubię ją, a poza tym zawsze piekła doskonale ciasto bezowe, ale przecież nie pojedę tylko dlatego, że lubię bezy.

I naraz o czymś sobie przypomniałem. Cholera, jak mogłem na to nie wpaść? Matyllda, przecież ona jedzie do Ustronia. Nieprawdopodobny zbieg okoliczności, jak w klasycznej powieści Joanny Chmielewskiej pod tytułem *Zbieg okoliczności*. Byle tylko nie wyszła z tego – tak jak w tym kryminale – komedia omyłek, choć z Matylldą w roli głównej to całkiem prawdopodobne. Moja przyszywana babcia Matyllda zaczyna dziś turnus wypoczynkowo-sanatoryjny i jak ją znam, z nudów powoli dostaje pomieszania zmysłów. Dziwiłem się, że w ogóle zgodziła się na tę eskapadę, ale okazało się, że to robota jej przyjaciela Bronka, który przekonał ją, że to dobrze zrobi na jej zniszczone przez papierosy płuca. No

więc Matylda jest w Ustroniu i pewnie nie ma pojęcia, jak zorganizować sobie wolny czas. Gdybym do niej zadzwonił i powiedział, żeby zainteresowała się sprawą Magdy, to z wdzięczności zapisze mi w testamencie połowę swojego majątku. No więc trzeba spróbować.

– Nie, ja nie przyjadę, ale wkrótce pojawi się tam moja babcia, która jest w Ustroniu. Może jej pan śmiało wszystko zeznać, to znaczy wprowadzić ją w szczegóły.

– Babcie? No nie wiem, przecież dla starszej kobiety to może być trudne...

– Ta starsza kobieta to emerytowana inspektor policji. Proszę się nie przejmować jej kondycją. Matylda Kaczmarek da radę.

Zakończyłem rozmowę z pensjonatem i wybrałem numer Matyldy. Chyba się srogo nudziła, bo odebrała po pierwszym sygnale.

Rozdział II

Dzięgielów
Godzina 14.10

– Ten rosół był doskonały. Taki, jak robiła moja mama. Dawno nie jadłem takiego.

– Nasza kucharka, siostra Florentyna, to prawdziwy skarb. Mało kto potrafi tak gotować jak ona. Mówią, że ma niezwykle wyczucie smaku – stwierdziła matka przełożona, siostra Perpetua, dobiegająca sześćdziesiątki, okrągłolica kobieta o pełnych ustach i wyłupiastych, lekko podkrążonych oczach, co może świadczyć o niezbyt dobrym funkcjonowaniu tarczycy.

Zadowolony policjant otarł usta lnianą serwetką, a potem uśmiechnął się zadowolony. Czuł się wyśmienicie, bo zaspokoił głód, a w perspektywie miał jeszcze dwa etapy napychania żołądka. Za chwilę miał dostać gołąbka w sosie pomidorowym z tłuczonymi ziemniakami, a na koniec kawę i placek drożdżowy. Życie nie umierać.

– To prawda, że smak w jedzeniu to sprawa podstawowa i bezdyskusyjna – stwierdził Pilarski, gładząc się odruchowo po brzuchu.

Był typem smakosza, pod warunkiem że ktoś poda mu dobre danie. Sam nie potrafił niczego ugotować, ale się tym specjalnie nie przejmował. Nie musiał. Jego żona gotowała całkiem nieźle, więc zazwyczaj był najedzony. Ale dzisiaj sytuacja wyglądała inaczej. Wszystko przez te wakacje. Wczoraj wpakowała dwójkę ich dzieci do samochodu i pojechała na trzy tygodnie nad jeziora, gdzieś w okolicach Piły. Miała tam jakąś koleżankę, która była właścicielką domku nad wodą, więc skorzystała z zaproszenia i zostawiła go samego w domu. Nie mógł więc liczyć na ciepły posiłek po służbie. No chyba że kupi pizzę w markecie i odgrzeje w mikrofali. Ale takie jedzenie to przejaw żywieniowej desperacji. Rozważał też nawet kolejnego hot doga na stacji benzynowej, no i wtedy Okrasa zaproponował mu ten klasztor. Całe szczęście, że się zgodził. I to wszystko w ramach obowiązków służbowych, bo przecież jest tu w sprawie zaginięcia jakiejś dziewczyny. Jak zje, to pogada trochę na ten temat, coś

tam spisie i będzie mógł spokojnie jechać do domu, najedzony i wreszcie zadowolony z dnia.

– Jak coś nie ma dobrego smaku, to jest niedobre – stwierdziła filozoficznie zakonnica – a dobre jedzenie musi mieć dobry smak. Siostra Florentyna już trzydzieści lat gotuje w naszej kuchni.

– To aż grzech nie dzielić się ze światem takim skarbem. Mogłyby tu siostry prowadzić restaurację. Nie dość, że zarobek, to jeszcze ludzie zadowoleni z tego przybytku by wychodzili i opowiadali wszędzie, że siostry... No właśnie, jak się siostry nazywają, to znaczy, jak się wasze zgromadzenie nazywa?

– Wywodzimy się z Zakonu Sióstr Strażniczek Grobu Pańskiego Rodziny Betańskiej, to znaczy, że nazywa się nas betankami.

– O, jak elżbietanki – pochwalił się swoją wiedzą policjant.

– To zupełnie inne zgromadzenie – rzuciła sucho siostra Perpetua.

Policjant spojrział na nią zdziwiony. Jednak zaraz na twarz zakonnicy wrócił dobrotliwy uśmiech, zabarwiony lekkim zafrasowaniem.

– Ja się tam na tym nie znam – aspirant postanowił wymazać swoją przewinę, wynikającą z ignorancji, posypując głowę popiołem. – Bo dla zwykłego człowieka to bez różnicy, co to za zakon. Najważniejsze, że to zakony katolickie. Bo tu, w okolicy Ustronia, to przecież lud protestancki w większości. A człowiek jako katolik chciałby się znaleźć w swoim środowisku. Bo ja, wie siostra, to do Ustronia przyjechałem z Siemianowic Śląskich dwa lata temu.

Spojrział na kobietę i dostrzegł ze zdumieniem, że jej twarz poczerwieniała, a usta się zacisnęły, tworząc wąską kreskę. Zrozumiał, że znowu coś palnął, tyle że nie miał pojęcia, co mogło wyprowadzić ją z równowagi.

Bo rzeczywiście wyglądała jak napompowany balon, który za chwilę mógł pęknąć.

Jednak kobieta potrafiła zapanować nad emocjami. Wypuściła powietrze, a potem uśmiechnęła się krzywo.

– My, proszę pana, jesteśmy niezależne.

– Jak to? – zdumiał się Pilarski. Nigdy nie słyszał, żeby zakonnice nigdzie nie należały. To przecież tak, jakby ktoś był policjantem i nie miał nad sobą komendanta.

– Czyli jesteście prawosławne?

To stwierdzenie wyraźnie rozbawiło zakonnice.

– Nie, nie jesteśmy też prawosławne. Po prostu tworzymy niezależny od jakiegokolwiek władzy kościelnej byt i również niezależny związek wyznaniowy, który nazywa się Kościół Betański Świętego Krzyża.

– No coś takiego. Nigdy nie słyszałem o takim kościele. Zresztą powiem szczerze, że mieszkam w Ustroniu grubo ponad rok i nawet nie wiedziałem, że tu jest jakiś klasztor.

– Bo to nie jest klasztor, panie policjancie – odezwał się męski głos za jego plecami.

Policjant odwrócił się natychmiast.

Za nim stał młody człowiek ubrany w dżinsy i czarną koszulę z koloratką.

– Stanowimy niezależne zgromadzenie. Nie należymy ani do Kościoła katolickiego, ani protestanckiego – wyjaśnił, uśmiechając się przyjaźnie.

Pilarski musiał przyznać, że ten klecha budził zaufanie. Widział go po raz drugi, bo po raz pierwszy kilka dni temu na komendzie, kiedy ksiądz zgłaszał zaginięcie zakonnicy, i już wtedy odniósł dobre pierwsze wrażenie. Teraz je w sobie utrwalił. Ale policjant dobrze wiedział, że miłe twarze często kryją jakieś mroczne tajemnice. Dlatego postanowił, że musi być ostrożny i przede wszystkim nabrać dystansu do faceta.

– No tak, można się w tym pogubić – przyznał.

Ksiądz tymczasem podszedł do stołu. Matka przełożona wstała natychmiast, robiąc mu miejsce, choć na ławie, na której siedziała, swobodnie mogłoby się zmieścić z pięć osób. Widać było jednak, że oddawała pole osobie ważniejszej.

To trochę zdumiało Pilarskiego, bo zdawało mu się, że w klasztorze to przełożona albo przeorysza – nie miał pewności, jaki tytuł powinna nosić szefowa takiego przybytku – jest najważniejszą postacią. A ksiądz może być tu tylko spowiednikiem i duchowym opiekunem. Ale tu chyba jest inaczej.

Kobieta skłoniła się policjantowi, potem księdzu i już chciała odejść, ale duchowny powstrzymał ją, nieznacznie unosząc dłoń ku górze.

Aspirant dostrzegł, że na palcu wskazującym ma złoty pierścień z kolorowym kamieniem. Na biżuterii nie bardzo się znał, ale domyślił się, że musi to być dość cenny pierścień. Pamiętał, że gdy był młodym chłopcem, widział już taki klejnot. Biskup, który udzielał mu bierzmowania, miał też taki wielki pierścień, a on i wszyscy przystępujący do sakramentu musieli na nim złożyć pocałunek. Zapamiętał to jako coś

obrzydliwego, bo w kolejce był jednym z ostatnich bierzmowanych i przed nim dotykało ustami tego pierścienia ze sto osób. Pomyślał wtedy, że jeśli pocałuje pierścień biskupa, to drobinki śliny i zawarte w niej bakterie natychmiast rzucają mu się do gardła i zatrują go jakimś śmiertelnym jadem. Dlatego gdy podszedł do biskupa, pochylił głowę nad jego ręką, ale pierścienia nie pocałował.

Dziś na szczęście nie musiał tego robić, młody ksiądz aż takiego poświęcenia nie wymagał.

– Droga matko, czy nasz gość zjadł już drugie danie? – spytał ksiądz.

– Dopiero rosół podawano.

– O, to się wyśmienicie składa. Jarosołu dziś jeść nie będę, ale gołąbka zjem z największą przyjemnością.

– Zaraz poproszę w kuchni o dodatkowe danie – powiedziała kobieta, znów kłaniając się lekko. Odwróciła się na pięcie i wyszła z pomieszczenia.

Refektarz, w którym przyjęto aspiranta, nie był zbyt okazały. W schronisku mógłby uchodzić za salę jadalną. Zresztą tak właśnie był urządzony. Ściany wyłożono deskami w stylu góralskim. Wisiały na nich kolorowe obrazki w tanich ramkach, przedstawiające wizerunki świętych. Na podłodze z pomalowanych na zielono paneli w dwóch rzędach ustawiono po pięć długich stołów, a przy każdym z nich po dwie ławy. Pilarski szybko obliczył, że skoro na jednej ławie może siedzieć co najmniej pięć osób, to przy całym stole zmieści się ich drugie tyle. Dziesięć stołów mogło wystarczyć na sto osób. *Czy zakon liczy tyle siostr?*, zastanawiał się policjant, korzystając z chwili ciszy, jaka nastąpiła po tym, gdy ksiądz usiadł przy stole naprzeciw.

W końcu milczenie przerwał duchowny.

– Jestem ksiądz Wojciech Wojda – przedstawił się, wyciągając ku policjantowi upierścienioną rękę.

Pilarski uściskał ją, zdziwiony, że uścisk księdza był tak mocny jak jego. Zdziwienie brało się stąd, że kilku księży, których aspirant znał osobiście, ścisnęło dłonie podawane na powitanie bardzo delikatnie i – można powiedzieć – dość zachowawczo. Młody ksiądz potrząsnął dłonią policjanta jak wojownik.

– Aspirant Pilarski z komisariatu w Ustroniu. Ja w sprawie waszej zaginionej – przedstawił się i od razu wyjaśnił, że nie wpadł tu tylko na obiad, ale ma ważną sprawę.

Ksiądz uśmiechnął się lekko, nie okazując najmniejszego zdziwienia, a może nawet zainteresowania. Tak jakby ta sprawa wcale go nie dotyczyła.

– Tak, coś się w tej kwestii wyjaśniło? – rzucił pogodnie.

– No w zasadzie nie, więc dlatego przyjechałem. Chodzi o to, że nie wiemy, kogo mamy szukać, więc na wszelki wypadek chciałem poprosić o szczegółowe dane i zdjęcie...

– Nie mamy zdjęć. Nie robimy fotografii w naszym zgromadzeniu. Fotografie są nam niepotrzebne, bo to przejaw próżności.

– Co też ksiądz mówi? Mamy przecież dwudziesty pierwszy wiek, każdy robi sobie zdjęcia, te, no, jak to się nazywa, selfiaki. Sam mam w telefonie ze sto. Jakby przejrzeć telefon tej dziewczyny, to...

– Nasze siostry nie mają telefonów. Wchodząc do zgromadzenia, wyrzekają się świata doczesnego, więc nie potrzeba im tych wszystkich gadżetów, które niszczą ludzkie umysły, do cna zatruwając je bezużytecznymi informacjami, które odciągają myśli od Pana.

– A internet? Nie mają konta na Facebooku?

– Nie. Zanim do nas dołączą, najpierw likwidują konta i w ten sposób wycofują się z życia w świecie, który przestał być dla nich atrakcyjny.

– Przestał być atrakcyjny? Nie rozumiem.

– Bo nasze dziewczęta całkowicie oddają się Panu. To On bierze je w posiadanie, i dlatego nie potrzebują niczego, co daje w świecie zewnętrznym ułudę szczęścia.

Policjant z niedowierzaniem pokręcił głową.

Zdaje się, że ten klecha proponuje swoim zakonnicom namiastkę średniowiecza w świecie, który przecież dawno temu przestał być skansenem.

– No dobrze, ale jak ją mamy w takim razie znaleźć? Miał ksiądz dostarczyć dowód osobisty, jakiś inny dokument. Przecież dowód musi być w waszym klasztorze.

Wojda uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa rzędy równych śnieżnobiałych zębów. Na ten widok Pilarskiemu zrobiło się trochę wstyd, bo mimo że byli chyba w podobnym wieku, jego zęby były krzywe i pożółkłe od nikotyny.

– Ksero dowodu wysłałem od razu tego samego dnia, gdy zgłaszałem zaginięcie, na adres komendy w Ustroniu. Ale jak pan chce, mogę poprosić, żeby panu przyniesiono wydruk. Tylko nie wiem, czy to się do czegoś przyda, bo dziewczyna się odnalazła.

– Jak to? Wróciła?

Ksiądz pokręcił głową.

– Nie, dzwoniła do nas, żebyśmy się nie martwili. Powiedziała, że wróciła do domu, do Wroniek. Bo ona z Wroniek pochodzi, stamtąd, gdzie to słynne więzienie.

– A, czyli w zasadzie nie ma sprawy? – rzucił policjant z lekkim zawodem.

Wojda twierdząco pokiwał głową, uśmiechając się przy tym radośnie.

– Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo dzięki temu może pan spróbować świetnych gołąbków siostry Florentyny. Jakby pan sam chciał je ugotować, przepis znajdzie pan na naszej stronie internetowej, w zakładce „siostra Florentyna gotuje”.

Policjant nie odpowiedział.

Po chwili wpatrywał się w ogromnego gołąbka, zajmującego połowę talerza i polanego solidnie sosem pomidorowym. Na pewno nie będzie chciał robić takich gołąbków, ale z przyjemnością spróbuje tego, który postawiono przed nim na stole.

Zobaczywszy, że ksiądz się przeżegnał, Pilarski zrobił to samo, może w intencji częstszego korzystania z dobrodziejstw tutejszej kuchni.

I wtedy przysłała mu do głowy pewna myśl. Skoro siostry zakonne wyrzekły się kontaktu ze światem zewnętrznym, nie używają internetu i nie mają kont w mediach społecznościowych, to jakim cudem przepisy siostry Florentyny trafiają do sieci? Coś tu jest nie tak, ale zostawił tę wątpliwość dla siebie.

Za to gołąbki były wyborne.

Ustroń Godzina 15.20

– Halo, Marcin!

– Babcia Matylda?

– No chyba wiesz, do kogo dzwonisz.

– No wiem, dlatego dzwonię.

– No to niepotrzebne są twoje obawy. Dojechałam do Ustronia, nie ukradli mi walizki, jestem w sanatorium i w ogóle wszystko w porządku, poza jedną kwestią. Mieszkam w pokoju z jakąś staruszką.

– Jak to? Przecież wykupiłaś pokój jednoosobowy.

– No właśnie, wykupiłam, ale okazało się, że nie do końca. To znaczy, zapłaciłam tyle, ile trzeba za jedynekę, ale moja jedyńska w systemie komputerowym stała się dwójką z sublokatorką.

– Ale jakoś się dogadujecie, prawda?

Matylda spojrzała na łóżko po przeciwnej stronie pokoju. Być może się dogadają, ale na razie jeszcze nie było nic na ten temat wiadomo, bo kobieta wyszła z pokoju, zanim Matylda zdążyła się wprowadzić. Na łóżku leżała otwarta walizka i porozrzucane rzeczy. Widać pensjonariuszka musiała się gdzieś spieszyć, przebrała się, a potem wyszła, nie sprzątnąwszy bałaganu. Matylda dostrzegła jeszcze jeden szczegół, który mógł mieć pewne znaczenie w kwestii ich wzajemnych stosunków. W walizce zobaczyła grubą książkę w plastikowej, czarnej okładce, ozdobionej złotym napisem: Biblia. Wywnioskowała, że skoro ta staruszka podróżowała z Biblią, to znaczy, że jest nałogową katoliczką.

Ona natomiast jest zdecydowaną ateistką i do tego jeszcze antyklerykałką. Zderzenie tych dwóch postaw na wspólnych dziesięciu metrach kwadratowych mogło doprowadzić do niebezpiecznej eksplozji. Oczywiście pod warunkiem, że jej katolicka współlokatorka będzie zajadłe bronić swoich racji. Do konfrontacji dojdzie prędzej czy później, to pewne. Ale na razie jeszcze nie, bo współlokatorka zniknęła.

– No więc się jeszcze nie kłócimy, bo kobiecina dokądś poszła. Została po niej tylko walizka z ciuchami i Biblia.

– O, to będziesz mogła sobie pożyczyć i poczytać – zadrwił Marcin, który doskonale znał jej antykościelne poglądy. – Możecie porozmawiać o chrześcijańskich korzeniach kultury europejskiej.

– Kochany, kultura europejska wywodzi się wprost z pogańskiej Grecji i pogańskiego Rzymu!

– Nie, nie chcę z tobą o tym dyskutować – Marcin natychmiast się wycofał.

Wiedział dobrze, czym taka dyskusja grozi. Matylda od razu wytaczała najcięższe działa i przystępowała do ostrego ostrzału argumentami, na które trudno było odpowiedzieć osobie w sprawach Kościoła niezbyt obeznanej. Babcia Marcina orientowała się zarówno w zawłościach historii Kościoła, jak i ewolucji kościelnych doktryn, które zmieniały rzymski katolicyzm na przestrzeni wieków, dostosowując go do aktualnych potrzeb politycznych. Nieraz zdarzało mu się już rozmawiać na te tematy z Matyldą, ale za

każdym razem czuł się powalony na łopatki celnością jej sądów. Z czasem nauczył się więc, że bezpieczniej jest uciekać od rozmów na tematy kościelne, oddając pole innym rozmówcom, nieświadomym beznadziejności swojego położenia.

– Naprawdę nie chcesz? – rzuciła wyraźnie zawiedziona.

Kto tam wie, czy już trochę się jej nie nudzi. To znaczy, że dzwoni w odpowiednim momencie, by zainteresować ją zaginięciem starszej pani.

– Nie, nie mam czasu na pogawędki, bo zaraz siadam do jedzenia. Kama zrobiła spaghetti i wiesz, otwieramy butelkę wina...

– Ucałuj Kamilę ode mnie – weszła mu w słowo.

Zdecydowanie bardziej lubi Kamę niż poprzednią dziewczynę Marcina. Od początku uważała, że związek z Dzesiką to fatalna pomyłka, za którą kiedyś przyjdzie Marcinowi zapłacić. I jak się okazało, miała całkowitą rację. Zresztą często w wypadku jego wyborów życiowych nie myliła się. Tak było od samego początku ich znajomości.

Poznali się dawno temu, gdy Marcin rozpoczął studia w Warszawie. Przyjechał z rodzinnego Poznania, wyposażony w kilka adresów pokoiów na wynajem, znalezionych w necie. Jako człowiek niedoświadczony w wynajmowaniu lokum, był przekonany, że wystarczy przyjechać, umówić się z pierwszym lepszym najemcą i zamieszkać. Po zwiedzeniu pięciu pokoi, które wyglądały dobrze tylko na zdjęciach, w końcu zadzwonił do drzwi mieszkania w kamienicy na Nowym Świecie. Otworzyła mu szczupła kobieta, na oko po sześćdziesiątce, z papierosem w ustach. Obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem, a potem dała znak, żeby poszedł za nią.

– To jest ten pokój – otworzyła drzwi do niewielkiej sypialni, w której stała rozkładana kanapa, biurko na wysoki połysk i szafa do kompletu.

Na ścianach wisiało kilka obrazów przedstawiających jakieś górskie krajobrazy. Marcinowi wydały się znajome, ale nie miał pojęcia dlaczego.

Kobieta zwróciła uwagę, że się im przygląda.

– To pejzażyki Dudy-Gracza. Mój mąż był jego kolegą, więc trochę jego obrazów nam, a właściwie jemu, podarował. To była jego sypialnia. Spał tu, bo chrapał niemiłosiernie, więc go eksmitowałam z naszej wspólnej sypialni, no i jak zmarł jakiś czas temu, postanowiłam ten pokój wynająć, bo co ma stać pusty. Na razie nie znalazłam nikogo odpowiedniego.

– To znaczy, że nikt tu po pani mężu nie mieszkał – zrozumiał Marcin.
– No tak. Odkąd Guccio umarł na tym tapczanie, nawet nikt tu nie spał.
– Na tym tapczanie? – wskazał palcem, żeby się upewnić.
– No tak, gdzieś musiał umrzeć. Ale jak ci przeszkadza, że człowiek odszedł w tym pokoju...

– Gdybym bał się nieboszczyków, nie mógłbym mieszkać w Warszawie. Tu przecież każdy kamień widział czyjąś śmierć – powiedział, żeby w ogóle coś powiedzieć, bo nie bardzo potrafił tak od razu zająć stanowisko na temat męża, z którym miał dzielić łóżko, na szczęście nie w tym samym momencie.

Zdanie wypowiedziane przez Marcina musiało zrobić dobre wrażenie, bo starsza pani przez chwilę patrzyła na niego uważnie, a potem oznajmiła:

– Możesz tu palić, pić, ale tylko dobre alkohole, żeby mi nie śmierdziało w domu jablem, i płacisz pięćset złotych miesięcznie. Pasuje ci?

Oczywiście, że pasowało.

– I możesz do mnie mówić „babcia Matylda” – powiedziała i wyszła, zostawiając go w jego nowym pokoju.

Pokój na Nowym Świecie za pięć stów to był los wygrany na loterii. Został tam do końca studiów i mieszkałby jeszcze dłużej, ale na samym początku pracy w telewizji udało mu się jeszcze złapać fuchę reklamową, dzięki której prędko uzbierał na wkład własny do kredytu na mieszkanie.

Poszedł więc na swoje, ale nie stracił kontaktu z babcią Matyldą.

– Czyli że nudzisz się w Ustroniu? – zapytał ostrożnie, a ona chyba wyczuła, że czegoś od niej chce.

– Nudzą się tylko nudni ludzie. Ja się zawsze świetnie bawię we własnym towarzystwie, a cóż dopiero w sanatorium pełnym wesołych staruszków.

– Nie, to może zadzwonię później, jak się już rozejrzysz po okolicy i stwierdzisz, że nie dzieje się tam nic pasjonującego.

– Masz jakąś interesującą sprawę?

– No, tylko nie chciałbym cię angażować w coś podczas urlopu. Wiesz, teraz masz przede wszystkim wypoczywać.

– Marcin, gadaj, do cholery, o co chodzi.

– Dobra, to już ci powiem, ale nie wiem, czy to jest coś interesującego. Może takie tam coś, do zbadania w trakcie wypoczynku, żeby nie stracić, no, wprawdy.

– O co chodzi? – przerwała mu. Czuła, że Marcin coś kręci.

– O ciotkę Dżesiki.

– Uff! – jęknęła, słysząc imię, które niezbyt dobrze się jej kojarzyło.

– Nie musisz od razu negatywnie się nastawiać. Ta ciotka Magda to sympatyczna kobieta. Jeszcze jak byłem z Dżesi, to kilka razy byliśmy u niej na kawie. Swoją drogą, robi świetne ciastka bezowe.

– No, to już lepiej. I co z tą byłą ciotką? Ktoś jej ukradł portfel?

– Nie, znacznie lepiej – stwierdził Marcin. – Zniknął nie tylko portfel, ale i cała właścicielka.

– No to trzeba zawiadomić policję.

– Już zawiadomiona. Ale wiesz, jak jest.

– Wiem. Kogo by ci tu polecić, zaraz, w stołecznej pracuje syn mojego kolegi, taki Marian Domagała, chyba jest inspektorem. Jego tata zaczynał u mnie w wydziale i teraz...

– Nie, to nie chodzi o Warszawę. Ciotka mieszka na Saskiej Kępie, ale tydzień temu pojechała na wakacje do Ustronia. No i jak skojarzyłem, że ty jesteś w Ustroniu...

– Owszem, w Ustroniu, w górach. Sprawdziłeś, czy ona też jest w górach?

– No, za kogo mnie masz? – spytał oburzony, ale zaraz przypomniał sobie Dżesikę, która nie miała pojęcia, że są dwie miejscowości podobnie się nazywające, i nic już więcej nie powiedział. Matylda mogła przypuszczać, że on jest tak niewydukowany geograficznie jak jego była.

– Mam adres, pensjonat nazywa się Źródółko. Powiedziałem, że się tam pojawisz.

– Czyli byłeś pewny, że się zgodzę?

– Musiałbym cię nie znać – stwierdził bardzo z siebie zadowolony.

Matylda zapisała adres i telefon do pensjonatu, po czym obiecała, że się z Marcinem skontaktuje, jak się czegoś dowie.

Otworzyła walizkę i wyjęła z niej mały plecak, do którego wrzuciła notes z długopisem, scyzoryk o kilku ostrzach i latarkę. Miała też ze sobą plan Ustronia. Pochodził z lat osiemdziesiątych i niektóre ulice mogły zmienić nazwę, ale wzięła go na wszelki wypadek. Nowy kupi przy okazji. Nałożyła na głowę czapkę bejsbolówkę, na oczy ciemne okulary i wyszła

z pokoju. Nie lubiła niczego odkładać na później, więc skoro trafiła się jej zagadka do rozwiązania, postanowiła działać od razu. Dzięki temu być może jej pobyt w sanatorium nie będzie taki nudny, jak jej się dotąd zdawało.

Wyszła przed budynek w kształcie modernistycznej piramidy, jeden z siedemnastu takich hoteli, które wybudowano tu na górskich zboczach w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Na obszernym parkingu stało ze czterdzieści samochodów, rejestracje z całej Polski. Na szczęście nie było czuć spalin. Wywiał je stąd przyjemny, lekki wiatr, spływający z górskiego zbocza i przynoszący oprócz ożywczego chłodu także eteryczne, leśne aromaty. Popołudnie zapowiadało się sympatycznie. Ruszyła przed siebie, podpierając się dwoma kijkami do nordic walking.

Pomyślała, że dzięki temu wygląda jak prawdziwa kuracjuszka, doskonale wtapiająca się w pejzaż miasteczka wypoczynkowego.

Warszawa Godzina 17.30

Po zjedzeniu spaghetti miałem ochotę wziąć prysznic i położyć się do łóżka. Pora była idealna na spędzenie kilku leniwych godzin z Kamą przed telewizorem.

Lubimy oglądać razem seriale, a ja lubię szczególnie te chwile, kiedy nie muszę nic robić, nic nade mną nie wisi, żadne terminy, żadne filmy do nakręcenia czy zmontowania, i mogę się oddać słodkiemu lenistwu. Reportaż o rabunkowej wycince lasów w puszczy właśnie wczoraj poskładałem do kupy i oddałem do przeglądu w redakcji, takiej kolaudacji, która ma wykazać ewentualne błędy i braki. Nie mylić z cenzurą, bo w naszej firmie cenzury nie ma. Jest tylko kontrola, która ma sprawić, żeby na antenę nie poszło coś, co jest niedorobione.

Siedzieliśmy z Kamą na montażu przez ostatnie cztery dni i mogliśmy wreszcie odpocząć, mając świadomość, że zrobiliśmy dzieło niemalże perfekcyjne i godne Oscara, oczywiście gdyby kategoria „reportaż” istniała w tym konkursie. Teraz mieliśmy czas na zasłużony odpoczynek. A w najbliższy poniedziałek planowaliśmy zrobić sobie tydzień wolnego i pojechać nad morze. Do swojego domu w Chłopach zaprosił nas Bronek,

przyjaciel babci Matyldy, który siedzi tam sam i już się cieszy na myśl, że przez kilka dni dotrzymamy mu towarzystwa.

Tymczasem dziś po południu mogliśmy sobie trochę poleniuchować.

– Spaghetti jak zwykle doskonale. Powinnaś zostać kucharką w jakiejś włoskiej restauracji – pochwaliłem danie, wskazując mój talerz niemal wylizany do czysta.

Zadowolona Kama uniosła kieliszek i trąciła nim o brzeg mojego.

– To co robiłeś na Saskiej Kępie? – zapytała, uśmiechając się.

Wziąłem swój kieliszek i upiłem solidny łyk. Białe wino też było doskonale i schłodzone, idealne na ciepły czerwcowy wieczór. Miałem nadzieję, że Kama zapomni o tej mojej dzisiejszej eskapadzie, ale nie zapomniała. Jak to jest, że kobiety zapamiętują szczegóły, które dla nas nie mają żadnego znaczenia. Bo jakie właściwie znaczenie ma fakt, że pojechałem na Saską Kępę, żeby sprawdzić, co stało się z ciotką Magdą. No pojechałem, i tyle. A ona chyba wyczuła, że gdzieś uwiera mnie tajemnica, która nie daje mi spokoju i którą próbuję rozwikłać. Jak zwykle miała rację. Zrzuciłem tę zagadkę na barki Matyldy, ale czułem niepokój. W końcu znałem ciotkę Magdę i zwyczajnie się o nią bałem. Ale jak to powiedzieć Kamie? Przecież zaraz wyjdzie na jaw, że pojechałem tam, bo prosiła mnie Dżesi.

– Byłeś u Zembi i pojechałeś na Saską Kępę. Domyślam się więc, że to ona cię o coś poprosiła, a ty jak zwykle nie potrafiłeś odmówić – rzuciła z pozorną obojętnością.

Cholera, ta moja Kama zna mnie jak zły szeląg. Czy ona potrafi mi czytać w myślach? Czasami miałem takie wrażenie, że nic nie muszę mówić, bo ona i tak wie, o co chodzi.

– Jej ciotka zniknęła.

– Aha, ta od ciastek bezowych – przypomniała sobie.

– No właśnie, ta Magda. Zresztą bardzo miła kobieta.

– Czy ty nie widzisz, że ona cię wykorzystuje? – rzuciła Kama, zupełnie bez uśmiechu.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie chodzi przecież o podżyrowanie jej kredytu.

– Jeszcze tego by brakowało. Nie dość, że zagnieździła się w twoim mieszkaniu, to jeszcze wysysa z ciebie krew przy każdej okazji.

– Kama, bez przesady – spojrzałem w jej piękne orzechowe oczy, uśmiechnąłem się krzywo i zacząłem poruszać rytmicznie głową, tak jak

podczas słuchania nowej płyty Zenka Martyniuka.

Nie umiała się oprzeć temu uśmiechowi, który był wypróbowaną metodą rozbijania min grożących wybuchem.

– Wariat – skwitowała mój popis, czochrając mi włosy.

– Wiesz, ciotka Magda to nie Dżesi. Być może potrzebuje pomocy. Dlatego pojechałem. I dobrze zrobiłem, bo okazało się, że pojechała do Ustronia.

– Morskiego?

– Nie, tego w górach. Sprawdziłem w pensjonacie, to znaczy, zadzwoniłem się tam, a oni mi powiedzieli, że była tam, ale zniknęła.

– Jak to zniknęła?

– Jak to w górach, wyszła i zniknęła. Już jej szuka GOPR i policja, a jej nie ma. Na szczęście jest tam Matylda.

– Zaraz, co ty gadasz? Matylda przecież miała jechać do Ustronia, do Bronka.

Potrząsnąłem głową.

– Pomyliłaś się. Matylda jest w Ustroniu Śląskim, w górach. Już rozpoczęła poszukiwania.

– No to jeśli ktoś ma Magdę znaleźć, ona poradzi sobie na pewno.

– Jasne, Matylda znajdzie ją żywą lub... – nie dokończyłem, przestraszony tym, co mogłem powiedzieć na głos.

Co ja w ogóle gadam? Przecież Magda żyje. Nic jej się nie mogło stać. Zwłaszcza że jest wytrawną turystką. Nieraz opowiadała o swoich górskich wycieczkach. Dawniej chodziła nawet po alpejskich szlakach, więc co to dla niej za wyzwanie ten Beskid Śląski.

– To znaczy, chciałem powiedzieć, że na pewno się odnajdzie. Za chwilę Matylda pewnie zadzwoni i powie, że już po poszukiwaniach – mówiąc to, wskazałem na telefon leżący na kanapie.

Na pewno zdarzyło się wam, że o czymś myślicie, i to się właśnie dzieje. Mówicie „dupa”, i aktor w filmie mówi „dupa” w tym samym momencie. Albo pomyślicie, że powinna zadzwonić Matylda, patrzycie na telefon i w tym momencie dzwoni...

Wojtek!

– Cholera, to Wojtek – powiedziałem, jakby po tym połączeniu można było się spodziewać samych złych rzeczy.

Tymczasem Wojtek to mój kumpel z telewizji i do tego właściciel firmy producenckiej o pięknej nazwie Infoartfilm. To była właśnie ta

instytucja, która od czasu do czasu dawała nam zarobić niezłe pieniądze na reklamowych fuchach. Jeśli więc dzwonił Wojtek, to mogło oznaczać tylko jedno. Są do zarobienia jakieś pieniądze... I mogło być jeszcze coś. Coś, o czym całkowicie zapomniałem. Cholera jasna.

Chwyciłem smartfon i odebrałem na głośnomówiącym, żeby Kama mogła być świadkiem tego, jak wije się w kłamstwach i maskuję własną głupotę oraz nieumiejętność rozumnego zarządzania czasem.

– No, cześć, Wojtek! – powiedziałem nieco zbyt radośnie.

Kama popatrzyła na mnie, mrużąc oczy. Już wiedziała, że kręcę.

– Słuchaj, Marcin, jest problem.

– Jaki? Ładna pogoda, deszcz nie pada, a do tego sobota. Jaki może być problem w tak pięknych okolicznościach przyrody?

– Problem polega na tym, że jeszcze siedzę w biurze u tego gościa.

– Jakiego gościa?

– Tego od wody mineralnej. Tego górala, co od miesiąca ma swoje biura w Warszawie. No i wyszedłem na chwilę do kibelka, żeby ci powiedzieć, że się spóźnię, bo on cały czas zmienia koncepcję. Ale wy się nie przejmujcie, jak tylko stąd wyjdę, wsiadam do ubera. To czekajcie i napijcie się, ja stawiam.

– Spoko, chłopie, nie przejmuj się – rzuciłem nonszalancko. – My tu się doskonale bawimy. Pijemy sobie piwo, a z żarciem poczekamy na ciebie.

– W porządku. To nie wypijcie wszystkiego. Postaram się szybko urobić faceta i lecę do was. Będę niedługo.

Rozłączył się.

Spojrzałem na Kamę. Nie musiałem nic dodawać. Jak zwykle okazałem się kiepskim organizatorem.

– Gdzie się umówiliście? – zapytała rzeczowo, wstając od stołu.

– Na Nowomiejskiej, w Samych Kraftach.

– Oryginalnie – skomentowała z wyraźną ironią.

– No wiesz, myślałem, żeby łatwo było się tam dostać i żeby nie było daleko.

– Chodziło ci przede wszystkim o dobre piwa – skwitowała moje tłumaczenia.

Wiedziała, że lubię piwa kraftowe i lokale, w których można napić się czegoś nieoczywistego. No więc jeśli miałem możliwość wyboru, wybierałem właśnie takie miejsca. No cóż, nie trzeba być specjalistą, żeby

się znać na moich wyborach, tak bardzo przewidywalnych. Kama się znała od zawsze, od czasu, jak jeszcze nie byliśmy parą, a tylko zaprzyjaźnionymi współpracownikami. Natomiast Dżesi nie miała zielonego pojęcia na temat tego, co lubię, i dlatego pójdzie do knajpy z piwami kraftowymi traktowała jak wyprawę do wioski ludożerców. Wolała ekskluzywne restauracje, w których podawano dania nie do jedzenia, a do degustacji. Ja natomiast, jeśli już miałem gdzieś iść, to chciałem z takiego biznesowego spotkania wycisnąć odrobinę przyjemności. Oczywiście pod warunkiem, że pamiętałam o miejscu i godzinie spotkania.

– Zamawiaj ubera. Za dziesięć minut będę gotowa – rzuciła Kama, wychodząc z pokoju.

Popatrzyłem w ślad za nią i uśmiechnąłem się do swoich myśli. Ona po prostu jest niesamowita. Za dziesięć minut będzie gotowa. Żadnego marudzenia, żadnego narzekania. Mówi, że za dziesięć minut, to znaczy, że zaraz wyjeżdżamy. Gdybym Dżesice powiedział, że niespodziewanie wychodzimy gdzieś za dziesięć minut, to najpierw by się obraziła, że nie wiedziała o niczym wcześniej, a gdyby udało mi się ją przeprosić, odpowiedziałaby, że może doprowadzi się do stanu wyjściowego za godzinę.

Tymczasem Kama nie musiała przesiadywać przed lustrem. Jest piękna zwyczajnie i w naturalny sposób. Jej wystarczy tylko lekko pomalować usta i coś tam zrobić kredką pod oczami, by wyglądać zjawiskowo. Nic więc dziwnego, że gdy jesteśmy w knajpie, siedzący obok faceci spoglądają na nią ukradkiem, a ja czuję dumę, że taka dziewczyna wybrała właśnie mnie, a nie któregoś z tych wymuskanych fircyków, odreagowujących i zalewających piwem korporacyjny stres.

Poznaliśmy się w dwa tysiące szesnastym roku, kiedy zatrudniłem się w nowej firmie. Wcześniej pracowałem w telewizji publicznej i miałem mocną pozycję reportera z dorobkiem. Specjalizowałem się w reportażach interwencyjnych i śledczych i miałem na swoim koncie kilka wyróżnień w konkursach reporterskich. Jednak gdy w telewizji publicznej nie można już było swobodnie oddychać, postanowiłem, że pora na zmiany. Zabrałem karton ze swoimi rzeczami i z Woronicza pojechałem na Wiertniczą. Pierwszego dnia pracy poznałem Kamę. Przydzielono mi ją jako researcherkę, którą miałem wszystkiego nauczyć i po jakimś czasie wydać opinię, czy się nadaje do roboty. Początkowo traktowałem ją z rezerwą

i niezbyt sympatycznie. Ale ona szybko udowodniła, że jest prawdziwym skarbem. Miesiąc później nie mogłem sobie wyobrazić pracy bez niej, bez jej celnych uwag, świetnych, inteligentnych wniosków i bez trafnej analizy rzeczywistości. Rozmawiając z nią o jakichś sprawach dotyczących realizowanych reportaży, miałem niekiedy wrażenie, że gadam ze sobą. Dopiero po jakimś czasie zauważyłem, że Kama myśli tak jak ja, że oboje postrzegamy rzeczywistość w podobny sposób, oceniając fakty rzetelnie, ale często patrząc na nie z przymrużeniem oka. No i szybko okazało się, że jesteśmy na siebie skazani. Ale dopiero po kilku latach nasze relacje z kumpelskich zmieniły się na znacznie bliższe. Od października ubiegłego roku mieszkamy ze sobą i muszę przyznać, że często zastanawiam się, jak to możliwe, że straciliśmy tyle czasu.

– Zamówiłeś ubera? – zapytała, wchodząc do pokoju. Ubrana była w jasne dżinsy, białe sneakersy i koszulkę z katastroficznym obrazem Beksińskiego. Długie ciemne włosy spięła w kitkę, a na głowę założyła czapkę z daszkiem. Wyglądała doskonale.

– Będzie za dwie minuty – potwierdziłem.

Za kwadrans powinniśmy być w knajpie, więc jest szansa, że uda nam się dojechać przed Wojtkiem.

Ustroń Godzina 17.40

– To tak, niech mi pani da chleb, jeden, i coś do chleba, najlepiej kiełbasę, ale żeby była pokrojona – wyjaśnił. Szczegół o krojonej kiełbasie był niezwykle istotny. – To znaczy, żeby w plasterkach i w paczce – uszczegółowił prośbę, widząc, jak sprzedawczyni bierze którąś kiełbasę z lady chłodniczej, tę, którą zamierzała zapewne specjalnie dla niego pokroić.

– Ta jest świeższa – wyjaśniła.

– Ale nie jest hermetycznie zamknięta – wyjaśnił.

Wolał tę w folii, bo wydawało mu się, że po otwarciu dłużej może leżeć w lodówce niż taka świeża, właśnie pokrojona. A on nie wiedział, kiedy tę kiełbasę zje. Na pewno nie da rady zjeść jej od razu. Był sam w domu, więc ograniczał aktywność do niezbędnego minimum. Robił wszystko, żeby się samoograniczać, a to polegało na jak najrzadszym

korzystaniu z przedmiotów, które mogłyby się pobrudzić i potem trzeba by je umyć. W tym akurat był prawdziwym mistrzem. Wszystko przez to, że Pilarski był człowiekiem praktycznym i oszczędnym. Dlatego kupował chleb już pokrojony. Taką kromkę wystarczyło wziąć do ręki, przykryć kilkoma plasterkami kiełbasy, które doskonale trzymały się bez masła. Masło było więc niepotrzebne. Problem picia też rozwiązał, pijąc ice tea z butelki. I w ten oto sposób po jedzeniu nie trzeba było sprzątać, wystarczyło zetrzeć okruszki i wyrzucić puste opakowania. Nie miał więc żadnej dodatkowej roboty w kuchni i mógł cały czas wolny poświęcić na oglądanie seriali popularnonaukowych. Najbardziej lubił te o starożytnych kosmitach. Miał ściągniętych kilka odcinków, więc wieczór zapowiadał się całkiem interesująco. Pomyślał, że można by go sobie urozmaicić piwem.

– Niech pani da jeszcze czteropak tyskiego – poprosił.

– I to wszystko? – zapytała sprzedawczyni.

– No, będzie wszystko – odparł ostrożnie.

Przez chwilę bił się z myślami, czy aby nie zrobić sobie święta i nie kupić paczki papierosów. Przestał co prawda palić pół roku temu, ale od czasu do czasu go ciągnęło. A w takiej sytuacji jak dziś, przy wolnej chacie, przy piwie i podczas oglądania filmu o tajemnicach azteckich piramid, zakurzyć byłoby całkiem miło. Już chciał poprosić o paczkę marlboro, gdy do sklepu wszedł aspirant Marczak. *Nie, nic z tego*, pomyślał Pilarski. Jak Marczak zobaczy papierosy, to nie da mu potem żyć i będzie się naśmiewał, że się złamał.

Znał Marczaka dość dobrze, bo właściwie można by powiedzieć, że od zawsze. Razem zaczęli służbę w policji w Katowicach, a potem obaj pojechali na kursy specjalistyczne do Piły. Marczak po skończeniu szkoły trafił do Ustronia, a przed rokiem udało mu się ściągnąć tu dawnego kumpla. To Marczakowi właśnie zawdzięczał przeprowadzkę w góry. Owszem, lubił swoje Siemianowice, ale Ustroń to był inny świat, tu oddychało się całkiem innym powietrzem. A poza tym jego żona była góralką i tęskniła za widokiem gór za oknem. Tam, w Siemianowicach, na góry mogła sobie popatrzeć co najwyżej z dachu jakiegoś wieżowca przy pięknej, słonecznej pogodzie. Więc gdy Pilarski dostał od Marczaka informację, że na posterunku w Ustroniu jest wakat, zaraz złożył podanie o przeniesienie. I okazało się, że już po miesiącu dostał zgodę. Zawdzięczał ją Marczakowi, który przekonał kierownika Jabłońskiego, że ten Pilarski, co napisał podanie, to dobry chłop i solidny gliniarz.

– O, Michał – zawołał na jego widok kolega. – Myślałem, że już do domu pojechałeś, a tu proszę, jeszcze zakupy se robisz.

Pilarski wzruszył ramionami, prawie złapany na gorącym uczynku.

– Wiesz, Lenka wyjechała z dziećmi, a ja sam... – zaczął się tłumaczyć.

– A czy ja nie wiem, że wyjechała? Dlatego właśnie rozglądałem się za tobą, bo chciałem ci powiedzieć, żebyś wieczorem wpadł do nas. Właśnie dzwoniła Ania i powiedziała, że mam cię siłą ściągnąć, jakbyś się opierał, bo ona dziś zrobiła na kolację placki po węgiersku i masz przyjść bez gadania.

Pilarski zapłacił kartą i zaczął chować zakupy do reklamówki. Nie odpowiedział od razu, bo musiał sprawę przemyśleć. Miał przecież piękny plan spędzenia wieczoru, a teraz wszystko mu się waliło. Widział już przecież oczyma wyobraźni te piramidy, które w pradawnych czasach wzniesli kosmici, a tu nie będzie żadnych kosmitów i piramid, tylko widok Czantorii z tarasu w domu Marczaka. Owszem, lubi ich, Ania jest bardzo miła i dobrze gotuje, Jaromir Marczak to kumpel od zawsze i przy sobocie należało z nim wypić piwo. Ale dlaczego akurat dzisiaj?

– Co, placek ci nie pasuje?

– Nie, co ty – obruszył się Pilarski. – Tyle że nie chciałbym wam robić kłopotu.

– Nie ma mowy. Od razu jedziemy do nas. Myślałem, że będę musiał cię szukać, to znaczy dzwonić do ciebie, żebyś przyjechał, a tu proszę, w sklepie cię znalazłem. O, i piwo kupiłeś, to ja jeszcze czteropaka dokupię i potem, po plackach, się napijemy i...

– Co ma być? – przerwała mu szczupła ekspedientka w wielkich okularach.

– Cztery tyskie w puszkach – zdecydował policjant.

Szybko zapłacił i wyszli na zewnątrz. Niebieska toyota stała przy krawężniku. Podeszli do auta. Marczak otworzył bagażnik, włożył swoje zakupy i reklamówkę kolegi.

– Podrzucimy twoja tasia ³ do ciebie? – zapytał Jaromir.

Pilarski machnął ręką.

– Nie, nic tam do dźwigania nie mam. Jakoś doniosę od ciebie ten nylonbojtel ⁴, zwłaszcza jak my to piwo wypijemy, to już tam nic nie będzie ciężkiego.

Wsiedli do samochodu.

Pilarski nie chciał robić kłopotu koledze z tym odwożeniem zakupów, bo rzeczywiście nie były ciężkie. Mieszkali od siebie dwie ulice, więc nawet po wypiciu czteropaka dojdzie bez trudu do domu.

Samochód ruszył powoli, omijając pieszych, którzy byli wszędzie. Ludzie o tej porze, najczęściej już po kolacji podawanej w domach wczasowych i sanatoriach dość wcześnie, wychodzili przewietrzyć się i spalić trochę kalorii i spacerowali po mieście.

– U mnie, w Siemianowicach, o tej porze każdy szedł do chaty oglądać telewizję – przypomniał sobie Michał.

– Tu jest inny świat – stwierdził zadowolony Jaromir.

Jest stąd. Urodził się w Ustroniu i tu zamierzał spędzić resztę życia, bo nie wyobrażał sobie, że mógłby być gdziekolwiek indziej. Nie mógł też zrozumieć, czemu ten jego kolega, który trafił do najpiękniejszego zakątka na ziemi, ciągle porównuje Ustron z tymi Siemianowicami. Jaromir był tam kilka razy, owszem, i odniósł wrażenie, że nic tam nie ma oprócz wielkich bloków. Jedyne, co ciekawego można tam zobaczyć, to ośrodek telewizji z telewizyjną wieżą na Bytkowie. Tyle że nie wiadomo w sumie, czy ta telewizja jest jeszcze w Katowicach, czy już w Siemianowicach, postawiono ją dokładnie na granicy obu miast.

– Widzisz, tu się żyje spokojniej i bez nerwów – mówił dalej lokalny patriota. – I ludzie chyba jacyś inni, bo wszystkich tu znasz i o każdym wiadomo, co to za człowiek. Dlatego bardziej się do siebie uśmiechamy na co dzień.

– Niby masz rację – zgodził się z kolegą Pilarski. – Ale ruch tu jak w Katowicach.

– No, co poradzisz. Jak się w kurorcie mieszka, to tylko się cieszyć, że ludzie chcą do nas przyjeżdżać i pieniądze zostawiają. Niech przyjeżdżają.

– Byle tylko się tu nie gubili.

– Jak to gubili? Ktoś się zgubił?

– No ta dziewczyna, to znaczy zakonnica, co ten ksiądz zgłaszał u ciebie. Byłem tam dziś pogadać o niej, ale na szczęście się znalazła.

– Byłeś w Dziegielowie? – zdumiony Marczak spojrzął na kolegę, jednak zaraz wrócił do obserwowania ulicy, po której piesi chodzili jak po deptaku.

– No wiesz, Okrasa mnie prosił, żeby tam wpaść...

– A, rozumiem. I co, powiedzieli ci, że już się znalazła?

– No tak. Już po sprawie. Ja do dziś nie wiedziałem, że taki zakon, jakiś betański, to w ogóle istnieje. I to jeszcze niekatolicki.

– Katolicki to był dawno temu. Ale siostry się zbiesiły i odeszły. Nie słyszałeś?

– Nie. Ja się takimi sprawami nie bardzo interesuję – stwierdził Pilarski, któremu rzeczywiście daleko było do Kościoła.

– To była słynna afera, ale nie u nas, tylko w Kazimierzu nad Wisłą. Tam doszło do jakiegoś konfliktu z kurią czy coś. Nie pamiętam, ale ten ksiądz, co się nazywał Nataniel, chyba te siostry bałamucił i przeciągnął na swoją stronę, i kuria chciała je wyrzucić z klasztoru, i w końcu dopięła swego. Część sióstr wyrzucono, część wcielono do innych zakonów i tyle. Ale pięć lat temu okazało się, że te siostry, tyle że już niekatolickie, tylko samodzielne, z własnym zakonem, kupiły sobie tutaj zrujnowany pensjonat, odbudowały go migiem i tak sobie tu siedzą.

– Coś takiego – zdumiony Pilarski podrapał się po głowie, jakby rozważał jakiś problem, który był zbyt trudny do natychmiastowego ogarnięcia.

– A ten ksiądz to co? – zapytał jeszcze.

– Ksiądz? Ksiądz to nic. Jest i tyle.

– A, raczej taki w porządku – przypomniał sobie uśmiechniętą twarz księdza Wojdy. – Takie mam wrażenie, że to raczej sympatyczny gość. Poczęstował mnie obiadem.

– Strzeż się Greków, nawet jak przynoszą dary, mówili starożytni Rzymianie – rzucił Jaromir, szczerząc w uśmiechu zęby, po czym wyłączył silnik.

Byli na miejscu, na podjeździe szeregowca wybudowanego w ubiegłym roku, którego białe ściany nie zdążyły jeszcze pokryć się śląską szarą patyną, tak jak wszystkie budowle. A podobno powietrze na Śląsku nigdy nie było takie czyste jak teraz.

O co mu chodzi z tymi Grekami?, zastanawiał się Pilarski, wysiadając z auta. Pewnie Michałowi coś się dziwnie skojarzyło z Grecją, bo w zeszłe wakacje był z rodziną na Krecie. Tak, na pewno chodzi o to, bo przecież nie ostrzegałby go przed Grekami tu, w Beskidzie, gdzie żadnego Greka nie uświadczysz.

Pensjonat Źródółko znalazła bez trudu. W budynku na parterze mieściła się kawiarnia z ogródkiem. Parasole reklamowały lokalny browar w Cieszynie i miejscową specjalność, czyli piwo brackie. Matylda nie była miłośniczką piwa, więc reklama nie wywołała u niej pragnienia. Usiadła na zewnątrz pod parasolem, choć nie było potrzeby chronienia się przed słońcem, które zdążyło już schować się za koronami drzew, oddzielających gęstą ścianą teren hotelowy od sąsiednich posesji. Chwilę później wyszła kelnerka, krótko ostrzyżona blondynka z kółkiem wbitym w nos. Na widok tej ozdoby Matyldę przeszył dreszcz, bo natychmiast wyobraziła sobie, że to jej ktoś próbuje przebić nos. *Po co się ludzie tak oszpecają*, zdążyła pomyśleć, gdy przekonała się, że można jeszcze bardziej. Kelnerka uśmiechnęła się i zapytała, co podać. Matylda nie odpowiedziała od razu, wpatrzona w kolczyk, który przebijał język dziewczyny. Przymknęła oczy, żeby nie musieć patrzeć na ten straszny obraz, przywodzący na myśl średniowieczne tortury. Nie lubiła bólu i nie miała w sobie absolutnie nic z masochistki, ale jako osoba pełna empatii każdy ból potrafiła sobie wyobrazić i przeżyć go wraz z pokrzywdzoną osobą. Tyle że dziewczyna stojąca przed starszą panią nie czuła się pokrzywdzona. Wręcz przeciwnie, sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej ze wszystkiego.

– Poproszę kawę z ekspresu i koniak. Macie koniak?

– No. Jest koniak.

– A jaki? – zapytała podejrzliwie Matylda, wiedząc dobrze, że w tych uzdrowiskowych miejscowościach rolę koniaku najczęściej odgrywają najtańsze wynalazki z lidla. Takich trunków nie brała do ust.

– Jest martell i hennessy – oświadczyła kelnerka.

Matylda zrobiła wielkie oczy. Zapomniała o dziurawym języku dziewczyny i uśmiechnęła się promiennie.

– Daj mi dużego martella, dziecko.

– Setkę?

– Tak właśnie! – potwierdziła zdumiona. Czyżby w tej knajpie czas się zatrzymał i nalewają alkohol jak za dawnych dobrych czasów, odmierzając pięćdziesiątkami?

– To nie lejecie czterdziestek? – spytała na wszelki wypadek.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Szef mówi, że koniak leje się na pięćdziesiątki – oznajmiła, jakby to było coś oczywistego. – Bo inaczej dwie czterdziestki nie dochodzą do zakrzywienia w dużym kieliszku i wygląda, jakby było niedolane.

Matylda z uznaniem pokiwała głową. Wreszcie trafiła na miejsce, w którym rozumiano najprostsze rzeczy dotyczące podawania koniaku. Żeby tak się stało, musiała przejechać pół Polski.

Idąc tu trasą wytyczoną przez mapę w telefonie, zaszła na chwilę nad Wisłę, by zanurzyć nogi w zimnej górskiej rzeczce, która u niej w Warszawie wygląda całkiem inaczej. Siedząc tam, zastanawiała się, co właściwie powinna była zrobić w sprawie zaginionej Magdy. Nie miała jeszcze żadnych danych dotyczących tej kobiety, nie mówiąc o tym, że nie wiedziała nawet, jak ona wygląda. Jej wiedza ograniczała się tylko do faktu zaginięcia, a to nie była podstawa do budowania jakiegokolwiek hipotezy. Co prawda Matylda została zaanonsowana w pensjonacie telefonicznie przez Marcina jako krewna tej Magdy, co mogło w jakiś sposób ułatwić wstępne przełamanie lodów, ale dane uzyskane w ten sposób niewiele w tym momencie pomogą. Potrzebowała więc czegoś konkretnego, czyli zdjęcia Magdy.

Tak, od tego trzeba zacząć. Jeśli ma rozpocząć poszukiwania, musi wiedzieć, o kogo ma rozpytywać ludzi. Wydobyła telefon i napisała do Marcina:

Potrzebny mi jest portret pani Magdy.

Marcin odpisał natychmiast:

Nie mam żadnej jej fotki.

Tak jak przypuszczała, sprawa była beznadziejna. No ale przecież kiedyś była specjalistką od takich właśnie spraw.

Przyszła kolejna wiadomość.

Napisałem do Dżesi. Powinna coś przesłać. Ona robi zdjęcia przy każdej okazji, więc jest szansa.

Uśmiechnęła się na wspomnienie byłej dziewczyny Marcina. Nigdy nie mogła zrozumieć, co on w niej widział. Owszem, była ładna i zgrabna. Ale ile można wytrzymać z kimś, kto nie ma nic do powiedzenia? Kiedyś, na samym początku, chyba podczas pierwszego spotkania, próbowała wypytać ją o jej poglądy i wtedy właśnie stwierdziła, że rozmowa z tą dziewczyną jest kompletną stratą czasu. Zapytała ją wtedy, do której partii

politycznej jest jej najbliższej, na co Dżesi odparła, że jej polityka nie interesuje, bo odciąga uwagę od prawdziwych problemów tego świata, czyli walki o Ziemię.

– Chcesz walczyć o ziemię? – zapytała zdumiona Matyllda. – Chcesz mieć gospodarstwo rolne?

– Nie – Dżesi roześmiała się głośno. – Nie jestem przecież jakąś rolniczką. Nawet nie mogłabym być w tym programie, co rolnik szuka żony, boby mnie jeszcze jakiś wybrał i co bym miała zrobić? Przecież ja nawet nie umiem wydoić krowy.

– No to po co chcesz walczyć o ziemię?

– Ja wcale nie chcę walczyć, ja walczę cały czas.

– Jak?

– Podpisałam petycję w sprawie niedźwiadków panda. To te takie czarne puchatki z białymi plamkami. One umierają na drzewach, bo nie mają do jedzenia liści eukaliptusa. To znaczy, coraz mniej jest tych liści, a te pandy to żrą, tylko te liście, i nic innego im nie smakuje. No a te liście przerabia się na olejek eukaliptusowy, dodawany później do zapachów łazienkowych i kostek do kibelka. Gdybyśmy nie używali olejków eukaliptusowych, toby te miśki nie umierały. Dlatego nie jem wcale cukierków eukaliptusowych.

– Czyli walczysz w ten sposób, że podpisałaś petycję i nie jesz cukierków?

– No właśnie. To jest tak, że trzeba zrobić coś niewielkiego, a im więcej ludzi zrobi coś niewielkiego, tym tych niewielkich rzeczy będzie tak wiele, że rozejdą się po świecie jak burza. To jest jak trzepot skrzydeł motyla, który porusza powietrze, a ono porusza drugie powietrze, one się łączą i wreszcie z tego jest wiaterek, potem wiatr i burza, która robi wichury, co powodują ogromną katastrofę, tsunami i globalne ocieplenie. Wszystko się ze sobą wiąże. Żyjemy w świecie, w którym jeden dobry uczynek może wywołać tsunami dobra.

Matyllda nie drażyła tematu, przygnieciona ciężarem argumentów Dżesiki. Wobec takiego tsunami argumentów czuła się całkowicie bezradna. Pokiwała tylko głową, spoglądając ze smutkiem na Marcina. Na nim jednak trzepot skrzydeł motyla nie zrobił specjalnego wrażenia. Przez chwilę wydawało jej się, że wcale nie słucha tego, co ona mówi, ale zadowolony patrzy na jej usta i połyskujące pastą Zembix white śnieżnobiałe zęby.

Telefon zadzgrał. Przyszła kolejna informacja. Tym razem autorką była Dżesika.

Ale super, że babcia się zajmie poszukiwaniem cioci Magdy 😊 , bo to znaczy, że Magda się znajdzie 😊 😊 😊 Mam jej fotki na telefonie, to wysyłam kilka, żeby można było ją zidentyfikować. Buziaczki przesyłam 😊 😊 😊

Zaraz zaczęły przychodzić zdjęcia. Dżesika wysłała nieco ponad pięćdziesiąt. Wszystkie zrobione podczas jednego spotkania w jakimś mieszkaniu. Po wyglądzie mebli, dość starych i solidnych, Matylda domyśliła się, że to musi być fotorelacja ze spotkania w mieszkaniu Magdy. Na zdjęciach pojawiały się trzy twarze w różnych konfiguracjach. Dżeska uśmiechnięta, zamyślona, z dzióbkiem, z językiem, z zębami, a przy niej pojedynczo lub w parze Marcin i ciotka Magda.

Matylda przejrzała wszystkie, większość od razu skasowała. W końcu udało się jej wybrać dwa zdjęcia, na których ciotka Magda była jako tako widoczna.

Miała już jakiś punkt zaczepienia.

– A kawa miała być czarna? – wyrwał ją z zamyślenia głos kelnerki.

Być może dziewczyna przez ten kolczyk lekko sepleni. A może odwrotnie, wrodzonej wady wymowy nie można przypisać kulce na końcu tej idiotycznej ozdoby.

– Oczywiście, że czarna – potwierdziła Matylda.

– Tak tylko pytam dla porządku, żeby nie było, że coś pokręciłam.

– I słusznie robisz, moje dziecko – pochwaliła ją. – Kto pyta, nie błądzi.

– Nasz szef mówi, że do koniaku tylko czarna, bez żadnego cukru czy śmietanki. Bo te dwa smaki się uzupełniają.

– Jeszcze musi być do tego papieros – Matylda wskazała na camele, które przed chwilą położyła na stoliku. – Widzę, że twój szef zna się na tym, co dobre.

– No tak. On na temat koniaku to może gadać godzinami. A do tego pali jeszcze cygara – wyjaśniła, uśmiechając się. – Ale ja wolę zwykłe cygarety.

– Zapalisz?

Kelnerka rozejrzała się wokół. Oprócz dziewczyny i chłopaka popijających piwo przy sąsiednim stoliku nie było nikogo. Mogła sobie zrobić chwilę przerwy. Wyciągnęła więc z podanej paczki papierosa i sama sięgnęła po zapalniczkę, by kulturalnie przypalić najpierw Matyldzie, a potem sobie.

– Siadaj, dziecko – zaprosiła ją Matylda.

Dziewczyna usiadła, najwyraźniej zadowolona. Z lubością zaciągnęła się aromatycznym dymem.

– Jak ci na imię?

– Zosia.

– Pracujesz tu na stałe? – zapytała Matylda.

– Nie, to tylko na wakacje. Normalnie to się uczę w Katowicach. A tu trzy miesiące porobię i z powrotem na studia.

– Przyjemne miejsce na pracę w wakacje.

– No tak, jestem w górach na wakacjach, a do tego jeszcze zarabiam. Tyle że nudno tu. Nic się nie dzieje.

– Niby nic, ale moja kuzynka, co tu niedawno przyjechała, chyba tak zabalowała, że nie mogę jej znaleźć.

– Może kogoś poznała? – zasugerowała Zosia. – A jak się pozna jakiegoś fajnego gościa, to można popłynąć.

– Ona nie z tych balujących – stwierdziła Matylda. – Zobacz, to ona. Widziałas ją tutaj? Mieszkała w waszym pensjonacie.

Zosia przez chwilę wpatrywała się w ekran telefonu.

– Do nas gwiazdy nie przyjeżdżają. Jakbym ją zobaczyła, od razu bym ją poznała. Ta reklama pasty to ze dwa lata leciała codziennie do wyrzygu.

– Nie o tę od pasty chodzi, tylko o tę drugą. Zobacz jeszcze raz.

Popatrzyła, marszcząc przy tym brwi.

– A, ta babcia, ją pamiętam. Była u nas, ale w kawiarni to tylko raz. Wypiła kawę i nie dała napiwku.

– Czyli kiepska klientka.

Zosia zaciągnęła się dymem i wypuściła go nosem.

– Na szczęście ksiądz nie był taki skąpy.

– Ksiądz?

– No tak, siedziała z takim księdzem, młodym i przystojnym, że sobie pomyślałam, że go szkoda na księdza. A on zapłacił za swoją kawę i dał piątkę na górkę. Ale ksiądz to wiadomo, ma z czego rzucić groszem.

Spojrzała w kierunku drzwi do kawiarni. Stanął w nich niewysoki pięćdziesięciolatek o okrągłej twarzy i łysiejącym czole. Zosia natychmiast zgasiła papierosa i poderwała się z krzesła.

– Muszę spadać. Dziękuję za cygareta – rzuciła pośpiesznie i poszła do drugiego stolika zabrać puste pokale, pozostawione przez parę, która wypła piwo i zdążyła już wyjść z ogródka.

Matylda sięgnęła po kieliszek. Zadowolona, pottrzymała go chwilę w dłoni, by koniak podgrzać od spodu, po czym przybliżyła szkło do nosa. Poczła lekki aromat migdałów. To rzeczywiście pierwszorzędny martell, żadna podróba z marketu.

Rozdział III

Niedziela, 11 czerwca

Godzina 8.05

Obudziłem się dziwnie wyspany i zadowolony. Miałem dobre samopoczucie od rana i chyba wynikało to z nastawienia do życia, bo pierwsze, co do mnie dotarło po przebudzeniu, to fakt, że dziś jest niedziela i nie muszę się nigdzie spieszyć. Miałem dzień wolny, a po wolnej niedzieli miał nastąpić wolny poniedziałek, a po nim dwa tygodnie urlopu, dwa tygodnie kompletnego nicnierobienia w pięknej nadmorskiej miejscowości o silnie nacechowanej maczyzmem nazwie Chłopy. Mieliśmy tam jechać i napawać się radością bycia nad morzem, jeść ryby z frytkami, zagryzać jagodziankami lub goframi i przede wszystkim odpoczywać. Długoterminowa prognoza pogody zapowiadała upały do końca czerwca, więc była szansa, że wolnego czasu nie spędzimy w domu, grając w karty przez całe dni. Zresztą nawet jeśli nad Bałtykiem zaskoczyłoby nas zimne deszczowe lato, to i tak byśmy dali radę. Z Kamą przecież nie sposób się nudzić. Moja dziewczyna jest doskonała we wszystkim, co robi, zna się na polityce, na modzie, lubi – tak jak ja – filmy wojenne i razem ze mną czyta powieści kryminalne, pod warunkiem że uda nam się trafić na coś dobrego, bo z tym ostatnio jest pewien problem. Niedawno gdzieś przeczytałem, że tylko w zeszłym roku ukazało się prawie czterysta polskich kryminałów. I w jaki sposób wybrać te najlepsze? Kama mówi, że trzeba czytać to, co przechodzi do finału literackich konkursów kryminalnych, bo te najgorsze przeczytali i odrzucili jurorzy. No to skoro oni się już pomęczyli z kiepską literaturą, to za jakie grzechy jeszcze my mamy to robić? I jak tu się z nią nie zgodzić? No, właściwie można powiedzieć, że moja dziewczyna jest chodzącym ideałem. Ma jednak pewne wady i to z mojego punktu widzenia całkiem poważne. Otóż wyobraźcie sobie, że regularnie ogrywa mnie w rozmaite gry, nic nie robiąc sobie z tego, że w scrabble jestem przecież mistrzem. No i jakoś muszę z tym żyć, choć w te wakacje zamierzam złoić jej skórę i rozłożyć na łopatki.

Wczoraj ujawniła jeszcze jedną wadę, choć nigdy bym Kamy o nią nie podejrzewał. Wykazała się bowiem niezrozumieniem i brakiem tolerancji, podczas gdy ja niczym nie zawiniłem. No ale tak to jest z kobietami, że potrafią człowieka załatwić w chwili, w której najmniej się tego spodziewa. Tak właśnie było wczoraj w tym pubie na Starówce, gdzie podawano dobre kraftowe piwa i gdzie wieczór płynął nam leniwie i sympatycznie przy dźwiękach klasyki rocka, płynącej z knajpianych głośników. Do czasu jednak.

Piliśmy po drugim piwie i właśnie zastanawiałem się nad wyborem trzeciego nieoczywistego smaku. Kama myślała o tym, by coś przekąsić, a Wojtek... Wojtka jeszcze nie było.

– Chcesz wziąć coś konkretnego? – spytałem, gdy rzuciła, że chce jej się jeść.

– Sama nie wiem. Na jedzenie jest chyba trochę za późno. Może tylko jakieś orzeszki albo nie, może jednak tosta z serem i szynką.

– To już konkret – stwierdziłem i od razu poczułem, że właściwie to i mnie chce się jeść. Same orzeszki na zagrychę jednak nie wystarczą. Więc może Kama ma rację z tymi tostami.

– Ale tosty są kaloryczne – rzuciła argumentem, który w jej ocenie musiał być ważki, ale nie na tyle, by nie dało się go zbić.

– Kochanie, twojej doskonałej sylwetce jeden tost nie zaszkodzi.

– Dwa tosty. Do jednego nawet bym nie siadła – Kama wzruszyła ramionami, jakby to była całkowicie oczywista oczywistość.

– No dobra, to ja idę po piwo i tosty. Ja biorę dla siebie to pszeniczne. To jakaś nowość, więc spróbuję, póki jeszcze rozróżniam smaki – zażartowałem, a ona pokiwała głową, najwyraźniej się ze mną zgadzając.

– O, jesteście! – usłyszałem za sobą głos Wojtka.

Jak zawsze czuć było, że jest zadowolony z siebie, choć przecież spóźnił się, bagatela, prawie dwie godziny. Co prawda słał esemesy z informacjami znad lub spod stołu negocyjnego i wiedzieliśmy na bieżąco, że pracuje, a nie olewa nas, ale i tak spóźnienie zaliczyć można było do dość poważnych.

Wojtek jak zwykle spróbował tuszować niezręczność ekspresyjnym zachowaniem i gadką szmatką.

– Cześć, kochani, nie gniewajcie się, ale wiecie, sprawa poważna – pochylił się nad Kamą i ucałował ją w oba policzki. Mnie na szczęście nie pocałował, tylko przybił piątkę. – Ten gość to jakiś energetyczny wampir,

mówię wam, dobrze, że nie uczestniczyliście w tych negocjacjach. Facet liczy każdą złotówkę, a chce, żeby mu zrobić oscarowe trzydzieści sekund. Przy czym oczywiście nie zna się na reklamie, bo to jego pierwszy film na antenę ogólnopolską. Gość robił dotąd gruzliczanek z kranu na lokalny rynek. Ale w czasie pandemii udało mu się sprzedać jakieś sto razy więcej dzięki temu, że jego tani towar kupiła któraś z sieci osiedlowych marketów. Zwiększył produkcję i naraz okazało się, że ten lokalny producent wszedł do pierwszej ligi. No więc ma kasę i chce być w wodnej ekstraklasie, i dlatego potrzebna mu jest dobra reklama. W związku z tym się spotkaliśmy. Marcin – usłyszałem – weź dla mnie jakieś piwo i zamów dużą pizzę dla nas wszystkich albo dwie. Sam wybierz, jestem głodny jak cholera. Co, kochani, zjemy coś?

– Chcieliśmy właśnie zamówić tosty – próbowała jeszcze walczyć z kalorycznym armagedonem Kama, chociaż oczy jej się do pizzy zaświeciły.

Zresztą mnie również. No dobra, niech będzie pizza, niech będą wieczorne kalorie, skoro jemy i pijemy akonto nowej, pięknej reklamy za – mam nadzieję – dobre pieniądze.

Zaraz, ale wypada jeszcze dorzucić kilka słów o naszym kompanie. Oto Wojtek, wysoki i szczupły gość o sylwetce koszykarza, kiedyś grał w basket, ale coś mu się stało z kolanem i jego dobrze zapowiadająca się kariera legła w gruzach. Nie został więc sportowcem, ale zajął się tym, co lubi, czyli sportem w telewizji. Jest niezłym dziennikarzem sportowym, komentującym na antenie nie tylko mecze koszykówki, lecz także piłkę nożną. No i oprócz tego ma firmę producencką, przez którą przepuszcza fuchy reklamowe. Od samego początku zatrudnia mnie w niej jako człowieka od tekstów i wymyślania scenariuszy. W tym podobno jestem dobry, z kolei Wojtkowi świetnie idzie gadanie na ekranie. Ale poza ekranem też jest gadułą. Gdy wpada w słowotok, wtedy jego rozmówca jest na straconej pozycji.

– Dobra, idę do baru zamówić.

Nie musiałem pytać, na co mają ochotę. Kama zawsze je margheritę, a Wojtek pepperoni. Mnie było wszystko jedno, więc mogłem jeść i taką, i taką. Gdy pięć minut później wróciłem do stołu, ze zdziwieniem dostrzegłem, że atmosfera zdecydowanie się zmieniła. Kama siedziała naburmuszona, a Wojtek oglądał swoje paznokcie. Chyba coś zaszło. Zaraz, Kama obrażona? Przecież to nie w jej stylu. Ta dziewczyna potrafi

przełknąć wszystko i być ponad jakieś głupie uwagi czy zaczepki słowne. A Wojtek nie należy do ludzi upierdliwych i obrażających innych. To znaczy, że chlapnął jakieś głupstwo, a ona zareagowała jak jeź, strosząc wszystkie kolce.

– Co się z wami stało? – rzuciłem wesołym, niefrasobliwym tonem.

– Zapytaj tego cymbała – rzuciła Kama, odwracając się demonstracyjnie do okna.

– Ty weź jej przetłumacz, że co ja mogę. To jest biznes, a nie osobiste gierki. Jak się będzie dąsać, to robotę weźmie ktoś inny. Przecież nie mogę odmówić gościowi, który chce u nas zostawić pół bańki, nie?

– Pół bańki? – wołałem się upewnić, bo wielkie pieniądze robią na mnie wielkie wrażenie.

– No tak, to wychodzi na ciebie i Kamę jakieś siedemdziesiąt tysięcy. Chcecie olać taką kasę, bo jej się nie podoba...

– Powiedz mu, za co jest te siedemdziesiąt patyków – rzuciła Kama.

– Mam odegrać scenę erotyczną, na golasa śpiewając piosenkę Michaela Jacksona? – wyskoczyłem jak filip z konopi.

– Nie, to nie chodzi o ciebie – syknęła Kama.

– A o kogo?

– No wiesz, ten gość, co nam zleca reklamę – zaczął ostrożnie Wojtek – on chce nas, bo dowiedział się z rynku, kto robił Zembixa – przerwał na chwilę, sięgnął po kufel z piwem i pociągnął solidny łyk.

Nagle poczułem falę gorąca, a zaraz potem zrobiło mi się zimno. Już wiedziałem, o co chodzi, ale wołałem się upewnić.

Jednakże mina Kamy mówiła sama za siebie.

– To nie może być prawda – jęknąłem.

Wojtek pokiwał głową.

– On powiedział, że Dżesi jest najpiękniejszą modelką świata, że on chce mieć reklamę właśnie z nią. I ta reklama ma być piękna jak ta pasty.

– Przecież to nierealne – rzuciłem, a Kama spojrzała na mnie z dziwnym błyskiem w oku. Widziałem, że będzie walczyć do upadłego.

– Zaproponuj mu każdą inną – poddałem myśl cokolwiek bez sensu.

– Nic z tego. Facet nie chce nikogo innego. Powiedziałem, że zrobimy casting i znajdziemy mu świeżą gwiazdę, ale on się uparł. Mówi, że Dżesi jest świetna, i dlatego w ogóle chce robić ten film, bo wyobraził sobie, jak ona siedzi nad górskim strumieniem, pije wodę z butelki, mówi, że woda jest świetna, uśmiecha się i pokazuje zęby...

– Jak ona powie coś podczas picia, to się zakrztusi – powiedziałem, żeby od razu wrzucić merytoryczną wątpliwość.

– Może się utopi – dodała zjadliwie Kama. – Miałbyś ją z głowy i mieszkanie byś odzyskał.

– Spokojnie, odzyskam już po wakacjach.

– Chodzi o to, żeby woda ściekała jej po brodzie i po szyi – wyjaśnił Wojtek producent.

– I spływała na cycki – rzuciła moja dziewczyna, a ja wyobraziłem sobie piersi mojej byłej dziewczyny. Mokra koszula na lekko odsłoniętych piersiach, to mogło zrobić wrażenie na męskiej części odbiorców reklamy.

– To ile, mówisz, jest dla nas? – postanowiłem skierować tę rozmowę na znacznie przyjemniejsze tory.

– No, tak jak mówiłem, siedemdziesiąt tysięcy będzie w kosztorysie dla was. No, powiedzmy: osiemdziesiąt, jak dobrze to wszystko podliczyć, bo odejdą nam koszty castingu – zaczął wyjaśniać Wojtek.

Od razu poczuł się raźniej, wkraczając na twardszy grunt. Ja też zacząłem liczyć i wyszło mi, że da się z niego coś jeszcze wycisnąć, skoro lekką ręką dorzucił dziesięć tysięcy. Tylko że w tej chwili najważniejsze to przekonać Kamę. Tylko jak?

– Wiesz, jaka jest Dżesi, i że na razie to wszystko pisane patykiem na wodzie. Ona wcale nie musi chcieć. Musisz mieć poważne argumenty, żeby ją przekonać – powiedziałem, jakbym cały czas szukał wymówki, żeby tego nie robić. Ale moje opory nadspodziewanie, nawet dla mnie samego, przełamał wątek finansowy. Skoro tyle czasu przemęczyłem się z Dżesiką pod jednym dachem, to wytrzymam z nią kilka dni na planie zdjęciowym. Oczywiście, jeśli ona się zgodzi.

– Dżesi się zgodzi – oświadczył Wojtek z pełnym przekonaniem.

– Rozmawiałeś z nią? – zapytałem.

– Ja nie, to twoja robota.

– Jak mam ją przekonać? – potrzebowałem konkretnego argumentu, ale on o tym wiedział doskonale.

– Zleceniodawca kazał zapisać w umowie jej honorarium. Powiedz jej, że płaci jej sto tysięcy.

– O-ja-pier-do-lę – wystękałem.

– No i jeszcze dodatkowo na organizację produkcji dla Kamy mogę dorzucić dwadzieścia patyków, więc dla was będzie też równe sto. No co, szafa gra? – spojrzał na mnie, a potem na Kamę.

Cały czas była wściekła, ale dostrzegłem, że napięcie z jej twarzy zniknęło. W końcu poważna argumentacja finansowa na każdym potrafi wywrzeć wrażenie. Bylibyśmy nieprofesjonalni, gdybyśmy swoje fobie przynosili na pracę. Chciałem jej tak powiedzieć, ale na szczęście nie zdążyłem.

Kelnerka przyniosła dwie pizze i w milczeniu, głodni i zdenerwowani, zabraliśmy się do jedzenia.

– To znaczy, że jedziemy w góry zamiast nad morze – powiedziała Kama, unosząc się na ramieniu i wyrывая mnie z porannego, niedzielного zamyślenia.

Kołdra odsunęła się, odsłaniając jej piękną i kształtną pierś. Poczulem natychmiast, że w okolicach brzucha robi mi się ciepło. Dotknąłem jej nagiego ramienia, a ona przysunęła się do mnie, obejmując ręką moją szyję.

– Nad morze pojedziemy później – rzuciłem obojętnym tonem. Morze wcale mnie w tej chwili nie interesowało. O wiele ciekawsze były krągłości i zakamarki jej ciała, które zamierzałam dokładnie zbadać.

Pocałowała mnie w ucho i szepnęła:

– Jedziemy w góry z Zembi. Będzie zajebicie, yhm – jęknęła, a ja poczułem nie wiedzieć czemu, że to jęknięcie miało być parodią jęczącej Dżesi.

Na szczęście nie jestem taki głupi, żeby powiedzieć Kamie, że Dżesika w łóżku jęczy zupełnie inaczej. Wystarczy, że tak żenująco pomyślałem.

Ustroń Godzina 8.30

Aspirant Pilarski wstał już o siódmej, ubrał się w strój kolarski, założył kask w odblaskowym pomarańczowym kolorze i wyprowadził rower z garażu. Pogoda była idealna do jazdy. Wskoczył na siodełko i popedałował w kierunku Dzięgielowa. Zadowolony, wystawiał twarz na podmuchy lekkiego wiatru i promienie słoneczne, które oświetlały malowniczo stok Czantorii Wielkiej, góry, dzięki której Ustroń ma się do czego przytulić, rozkładając się wzdłuż wiślanych brzegów.

Z czasem kurort zaczął się wspinać na zbocze, wcinając się coraz mocniej swoją murowaną tkanką w leśny gąszcz. Na szczęście miejska substancja nie była samodzielny bytem, rozrastającym się, gdzie popadnie. Organizm ten był od wielu lat pod ścisłą kontrolą, która ograniczała możliwości wciskania w las kolejnych zabudowań. Dlatego zbocza Wielkiej Czantorii i okolicznych szczytów zachowały w dużej mierze swój leśny wygląd, ciesząc oczy przyjezdnych.

Michał Pilarski nie był koneserem górskich widoków. Lubił rzucić okiem, popatrzeć przez chwilę, zachwycić się nawet, ale żeby przykładać do tego jakąś większą wagę, to już niekoniecznie. Widok jak widok, nie do zachwyków, ale do informowania ludzi o swojej zawartości. Las jest dla zwierząt i turystów, domy dla ludzi, urzędy dla urzędników, a niebo dla... Tego ostatecznie nie był pewny, co w tym niebie jest takiego, że ludzie w nie patrzą z nadzieją i wznoszą modły, oczekując pomocy. On się nie modlił, bo niczego nie potrzebował. Miał wszystko, czego człowiekowi potrzeba: dom, rodzinę, pracę, piwo od czasu do czasu i seriale o kosmitach. Czego może człowiek więcej chcieć od życia?

Dlatego jeśli spoglądał od czasu do czasu w niebo, robił to z nadzieją, że wypatrzy tam przez przypadek statek kosmiczny obcych, którzy wrócą tu, by opowiedzieć ludzkości o tym, kto stworzył rodzaj ludzki, dał rozum i kazał czynić dobro. Ale na razie nie udało mu się niczego wypatrzeć, choć cały czas miał nadzieję, że kiedyś w końcu odniesie sukces na polu obserwacji i nawiąże bliski kontakt trzeciego stopnia z obcymi. Na razie jednak pozostawała mu do bliskich spotkań trzeciego stopnia, niekoniecznie z ufoludkami, okolica usiana polami, domami i lasami porastającymi zbocze Czantorii. Wjechał na bitą drogę wiodącą do klasztornych zabudowań. Chciał się przyjrzeć tym budynkom od tyłu, czyli ze strony niewidocznej od głównej drogi. Skraj lasu wydał mu się szczególnie dogodnym miejscem obserwacji. Jednak żeby tam dojść, musiał się wspiąć kilka metrów w górę po kamienistym zboczu, więc trzeba było zostawić rower na dole. Gdyby go tu zostawił i poszedł dalej, mógłby mu go ktoś rąbnąć. A nie po to jeździł do Bielska do sklepu rowerowego i kupił górala za ładną sumkę, żeby mu jakiś spryciarz fajny rower ukradł. Dlatego zatrzymał się na skraju drogi, wziął górala na ramię i tak obciążony poszedł, przeskakując z kamienia na kamień, aż do samego lasu. Po chwili dotarł do pierwszych drzew i zatrzymał się zdyszany. Dopiero teraz zauważył, że wystarczyło pojechać jakieś dwadzieścia metrów dalej

i stamtąd skrócić na wydeptaną ścieżkę, wiodącą do drzew, i oszczędzić sobie niepotrzebnej wspinaczki. Przynajmniej będzie mógł tą dróżką wygodnie zjechać.

Postawił rower przy drzewie. *Las jak las*, pomyślał, obrzucając niewielkie chojaki krytycznym spojrzeniem. Dopiero za nimi zaczynały się bardziej solidne świerki. Ruszył powoli w głąb. Drzewa rosły tu dość luźno, więc można było między nimi swobodnie spacerować, a nawet biegać. Tym bardziej że niżej nie było żadnych krzaków. Za to na ściółce zasypanej suchym igliwem wałało się sporo śmieci, plastikowych butelek, kartoników, worków foliowych i zużytych podpasek. Normalnie turystyczny kibel, ocenił. Drzewa blisko drogi były idealnym miejscem, żeby się wysikać, a przy okazji wyrzucić śmieci z plecaka. Nic dziwnego, że spacerowicze korzystali z tego miejsca bez skrpułów.

Nie miał żadnej pewności, po co to robi, ale ruszył leśną ścieżką. Przeszedł jakieś dwadzieścia metrów, stanął i obejrzał się. Roweru nie było widać. Poczuli się mniej pewnie, a to oznaczało, że musi wracać, bo mu go jeszcze ktoś podprowadzi. Naraz spojrzał na prawo od wydeptanej ścieżki. Leżał tam przewrócony na bok but. Pomyślał, że ktoś go wyrzucił. Tylko po co wyrzucać całkiem dobry but? Podszedł i ukucnął. Biały sneakers wydawał się niezbyt zużyty. Miał rozwiązana sznurówkę i w zasadzie nie był to but, który by mógł zostać wyrzucony. Raczej wyglądał tak, jakby go ktoś zgubił. Numer na oko trzydzieści sześć, na języku wyprężony w skoku kot. Coś było nie tak z tym trampkiem.

Zdjął z ramion plecak turystyczny, przez chwilę w nim pogrzebał, aby wydobyć woreczek foliowy. Chwycił but za sznurówkę i wsunął do woreczka, a następnie włożył znalezisko do plecaka.

Podniósł się i wrócił na skraj lasu. Rower na szczęście stał tam, gdzie go zostawił. Zanim wsiadł, spojrzał jeszcze na widoczne w oddali zabudowania dawnego pensjonatu, przekształconego w klasztor. Budynek główny i dwa boczne ustawione w kształcie podkowy o dwóch krótkich bokach i środku dwa razy dłuższym od boków. Do jednego z boków dobudowano jeszcze kilka jakby oficyn, mniejszych i pokrytych spadzistymi dachami. Tam musiała znajdować się część gospodarcza klasztoru. Świadczyła o tym solidna brama, przez którą na ten boczny, a właściwie tylny dziedziniec mogły wjeżdżać samochody dostawcze. Ta mniejsza bramka to chyba śmietnik, stwierdził policjant, lustrując zabudowania. Pewnie do tego miejsca bitą drogą mogły podjeżdżać

śmieciary czy ciężarówki z drewnem lub węglem. Do budynków wiódł jeszcze porządny i zadbane reprezentacyjny podjazd od drugiej strony, bezpośrednio od drogi idącej z Ustronia. Tu, gdzie Pilarski znajdował się w tej chwili, można było dojechać tylko przez wąskie, boczne uliczki.

Sprawdził to wszystko na mapie satelitarnej dziś rano. Gdy tylko się obudził, zaczął zastanawiać się nad tym klasztorem i jeszcze leżąc w łóżku, sięgnął po telefon, żeby się trochę rozeznać w terenie. Włączył mapę graficzną, a potem przełączył ją na satelitę. Dzięki temu mógł dokładnie obejrzeć cały teren i wszystko, co warte było uwagi w okolicy, czyli zaledwie dwie zagrody położone na tej samej wysokości, sąsiadujące przez pola z obszarem klasztoru. Wszystkie inne zabudowania wsi były niżej, więc zgromadzenie sióstr znajdowało się w ostatniej linii zabudowy, na styku pól i lasów, niejako na najwyższym piętrze wsi.

Jeśliby ktoś chciał niepostrzeżenie oddalić się z klasztoru, musiałby wybrać tę drogę gospodarczą i znaleźć się tu, gdzie on jest w tej chwili. No więc jeśli ta dziewczyna stąd uciekała, to pewnie przeszła gdzieś tu, między drogą a lasem, i w lesie musiała zniknąć. Oczywiście pod warunkiem, że bała się pogoni albo obawiała się, że ktoś ją zobaczy. Mogła zatem uciekać, bojąc się o swoje bezpieczeństwo, i w trakcie ucieczki zgubiła but. *To by się zgadzało*, pomyślał Pilarski, dumny z siebie i z umiejętności wyciągania trafnych wniosków.

Tak, wiedział, że to teoria spiskowo-sensacyjna, ale nie miał innej. Nikt niczego na temat tej ucieczki czy zaginięcia nie zeznał, więc wszystko to były spekulacje. I być może całkowicie niepotrzebne, bo przecież ta uciekinierka lub zaginiona odnalazła się w swoim domu. Więc po co tu przyjechał? Sam nie wiedział. Coś go tu ciągnęło, chciał coś sprawdzić, ale co? Nie miał zielonego pojęcia.

Wsiadł na rower i ostrożnie zjechał dróżką na drogę. Dystans dzielący go od zabudowań klasztornych pokonał w dwie minuty, leniwie przyciskając pedały. Jeśli ktoś dostrzegł go z okien, musiał pomyśleć, że to turysta rowerzysta, jakich tu pełno w okolicy.

Od kilku lat, gdy turystyka rowerowa stała się bardzo popularna, trudno było wyjść na jakąś górską ścieżkę, by nie trafić na rowerzystów. Najczęściej to turyści, którzy powoli i z mozołem wspinali się pod górę i potem z wielką ostrożnością zjeżdżali na dół, mocno wciskając hamulce. Zdarzali się jednak sportowcy i szaleńcy, uprawiający ekstremalne kolarstwo górskie, dla których największą atrakcją były zjazdy na łeb, na

szyję. Ci stanowili prawdziwe zagrożenie dla wszystkich innych użytkowników szlaków górskich. Pilarski, zwolennik rekreacyjnych przejażdżek, najchętniej powsadzałby do więzienia tych niebezpiecznych wariatów, ale niestety nie należał do rowerowej formacji, która dbałaby o porządek na szlakach, więc nie mógł zajmować się wyłapywaniem ekstremalnych kolarzy. Mógł tylko zgrzytać zębami na ich widok i życzyć im w duchu połamania nóg i rąk.

Podjechał pod bramę gospodarczą, oparł rower o płot i kucnął, udając, że zawiązuje but. Skorzystał z okazji i zaczął badać podwórko. Prowadziły na nie drzwi wiodące z budynku. Zapewne za nimi był jakiś korytarz, którym można się dostać do kuchni albo magazynu. Na lewo z kolei śmietnik, w którym przez płot widać duże, aluminiowe pojemniki wózkowe na śmieci zmieszane i kilkanaście plastikowych kubłów do segregacji. Za śmietnikiem była jakaś drewniana szopa, ciągnąca się aż do ściany budynku. Po przeciwnej stronie tego gospodarczego dziedzińca stał garaż na przynajmniej trzy samochody. Jedna z unoszonych bram była otwarta. Przed nią na podjeździe stało białe berlingo. Ale znacznie ciekawsze było to, co dostrzegł w środku. Przez chwilę wpatrywał się z niedowierzaniem, nie mogąc zrozumieć, czy to, co widzi, jest tym, czym wydawało mu się, że jest.

– Co do cholery? – powiedział sam do siebie. Powoli wydobył z kieszeni telefon, włączył aparat i szybko pstryknął kilka zdjęć. Chciał je od razu powiększyć, by sprawdzić, czy dobrze widzi.

Brama garażowa zaczęła się zamykać. Zza śmietnika wyszedł mężczyzna o niezbyt sympatycznym wyglądzie. Mógł mieć równie dobrze czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Wszystko dzięki pomarszczonej i dość zużytej twarzy, która była zewnętrznym rezultatem skutecznej i długoletniej kuracji alkoholowej. Faceta ozdabiał kilkuniedniowy zarost, który raczej nie był ukłonem w kierunku modowych trendów, ale wyrazem braku dbałości o wygląd. Ubrany był w znoszone spodnie od dresu, T-shirt z napisem „I’m Your Destiny” i crocasy z bazaru. Dawno nieprzycinane włosy wystawały spod zielonej czapki z daszkiem, ozdobionej literami NY.

– Co tu robicie? – warknął facet.

– Stoję – odparł spokojnie Pilarski, który dopiero teraz go dostrzegł. – Nie można?

– Można, ale nie tu.

– A gdzie można?

– Dalej.

– Niby dlaczego? – spytał policjant, trochę z przyzwyczajenia. Widział, że ten w bejsbolówce się denerwuje, więc swoim zwyczajem postanowił go powkurzać.

– Bo tu nie wolno. Tu jest klasztor. Tu się siostrzyczki modlą i nie wolno im przeszkadzać.

– Ja przeszkadzam?

– No a jak, nie? Pewnie, że przeszkadzacie.

– A ta siostra, co od was uciekła, to przez ten hasiok? ⁵ – Wskazał na bramę.

Mężczyzna podrapał się po brodzie, popatrzył na śmietnik, potem na rowerzystę, w końcu splunął pod nogi i odwróciwszy się, poszedł w kierunku drzwi prowadzących do budynku. Pilarski schował telefon do kieszeni na pasku, wskoczył na rower i powoli odjechał, kierując się do Ustronia.

Przez cały czas zastanawiał się, czy to, co dojrzał w garażu, to nie jakieś złudzenie. Na szczęście są zdjęcia. Gdy przyjedzie do domu, wrzuci je do komputera i postara się zrobić jak najlepsze powiększenie, wyostrzy je, jak się da, w programie.

Raczej był pewny, że fotografie tylko potwierdzą jego przypuszczenia.

Ustroń Godzina 9.30

– A pani to nie idzie dziś na zabiegi? – zapytała pani Makowska, która już o siódmej rano zdążyła być na śniadaniu, a teraz postanowiła umilić swojej współlokatorce poranek opowieścią o wszystkim, o czym tylko można od rana powiedzieć.

– To w niedziele są zabiegi? – zdziwiła się Matylda.

Wydawało się jej, że recepcjonistka mówiła coś o dniach pracujących, a niedziela to dzień, w którym nawet nie wolno robić zakupów, a co dopiero oddawać się rozkoszom kąpieli błotnych. Stała przy oknie, spoglądając na dolinę, w której rozciągało się miasto. W sumie szkoda, że nie ma widoku na góry. W końcu po to przyjechała w Beskid Śląski, żeby oglądać górskie widoki. No ale chyba nad tym jej przyjazdem do Ustronia zawisło fatum, bo najpierw ten pokój z sublokatorką, a potem zaginięcie ciotki Dzesiki.

W zasadzie nie powinna palcem kiwnąć w sprawie, która miała być przysługą dla Dżesi. Cały czas była bowiem obrażona na nią za to, w jaki sposób potraktowała Marcina. No ale jest przecież emerytowaną policjantką, niepotrafiącą przejść obojętnie wobec ludzkiego nieszczęścia. A zaginięcie kobiety, która przyjeżdża na wypoczynek, to przecież...

– No, w niedziele też są, tylko że te płatne, takie jak manicure i pedicure. Nie dostała pani w gratisie tych zabiegów?

– Nie w gratisie, tylko w bonusie – odparła Matylda. Poczwała, że chce jej się zapalić, ale przecież nie mogła tak od razu zdradzić się przed tą babcią ze swoim głęboko ukrywanym nałogiem. Papierosa będzie mogła zapalić, jak wyjdzie na zewnątrz. Gdyby miała swój pokój, tak jak miało być, otworzyłaby okno i zapaliła, zaciągając się z rozkoszą aromatycznym dymem. Ale niestety nie może tego zrobić, bo ta Makowska jej się tu udusi i będzie kłopot. Mogliby ją posądzić o celowe zaccadzenie staruszki, lepiej nie ryzykować.

– Ale bonus w gratisie to przecież to samo.

– Gratis to forma podarunku, najczęściej mającego służyć zareklamowaniu pewnych usług, a bonus to również darmowa usługa, tyle że mająca wynagrodzić straty moralne i pokryć nadpłatę. A w zasadzie to ma pani rację, jak zwał, tak zwał, a chodzi o to, żeby się nie awanturowała.

– A o co pani ma się niby awanturować?

– No jak to o co? Przecież dostałam pokój dwuosobowy, a zapłaciłam z jedynek!

– Płaciła pani za jedynekę? – pani Makowska zrobiła wielkie oczy. – Coś takiego. Ja bym w życiu jedyнки nie wzięła. W jedynce nudno by było. Człowiek by nawet nie miał się do kogo odezwać przez cały dzień. A w dwójce raźniej, bo można o wszystkim pogadać. Ja w zeszłym roku miałam trójkę, z jedną panią z Krakowa, a drugą z Koszalina. Mówię pani, jak było wesoło. My całymi dniami gadałyśmy, a ta z Krakowa to taka śmieszka, że nic tylko kawały opowiadała, że my się śmiałyśmy tak, że nas bolały brzuchy. Szkoda, że pani z nami nie było.

– Ja przyjechałam tu odpocząć, a nie... – nie dokończyła, bo właściwie po co miała robić tej kobiecie przykrość. Niech się cieszy, że przyjechała do kurortu, niech ma przyjemność, że mieszka z nią w pokoju, i niech opowiada te swoje historie z poprzednich wyjazdów. Przecież taka staruszka nie ma już przed sobą nic ciekawego. Nie powinnam jej psuć

przyjemności swoim marudzeniem, doszła do wniosku, który wydał się jej najbardziej konstruktywny i zasypujący podziały między osobami o różnych priorytetach i oczekiwaniach.

– A pani tu, widzę, często przyjeżdża? – zapytała, siadając przy stoliku stojącym na środku pokoju i oddzielającym dwa łóżka. Na talerzyku przyniesionym ze stołówki leżał aluminiowy nóż i opakowany w folię oscypek, który pani Makowska kupiła wczoraj na góralskim straganie. Bo jak tu w górach żyć bez oscypka? W końcu w takim miejscu jedzenie góralskich serów to niemal święty obowiązek.

– Ja, proszę pani, to jestem tu już piąty, nie, szósty... – wyciągnęła przed siebie dłoń i zaczęła po kolei odginać palce. – Pierwszy to było pięć lat temu, drugi cztery, trzeci... tak, jestem tu już szósty raz i mówię pani, że będę tu przyjeżdżała, ile tylko się da.

To już niedługo, pomyślała złośliwie Matylda, ale nie powiedziała tego na głos. Postanowiła być miłą i uczynną lokatorką, a skoro takie postanowienie przyjęła, nie zamierzała tego zmieniać. Boże, ale jestem okropna, zganiła sama siebie. Chyba muszę pójść zapalić, bo zdaje się, że nie bardzo się wyspałam w nowym miejscu, a poza tym trochę się martwię tą zaginioną Magdą...

– ...to nasze sanatorium to się nazywa Maciejka – z zamyślenia wyrwał ją głos kobiety która najwyraźniej snuła jakąś opowieść. – Ta góra za nami to Równica, a dalej Czantoria, na którą można wjechać wyciągiem krzesełkowym. Jechała pani kiedyś wyciągiem? To musi pani koniecznie pojechać, bo to niezła frajda. No i nasza Maciejka jest na zboczu Równicy, a te obok to się nazywają Magnolia i Tulipan. Same kwiatki, tak wymyślili w latach siedemdziesiątych, jak je budowali. To wtedy były najbardziej eleganckie hotele z Funduszu Wczasów Pracowniczych. Wybudowali ich wtedy siedemnaście, tych piramidowców. Bo one wyglądają jak piramidy, a miały się wtapiać w krajobraz, ale się nie wtopiły i teraz to już są piramidy zabytkowe, ale nie są tak stare jak te egipskie.

Powiedziawszy to, pani Makowska zaśmiała się głośno, a Matylda jej zawtórowała.

Porównanie z Egiptem nie bardzo ją rozśmieszyło, jednak postanowiła być miłą i chciała postanowienia dotrzymać za wszelką cenę.

– Nasza Maciejka należała do Stoczni imienia Komuny Paryskiej w Gdyni. Ale wie pani, jak się czasy PRL-u skończyły, to stocznia upadła, jak inne stocznie za Balcerowicza, i budynek uzdrowiskowy zaczął

niszczyć. Ale na szczęście miasto Ustroń dostało tę Maciejkę za złotówkę, utworzyło spółkę z jakimiś sanatoriami polskimi i budynek znów zaczął żyć, jeszcze lepiej niż kiedyś.

– Dużo pani wie o naszym sanatorium.

– No bo ja, proszę pani, już tak mam, że jak gdzieś jadę, to muszę wszystko wiedzieć na temat tego miejsca. Przede wszystkim chodzi o historię miejsca, ale i okolicy. Takie zawodowe skrzywienie.

– Zawodowe? – zdumiała się Matylda, która już w myślach zaczęła szukać odpowiedzi na tę zawodową zagadkę.

Skoro zawodowe i dociekliwość powiązana z odnajdywaniem historycznych paraleli, to pani Makowska musi być związana zawodowo z historią. Być może pracowała na portierni w jakimś muzeum albo była tam sprzątaczką. Wiadomo, że jak się człowiek przez lata obraca w środowisku muzealnym, to musi nasiąknąć historyczną atmosferą.

– A czym pani się zawodowo zajmowała, jeśli to nie tajemnica? – zapytała Matylda, żeby sprawdzić, czy dobrze prześwietliła swoją współlokatorkę.

– Ja, proszę pani, byłam przez czterdzieści lat nauczycielką historii i wiedzy o społeczeństwie.

– O! – wyrwało się Matyldzie.

Popatrzyła zdumiona na swoją współlokatorkę, która powoli i metodycznie wykladała rzeczy z walizki i przenosiła je do należącej do niej części szafy. Dopiero teraz Matylda dostrzegła, że kobieta każdy element garderoby układa starannie w kostkę i umieszcza go ostrożnie jak Japonka, uważając, żeby żadne zgięcie czy nierówność nie zakłóciły dobrej energii.

– Nauczycielka? – Matylda nie mogła wyjść z osłupienia.

Ta kobieta, ubrana w ciemną sukienkę w jeszcze ciemniejsze kwietne wzory, wyglądała jak babcia sprzedająca kwiatki ze swojego ogródka na ulicy. Brakowało jej tylko chustki na głowie, zawiązanej pod brodą na wiejską modłę. To właśnie ten element sprawił, że Matylda tak bardzo pomyliła się w swojej ocenie. Przekonana, że ma do czynienia z nierozgarniętą kobieciną, nie doceniła skutecznego kamuflażu. Jednakże to, czego miała dowiedzieć się za chwilę, sprawiło, że zaczęła powątpiewać we własną intuicję śledczą. Chyba czasy, w których jej policyjny nos działał niczym najczulszy barometr, skończyły się definitywnie i pora zająć się rozwiązywaniem krzyżówek i oglądaniem *Klanu*.

– Tak, uczyłam w podstawówce, ale potem się zmieniło, jak poznałam swojego męża. O, to, proszę pani, był naprawdę szykowny mężczyzna. A jak go pierwszy raz zobaczyłam w mundurze, na balu noworocznym, to dosłownie nie mogłam od niego oderwać oczu. I niech pani sobie wyobrazi, że ten przystojny porucznik nagle podchodzi i prosi mnie do tańca. Mnie, taką młodą dziewczynę zaraz po studiach, która dopiero pierwszy raz w życiu jest na balu oficerskim. I to całkowicie przez przypadek. Bo mąż koleżanki ze szkoły zachorował i był w szpitalu, więc ona nie chciała iść, a Ziutek, ten jej mąż, powiedział, weź Alę, to znaczy mnie, i idźcie we dwie, bo po co taka okazja ma się zmarnować, a wiadomo, na oficerskim balu, raz do roku, co się odbywał, to najlepsze jedzenie, a stoły to się aż uginały od wszystkiego. No i Krysia mówi mi tak: „Chodź, Alinka, bo Ziutek mówi, że mam iść, a przecież sama nie pójdę”. No to co miałam robić? Poszłam i ten młody porucznik zaraz do mnie. Makowski się nazywał mój mąż i poprosił mnie do tańca, a potem się do nas przysiadł i całą noc przetańczyliśmy na tym balu.

– Pani mąż był oficerem wojska? – domyśliła się Matylda.

– No nie! – Alina Makowska pokręciła głową i uśmiechnęła się, a na jej twarzy pojawił się lekki wyraz niepewności, jakby zastanawiała się, co powinna powiedzieć. Tak jakby prawda nie była zbyt wygodna.

– Mój mąż, proszę pani, był milicjantem.

– O ja cię... – jęknęła Matylda, a Alina zaraz zaczęła się usprawiedliwiać, jakby profesja jej męża była jej winą.

– Ja wiem, że teraz o milicji to się tylko źle mówi, ale on, proszę pani, to nigdy niczego złego nie zrobił. Uczył w szkole milicyjnej młodych chłopaków. Był po Akademii Wychowania Fizycznego i zaraz po studiach poszedł do milicji, żeby uczyć ich sportów i dżudo. Bo był też trenerem dżudo.

– Coś takiego, w szkole milicji...

– No tak, no my, proszę pani, mieszkaliśmy w Pile. Tam była wtedy szkoła milicji, a teraz to jest szkoła policji. Całe życie tam pracował, a jak już byliśmy po ślubie, to się akurat etat zwolnił nauczyciela historii i WOS-u. I tak ja też zaczęłam pracę w milicji. Bo to dzięki mężowi tę pracę dostałam, a tam znacznie lepiej płacili niż w normalnej szkole. Ale wie pani, takie to czasy były.

– Była pani cywilnym pracownikiem – domyśliła się Matylda.

Alina pokręciła głową.

– Na początku tak, to znaczy przez pierwszy rok. Ale wie pani, jak to jest w takim miejscu, gdzie pracuje kobieta i uczy samych mężczyzn. Oni muszą mieć szacunek i czuć respekt. No to w tym pierwszym roku to nieraz mi robili głupie uwagi, i w ogóle. Wie pani, jaki tam był wtedy element. Na podoficera to szli często ludzie bez kwalifikacji, tacy prosto po zawodówce, i te kursy doksztalające, na których uczyłam ich historii, były konieczne, żeby ich trochę podciągnąć. No ale wielu z nich to kultury nie miało. I jak widzieli taką młodą dziewczynę jak ja, co ich chciała czegoś nauczyć, to ciągle słyszałam za plecami takie tam podśmiechujki, typu lala, bucik ci się rozpierdala, i wystarczyło, że jeden rzucił taką uwagę, to cała sala się śmiała. No to ja w którymś momencie mówię do męża, że lepiej do podstawówki dzieci wrócić uczyć. A on powiedział, że coś wymyśli. I wymyślił, a komendant szkoły pomógł. I dostałam skierowanie na kursy oficerskie do szkoły w Puławach. A potem w pół roku zrobiłam szybką ścieżkę szkolenia i zostałam podporucznikiem. Więc niech sobie pani wyobrazi, że jak po tych kursach weszłam na salę wykładową, tam cała kompania siedzi i wszyscy patrzą, a tu wchodzi pani podporucznik, to od razu wszyscy na baczność, no i potem przez całą lekcję ani słóweczka. Gęby na kłódkę i tylko słuchali. Taki był wtedy respekt do munduru.

Gdy skończyła, podeszła do stołu, położyła na nim tabliczkę czekolady, rozdarła papier i popatrzyła na Matyldę.

– A w kantine koło szkoły to zawsze mieliśmy czekoladę, nawet w stanie wojennym, to była prawdziwa czekolada.

– Wiem, w naszym kasynie też można było czekoladę dostać – przypomniała sobie Matylda.

– O, to pani miała rodzinę w wojsku czy w milicji? – spytała była milicjantka Makowska.

– Kochana, miałam rodzinę w milicji i sama w milicji pracowałam. Podpułkownik Matylda Kaczmarek z Komendy Głównej MO – powiedziawszy to, wstała z krzesła, podeszła do Aliny i podała jej dłoń. – Pani porucznik, miło mi panią poznać.

– Skończyłam służbę w stopniu kapitana, pani pułkownik – wyjaśniła Makowska, skromnie spuszczać wzrok.

Zaraz jednak uniosła głowę, uśmiechnęła się szeroko, a potem podeszła do walizki. Pochyliła się nad nią i wyjęła ze środka torbę foliową. Ostrożnie przeniosła ją na stół, postawiła, a potem wyciągnęła butelkę camusa.

– Z takiej okazji trzeba by się odrobinę napić. Lubi pani koniak, pani pułkownik? Bo ja za koniackiem przepadam.

Warszawa Godzina 22.15

Ten dzień nie mógł się skończyć dobrze. Do południa jakoś dawaliśmy radę, udając, że się nic nie stało i ten wyjazd to w końcu tylko robota, kwestia jak najbardziej profesjonalna. Staralem się schodzić z oczu Kamie, która robiła kipsisz we wszystkich szafkach, wybierając rzeczy potrzebne na wyjazd. Ja nie musiałem niczego szukać, bo dobrze wiedziałem, gdzie są moje spodnie, majtki, skarpety i T-shirty. Miałem też dwie lub trzy bluzy z kapturem i dwie kurtki. Do tego dwie koszule, garnitur na specjalne okoliczności i marynarkę na casualowe okazje, której prawie nigdy nie noszę, bo takich okazji nie ma zbyt wiele. Pakowanie zajmowało mi więc zazwyczaj około dziesięciu minut, podczas gdy Kama potrzebowała przynajmniej kilku godzin, żeby wybrać zestaw podobny do mojego, tyle że uzupełniony o kilka sukienek. Te poszukiwania w jej wykonaniu, urządzane przed każdym wyjazdem, to był prawdziwy rytuał, w którym moja rola była zawsze ściśle określona. Miałem się trzymać z boku i nie przeszkadzać, a w sytuacjach kryzysowych, gdy było trzeba czegoś poszukać, miałem udzielać celnych wskazówek. Dziś nie pytała mnie o nic, bo każda rozmowa mogła się skończyć jazdą po równi pochyłej w kierunku Dżesi i jej pobytu w górach, prawdopodobnie w tym samym pensjonacie, w którym i my będziemy nocować. No chyba że gwiazda wynegocjuje w ramach swojego kontraktu ekskluzywny hotel.

Siedziałem więc przy komputerze, śledząc mapę Ustronia i okolic, próbując rozejrzeć się, albo właściwie udawać, że się rozglądam. Tak schowany, mogłem skutecznie odseparować się od Kamy i jej furii pakowania. Nie miałem więc nic do roboty, bo miejsca do nagrywania reklamy obiecał nam wskazać zleceniodawca, który znał okolicę doskonale i miał wyobrażenie o tym, jak to wszystko będzie wyglądało. Na razie jechaliśmy tylko na rekonesans, sprawdzić te plany, zrobić zdjęcia próbne i przygotować się do roboty według scenariusza, który napiszę na miejscu, gdy już będę wszystko wiedział o tym, co będziemy robić. A gdy scenariusz zostanie klepnięty, wtedy przyjedzie Dżesi na dwa, góra trzy, dni zdjęciowe.

Wyglądało więc, że spędzimy w Ustroniu przynajmniej tydzień. No właśnie, w Ustroniu, bo zleceniodawca życzył sobie, żeby zdjęcia do reklamy były robione na tle Wisły. W ten sposób miały podkreślać wyjątkowość i polskość jego produktu.

Ustaliliśmy z Wojtkiem, że do Ustronia ruszamy nazajutrz, więc dziś był czas na spisanie notatek do scenariusza i na spakowanie się. Plan zdjęć próbnych napisałem w ciągu godziny, z tym nie miałem najmniejszych trudności. Scenariusz będę pisał na miejscu. Więc teraz zostało mi tylko spakować się i można będzie...

– Marcin, walizki! – usłyszałem zdenerwowany głos Kamy, dobiegający z drugiego pokoju.

– Co? – zapytałem, choć doskonale słyszałem, co powiedziała.

To było tylko po to, żeby zyskać na czasie. Cholera, walizki miała Dżesi, a właściwie jej facet, Łuki. Musiałem zacząć działać, bo inaczej pojedziemy na wakacje z bagażnikiem pełnym ciuchów upchanych do niebieskich toreb.

– Caterpillary, cholera! Zembi miała nam oddać walizki. W co mam się spakować? Już mam prawie wszystko gotowe i nie bardzo bym chciała jechać w góry z torbami z IKEA.

– No jasne. Mówiła, że będą do odbioru niedługo – skłamałem, bo Dżesi oczywiście nie określiła dokładnie terminu zwrotu.

Szczerze mówiąc, to zapomniałem ją o to zapytać, mimo że obiecałem rano wysłać esemesa z ponagleniem. Nie wysłałem i dlatego teraz musiałem zacząć działać zdecydowanie, używając wszelkich możliwych środków przymusu bezpośredniego, łącznie z frontalnym atakiem na „norkę” Łukiego.

Gdy usłyszałem wołanie Kamy, wiedziałem, że to nie przelewki.

– Dzwoniłeś do niej?

– Nie dzwoniłem, ale już dzwonię! – wyjaśniłem i w końcu wziąłem do ręki telefon.

Ociągałem się z tym dzwonieniem, bo byłem przekonany, że niewiele wskóram. Znając Dżesikę, mogłem być niemal pewny, że nie powiedziała temu gościowi, który z nią u mnie pomieszkiwał, że ma przynieść walizki. Znałem ją dobrze i wiedziałem, że w niektórych sytuacjach jest przewidywalna do bólu.

Trzeba było olać ją z tymi walizkami i kupić nowe, ale mnie jak zwykle szkoda było kasy. Wydałem ostatnio tyle na swój samochód, że

teraz liczyłem każdy grosz... Zresztą zawsze liczyłem, tak po poznańsku. No i dlatego przez ostatnich kilka miesięcy jeździliśmy z dwoma walizkami Kamy i moim plecakiem, ale ta wielka walizka w końcu rozpadła się podczas ostatniego przelotu z Paryża do Warszawy i nie było mowy o tym, żeby się do niej spakować. No chyba żeby spiąć ją paskiem, pomyślałem i już miałem Kamie zaproponować rozwiązanie ratunkowe, gdy naraz zadzwonił mój telefon.

Spojrzałem na wyświetlacz i przez chwilę zastygłem. To była Dżesi.

– Halo? – rzuciłem niepewnie do słuchawki.

– Hej, Miśku, co tam u ciebie, hę? – zapytała tonem zniechęcającym do wszelkich opowieści na temat tego, co u mnie. Pytała kurtuazyjnie i wcale nie oczekiwała odpowiedzi, bo miała w zanadru coś do powiedzenia. Wiedziałem aż za dobrze, że nigdy nie obchodzi jej, co tam słyhać u rozmówcy, bo jedyne, co ją interesuje, to co tam u niej.

– Wyobraź sobie, że konia sąsiadów przejechał rozpędzony walec drogowy, bo zostawili go uwiązane przed sklepem z karmą dla psów. Nawet nie zdążył spróbować tej karmy...

– O, to super! – przerwała mi tę fascynującą opowieść w odpowiednim momencie, bo nie miałem pomysłu, co dalej z tym koniem i z sąsiadami, choć w zasadzie mógłbym pociągnąć kwestię żałoby i mszy pogrzebowej.

Na szczęście Dżesi miała coś ważnego do powiedzenia.

– No więc ci powiem, że to fantastiko, że będziemy robić razem tę reklamę wody do picia. Ja lubię wodę mineralną, żeby tylko nie była gazowana. Bo od gazowanej dostaję zaraz chrypki. Te bąbelki drapią mnie po gardle. Ale tam chyba nie będzie wody bąbelkowanej?

– Nie wiem, jeszcze...

– Ale jakby była w filmie, to można przecież wylać i wlać taką bez gazu.

– Można...

– Zresztą najważniejsze, żeby nie siedziała na mokrym kamieniu, bo można się łatwo przeziębic. Ale mam nadzieję, że nie będzie kamienia.

– Nie wiem, ale chyba ten zleceniodawca chce, by właśnie na kamieniach to robić.

– Supcio, że piszesz scenariusz. Wszystko już wiem. Tylko pamiętaj, że ja bym chciała, żeby w tej reklamie było więcej słów niż w tej od pasty.

– Najwięcej ma być twojego uśmiechu – powiedziałem zgodnie z prawdą. Ten gość od wody chciał przede wszystkim widzieć jej zęby.

A gadanie, zdaje się, jest sprawą drugorzędną.

– Dlatego ja od razu napisałam już kwestie dla siebie. Posłuchaj, mam tu napisane na kartce. Przeczytam ci, a ty powiedz mi, co o tym myślisz.

Przymknąłem oczy, starając się maksymalnie nakręcić kołowrotek z taśmą cierpliwości. Musiałem posłuchać tego, co ma do powiedzenia, bo przecież ze zdaniem gwiazdy trzeba się liczyć. I pomyśleć, że to ja przyczyniłem się do narodzin tej gwiazdy. A gdybym wówczas na castingu na lekarke od pasty Zembix white wybrał inną modelkę, świat wyglądałby dziś inaczej.

– Hej, Miśku, jesteś tam? To uważaj, czytam. „Zimna woda siły doda. Nasza woda ugasi nawet największe pragnienie. Smakuje jak woda, którą piły dinozaury, kiedy jeszcze świat był czysty jak górski kryształ. Pijcie wodę Góralkę codziennie, od rana do wieczora, a nie będziecie mieć zaparć i zgagi, tylko przeczyszczony żołądek falą górskiego potoku. Górskie wody na dobre pogody”.

Na chwilę w słuchawce zrobiło się cicho.

– I co? – zapytała niepewnie.

– No, jestem pod wrażeniem – powiedziałem ostrożnie.

Rzeczywiście, zrobiła na mnie wrażenie. Gdyby istniała nagroda kosmicznego gluta dla najgorszego tekstu reklamowego, ten z pewnością byłby silnym pretendentem do grand prix.

– Nieźle, co? Tam na końcu mi trochę nie wyszły wody pogody, ale coś wymyślisz, nie?

– Wymyślę.

– Ale dobry tekst?

– No, dobry.

– He, he! Aż zaniemówiłeś. Wiedziałam, że cię zatka, jak ci przeczytam. Nie spodziewałeś się, że tak potrafię wyrazić myśli, to znaczy w taki fajowy sposób.

– No wiesz, Dżesi...

– Nigdy mnie nie doceniałeś.

– Ja? Co ty gadasz!

– Dobra, było, minęło. Nie musisz mi robić teraz scen.

– Przecież ja...

– Bądźmy profesjonalistami i nie mieszajmy spraw zawodowych i prywatnych. Wiem, że nie możesz się pogodzić z tym, że się rozstaliśmy, ale tak bywa w życiu. Do dwóch rzek się nie da wejść jednocześnie.

– Chyba że w Wielkopolsce do Wełny i Nielby na skrzyżowaniu – przypomniało mi się miejsce, gdzie dwie rzeki przecinają się pod kątem prostym.

– A z tymi dinozaurami to dobre, nie? Pomyślałam, że dinozaury żyły na ziemi, jak jeszcze nie było w powietrzu tyle spalin co teraz, bo nie było wtedy żadnych samochodów.

– Ale wulkany dymiły.

– Weź, przestań. Ile dymu daje taki jeden wulkan?

– Sporo. Jeden wulkan z Islandii wypuścił tyle dymu, że przez ponad tydzień samoloty nie latały nad całą Europą.

– Więcej niż dziesięć tysięcy aut?

– Więcej.

– Cholipcia, to pizdowato. Ale poza tym dobry tekst? – Dżesi znów mi wierciła dziurę w brzuchu.

– Dobry. Tylko trzeba go trochę przerobić – wiedziałem, że będzie próbowała swój tekst za wszelką cenę przepchnąć do reklamy, więc od razu wrzuciłem zastrzeżenie.

– Na pewno, nie upieram się. Ale jak ci się podobało?

– Superancko – skłamałem gładko.

Niekiedy potrafię to robić bez zmrużenia oka. Na szczęście nie widziała mojej miny, która dobitnie wyrażała opinię na temat jej ambicji copywriterskich.

– O, to dobrze. Zaraz ci prześlę tekst na skrzynkę. A, jeszcze powiedziałam Łukiemu, żeby oddał te walizki – płynnie przeszła do kolejnego wątku, czym byłem dość poważnie zainteresowany – bo ja jemu powiedziałam, że są ci potrzebne na wyjazd do Ustronia, i Łuki od razu mi je przyniósł. Wiesz, jaki on jest, taki jest, ale jak mu każę coś zrobić, to robi od razu. Jakby nie zrobił, tobym go chyba udusiła. Tym bardziej że powiedziałam mu, że sprawa jest na już, bo musisz jechać w góry. A Kama jedzie z tobą? – zapytała od niechcienia, ale wyczułem szczere zainteresowanie.

Czyżby Dżesika interesowała się moją dziewczyną?

– Oczywiście, że jedzie. Przecież wiesz, że bez niej nie ma żadnej dobrej produkcji. Ktoś to wszystko musi ogarnąć.

– No jasne – rzuciła radośnie, co wydało mi się dość podejrzane. – Bo Kama ma zawsze tyle pracy na planie i w ogóle z tymi wszystkimi papierami, że pomyślałam, że może potrzebuje pomocy.

– Nie potrzebuje – powiedziałem ostro.

Właśnie do mnie dotarło, że Dżesi zaczyna coś kombinować. A jeśli kombinuje, to znaczy, że ma jakiś szatański pomysł, który chce wprowadzić w życie, tyle że na razie nie wie jak.

– Nasze produkcje nie są zbyt rozbudowane logistycznie i biurokratycznie, dlatego jedna osoba z doświadczeniem jest do tej pracy idealna.

– No tak, ja rozumiem, Miśku. Ale wiesz, różnie bywa i jakby na przykład Kama zachorowała, to co wtedy?

– Nie zachoruje. Nie martw się o nią, ale o siebie.

– O siebie? A w jakim sensie, hę?

– W takim, że musisz być zdrowa, bo wiesz, będziesz tam na planie siedzieć nad wodą i do tego będziesz piła zimną wodę i moczyć się będziesz w zimnej rzece. Możesz się przeziębic.

– Jak to zimną? Przecież jest ciepło. Patrzyłam dziś na termometr i jest dwadzieścia sześć stopni. No to nawet jak będę siedziała nad wodą, to tam będzie ciepło.

– Woda jest zimna. W Wiśle woda zawsze jest zimna.

– E, bez przesady. Byłam wczoraj nad Wisłą, na spacerze z Łukim, i moczyłam nogi w wodzie. Była całkiem ciepła.

– Ale w Ustroniu Wisła jest lodowata.

– Tak? Niemożliwe, przecież Wisła i tam, i tu jest ta sama.

Nie chciało mi się drażnić tematu, tym bardziej że zza ściany dochodziły jakieś dźwięki wydawane przez Kamę. Chyba nie mogła znaleźć czegoś niezwykle przydatnego podczas wypraw górskich i za chwilę będzie mnie pytać, gdzie jest to coś, o czym nie mam zielonego pojęcia.

– Wiesz co, jesteś teraz w domu? – przerwałem jej rozważania na temat królowej polskich rzek i przeszedłem do czynów. Z Żoliborza na Wolę w niedzielne popołudnie dostanę się samochodem w dwadzieścia minut. Więc w ciągu godziny byłem w stanie wrócić do domu z walizkami.

– Jestem. Możesz przyjechać. A jak będziesz jechać, to wskocz do żabki i kup mi dżem malinowy. Nie ma w domu, wyobraź sobie, ani grama dżemu malinowego. Jeśli lubisz dżem malinowy, to ten z żabki jest bardzo dobry.

– Nie lubię dżemu malinowego i nigdy...

– No to czekam. Ciao!

Przerwała połączenie, a ja zadowolony wstałem z fotela, by pójść i oznajmić Kamie, że Dżesi skapitulowała i pod wpływem mojej zdecydowanej i ostrej perswazji kazała swojemu fagasowi oddawać caterpillary.

Przez chwilę poczułem się jak strateg, szachista, który rozegrał trudną partię z nieprzewidywalnym przeciwnikiem i dał mu mata w kilku ruchach. Ma się to podejście do kobiet. Nie ma się co awanturować, tylko trzeba robić swoje z konsekwencją i uporem i spokojnie czekać na efekty.

Ustroń Godzina 15.20

Gorące powietrze wpływało do pokoju szerokim strumieniem. Gdyby nie wentylator, który przezornie kupił wiosną, pamiętając o ubiegłorocznych upałach, w mieszkaniu pewnie nie dałoby się wysiedzieć. Przez chwilę nawet zastanawiał się, czy nie usiąść z laptopem na leżaku, ale zaraz pomyślał, że przecież tam nie ma żadnej osłony od słońca. Jeszcze wiosną miał całkiem zgrabny parasol, który instalował nad plastikowym stołem ogrodowym, ale w maju, gdy przyszała wielka burza, parasol i stół odfrunęły w nieznaną stronę i potem na próżno ich szukał po najbliższych ulicach i sąsiedzkich ogródkach. Był przekonany, że wpadły komuś na posesję i ten ktoś, zamiast wrzucić informację na osiedlową grupę na Facebooku, najzwyczajniej ukrył ten fakt, zadowolony z niespodziewanego daru losu. Pilarski jednak nie dał za wygraną. Nie należał do ludzi, którzy łatwo się zniechęcają.

I dlatego podczas swoich rowerowych wypraw uważnie obserwował wszystkie okoliczne ogródki, żeby złapać nieuczciwego sąsiada na gorącym uczynku z rozstawionym na tarasie jego parasolem. A ten należący do niego był charakterystyczny, bo koloru żółto-zielonego z małą czerwoną wstawką. Gdy w zeszłym roku parasol przewrócił silny podmuch wiatru, pęd powietrza zaniósł go na krzaki, a te rozdarły trochę poszycie. Na szczęście uszkodzenie było tak nieduże, że dało się dosztukować ubytek materiałem z jakiejś starej parasolki, która leżała w garażu. W ten oto sposób zaznaczył go na zawsze. Dlatego gdy tylko widział żółto-zielony parasol za którymś płotem, zatrzymywał się, robił zdjęcia telefonem i potem uważnie oglądał

powiększenia na ekranie komputera. Niestety, jak dotąd nie udało mu się wytypować podejrzanego o przywłaszczenie jego własności.

Bez parasola nie było więc mowy o siedzeniu w ogródku, dlatego zabrał laptop i poszedł do sypialni. Nie miał własnego stanowiska pracy, bo w jego czteropokojowym domu szeregowym nie było miejsca na gabinet. Na szczęście w sypialni stało biurko, którego żona używała do robienia się na bóstwo, więc w razie potrzeby mógł sobie spokojnie korzystać z tego miejsca, tym bardziej teraz, kiedy właścicielka bałaganu pozostawionego na blacie wyjechała na wakacje. Zgarnął na bok porozrzucane szminki, kredki i jakieś waciki, robiąc miejsce na laptop. Włączył urządzenie, ale nie siadł do pracy. Z dołu dobiegło go pikanie mikrofal. Wchodząc na górę, nastawił odgrzewanie jedzenia na dwie minuty i zapomniał. Było to jakieś dziesięć minut temu. *Może mam jakieś problemy ze słuchem?*, zastanawiał się, schodząc na dół po niedokończonych schodach.

To był ostatni element budowlany, który musiał doprowadzić do porządku. Schody były w stanie surowym, bez balustrady, przykryte tylko jakimiś starymi chodnikami, żeby nie trzeba było chodzić po zimnym cemencie. Owszem, mógł je zrobić już w zeszłym roku, jak tylko się wprowadzili, i zamówić panele. Ale żona chciała mieć schody porządne, z twardego drewna egzotycznego. Taka inwestycja poważnie nadwierałaby budżet. Dlatego postanowili, że zrobi te schody najpiękniej jak można, ale dopiero w tym roku, na jesieni. Miał zamówione wykonanie, ustalony termin i wpłacił nawet zaliczkę, całe osiem tysięcy. Szkoda mu było tej kasy, która już poszła, szkoda tej, którą trzeba będzie jeszcze wydać, ale jak sobie pomyślał, że będzie schodził codziennie po schodach jak w pałacu, od razu robiło mu się przyjemniej na duszy. W końcu po coś się żyje i z jakiegoś powodu oszczędza, żeby potem móc patrzeć z radością i dumą na efekt swoich wyrzeczeń.

Podszedł do mikrofal i wyciągnął słoik z gołąbkami w sosie pomidorowym. Trochę sosu wypłynęło na talerz, więc też go wydobył i włożył do zlewu. Trzeba było umyć od razu, żeby nie zaschło. Ukroił sobie solidną pajdę chleba i usiadł przy stole kuchennym. Kiepski był ten niedzielny obiad, ale nie chciało mu się chodzić do baru, bo raz, że daleko, a dwa, trzeba będzie wydać kasę. A te gołąbki kupione kilka dni temu w markecie wcale nie były takie złe. Sos pomidorowy całkiem smaczny, a chleb maczany w sosie to prawdziwa rozkosz dla podniebienia. Z kolei same gołąbki takie sobie. Zamoczył chleb w sosie, jadł ze słoika,

wydłubując kawałki kapusty. Jedząc, spoglądał na schody, które widać było stąd doskonale. Teraz prezentowały się beznadziejnie, ale za kilka miesięcy, a właściwie we wrześniu...

Naraz przypomniał sobie wizytę w magazynie z deskami, który odwiedził w maju. Wtedy dogadywał się w kwestii wykonania schodów i wybierał z majstrem drewno. Magazyn należał do firmy, która zajmowała się stolarką okienną i schodową. Był tam też niewielki tartak, który pracował na potrzeby firmowego zakładu stolarskiego.

Chodził między równo poukładanymi blokami desek i oglądał wszystko uważnie. Chciał zobaczyć przede wszystkim to drewno egzotyczne, ale majster kręcił głową na taki wybór.

– No przecież nie zrobię sobie plastikowych schodów.

Majster uśmiechnął się, pokazując braki w górnej szczęce. Nie miał jedyńki i dwójki. O takich mówi się, że za dużo piw otwierali zębami.

– Plastik, panie, bym tylko wrogowi polecił. Niby trwałe, ale to tworzywo, a z tworzywem też pan nie wiesz, czy jak będzie gorąco, to się nie powygina. A teraz gadają o tym globalnym ociepleniu, to niedługo mogą być u nas upały jak w Afryce. A te panele to przecież na nasz klimat robione, nie?

– No to co w takim razie?

– Najlepszy, panie szanowny, jest nasz polski, narodowy materiał.

– Czyli co, mam se we flagę schody opakować?

– Nie no, skąd. Flaga dobra na marsz w Warszawie, a my się powinniśmy trzymać tradycji. Czyli jak dobre schody, to tylko z polskiego drewna.

– Jakiego? Przecież te nasze smreki to iglaste wszystko, czyli miękkie.

– Iglaste się nadają, owszem, dla umarłaków. – Wskazał na kilka surowych trumien stojących pod wiatą. Wyglądały solidnie i przyzwoicie. Ale przecież nie po trumnę tu przyjechał.

– Tylko dąb, panie, polski, tradycyjny, jak za królów. I dębowe schody dwieście lat wytrzymują, a w zabytkowych domach to nawet i pięćset.

Tak więc zamówił schody z polskiego dębu, które w przyszłości mogły stać się narodowym zabytkiem, pod warunkiem że jego szeregowiec zostanie wpisany do rejestru zabytków. Ale to dopiero za dwieście lat, a na razie nie ma jeszcze schodów, w słoiku nie ma już gołąbków, a w komputerze czekają na niego zdjęcia...

Ostatni kęs chleba utkwiał mu w zębach. Pilarski zamarł w bezruchu, jak narodowy pomnik niezłomnego prezydenta, który wsławił się brakiem

jakichkolwiek osiągnięć. Trwał tak przez niemal minutę, analizując dane, które miał zapisane na własnym twardym dysku w głowie, i gdy analiza dobiegła końca, zerwał się na równe nogi i pobiegł do sypialni. Włączył laptop i przez kilka sekund czekał, aż jego wysłużony sprzęt złapie kontakt z rzeczywistością. Udało się. Otworzył skrzynkę, na którą wcześniej przesłał zdjęcia z telefonu, i powoli zaczął je przeglądać. Zamierzał je wrzucić do edytora, żeby złapać większą ostrość, bo to, co znajdowało się na drugim planie, w garażu klasztornym, nie było zbyt dobrze widoczne w telefonie, ale gdy otworzył je w laptopie, przekonał się, że niczego nie musi sprawdzać. Wszystko było widoczne jak na dłoni. Pod ścianą w garażu stały trzy trumny, ustawione jedna na drugiej, takie same jak te, które widział w zakładzie z tartakiem. Były bardzo podobne do tamtych, też niewykończone, bez ozdób, uchwytów, okuć i tego wszystkiego, co jest niezbędne w ostatniej drodze. Te trzy trumny, podobnie jak tamte, były całkowicie surowe, powiedziec by można, że bez specjalnych udogodnień. Takie trumny wojskowe, nie wiedzieć skąd przyszło mu to do głowy. Nie widział nigdy wojskowych trumien, ale musiały być proste i bez ozdób, bo przecież czas wojny ogranicza w znacznym stopniu ludzką dbałość o luksusowe dodatki.

– Na co wam te trumny? – zapytał sam siebie, wpatrując się uważnie w kolejne zdjęcia.

W sumie zrobił ich dziesięć i na każdym z nich widać było dokładnie to samo. Nie było najmniejszej wątpliwości. W klasztornym garażu przechowywano trzy surowe trumny. Ale po co? Trumny kupuje się, jeśli ma się pewność, że będą użyte. Czyżby klasztor zabezpieczał się na wypadek zejścia śmiertelnego najstarszych sióstr starowinek? To mogłoby być zrozumiałe podczas pandemii. Wtedy starsi ludzie umierali masowo. I zapewne tak było w klasztorach. Może więc trzy staruszki z zakonu wybierały się na tamten świat, ale im się nie udało tam dotrzeć, przeżyły pandemię, a trumny zostały? No, jeśli tak, to zrozumiałe, że władze zakonne nie zwracały trumien. Wiadomo, jeśli nie wykorzystano ich wtedy, w końcu nadejdzie moment, kiedy się przydadzą. Więc te trumny to nic nadzwyczajnego. Ale jeśli chodzi o coś innego? Trumny wyglądają niemal jak te, które widział w hurtowni pod Palenicą.

Przez kilka minut wpatrywał się jeszcze w swoje zdjęcia i wyłączył komputer. Postanowił, że jutro pojedzie do tej hurtowni i zapyta o trumny. Pewnie nic z tego nie będzie, ale na wszelki wypadek postanowił to

sprawdzić. Miał jakieś przeczucie, ale nie było to nic konkretnego, i nie zamierzał o tym mówić komukolwiek.

Wziął do ręki telefon i odszukał esemesa od księdza z klasztoru. Gdy się rozstawali, Wojda obiecał mu wysłać numer telefonu dziewczyny, która uciekła, a potem się odnalazła. Dziś niedziela, nie ma nic ciekawego do roboty, to może z nią przez chwilę pogadać. Wybrał numer i przyłożył aparat do ucha.

– Abonent jest czasowo wyłączony lub znajduje się poza zasięgiem.

Rozłączył się. W końcu są wakacje i dziewczyna mogła pojechać gdzieś nad jezioro albo w jakiegokolwiek inne miejsce, gdzie nie ma zasięgu. Wieczorem pewnie odbierze.

Rozdział IV

Ustroń

Poniedziałek, 12 czerwca

Godzina 8.30

– Co chciałeś ode mnie? – zapytał podkomisarz Henryk Jabłoński.

Stał w drzwiach do pokoju, gdzie urzędował Pilarski wraz z Marczakiem i jeszcze dwoma kolegami, którzy w tej chwili byli na patrolu w jakiejś bliżej nieokreślonej okolicy. Na jego rumianej twarzy o prostych i, zdawałoby się, nakreślonych grubą, solidną kreską rysach błąkał się lekki, szyderczy uśmieszek. Jabłoński wierzchem dłoni otarł łyse czoło, na którym pojawiły się kropelki potu. Widać było, że w weekend raczej nie wypoczął. Jak zwykle dość mocno zmęczyło go grillowanie, połączone z degustacją sporych ilości piwa.

– Pogadać – rzucił aspirant z niepewnością w głosie. Musiał zameldować szefowi, czego się dowiedział, ale problem polegał na tym, że dowiedział się tego wszystkiego w zasadzie samowolnie, bez jakiegokolwiek zgody. Owszem, miał od Okrasa informację, że trzeba pojechać do klasztoru, ale...

– Chcesz pogadać o tym zaginięciu? – Jabłoński domyślił się natychmiast.

Widać Okrasa już w sobotę zdążył zameldować szefowi, że Pilarski się wybrał do klasztoru. Sam z siebie by nie poszedł mu zameldować, a to znaczyło, że komisarz, snując się po komisariacie, musiał o Pilarskiego zapytać. I wtedy Okrasa wszystko wyjaśnił.

– No to chodź do mnie, to pogadamy. A ty się nie opierdalaj, tylko do roboty – rzucił pół żartem, pół serio do Marczaka.

Ten przeniósł spojrzenie z wyświetlacza komórki na szefa i się uśmiechnął.

– Poczte sprawdzam – odpowiedział z taką miną, że zamiast tych dwóch wypowiedzianych słów można by podstawić „wał się” i pasowałyby idealnie.

– A czemu w telefonie, a nie w komputerze? – szef wskazał na stojący na biurku monitor, który w momencie opuszczania fabryki komputerów dziesięć lat temu już był przestarzały.

– Bo nie ma internetu na kablu – mruknął Marczak, zirytowany tym przepytывaniem. Niezbyt cenił Jabłońskiego, uważał go za nieudacznika i do tego cymbała, który nie zna się na niczym.

Nie do końca było jasne, jak to się stało, że facet został cztery lata temu szefem posterunku w Ustroniu, bo jako policjant niczym się nie wyróżniał, a mimo to dostał samodzielne stanowisko. Mówiło się, że jego żona jest kuzynką lokalnego posła, a z kolei ten poseł jest blisko z kimś z resortu. To wszystko były tylko plotki, które rozeszły się wtedy, gdy pani Jabłońska po objęciu rządów przez nową władzę nagle ze zwykłej nauczycielki nauczania początkowego awansowała na dyrektorkę szkoły. Już rok później jej mąż został oddelegowany z komendy w Cieszynie na kursy oficerskie, aż w końcu, już jako podkomisarz, objął tutejszy komisariat.

– Czemu nie ma internetu? – zapytał podejrzliwie Jabłoński.

Marczak rozłożył ręce.

– Taki mamy klimat.

– Co, znowu się spierdoliło? – domyślił się kierownik.

– Najwyraźniej.

– To trzeba zadzwonić do naprawy.

– Dzwoniłem, powiedzieli, że sprawdzą zdalnie, czy się coś nie zawiesiło, zresetują, a jak to nic nie da, przyślą technika.

– To niech przysyłają, bo ja mam odebrać dzisiaj jeden list, ważny – rzucił Jabłoński i poszedł do siebie.

– Ciekawe, kto do niego napisał ważny list? – rzucił cicho Marczak do Pilarskiego, który przeciskał się między biurkami, podążając za szefem.

– Pewnie zawiadomienia ze słownika, że może odebrać aktualizację – odparł, uśmiechając się półgębkiem, i wyszedł na korytarz.

Jakiś czas temu Jabłoński odpowiedział na propozycję internetową zamieszczenia swojego biogramu w książce o sławnych Ślązakach. *Śląskie who is who* to komercyjne wydawnictwo, w którym za opłatą można umieścić notatkę ze zdjęciem na swój temat. Jabłoński napisał biogram, zapłacił za publikację i wysłał swój życiorys wzorowego policjanta i człowieka zasłużonego dla Śląska. Tyle że zamiast wysłać go bezpośrednio na adres redakcji, rozesłał na służbowe skrzynki do

wszystkich podwładnych. Nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego, gdyby nie jedno zdanie, które zapamiętali wszyscy policjanci w Ustroniu: „Zdaniem pracowników komisariatu jest doskonałym organizatorem i świetnym szefem, uważanym przez innych policjantów za wzór do naśladowania”.

Niestety, pracownicy komisariatu wiedzieli, że w tej wypowiedzi nie ma ani grama prawdy, a na posterunku nie znalazłaby się ani jedna osoba, która mogłaby się pod tym stwierdzeniem podpisać. No ale na treść biogramu nikt z nich nie miał najmniejszego wpływu. Ktoś nawet wysłał tę wiadomość dalej, do Cieszyna i do wojewódzkiej w Katowicach, ale przeszło to bez echa. Widać ci na górze zgodzali się z tym twierdzeniem.

– Zamknij drzwi i siadaj – rozwalony na swoim fotelu za biurkiem Jabłoński wskazał na krzesło stojące na środku pokoju. Pilarski złapał je i przysunął bliżej biurka, na wszelki wypadek skracając dystans. W końcu nie był przesłuchiwanym złoczyńcą, ale podwładnym, który przyszedł się poradzić swojego szefa w ważnej sprawie służbowej.

– No co tam żeś narozrabiał? – zaczął komendant niby rubasznie, ale aspirant znał go na tyle, by wiedzieć, że w tym pytaniu jest pułapka. Zawsze istniała możliwość, że ktoś się da w tak zastawione sieci złapać i przyzna się do czegoś. On nie miał niczego na sumieniu, więc tylko uśmiechnął się pod nosem.

– Byłem w tym klasztorze w Dzięgielowie, co tam im zginęła jedna zakonnica.

– No wiem, że tam pojechałeś. Meldował mi Okrasa, że tam byłeś. Tylko nie wiem po co, bo o ile mi wiadomo, to nic jeszcze nie znaleźliśmy i w zasadzie to oficjalnie nie ma śledztwa.

– Niby tak, ale Roman, to znaczy sierżant Okrasa, mnie prosił, że jak mam czas, to żeby tam podskoczył i zapytał, czy coś się wyjaśniło, i w ogóle.

– A co on taki pomysłowy? Co go obchodzi zaginiona zakonnica, jak ona nawet nie jest zaginiona?

– No zwyczajnie, chyba się martwi.

– Niech on się martwi wykrywalnością na naszym terenie.

– To jemu właśnie o tę wykrywalność chodzi. Jakby ona była zaginiona i by się znalazła...

– A się znalazła?

– No, zasadniczo chyba tak.

– Jak to? To czemu nie mówisz od razu? Ty ją znalazłeś?

Pilarski pokręcił głową.

– Zasadniczo to nikt. Sama się znalazła.

– Jak to sama?

– No, ten ksiądz, co tu u nas zgłaszał jej zaginięcie, mówił, że ona zadzwoniła i powiedziała, że jest znaleziona, to znaczy, że jest w swoim domu, gdzieś we Wronkach.

– A mamy oficjalne zgłoszenie zaginięcia? – zainteresował się Jabłoński.

Aspirant wzruszył ramionami.

– No jest wpis, jak dyżurny tego księdza przyjmował, ale nic więcej.

– Aha, to już coś – komendant uśmiechnął się chytrze. – Dobra, zróbmy tak, że oficjalnie przyjmujemy zgłoszenie na podstawie notatki. Wpiszesz do protokołu rozmowę z księdzem i z kim tam jeszcze gadałeś jako zebrane informacje i zadzwonisz do tej dziewczyny, zapytasz ją, czy żyje i czy wszystko w porządku, i będziemy mieć na koncie odnalezienie zaginionej. Kiedy zgłaszali? W zeszłym tygodniu, a dziś ją odnajdziemy, to znaczy, że przez tydzień sprawę rozwiązaliśmy. No to bardzo dobrze, bardzo dobrze.

Zadowolony zatarł ręce, uśmiechając się przy tym, jakby wykrył co najmniej sprawcę kradzieży roweru.

– No co tak siedzisz...

– Kiedy jest jeszcze coś.

– Że niby co?

– Jak byłem w tym Dziegielowie, trochę się rozejrzałem po okolicy i wyszło mi, że ta dziewczyna, jak uciekała z tego klasztoru, to znaczy ta zakonnica, to musiała pobiec ścieżką do lasu. To poszedłem tam, gdzie mogła biec, i znalazłem but.

– But? – Jabłoński spojrział na podkomendnego jak na wariata. – No i co z tego, że but znalazłeś?

– To nowy sneakers, całkiem niezniszczony, damski, i właśnie...

– Ty weź se tego buta do domu albo poszukaj drugiego i daj żonie, jak to jest nowy but, a może na Allegro dokupi drugiego za pół ceny? Co mnie obchodzi jakiś but? Znalazła się dziewczyna, to może ją zapytaj, czy nie zgubiła tego buta. Coś takiego! – z niedowierzaniem pokręcił głową. – Znalazł but. Nie, nie wierzę. Ja pierdzielę!

– Nikt raczej nie wyrzuca jednego nowego buta – spróbował zawalczyć Pilarski.

Jabłoński machnął ręką, jakby oganiał się od muchy.

– Daj już spokój. Idź, otwórz sprawę i ją zamknij.

– To może jeszcze trzeba by tam pojechać? – zapytał aspirant.

– A po cholere?

– Można by uzupełnić dane, mamy tylko jej datę urodzenia. Nawet PESEL-u brak. No i mógłbym jeszcze wypytać jakąś siostrę. Będzie więcej zeznań, to tym lepiej, że niby tyle w sprawie zrobiliśmy. A siostry wszystkie są na miejscu, to się je przesłucha, spisze i akta będą wyglądały ładnie.

– A ty wiesz, że możesz mieć rację. Nic to nie zaszkodzi, a wyglądać będzie rzeczywiście treściwiej. To weź ze sobą Okrasę. Przesłuchajcie tam kilka tych pingwinów i dołączcie zeznania do akt. A potem dzwońcie do tej zaginionej i niech powie, czemu uciekła i była zaginiona przez kilka dni. Żeby to padło w protokole. Bo to dowód na to, że było zaginięcie, a my zrobiliśmy wszystko, żeby ją odnaleźć.

– No dobra. To my pojedziemy zaraz.

– Tak, tak będzie najlepiej, jak pojedziecie od razu, bo nie ma na co czekać. Sprawa musi być zamknięta jak najszybciej i jutro rano teczkę poproszę na moje biurko.

Powiedziawszy to, postukał palcem w blat. Zaraz jednak przestał stukać, bo trafił palcem na kałużę rozlanej herbaty. Rozmazał więc ciecz, ale za dużo tego było, żeby mogło wyschnąć od razu, więc sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej pomietą chusteczkę jednorazową, po czym rozłożył ją na mokrym.

– No, co tak siedzisz, możesz już zasuwać – pomachał ręką na znak, że audjencja skończona.

Pilarski wyszedł na korytarz, nie zamykając za sobą drzwi. Komendant lubił, gdy były szeroko otwarte, bo dzięki temu widział, co się dzieje na posterunku, a często i słyszał, o czym mówią podwładni.

– Marczak! – zawołał, gdy tylko został sam w pokoju. – Marczak, co z tym pierdolonym internetem, bo czekam na list!

– Technik przyjdzie w południe – odkrzyknął aspirant.

– To jak mam odebrać pocztę, do cholery?

– A z telefonu? – odpowiedział podwładny.

– Przecież nie ma internetu! – zdziwił się komendant.

– Telefon ma swój – wyjaśnił Marczak.

– Coś takiego... – zdumiony Jabłoński wziął do ręki telefon i spróbował otworzyć skrzynkę.

Rzeczywiście, udało się.

Co więcej, był list z redakcji *Śląskie who is who*, słownika zasłużonych Ślązaków. Szybko przeczytał krótki tekst i zaklął pod nosem. Pisali mu, że aktualizacja jego danych na nowy, dwudziesty czwarty rok wymaga opłaty w wysokości dwóch tysięcy złotych. Ale była też dobra nowina. Tę kwotę można rozłożyć na dziesięć rat z niewielkim oprocentowaniem. Od razu wybrał drugą opcję.

Dwie stówki na miesiąc to w końcu nie jest dużo za miejsce w historii.

Ustroń Godzina 10.20

Po śniadaniu wyszły na spacer. Matylda stwierdziła, że naradę operacyjną muszą zrobić w jakimś nierzucającym się w oczy miejscu. Weszły więc do pierwszego kawiarnianego ogródka, należącego do budki sprzedającej kebaby.

– No to w zasadzie z czym mamy do czynienia? – zapytała Alina.

– Myślę, że to jest uprowadzenie – stwierdziła Matylda, spoglądając na zdjęcie przedstawiające Magdę obok Dżesiki. – Czy myślisz, że babka ważąca jakieś sto kilo, wzrost około stu sześćdziesięciu centymetrów, poszłaby na wycieczkę w góry i spadła w przepaść? – zadała pytanie, ale odpowiedź była przecież jasna.

Magda nie wyglądała na osobę, która przyjeżdża w góry dla atrakcji, jakie oferują szlaki turystyczne. To raczej jedna z tych kuracjuszek, które chodzą tylko na spacer wokół pensjonatu, a wyprawa do centrum miejscowości to już poważny wysiłek. Podejmuje się go tylko w razie najwyższej konieczności, takiej jak na przykład spotkanie w kawiarni na lodach.

– I dlatego podejrzewam, że nie ma mowy, żeby ona spadła w jakąś przepaść. Zresztą tu nie ma przepaści. Te góry to w zasadzie wyższe pagórki – wskazała na okno, za którym nie widać było gór, ale górską miejscowość.

Zresztą widok i tak nie miał znaczenia. Obie kobiety zgadzały się, że Beskid Śląski to nie Alpy i zaginięcie na szlaku spacerowym w środku lata,

bez żadnej gwałtownej zmiany pogody, jest praktycznie niemożliwe.

Alina pochyliła się nad telefonem leżącym na stoliku. Zmarszczyła czoło, zmrużyła lekko oczy, ale to na niewiele się zdało. Musiała jednak sięgnąć do torebki i wydobyć z niej okulary. Założywszy je, spojrzała jeszcze raz. Tym razem efekt był znacznie bardziej satysfakcjonujący. Zdjęcie widać było doskonale.

– No, nie wygląda na chuchro – stwierdziła była kapitan.

– Marcin mówi, że jest, powiedzmy, dość dobrze zbudowana i do tego jeszcze piecze świetne ciasto bezowe.

– Tak? A jakie bezowe? Bo ja lubię najbardziej to kajmakowe. Ale ono jest pracochłonne. Zwykły torcik bezowy jest prostszy w robocie. Ale najbardziej prosto jest zwykłe bezy zrobić. Ja bardzo lubię bezy i jakbym wiedziała, jaki to przepis...

– Ja nie o ciastach teraz, tylko o zaginionej – przywołała ją do porządku Matylda.

– Prawda, ale jak mówisz o bezach, to mi się od razu zachciało. Może byśmy skoczyły dziś na bezy? Bo tu, w tym bistro, to raczej nie mają ciastek – spojrzała na budkę, w której przygotowywano hamburgery.

– Najpierw robota, pani kapitan – Matylda nie lubiła rozmieniać się na drobne. Pracę traktowała niezwykle poważnie, nawet jeśli była to robota nieoficjalna i w trakcie urlopu. – Potem będziemy myśleć o ciastkach i o koniaczku.

– Prawda, zostało jeszcze sporo na dzisiaj – przypomniała Alina. Wczoraj osuszyły prawie pół flaszki, ale że obie miały doświadczenie w degustacji dobrych trunków, żadna nie czuła się kiepsko po niezwykle przyjemnym wieczorze.

– To wieczorkiem dokończymy, ale teraz trzeba by ustalić...

– A tę drugą to ja znam – Alina weszła jej w słowo. Uradowana wskazała palcem na twarz Dżesiki. – Ja już ją gdzieś widziałam. Dokładnie nie pamiętam, ale na sto procent ją znam. To chyba lekarka. Ale nie pamiętam, z której przychodni. Widziałam ją na pewno w poczekalni, ale gdzie to było? No widzisz, Matyldziu, człowiek się starzeje i pamięć już nie ta co dawniej. A kiedyś potrafiłam cały kodeks karny na pamięć wykuć przed egzaminem, żeby nie było, że jestem nieprzygotowana, a teraz to nawet sobie takiej ładnej buźki nie mogę przypomnieć.

– Widziałas ją na pewno u dentysty – stwierdziła Matylda, uśmiechając się z politowaniem.

Sięgnęła po papierosa i zapaliła go. Wczoraj ustaliły, że w ich pokoju można palić. Alina co prawda nie używała tytoniu od lat, ale twierdziła, że dym jej nie przeszkadza, a wręcz przeciwnie, dzięki niemu może wrócić wspomnieniami do dawnych dobrych czasów, kiedy paliło się w pomieszczeniach szkoły milicyjnej, we wszystkich, z wyjątkiem sal wykładowych.

– No prawda, już pamiętam, u dentysty. A skąd wiesz? Byłaś w Pile u naszego dentysty? Ta doktorka co prawda mnie nie leczyła, ale musiałam ją tam widzieć, jak przechodziła...

– Jak wisiąca.

– Nie, u nas żadna lekarka się nie powiesiła.

– Ją powiesili. Wisi na plakatach i reklamuje swoim uśmiechem pastę do zębów.

– No coś takiego... To rzeczywiście ona na tej reklamie pokazuje białe zęby. A ja myślałam, że to dentystka. Ale ja głupia jestem! – Alina zaśmiała się głośno.

– Widać reklama się udała, skoro w twojej świadomości się utrwaliło to dziewczuszyko jako lekarka. Ale co tam. Dość na jej temat, mamy ważniejsze sprawy na głowie.

– Ale że to gwiazda reklamy... Ty, widzę, też ją znasz. No ale co się dziwić, przecież jesteś z Warszawy, to jednak co innego niż moja Piła. Tam aktorzy, gwiazdy estrady i piosenkarki. A ja raz byłam na koncercie Jerzego Połomskiego, no i kiedyś pojechałam do Poznania na występ Eleni. Pięknie śpiewała, a ty musisz takich słynnych ludzi widzieć na co dzień.

– Zdarza się, ale niezbyt często – Matylda skinęła na kelnerkę, by podeszła.

Trzeba było zamówić kawę, zanim wezmą się do poważnej śledczej pracy. Rano, po zjedzeniu śniadania, obie panie wyszły do miasta, żeby pospacerować dla zdrowia, a do tego jeszcze omówić wszystkie kwestie związane z ich śledztwem oraz ustalić szczegółowy plan działania. Teraz dochodzenie, które prowadziła Matylda, stało się sprawą prowadzoną przez obie były milicjantki. Była pani pułkownik postanowiła dopuścić swoją współlokatorkę do tajemnicy, dochodząc do wniosku, że może przydać się jej fachowa pomoc. Co prawda Alina była milicjantką bez doświadczenia śledczego, ale w końcu należała do ludzi, którym sprawy kryminalne nie były obce. Przez całe życie zawodowe stykała się z milicjantami z różnych komisariatów i posterunków, więc siłą rzeczy miała większą wiedzę na

temat śledztw kryminalnych niż jakakolwiek kuracjuszka z ich sanatorium. Zresztą Matyllda nie miała zamiaru szukać innej fachowej pomocy. Nadarzyła się okazja, więc ją wykorzysta, wiedząc z doświadczenia, że wsparcie może być przydatne. Tym bardziej że Alina, usłyszawszy o zaginionej ciotce, natychmiast zaoferowała swoje usługi.

– Ja może nie brałam udziału w śledztwach, ale mój mąż owszem. Bo po kilku latach pracy w szkole milicyjnej przeszedł do komendy wojewódzkiej w Pile, do pionu dochodzeniowo-śledczego. Wie pani, tam były trochę większe pieniądze niż w szkole, a my mieliśmy dwójkę dzieci, więc wydatki były.

Matyllda rozumiała to doskonale. Na etacie nauczycielskim milicyjny wuefista zarabiał dobrze, ale nie było mowy o nadgodzinach, dodatkowych dyżurach i innych możliwościach dorobienia, jakie dawała służba w Komendzie Wojewódzkiej, zwłaszcza w pionie dochodzeniowo-śledczym.

– No a poza tym czytam bardzo dużo powieści kryminalnych, pani pułkownik.

– Pani kapitan, myślę, że jako koleżanki z firmy nie powinniśmy mówić do siebie na „pani”. Jestem Matyllda – wyciągnęła rękę do Aliny, a ta uścisnęła ją mocno, uśmiechając się radośnie. – A tak w ogóle to ja też czytam kryminały.

– Kryminały to książki, które mają do powiedzenia więcej o życiu niż wszystkie romansidła czy jakieś bajki z akcją w kosmosie – stwierdziła była nauczycielka. – Ja w zasadzie wychowałam się na kryminałach. Czytałam w młodości Edigeya i Zeydlera-Zborowskiego, a z kobiet to bardzo lubiłam Helenę Sekułę, jeszcze w latach siedemdziesiątych.

– Klasyka – Matyllda z uznaniem pokiwała głową. – Czytało się wtedy, a teraz też czytam sporo kryminałów. Jak się człowiek za młodu nauczył, to już jest kupiony na zawsze. A wracając do naszego śledztwa, musimy podzielić się robotą.

– Ja mogę coś wysledzić – zaproponowała Alina, która o śledzeniu czegokolwiek nie miała pojęcia.

No ale w końcu naczytała się kryminałów, więc Matyllda pomyślała, że może jej powierzyć niezbyt skomplikowane zadanie.

– Pójdiesz na komisariat policji i rozpytasz o swoją kuzynkę.

– Jaką kuzynkę?

– Jak to jaką? Kochana, Magda to twoja kuzynka.

– Nie, to nie jest... A, już rozumiem – Alina w końcu się domyśliła. – Rozumiem, że mam narobić rabanu, że niby moja kuzynka zniknęła, i dlaczego jej nie szukają. O to właśnie chodzi?

– Dokładnie! – potwierdziła Matylda. – Niech ci powiedzą, co ustalili. Ale nie przyznawaj się, broń Boże, że prowadzimy śledztwo. Do bycia milicjantką też lepiej się nie przyznawaj, bo to wiesz, na komendach różni ludzie siedzą i nie wszyscy mają szacunek do tego, co robiłyśmy w przeszłości.

– Wiem, jest sporo takich, co to sobie wyobrażają, że w milicji pracowaliśmy po to, żeby wsadzać do więzienia opozycję i księży.

– Mnie się zdarzyło kilku wsadzić.

– Opozycjonistów?

– Nie, klechów. Ale nigdy za politykę, tylko za sprawy kryminalne – przypomniała sobie Matylda. – Jednego nawet w dwudziestym pierwszym roku.

– Jak to? – Alina spojrzała na nią z niedowierzaniem. – Przecież wtedy... Chyba już byłaś na emeryturze?

– Byłam na wakacjach w Ustroniu Morskim i tam jeden ksiądz... ⁶ Ale to opowieść na wieczór, a nie na teraz. Opowiem ci o tym później. A teraz to co, jak wypijemy kawę...

– Dobrze, już ja im namieszam na tym posterunku. Ale jak tam trafić? Przecież ja nie mam mapy.

– Masz w telefonie.

– Tak? – Alina była autentycznie zdumiona. – Ale gdzie tego szukać? W zdjęciach?

Matylda spojrzała na koleżankę z politowaniem.

– Zaraz ci pokażę. Daj telefon.

Była kapitan wydobyła z torebki smartfon i podała go szefowej akcji. Ta szybko weszła w internet, wpisała: policja Ustroń, i po chwili wyznaczyła trasę. Okazało się, że do posterunku z ogródka, w którym siedziały, jest niedaleko.

– Musisz iść tą ulicą, Daszyńskiego, która dalej przechodzi w 3 Maja, cały czas prosto – wskazała na odchodzącą od ryneczku szeroką aleję, porośniętą drzewami. – To pięćset metrów stąd. Po lewej stronie jest posterunek policji. Ta strzałka ci będzie pokazywać na mapie, gdzie aktualnie jesteś – pokazała wszystko na wyświetlaczu Matylda. – Trafisz tam?

– Ależ oczywiście. Będę szła tak długo, aż nie upadnę. A ty co będziesz robić w tym czasie? – zapytała pani kapitan.

– Ja poszukam jakiegoś miłego księdza – stwierdziła Matylda i uśmiechnęła się radośnie.

Lubiła dysputy z księżmi, szczególnie na tematy światopoglądowe, w których mało któremu dyskutantowi, broniącemu niepodważalnych doktryn i prawd objawionych, udawało się zdobyć nad nią przewagę. Właściwie było to niemożliwe, bo Matylda, w odróżnieniu od swoich duchownych interlokutorów, posiadała gruntowną wiedzę na temat religii, a oni dysponowali tylko wiarą, i to nie zawsze żarliwą.

Warszawa Godzina 11.15

Gdybym wiedział, że tak to będzie wszystko wyglądało, powiedziałbym Wojtkowi, żeby się wypchał i sam robił tę pieprzoną reklamę. Człowiek ma w końcu określoną wytrzymałość psychiczną, a poza tym nie powinien pracować w warunkach szkodliwych dla zdrowia. A te, jak się okazało, od samego rana były nie tylko szkodliwe, można by o nich śmiało powiedzieć, że są zabójcze.

Ale gdy przyjechaliśmy na parking pod telewizją, nic nie zapowiadało katastrofy. Zaparkowałem samochód, który musiałem tu zostawić na przechowanie przez kilka najbliższych dni, i ze środka wyciągnąłem komplet moich pięknych czerwonych walizek. A właściwie dwie trzecie kompletu, bo zabraliśmy tylko tę największą, do której wrzuciliśmy wszystkie ciuchy, i małą, w którą Kama spakowała swoje rzeczy na przebranie, kosmetyki i jakieś batoniki do podgryzania po drodze. W sumie nie zajmowaliśmy dużo miejsca. Najwięcej miejsca zabierają graty telewizyjne, czyli kamera, światła, statywy i wszystko to, co jest niezbędne do nakręcenia reklamy, a nasze bagaże zazwyczaj bez trudu dawało się upchać.

– Gdzie masz swojego błękitnego szerszenia? – zapytałem Wasyla, naszego operatora i jednocześnie niemęczącego towarzysza naszych telewizyjnych wypraw. Wasyl odzywał się z rzadka i nawet wtedy bardzo oszczędnie korzystał ze swojego zasobu słów.

– Tym razem mamy nowe vito do przetestowania – zawołał Wasyl, wskazując na czerwonego vana, oklejonego reklamą wody Góralka.

– Skąd mamy taką furę? – zapytała Kama, ściskając dłoń kolegi.

– Wojtek załatwił – wyjaśnił, nie wdając się w szczegóły.

Wiadomo, że Wojtek ma jakieś możliwości i układy, a skoro wysyła nas na zdjęcia, to znaczy, że musimy jechać w godziwych warunkach. Jak widać, połączył przyjemne z pożytecznym i samochód będzie też reklamował naszą robotę zdjęciami przedstawiającymi butelki z wodą.

Kama podeszła do burty, złożyła ręce na brzuchu i obrzuciła spojrzeniem krzykliwą reklamę.

– Lepszy taki z reklamą niż żaden – skomentowałem, spoglądając na zdjęcie przedstawiające górski krajobraz.

– Niedługo pewnie zamiast tych butelek pojawi się twarz Dżesi – wycedziła, a potem zrobiła słodką minę. – Nie sądzisz, Miśku, że to będzie świetne?

– Klient płaci, klient wymaga – odpowiedziałem sentencjonalnie.

Miała rację, jeśli reklama się uda i odniesie rynkowy sukces, to Dżesi wkrótce będzie patrzeć na nas z każdego billboardu.

Co na to poradzić! Zleceniodawca sobie ją zażyczył, a my mamy zrobić spot. I co najważniejsze, musimy tę pracę wykonać jak najlepiej.

– A może by tak ją ubrać w strój góralski? – zapytała Kama, cały czas przyglądając się naklejkom na aucie.

– W strój góralki? – wolałem dopytać, o co jej chodzi, bo miewała odjazdowe pomysły.

– Nie – pokręciła głową zdecydowanie. – W taki, no wiesz, strój Janosika. Pamiętasz ten serial *Janosik* z Markiem Perepeczko w roli głównej?

– Oczywiście, że pamiętam – jak miałbym nie pamiętać. Przecież byłem wielbicielem peerelowskich seriali, a *Janosika* oglądałem przynajmniej kilka razy.

– Chodzi mi o to, żeby ubrać ją jak Perepeczkę, w białą, luźną koszulę, czapkę harnasia, dać jej do ręki ciupagę, do tego czerwone portki i kierpce.

– No nie, Kama. Przecież to jest męski strój. Tak się ubierali zbójnicy. Góralki chodziły w białych koszulach i kwiecistych spódnicach.

– Ale jej pasowałyby czerwone portki herszta rozbójników. Ona jest przecież zwykłym bandziorem, takim moralnym rozbójnikiem. Ukradła ci

mieszkanie. To zbójnictwo wysokiej klasy. Poziom wyższy niż kradzież w sklepie.

– Co cię ugryzło? Przecież nic na to w tej chwili nie poradzę – odwróciłem się i poszedłem po walizki.

Wasył otworzył tylne drzwi i robił miejsce dla naszych bagaży. Podszedłem i z zadowoleniem zauważyłem, że pomimo tych wszystkich filmowych szpejów, kaset na kamery, obiektywy, tub na statywy, i tak jest tu dużo miejsca.

– Można by tu spokojnie upakować jeszcze ze dwie osoby – zauważyłem i klepnałem Wasyla w ramię.

Chłop coś bąknął pod nosem, takie niby „no” albo „tia”, co mogło znaczyć, że się ze mną zgadza...

– Jeszcze ze dwie osoby – powtórzyłem cicho i naraz przyszła mi do głowy pewna myśl, która sprawiła, że poczułem coś w rodzaju niepokoju.

To chyba taki rodzaj lęku pierwotnego, odziedziczonego jeszcze po naszych przodkach mieszkających w jaskiniach. Gdy wyczuwali niebezpieczeństwo, nadciągający kataklizm albo atak szablozębnych bestii, natychmiast uciekali do swoich kryjówek i czekali, aż zło się oddali. Drapieżniki nie dawały jednak za wygraną, nadchodziły, pożerały kilku człekokształtnych i odchodziły zadowolone. Dopiero wejście na wyższy poziom rozwoju sprawiło, że pierwotni ludzie wystrugali sobie włócznie, dzięki którym mogli odgonić krwiożercze bestie i uratować życie.

Ja jeszcze nie czułem potrzeby chowania się przez czymś lub przed kimś, bo nie wiedziałem, o co chodzi, nie mówiąc o posiadaniu jakiegokolwiek, nawet najbardziej prymitywnej broni... Naraz przypomniała mi się wczorajsza rozmowa w mieszkaniu Dżesi... Zaraz, nie w jej, tylko w moim mieszkaniu. Ona tylko tam chwilowo przebywa.

Byłem u niej, to znaczy u siebie, po te cholerne walizki, zabrałem je i już chciałem wyjść, gdy Dżesika zastąpiła mi drogę.

– Powiedz mi, Miśku, kiedy ty jedziesz do tego Ustronia?

– No ja jadę w zasadzie to kiedy? Jutro jadę. Mamy jak najszybciej uruchomić produkcję.

– Aha. A czym jedziesz?

– Nie wiem, chyba tym gratem Wasyla. Najczęściej jeździmy na zdjęcia jego rozklekotaną furą.

– Rozklekotaną? – zapytała i wydeła wargi. – A czemu on ma rozklekotaną furę?

– A bo ja wiem? Może dlatego, że nie kupił sobie niczego nowego, a ta jego stara toyota wystarcza mu całkowicie.

– A ile tam jest miejsc? – zapytała, a ja, głupek, w końcu zrozumiałem, o co jej chodzi.

– Nie, to bardzo ciasny samochód. Jak się zabierze wszystkie graty, no wiesz, kamera i to, co potrzebne do robienia zdjęć, to walizki z rzeczami trzeba kłaść pod nogi. A raz jechaliśmy do Krakowa z walizkami na kolanach, tak było ciasno.

– To kiepski ma ten samochód.

– Na Wasyla i na naszą dwójkę, to znaczy Kamę i mnie, to ledwo wystarcza – rzuciłem, mając nadzieję, że to całkowicie ostudzi zapał Dżesi do podróżowania z nami.

Bo przecież o to właśnie chodziło. Wymyśliła sobie, że mogłaby się z nami zabrać. Ale na szczęście przedstawiłem jej wszystkie minusy jeżdżenia samochodem Wasyla, mając nadzieję, że to kończy temat.

No i nagle teraz zobaczyłem na parkingu tego mercedesa. Oczywiście auto mnie ucieszyło, tak samo jak fakt, że Wojtek zadbał o nasz komfort. Ale w pierwszej chwili nie pomyślałem nawet, że to wcale nie chodzi o naszą wygodę. No tak, jestem zwyczajnie niedomyślny, a poza tym naiwny. Jeśli ktoś wam coś daje za darmo, to zastanówcie się dwa razy, dlaczego to robi. Jeśli ktoś wam oferuje komfortowy samochód na wyjazd do Ustronia, to pamiętajcie, że za tym musi się kryć...

– Dżesi – jęknąłem na jej widok, gdy tuż przy naszym mercedesie vito zatrzymała się taksówka.

Ze środka wyskoczył kierowca w kaszkiecie w kratkę, pobiegł do tyłu i otworzył drzwi. Ze środka wyszła ona, kobieta totalna katastrofa i moje dawne zauroczenie, Dżesika we własnej osobie. Ubrana w różowy dres, przyozdobiony na ramionach jakimiś cekinami czy połyskującymi szkiełkami, różową bejsbolówkę i białe adidas na koturnie, które od razu skojarzyły mi się z kopytkami zabawkowego little pony. Zresztą jej jasne długie włosy, sięgające do pasa, upięte były w koński ogon, wychodzący przez wywietrznik czapki pod paskiem do regulacji rozmiaru, który jak

zwykle musiał być zapięty bardzo ciasno, bo wszystkie takie czapeczki są dla niej za duże.

– O, ja pierdołę – rzuciła Kama.

Przez moment miałem wrażenie, że zasłabnie i padnie na ziemię. Ale na szczęście jest twardą zawodniczką. Wytrzymała i nawet się nie zachwiała. Spojrzałem na nią przepaszająco, ale ona chyba wyczuła, że nie ma w tym wszystkim mojej winy. Nie uczestniczyłem w tej intrydze i nie miałem nic wspólnego z kreacją Dżesi. Za to mógł mieć coś na ten temat do powiedzenia szczupły facet, który wysiadł z taksówki, ogolony na zero, za to z brodą i wąsami godnymi prawdziwego drwala. Zresztą jego strój świadczył o tym, że mężczyzna musiał być zafascynowany życiem amerykańskich pionierów. Na białą koszulkę nałożył flanelową kraciastą koszulkę, do tego zwykle, przetarte na kolanach dżinsy. No i kowbojskie buty na obcasach. Ale nie takie, jakie znacie z westernów. One by się jeszcze broniły, tymczasem ten gość miał kowbojki z ażurowymi cholewkami, żeby się noga przypadkiem nie spociła. Muszę przyznać, że wiele w życiu widziałem, ale te buty zrobiły na mnie szczególne wrażenie. Brakowało tylko kapelusza z dużym rondem i poncza na wypadek nagłej zmiany pogody. Nie doceniłem gościa. Pochylił się, zaglądając do wnętrza taksówki, i po chwili wyciągnął stamtąd plecak turystyczny i kapelusz, czarny, westernowy, taki jak nosił Clint Eastwood w filmie *Unforgiven*.

– Cześć wszystkim! – rzuciła Dżesi na widok naszych głupich min. – Wiem, że się cieszyacie, że z wami jedziemy, też nie mogłam się doczekać tego wyjazdu i dlatego załatwiłam tego vana. – Wskazała na nowego mercedesa, o którego zorganizowanie posądziałem jeszcze przed chwilą naszego producenta. To nie była jego robota. Przeceniłem człowieka.

– To Łuki załatwił. Mówię wam, umie wszystko załatwić, co nie, Łuki? – powiedziała z nieskrywaną dumą.

Łysy gość założył kapelusz, przewiesił plecak przez ramię i podszedł do Kamy. Wyciągnął do niej rękę, a ona podała mu swoją.

– Bednarek jestem. Mów mi Łuki, kochana. A ty jesteś Marcin, nie? – zapytał, spoglądając na mnie z zaciekawieniem.

Pokiwałem głową. Cały czas nie mogłem wyjść z szoku.

– Dzięki ci, stary. Kicia dużo dobrego o tobie mówiła. Szkoda, że musieliście się rozstać, ale cóż... Fajny z ciebie gość, że pozwoliłeś nam mieszkać w swojej chacie. Ale nie martw się, już niedługo się wynosimy –

z rozmachem klepnął mnie w ramię. – We wrześnie moja nora będzie gotowa i wtedy zabieram Kicię i spadamy do mnie. Nie, Kiciu?

Odwrócił się do Dżesiki, a ta klasnęła w dłonie.

– No ale chyba nie będziemy tak stać, co nie? – spytała rozpromieniona. – Jedziemy do tego Ustronia Morskiego czy nie?

– Uszczypnij mnie, to się nie dzieje naprawdę – powiedziała cicho Kama, a ja tylko pokręciłem głową.

Niestety, to nie były ćwiczenia i miałem przeczucie graniczące z pewnością, że kłopoty dopiero się zaczynają.

Ustron Godzina 12.10

Alina Makowska lubiła wyzwania. A szczególnie takie, które niosły ze sobą odrobinę emocji. Niestety, na co dzień nie miała z nimi wcale do czynienia. No chyba że za emocjonujące wyzwanie uznać oglądanie wyścigów motocyklowych na stadionie w Pile. Od lat działał tam klub żużlowy, któremu powodziło się raz lepiej, raz gorzej, w zależności od tego, jaka aktualnie firma była sponsorem. Teraz miało być podobno lepiej i niedługo pilscy żużlowcy powalczą o czołowe miejsce w ekstraklasie. Na razie walczyli, podobnie jak Alina Makowska, która za każdym razem, gdy odbywały się zawody żużlowe, musiała zamykać wszystkie okna w jej mieszkaniu na siódmym piętrze, bo te wychodziły akurat na ten stadion. Mogła więc, gdyby zechciała, obserwować zawody na żywo z dużego pokoju. Ale nie chciała, bo jej żużel nie interesował, choć miała z nim do czynienia od lat siedemdziesiątych kilka razy w miesiącu. W dawnych czasach jej mąż, gdy jeszcze żył, pasjonował się żużlem i chodził na stadion kibicować pilskiej drużynie. Alina w tym czasie zamykała szczelnie okna, żeby hałas nie przeszkadzał jej w oglądaniu telewizji i przygotowywaniu obiadu.

Po latach walki z hałasem okazało się, że okna już są dość mocno zużyte i nieszczelne, więc ryk silników motocykli stawał się coraz bardziej uciążliwy. Dlatego Alina w końcu nie wytrzymała i zwróciła się do klubu o wymianę okien, bo niedługo umrze od tego hałasu, choć tak naprawdę wcale nie wierzyła, że jej interwencja przyniesie jakiś skutek. Jakież było jej zdziwienie, gdy któregoś dnia zapukał do jej drzwi przedstawiciel klubu.

Mężczyzna przyprowadził ze sobą rzeczoznawcę, a ten po oględzinach stwierdził, że okna są tak stare i zniszczone, że trzeba je wymienić. No i klub wymienił na nowe, plastikowe i szczelne.

Od tego momentu problem hałasu skończył się definitywnie, choć nie skończył się kontakt Aliny z żużlem. W ramach dodatkowego zadośćuczynienia klub ofiarował jej roczny karnet na mecze rozgrywane w Pile. Oczywiście nie miała zamiaru chodzić na żużel, bo ją nie interesował, a poza tym ten hałas, z którym walczyła przez całe życie, wydawał się jej nie do zniesienia. Ale miała jednak ten karnet, którego ogromną zaletą był fakt, że nie musiała za niego płacić. No a jak już się dostaje coś za darmo, to warto choć spróbować, myślała, patrząc na kartonik. W końcu nie wytrzymała i w kolejną niedzielę poszła na zawody. O dziwo, bardzo jej się spodobały te wyścigi. Tak bardzo, że następnym razem też poszła. No i w ten sposób wykorzystwała cały karnet, a na nowy sezon kupiła sobie sama bilet na wszystkie mecze. Od dwóch lat była kibicką piłkarskiej drużyny, do tego stopnia, że zastanawiała się nawet, czy aby nie jeździć na mecze w innych miastach. Na razie jednak jedyne wyjazdy, na które sobie pozwalała, to te do sanatorium. Jeździła więc do Ustronia latem i do Kołobrzegu zimą. Ale żaden z dotychczasowych turnusów nie przyniósł jej tyle emocji co ten obecny. Jeszcze się dobrze nie zaczął, a już prowadziła śledztwo prawie że policyjne, w którym stawką był los zaginionej kobiety. Jej imię i nazwisko znała już na pamięć, podobnie jak ten warszawski adres, pod którym mieszkała Magdalena Kurzyńska. Chodziło o to, żeby w razie jakichś pytań ze strony policji mogła uchodzić za jej krewną, zatroskaną losem zaginionej.

Zanim poszła na policję, jej nowa, przewidująca wszystko koleżanka, pani pułkownik Matylda, zadzwoniła do pensjonatu Źródełko, czy aby przypadkiem zaginiona się nie odnalazła. Skoro nie było po niej śladu, można przypuścić atak na komendę policji.

Budynek przy ulicy 3 Maja znalazła bez trudu. Trzeba było co prawda przejść jakiś kilometr, żeby do niego dojść z centrum Ustronia, ale to nie było dla niej żadne wyzwanie. Alina dbała o kondycję fizyczną i spacerowała, nawet dość długie, odbywała niemal codziennie.

Weszła do budynku i skierowała się do okienka w biurze przepustek. Wiedziała z doświadczenia, że z policjantami, szczególnie tymi młodymi, trzeba ostro, żeby nie dać się zapędzić w kozi róg.

– Chciałabym rozmawiać z oficerem – powiedziała, gdy sierżant o szczupłej twarzy, przyozdobionej rudawą brodą, spojrzął na nią pytająco. Nie zapytał o nic, nie powiedział „dzień dobry”, tylko patrzył, czekając, aż ona coś powie. No to usłyszał:

– To jest tu jakiś oficer czy nie?

Dyżurny wzruszył ramionami. Wiedział, jak postępować z namolnymi interesantami. „Tak trzeba to robić, żeby sobie petent nie myślał, że jest kimś ważnym”, wyjaśniał mu jakiś czas temu starszy kolega, aspirant Marczak, a sierżant Okrasa był pojętnym uczniem, więc zapamiętywał i stosował w praktyce dobre rady, olewając petentów. Na jego nieszczęście ta interesantka sama mogłaby poprowadzić szkolenie z asertywności urzędniczej.

– A oficer to po co? – rzucił Okrasa.

– Jak będziesz oficerem, to się dowiesz – odparła interesantka.

– Oficera nie ma.

– To go zawołaj.

– Nie ma i nie będzie. Niech pani mówi, o co chodzi.

– Powiem, jak będzie oficer.

– Nie ma. Komendant jest w terenie – wyjaśnił w końcu chłopak. – Niech pani przyjdzie później.

Alina uśmiechnęła się półgębkiem, a potem postukała palcem w szybę, jakby chciała postukać prosto w sierżanckie czoło.

– Posłuchaj mnie, chłopcze, nie po to drałowałam przez całe miasto na ten wygwizdów, żeby nie porozmawiać z kimś ważnym. Wybacz, ale na razie z tym złamanym petem nie jesteś jeszcze na tyle kompetentny, żebym przedstawiała ci sprawę, z którą przyszłam, bo wpiszesz ją do książki – wskazała na leżący przed nim zeszyt – a potem o wszystkim zapomnisz i dalej nigdzie to nie pójdzie. No więc wiesz już, że muszę pogadać z kimś wyżej sierżanta. Czyli jak nie ma oficera, może być w ostateczności szaszłyk.

Okrasa otworzył usta ze zdumienia. Nie, jej pewny siebie ton wcale nie zrobił na nim wrażenia. Tacy przemądrzali zdarzali się ciągle i zdążyli się do nich przyzwyczaić. Jego zdumiało coś innego. Ta starsza pani mówiła jak prawdziwa policjantka. Nie powiedziała, że ma coś wspólnego z policją, ale zdradziła się kilkoma słowami. Takich wyrażen jak „złamany pet” czy „szaszłyk” używali w rozmowach między sobą tylko ludzie z firmy.

– Pani jest... policjantką? – zapytał niepewnie Okrasa.

Alina zrobiła wielkie oczy.

– Ja? Ja jestem emerytką – odpowiedziała z godnością.

– Tak, jasne, rozumiem. Tylko pytam, czy zanim poszła pani na emeryturę, to pracowała pani w policji?

Skąd ten gówniarz mógł to wiedzieć? Przecież nie wygląda na jej ucznia. To znaczy, wygląda jak ci wszyscy, których uczyła w szkole, ale zdecydowanie jest za młody. Odeszła z policji w dziewięćdziesiątym szóstym roku, więc ten tu sierżant, wyglądający na dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat, na pewno nie mógł się załapać na szkolenie w jej sali wykładowej. Więc skąd wie, że była w policji? Czyżby się czymś zdradziła? Nie, to niemożliwe. Przecież tak bardzo uważała, żeby w żaden sposób nie dać do zrozumienia, że coś wie na temat służby. Mówiła ostrożnie, ale stanowczo, nie korzystając ze swojej rozległej przecież wiedzy policyjnej.

– Gdzie pracowałam, to pracowałam, a tobie nic do tego. Wał po szaszłyka i uważaj na zakrętach.

Sierżant podniósł się z krzesła. Nie było co dalej się wypytywać. Ton, sposób wydawania poleceń, a do tego ten szaszłyk, wszystko to upewniło go, że to może być osoba ustosunkowana. Przecież pierwsza lepsza emerytka nie mogła wiedzieć, że wszyscy podoficerowie z gwiazdkami przebitymi kreską nazywani są w policyjnym żargonie „szaszłykami”. Każdy aspirant jest „szaszłykiem”, a młodszy podoficerowie mają na belkach „pety”, które w jego wypadku są już od pół roku złamane.

– Pani poczeka może na krzeselku – wskazał rząd plastikowych siedzisk pod ścianą. – Zaraz go poproszę.

Powiedziawszy to, Okrasa wyszedł ze swojej kanciapy.

Alina usiadła na krześle. Była z siebie zadowolona, choć jeszcze nic nie załatwiła. Najważniejsze, że zrobiła odpowiednie wrażenie na tym policjancie i ten potraktował ją nie jak przybłędę, ale osobę godną szacunku. Tylko skąd wie, u licha, że ona ma coś wspólnego z policją? Tego za nic nie potrafiła rozgryźć.

Drzwi do poczekalni otworzyły się i do środka wszedł wysoki, mierzący ponad metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowany policjant, wyglądający na jakieś trzydzieści lat. Podeszedł do niej, zaszalutował do daszka bejsbolówki, uśmiechając się sympatycznie.

– Pozwoli pani się zameldować, aspirant Marczak Jaromir. Z kim mam przyjemność?

– Komisarz Alina Makowska z Piły – przedstawiła się, a potem zakryła dłonią usta.

Przypomniała sobie, że miała występować incognito, a tymczasem od razu przyznała się do swojej policyjno-milicyjnej przeszłości. Jak mogła dać się tak podejść i wszystko wypaplać. Matylda nie będzie zadowolona. Nie, nie nadaje się na wywiadowcę. Działanie z ukrycia to nie jej styl. Chyba pani pułkownik zbyt wiele od niej wymagała.

– Cholera, nie chciałam mówić, że pracowałam w firmie. W każdym razie pracowałam, już nie pracuję. Jestem w chwili obecnej w stanie spoczynku, czyli na emeryturze.

– Praca w firmie to nie jest jeszcze grzech, pani komisarz – stwierdził aspirant. – Zapraszam do nas, do środka. Przecież emerytowanej funkcjonariuszki nie będziemy przyjmować jak petentki. Proszę bardzo, z czym pani do nas przychodzi? – otworzył drzwi i puścił ją przodem. Po chwili siedzieli w zagraconym pokoju, w którym stały cztery biurka, zavalone stertami papierów.

– Mam sprawę dotyczącą mojej znajomej... to znaczy takiej dalekiej krewnej, co się nazywa...

Cały czas pamiętała nazwisko zaginionej kobiety, a jak przyszło co do czego, naraz okazało się, że w głowie ma kompletną pustkę. Za nic nie mogła sobie przypomnieć tego nazwiska. Zaczęła więc szukać telefonu, w którym miała esemesa od Matyldy, ale aparat też się zapodział.

– Cholera, niech to dunder świśnie! – rzuciła swoim ulubionym przekleństwem, a aspirant roześmiał się głośno.

– Z czego pan się śmieje?

– Pani komisarz, dzięki pani przypomniałem sobie moje młode lata. „Niech to dunder świśnie” mówiła moja babcia, jak się zdenerwowała. Piękne przekleństwo.

– A, chrzanić to – rzuciła Alina. – Miałam zgłosić zaginięcie jednej kuzynki, ale zapomniałam, jak ona się nazywa. I chyba zapomniałam też telefonu. A tam miałam zapisane wszystko.

– To zaginięcie to już ktoś do nas wcześniej zgłaszał? – zapytał policjant, uśmiechając się z wyrozumiałością.

– Tak, ona zaginęła kilka dni temu, wyszła z pensjonatu Źródółko i nie wróciła.

– Niejaka Kurzyńska Magda z Warszawy. Tak, to ja przyjmowałem zgłoszenie z pensjonatu o jej zaginięciu. Szukamy jej.

– Nie znalazła się?

– Nie, jak dotąd nie. Sądzymy, że pojechała dokądś i być może zapomniała dokąd. Kłopoty z pamięcią, rozumie pani...

Pokiwała głową. To akurat wiedziała bardzo dobrze. Od kilku lat ma napady pustki w głowie. Tak jak teraz.

Rozejrzała się wokół zdumiona, że siedzi w jakimś nieznanym sobie miejscu, a potem zapytała policjanta:

– Kolego chorąży, nie wiecie czasem, co ja tu robię?

Policjant spojrział na nią uważnie. Była policjantka błędziła po pokoju rozkojarzonym wzrokiem. Wyglądała na kompletnie zagubioną. Wiedział, co to znaczy. Jego babcia też miała demencję i zdarzały się jej utraty kontaktu z rzeczywistością.

Okolice Częstochowy Godzina 14.30

Myślałem, że oszaleję. Ta droga to był jakiś koszmar. Nie dość, że musieliśmy co chwilę stawać na sikanie, to jeszcze przez cały czas Dżesi umilała nam ten wspólny czas opowieściami z wybiegu i z ostatnich dwóch sesji zdjęciowych. Nie, wcale nie opowiadała nam tych historii, ale rozmawiała z Łukim i to jemu opowiadała, co się wydarzyło w jej bogatym życiu w ostatnich dniach. Najprawdopodobniej się nie widzieli przez kilka dni i teraz nadrabiali okres, w którym nie mogli wymieniać się spostrzeżeniami na aktualne tematy. A dokładniej to Dżesi mówiła, a facet słuchał. Musiałem przyznać, że gość ma anielską cierpliwość, bo potakiwał, potwierdzał i uśmiechał się, a gdy trzeba było, zadawał jakieś pomocnicze pytania, i tak ta rozmowa się toczyła. Ja na szczęście nie uczestniczyłem w tym jednostronnym dialogu, bo od razu, zaraz gdy tylko rozsiadłem się w samochodzie na tylnej kanapie, poprosiłem, żeby nikt mi nie przeszkadzał, gdyż zamierzam przez drogę napisać kawałek scenariusza naszego klipu. Dżesi znała mnie trochę i wiedziała, że wciąganie mnie w jakiegokolwiek rozmowy w momencie, gdy pracuję, jest raczej mało skuteczne, więc z tej strony miałem spokój. Kama, która usiadła obok mnie, też wyciągnęła laptop, twierdząc, że musi popracować, tyle że nad kosztami

produkcji. Nie sądziłem, aby to była prawda, bo w kwestiach kosztorysów była perfekcjonistką i potrafiła rozliczyć każdą złotówkę oraz znaleźć przeznaczenie dla każdej niezagospodarowanej. Powątpiewałem więc, czy akurat teraz musi się brać do tych obliczeń, ale doskonale rozumiałem, że każda wymówka, by nie uczestniczyć w seansie fundowanym nam przez Dżesikę, będzie dobrym rozwiązaniem. Przy czym Kama była znacznie lepiej wyposażona ode mnie, bo miała porządne, profesjonalne słuchawki. Założyła je na uszy, włączyła sobie muzykę i odcięła się w ten sposób od otoczenia. Ja, przez moje słuchaweczki, niestety słyszałem gadającą Dżesi.

– I wyobraź sobie, Łuki, że ta beznadziejna Vika, co nogami fika, hi, hi, to ona postanowiła, że zostanie aktorką. Czujesz to, ona aktorką. Ale najlepsze jest to, że od razu chce zagrać jakąś główną rolę. Rozumiesz, he?

– No rozumiem.

– Bo ona poznała jakiegoś gostka, co robi seriale, takie reality sryty dla Channel-8.

– Yhym.

– No więc ta fikająca nogami Vika, a mówiłam ci, czemu mówimy, że nogami fika? Nie mówiłam ci, no coś ty! To słuchaj, chodzi o to, że jak na jednym afterku, po naszym pokazie w hotelu Forum, był ten gość w złotej marynarce, z tego zespołu, no wiesz, co to występowali na Sylwestrze Marzeń w zeszłym roku, razem z Zenkiem Martyniukiem, nie wiem, jak się ten zespół nazywa, ale oni śpiewają tę piosenkę, taki przebój, że coś tam, coś tam, „twoje usta to rozpusta, w twoje uda wejść się uda, twoje nogi do podłogi...”.

– Brow Bar Boys.

– No właśnie, masz rację. A ten w marynarce to jak się nazywa?

– Czapman, czyli człowiek w czapce.

– No, to on właśnie. Miał nawet tę swoją czapkę z piórkiem na tej imprezce i jak wszedł tam z tymi swoimi bojsami, to zobaczył Vikę i mówi: „O, jest moja Vika, co nogami fika”. To ktoś się pyta, czemu Vika niby nogami fika, a on mówi, że ją wyciągnął z jakiejś knajpy w Grójcu czy gdzieś, bo ona tam fikała na rurze, a on ją zabrał do siebie i fikała na jego koncertach. No wiesz, on śpiewa, ci dwaj jego goście w złotych marynarkach też śpiewają i kręcą się za nim, a za nimi pięć takich pańienek, co się wyginają i fikają nogami. I Vika, zanim przyszła do nas, to fikała dla niego. Vika, co nogami fika, hi, hi! Dobrze, nie?

– Dobre – zgodził się z nią kolejny raz Łuki, a ja pomyślałem, że on ma naprawdę do niej sporo cierpliwości.

Jednak kiedyś, jak się do mnie wprowadziła, to nie gadała tyle. Oznaczało to, że po latach kariery modelki zwyczajnie się wyrobiła i przede wszystkim otworzyła na świat. Całe szczęście, że nie była taka otwarta, gdy mieszkaliśmy razem, bo niechybnie musiałbym ją w jakiś skuteczny sposób uciszać.

– A ty, Wasyl, słyszałeś ten zespół Bar coś tam Boys? – zapytała naszego operatora i kierowcę zarazem, ale nie wiedziała, że to nie jest zawodnik z jej ligi.

Wasyl jednak potrafił znokautować każdą gadułę celną odpowiedzią.

– Nie – rzucił, wpatrzony w drogę przed sobą.

– Nie słyszałeś? Łuki, słyszałeś, on nie słyszał. Puścić ci? Mogę się połączyć z radiem.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo słucham Bee Gees.

Rzeczywiście z radia leciała składanka braci Gibbów.

– Aha. I nie chcesz posłuchać?

– Nie.

– Co za ludzie, słyszysz, Łuki, ci za mną się odcięli słuchawkami, ten Wasyl słucha jakichś bidżisów, a mi się chce sikać. Wasyl, muszę do ubikacji. Poza tym chce mi się jeść. Jest tu jakiś McDonald?

– Za dziesięć kilometrów – odpowiedział Wasyl.

– Kiciu, chcesz jeść w maku? – zapytał Łuki.

– Nie chcę jeść w maku. Chcę, żebyś mi tylko kupił hamburgera bez kotleta, samą bułkę z ogórkiem...

Zabij ją – zobaczyłem wiadomość, która przyszła do mnie na Messengerze. Od Kamy.

Za co? – odpisałem.

Za to jej gadanie.

Niech ją teraz zabija ten Łuki. Ja już nie muszę się nią przejmować.

Jak ty mogłeś z nią tyle wytrzymać? Przecież ona jest potworem.

Na szczęście przejrzałem na oczy i wymieniłem ją na lepszy model 😊 😊 😊

W mi kotlet.

Jaki?

Ten, co zostanie po jej hamburgerze.

Kupię ci hamburgera i frytki.

I colę, za moralne cierpienia 😊

Uśmiechnąłem się w myślach.

Coś znalazłam.

Co?

Artykuł. Przeczytaj.

Przesłała mi link.

Już chciałem otworzyć, ale zorientowałem się, że Wasyl zjeżdża na parking. Po chwili byliśmy pod barem. Gdy tylko auto się zatrzymało, Dżesi otworzyła drzwi i pobiegła do toalety, przypomniawszy swojemu facetowi, co chce do jedzenia.

– Chce ktoś coś z maka? – zapytał Łuki.

– Pójdę z tobą i coś wybiorę. Wasyl, chcesz coś?

– Jak zwykle – rzucił operator, który jada w tej knajpie zawsze to samo.

Kama została w samochodzie, bo Wasyl też musiał iść do kibelka. Zawsze tak robimy, że na parkingu zostaje jedna osoba na wszelki wypadek. Bo w końcu bagażnik jest wypełniony po brzegi drogim sprzętem, który szkoda by było stracić. Człowiek w samochodzie to lepsza ochrona niż najlepszy alarm.

Podeszliśmy do ekranu samoobsługowego.

– Weźmiemy na jeden rachunek – powiedział Łuki.

– No ale wiesz, mamy z Wasylem do podziału, znaczy bierzemy na jeden rachunek, ale potem się liczymy – zacząłem tłumaczyć zawilosci naszych wspólnych rozliczeń, o których facet nie miał zielonego pojęcia.

Zawsze jest tak, że płacę za całą ekipę swoją kartą, a paragon oddaję Kamie, która wprowadza posiłki do naszych kosztów i wpisuje pod jakąś pozycją, typu koszty reprezentacyjne. W końcu musimy jakoś się żywić na zdjęciach. A gdy do tego dojdzie nam jeszcze Dżesi ze swoim półhamburgerem i Łuki, to się nie doliczymy i będzie...

– Bierz, co chcesz, chłopie – klepnął mnie w ramię. – Ja płacę.

– Jak to? – zdziwiłem się taką hojnością, która przekraczała moje wyobrażenie na temat stawiania ludziom jedzenia. Pochodzę z Poznania, a tam nie szasta się pieniędzmi. Tymczasem Łuki proponował mi wyżerkę stulecia w barze przy drodze. Bo skoro dają za darmo, trzeba wziąć, ile się da. W końcu nie wiadomo, kiedy trafi się kolejna okazja. Zamówiłem więc trzy zestawy z hamburgerami, z dodatkowymi nuggetsami, po dwanaście na głowę, rozszerzone o trzy wieśmaki. Jak szaleć, to szaleć. Okazało się, że Łuki dołożył jeszcze czwarty taki zestaw.

– A miałeś dla Dżesi wziąć bułkę z ogórkiem – przypomniałem mu.

Wzruszył ramionami.

– Przecież mi nie sprzedadzą samej bułki. Kupuję jakiegokolwiek hamburgera, zjadam mięso, a w środek wciskam jej keczup. Ona to uwielbia.

– Nie wiedziałem.

– Nie kupowałeś jej żarcia w maku? – był autentycznie zdumiony. Ale zaraz sobie coś przypomniał:

– No tak, mówiła mi, że nigdy wcześniej nie jadła w tej knajpie, dopóki jej nie zabrałem.

Podsumowałem zamówienie, sprawdziłem, czy wszystko się zgadza, a Łuki zapłacił.

– Dzięki – powiedziałem, gdy usiedliśmy przy stole, czekając, aż nam zapakują jedzenie.

– E, nie ma za co. Przecież i tak wszystko wrzucę w koszty – stwierdził nasz chwilowy żywiciel.

– A, rozumiem, masz firmę – stwierdziłem, chwając się swoją domyślnością. – A jaka branża? – spytałem, choć wcale nie byłem zainteresowany.

Gość mnie nie bardzo interesował. Może tylko z jakiejś resztki troski o Dżesi zapytałem, bo dobrze by było, żeby nie był to facet, który ją oskubie. W końcu dziewczyna sporo zarobi za chwilę za siedzenie nad brzegiem Wisły i szczyrzenie zębów, a ten koleś nie wiadomo skąd się wziął przy niej i jakie ma zamiary.

– Branża wodna.

– Aha – rzuciłem obojętnym tonem. – Wodna.

To może jest ratownikiem na basenie, a może pracuje w wodociągach miejskich? Nie, raczej jest hydraulikiem. No tak, przyszedł do niej facet naprawić kran i ją wykorzystał. Ale że ona się zadaje z facetem od przetykania rur?

– Tak, dziś w branży hydraulicznej brakuje fachowców. Większość wyjechała do Francji.

Przypomniał mi się hydraulik z francuskich plakatów, ale gdy popatrzyłem na Łukiego, zrozumiałem, że chyba nie trafiłem.

Facet podrapał się po brodzie, a potem uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy białych zębów. Pomyślałem, że to muszą być implanty, bo zbyt ładne, zbyt białe i zbyt równe. Ale po tym, co powiedział, zrozumiałem, że mogły być naturalne, doskonale utrzymane i świetnie leczone przez najlepszych dentystów.

– Nie, hydraulika to nie. Nie znam się na tym. Ja leję wodę do butelek. Mam firmę produkującą wodę. Myślałem, że twój producent ci powiedział, że ode mnie macie to auto, hotel, no i robotę.

Chciałem coś powiedzieć, ale Łuki klepnął mnie w ramię.

– Jest nasze zamówienie – pokazał na ladę, za którą stała niska, okrągłolica dziewczyna w czapeczce firmowej z firmowym uśmiechem na twarzy.

Zabraliśmy torby i poszliśmy do auta. Rozdzieliłem szybko jedzenie, Łuki przyrządził kanapkę dla Dżesi, a ja odciągnąłem na bok Kamę, wskazując ławkę obok śmietnika.

– Zwariowałaś, nie będę jeść w tym syfie.

Rzeczywiście nie było tu najczystiej. Kubeł był otwarty, resztki po jedzeniu zalegały na chodniku.

– Nie, ja ci tylko chciałem powiedzieć, że ten Łuki to jest...

– No, wysłałam ci przecież artykuł o nim. Rekin biznesu z Ustronia, właściciel wytwórni wody mineralnej i w ogóle. Miałeś przeczytać.

– Nie zdążyłem. To znaczy, że wiedziałaś?

- No wiesz, od pół godziny. Godzinę go namierzałam, ale się udało.
- Postawił nam żarcie.
- Ludzki pan – podsumowała Kama. – Możemy już iść jeść?
- Pewnie – zgodziłem się.
- A ten drugi artykuł widziałeś? – zapytała niespodziewanie.
- Jaki? Nie, nie widziałem.
- O zaginionych turystkach. Dwie w ciągu trzech miesięcy. Rozpłynęły się jak Magda. Były i ich nie ma.
- Gdzie? Może to coś podobnego do tego, co się zdarzyło w Ustroniu – stwierdziłem, czując lekkie zainteresowanie.
- Marcin, słyszysz, co mówię? Te dwie turystki czy wczasowiczki zniknęły w Ustroniu w zeszłym roku zimą, w grudniu. Do teraz ich nie znaleźli...
- O w mordę! – naraz zrozumiałem, że skoro zaginęły dwie kobiety, to zaginięcie trzeciej wcale nie musi być przypadkiem. Takie zbiegi okoliczności w zasadzie się nie zdarzają.
- Masz dla mnie colę? – usłyszałem pytanie głośno wypowiedziane przez Dżesi i pomyślałem, że skoro trzy turystki tam zaginęły, to zawsze jest szansa, że wkrótce dołączy do nich czwarta.

Rozdział V

Ustroń

Godzina 13.10

W kościele panował przyjemny chłód. Matylda była zdeklarowaną ateistką, jednak od czasu do czasu lubiła wejść do kościoła, by w spokoju i ciszy pomyśleć o sprawach, które warte są głębszej refleksji. Niewielki kościół pod wezwaniem świętego Klemensa z zewnątrz sprawiał porządne wrażenie. Niewielka, klasycystyczna budowla pochodziła z końca osiemnastego wieku i kiedyś była kaplicą sierocińca jezuickiego. Matylda z zainteresowaniem przeczytała o tym w internecie. Miała taki zwyczaj, że gdy pojawiała się w jakimś interesującym miejscu, zaraz sprawdzała informacje na ten temat w wyszukiwarce swojego telefonu. Niewiele ich było tym razem, ale te, które znalazła, całkowicie ją usatysfakcjonowały. Chciała jeszcze sprawdzić tego świętego Klemensa, bo zdawało jej się, że to jakiś zamęczony za wiarę papież. Nie zdążyła, bo jej uwagę zwróciła leżąca krzyżem na kościelnej posadzce zakonnica w szarym habicie z białym kołnierzem i w białym welonie na głowie. Kobieta musiała być bardzo skupiona na czynności leżenia i rozmowie ze Stwórcą, jej ciało bowiem zastygło w bezruchu. Matylda wbiła w nią spojrzenie pełne prawdziwego podziwu. Było w tej postaci coś z hinduskiego fakira. Leżenie czy nawet siedzenie nieruchomo to prawdziwa sztuka. Gdy patrzyła na zakonnice, dwa razy poprawiła włosy, podrapała się po brodzie, a potem po uchu, i po chwili poczuła, że swędzi ją stopa, więc zaczęła się zastanawiać, czy zdjąć adidas. Gdy zaswędziała ją skóra na łopatce, Matylda zdała sobie sprawę, że to wszystko przez zakonnice. Jej ciało dawało do zrozumienia, żeby czasem nie próbowała brać przykładu z kobiety w habicie. Nie nadaje się do tego rodzaju poświęceń w imię wiary.

Naraz dało się słyszeć szybkie kroki i do leżącej zakownicy podszedł ksiądz, który wyszedł właśnie z zakrystii. Miał ascetyczną twarz i oczy skryte za szklami przyciemnianych okularów. Szczupły na oko mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w leżącą postać, a potem spojrzął w kierunku

ołtarza, którego centralne miejsce wypełniał obraz ukazujący jakiegoś świętego, zapewne patrona kościoła. Ksiądz przez chwilę spoglądał na oblicze męczennika, potem się przeżegnał, by na koniec wyciągnąć oskarżycielsko palec w kierunku leżącej kobiety.

– Wstań i wynoś się stąd! – powiedział ostrym głosem inkwizytora.

Nie było reakcji.

– Powtarzam ci, opuść to święte miejsce! – rzucił, tym razem głośniejszym głosem.

Zakonnica poruszyła się, jakby ją ktoś wyrwał ze snu. Potem znów znieruchomiała, jakby dopiero w tej chwili dotarły do niej słowa księdza, po czym powoli uniosła się, opierając na łokciach.

– Czego chcesz, diable? – spytała cicho.

Matylda, która siedziała zaledwie pięć metrów od niej, dobrze usłyszała ostatnie słowo. Choć przez sekundę musiała się zastanowić, czy rzeczywiście padło. Jednakże ksiądz zaraz rozwiązał jej wątpliwości.

– Diable, do mnie? Ty nieczysta wywłoko! Precz z mojego kościoła!

– Kościół nie jest ani twój, ani mój. Kościół należy do Pana – odparła, wstając z pewnym trudem.

Matylda dostrzegła teraz jej twarz. Siostra była osobą, która zbliżała się do wieku emerytalnego. Być może była rówieśnicą księdza, który przy tej pulchnej i rumianej kobiecie wyglądał jak jesienna gruszka, zasuszona na zimowym drzewie.

– Nie mam zamiaru z tobą dyskutować! – wysyczał duchowny.

Naraz jakby sobie o czymś przypomniał. Rozejrzał się. Jego spojrzenie na moment zatrzymało się na Matyldzie. Była w tej chwili jedyną osobą oddającą się modlitewnej kontemplacji. Widać nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia, bo odwrócił głowę. Zakonnica stała wyprostowana, twarzą do ołtarza.

– Nikt ci nie każe dyskutować. Idź do zakrystii i zajmij się tym, co lubisz najbardziej na świecie, popijaniem, ty przesiąknięty winem mszalnym gąbczasty jamochłonie.

– Ty załgana sekutnico, niech cię diabli wezmą na swoje widły.

– Prędeż utopisz się w swoich wymiotach, moczomordo.

– Precz stąd, czarownico! – zawołał wyraźnie rozzłoszczony. Widać kobieta trafiła w jego czuły punkt.

Zakonnica odwróciła się i powoli, z godnością, zaczęła iść środkiem nawy w kierunku kruchty. Naraz przystanąła i odwróciła się.

– Jeśli ja jestem czarownicą, to jak nazwać ciebie, klecho? Jesteś wcielonym diabłem.

– Milcz, ścierwo! Stoisz przed obliczem Pana w Jego domu.

– Przed Jego obliczem staniesz prędzej, niż myślisz! – powiedziała z godnością i ruszyła przed siebie. Na moment jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Matyldy. Siostra uśmiechnęła się lekko i poszła dalej.

Ksiądz odwrócił się do ołtarza, zrobił znak krzyża, a potem opadł na kolana, dokładnie w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą leżała krzyżem zakonnica.

Gdy drzwi za kobietą się zamknęły, Matylda wstała z ławki i poszła do wyjścia. Nie musiała specjalnie się spieszyć. Gdy tylko wyszła z budynku, zobaczyła szarą suknię. Siostra stała na chodniku przed kościołem, jakby zastanawiając się, dokąd iść. Ale przecież jest tutejsza, więc nie musiała szukać drogi. Skoro zna ją miejscowy ksiądz, z uwagi na wiek wyglądający na proboszcza, oznaczało to, że zakonnica bywała wcześniej w tym kościele. Wiedziała więc, jak tu się dostać i jak stąd wrócić. Matylda pomyślała, że być może teraz próbuje odreagować tę kłótnię. Ksiądz nazwał ją czarownicą, a do tego użył jeszcze kilku niewybrednych epitetów. Matylda musiała przyznać, że kłótnia w świątyni prezentowała jednak dość wysoki poziom, a określenia, których używała para adwersarzy, można było uznać za obelgi z wyższej półki. Mimo że oboje dopiekli sobie do żywego, nie padło w trakcie tej wymiany ciosów ani jedno wulgarne słowo, co trzeba uznać za nie lada wyczyn w kraju, w którym słowo „kurwa” jest najczęściej używanym epitetem, przecinkiem i kropką. Matylda musiała przyznać, że to niecodzienne wydarzenie tak ją zaintrygowało, że nie byłaby sobą, gdyby nie spróbowała dowiedzieć się czegoś więcej. Podeszła do zakonnicy.

Ta wydawała się na nią czekać. Być może dostrzegłszy Matyldę w kościele, zdała sobie sprawę, że trzeba by z tą kobietą pogadać i może coś wyjaśnić.

– Pewnie panią to zdziwiło – powiedziała, gdy Matylda podeszła.

– Niecodziennie widzi się taką scenę.

– Nie odgrywaliśmy jej ku uciesze gawiedzi – odpowiedziała szybko.

– Ja jestem tylko przypadkowym widzem. Wcale nie miałam zamiaru słuchać.

– Proszę nam wybaczyć. Zakłóciliśmy pani spokój w Domu Bożym. Rozmowa z Panem powinna odbywać się w ciszy i skupieniu, tymczasem

my wdarliśmy się w sam środek pani obcowania z Ojcem.

– Dopiero weszłam. Nie zdążyłam się jeszcze pomodlić – oznajmiła Matylda. – Poza tym, o ile zrozumiałam, to nie siostra stała za całym zdarzeniem. To ten ksiądz.

– Tak, ksiądz Wiktor to specyficzny duchowny. Mówią, że jest charyzmatycznym duszpasterzem. Ale ja wiem swoje. To nie żadna charyzma, tylko zwykła gburowatość człowieka, któremu nie udało się życie.

– Jak to? Przecież chyba się tu spełnia jako... Jest tu proboszczem?

Zakonnica pokiwała głową.

– To proboszcz, który tu został karnie przeniesiony.

– Za picie? – domyśliła się Matylda.

– Ja tego nie powiedziałam – odparła siostra, ale jej lekki uśmiech był ewidentnym potwierdzeniem.

– A ja się tego nie domyśliłam.

– Miał wielkie plany. Był nawet przez dwa lata w Rzymie, jeszcze za czasów naszego Ojca Świętego. Po powrocie ścieżka kariery stała przed nim otworem, ale niestety wybrał uciechy stołu, a nie prostą drogę posługi kapłańskiej. I skończył w tym kościółku na prowincji.

– Ustroń to prowincja? – zdziwiła się była milicjantka. – Przecież to znany w całej Polsce kurort.

– Zależy, jak tę prowincję definiujemy. To miasteczko na końcu Polski, w którym większość ludzi to kuracjusze, niezwiązani w żaden sposób z parafią i niemający zamiaru dbać o jej dostatek. Co gorsza, większość mieszkańców Ustronia to protestanci. Katolickiego księdza przyjmuje się tylko w niektórych domach, a na niedzielną mszę przychodzi garstka wiernych. To nie jest przyjemna sytuacja...

– To dlatego proboszcz pije? – domyśliła się Matylda.

– To dlatego nie przestał pić, nawet gdy wysłano go na odwyk.

– Od dawna go siostra zna?

– Mam wrażenie, że przez całe swoje życie. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, ale dziś, jak pani widziała, nie możemy nawet obok siebie się pomodlić.

– On żywi do siostry jakąś urazę.

– Jego całe życie to kolekcja zranionych wspomnień. Tyle że nie potrafi zrozumieć, że te rany wzięły się w jego sercu, bo sam je sobie zadał. Tymczasem obarcza o ich zadanie innych ludzi. Między innymi mnie.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska – powiedziała Matylda, dostrzegłszy, że w oczach zakonnicy pojawiły się łzy. Matylda wyciągnęła paczkę chusteczek i podała jej jedną.

– Dziękuję – kobieta wytarła oczy. – Idę w kierunku centrum. Przejdziemy się razem? – zaproponowała.

– Nie mam nic lepszego do roboty – stwierdziła Matylda. – Z przyjemnością się przejdę. Widzę, że siostra ma dużą wiedzę na temat specyfiki tej miejscowości. Chętnie posłucham o tym, o czym nie ma mowy w przewodnikach. To bardzo ciekawe, co siostra powiedziała o miejscowej różnorodności.

– Nie jestem skarbnicą wiedzy na ten temat – zastrzegła zakonnica.

– Ale jako wierna Kościoła katolickiego ma siostra pewnie swoją opinię na temat życia obok siebie protestantów i katolików.

– Opinię jak najbardziej. Jednak muszę panią rozczarować. Nie jestem katoliczką. Dokładniej rzecz ujmując, już nie jestem. Od kilkunastu lat należę do zakonu, który zerwał więzi z Kościołem katolickim.

Matylda obrzuciła zakonnice uważnym spojrzeniem. Siostra nienależąca do Kościoła katolickiego? O czymś takim jeszcze nie słyszała.

To musi być coś niezwykle intrygującego. Nie mogła przegapić takiej okazji, musiała się wszystkiego na ten temat dowiedzieć.

Ruszyły wolnym krokiem w kierunku centrum Ustronia.

Ustroń Godzina 14.30

– Na pewno nie chcecie mieszkać u nas? – zapytał Łuki.

W zasadzie muszę przyznać, że facet robił całkiem sympatyczne wrażenie. Nie był jakimś bufonem, któremu nadmiar gotówki zawrócił w głowie. Sprawiał całkiem normalne wrażenie i zachowywał się też normalnie. Nienormalne było tylko to, że zadaje się z Dżesi. Bo kto normalny by...

No tak, zaraz, prawda, że jeszcze niedawno także ja patrzyłem w nią jak w obrazek i nikt nie był mi w stanie powiedzieć na jej temat niczego złego. Mimo że przecież zarówno moja przyszywana babcia Matylda, jak i moja

najbliższa przyjaciółka z pracy Kama przejrzały ją od razu. Zwracały mi uwagę na różne szczegóły, na jej wysoki i przeróżne fanaberie. Ale ja zbywałem ich argumenty, tłumacząc im jej zachowanie jako całkowicie racjonalne, a ich spostrzeżenia brałem za wyraz niczym nieuzasadnionej niechęci. Ale na szczęście moje zaślepienie przeszło, gdy moja dziewczyna zadzwoniła do mnie i powiedziała mi, że powinniśmy sobie zrobić przerwę, i dlatego muszę opuścić moje mieszkanie. Wtedy po raz pierwszy jej prośba sprawiła, że mnie najzwyczajniej w świecie zamurowało. Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale ona wiedziała.

– No wiesz, tak będzie najlepiej i dla ciebie, i dla mnie. Nie rób, proszę, scen, bo jesteś za mądry, żeby się zachowywać jak zwykły prostak. W końcu jesteśmy ludźmi na pewnym poziomie, a to chyba zobowiązuje.

– Dżesi, ty naprawdę tego nie rozumiesz? To jest moje mieszkanie, które spłacam każdego miesiąca i będę to robił jeszcze, jak dobrze pójdzie, przez piętnaście lat. Więc jeśli ktoś miałby się wyprowadzać, to nie ja, a ty.

– Tak myślisz, hę? To znaczy, że mnie chcesz wyrzucić z domu?

– Nie chcę, ale...

– Rozumiem, już mnie nie kochasz. Chcesz mnie wyrzucić na ulicę. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam?

Nie wiedziałem, co takiego dotąd dla mnie zrobiła. Jedno jest pewne, zagnieżdżyła się w moim życiu, a potem mnie z niego wyrzuciła, bez mieszkania. Na szczęście ten koszmar się wreszcie skończył, i to za sprawą tego Łukiego. Facet obiecał mi w końcu, że niedługo się wyniosą. No a tacy ludzie, biznesmeni obracający milionami, chyba nie rzucają słów na wiatr. No i muszę przyznać, że dobrze mnie do siebie usposobił, płacąc za posiłek w maku.

– Wiesz, mamy już rezerwację w pensjonacie Źródełko, więc zostaniemy u siebie, a wy jedźcie do...

– Mam tu taki skromny dom w Ustroniu. Może nie ma wielkich wygód, ale chyba trochę lepiej niż w takim pensjonaciku.

– Łuki tylko tak mówi, ale on ma tutaj zajebiaszczą willę na zboczu góry – wtrąciła się Dżesi. – Łuki mówi, że tam jest jakby luksusowo.

– Sorry, Łuki, ale wiesz, lepiej zostaniemy tutaj – Kama wskazała na niewielki budynek za naszymi plecami.

Łuki jeszcze raz obrzucił kwaterę krytycznym spojrzeniem i w końcu wzruszył ramionami.

– Dobra, zostańcie tutaj. Ja zadzwonię do mojego biura i niech przejmą waszą rezerwację w Źródełku. Mam nadzieję, że jeszcze nie płaciliście?

Obróciłem się do Kamy, bo to ona zawsze zajmuje się tymi kwestiami.

– Nie, miałam zapłacić dopiero przy zameldowaniu.

– A, dobrze, to chodźmy do środka, zapłacę od razu. A rezerwację dla was w moim hotelu anuluję.

Kama pokiwała głową i ruszyła przodem, a Łuki poszedł za nią. Ja zabrałem się do wypakowywania naszych rzeczy. Samochód musiał być pusty, bo Wasyl miał odwieźć Dżesi i Łukiego do ich ekskluzywnego hotelu, w którym nie mieliśmy zamiaru mieszkać.

Szczerze powiedziawszy, miałem to wszystko w nosie, ale Kama była nieugięta. Gdy podczas śniadania, wtedy pod tym McDonalodem, usłyszała, że nasz sponsor ma dla nas pokoje w jakimś domu, zakomunikowała mi, że nie ma zamiaru mieszkać pod jednym dachem z Dżesiką.

– Powiedz mu, że dziękujemy i że jedziemy do swojego pensjonatu – poleciła mi tonem nieznoszącym sprzeciwu. Rzadko kiedy mówi w sposób tak kategoryczny, dlatego zrozumiałem, że to nie jest kwestia podlegająca negocjacji.

– No wiadomo – zgodziłem się. – Przecież to Źródełko wynajęliśmy w pewnym celu. To tam mieszkała przecież ciotka Magda, więc w ten sposób byliśmy bliżej centrum wydarzeń.

Ale zrobiłem to w nie najlepszym momencie, bo przecież to miejsce w pewien sposób wiązało się z Dżesiką. No może nie do końca z nią samą, ale z jej ciotką. Tyle że chyba Kamie nie robiło to różnicy. Dżesika zdominowała cały nasz wyjazd i było jasne, że im szybciej się ze sprawą reklamy uporamy, tym prędzej będziemy mogli jechać nad morze.

– Jak dojedziemy, powiem im, że śpimy w pensjonacie.

Kama przyjęła to do wiadomości.

Usiedliśmy na swoich miejscach i Wasyl ruszył. Niemal natychmiast dostałem wiadomość na telefon. Otworzyłem i znalazłem informację bez tekstu. Kama lubi te stare graficzne wiadomości, które już dawno zastąpiły te wszystkie emotikony.

≤3

Rzuciłem okiem na wyświetlacz i zaraz odpisałem. Miałem zamiar ją przelicytować.

<3<3<3

Po chwili znów przyszedł esemes. Byłem przekonany, że Kama dołoży więcej serduszek, ale to było coś innego. Przysłała mi link do jakiegoś artykułu. Otworzyłem więc zaintrygowany, bo skoro było to ważniejsze od zabawy w wyznawanie miłości, to znaczyło, że warto poświęcić chwilę na lekturę. Artykuł znajdował się na stronie cieszyn.news.

„Stara rozlewnia wód w Ustroniu dostała nowe życie. Popularna Góralka po latach znów wraca na nasze stoły. Powstała jeszcze przed wojną. W latach trzydziestych zaczęto rozlewać do szklanych butelek górską wodę źródlaną. Właściciel, pan Apolinary Koszycki, wymyślił nazwę „Góralka”, która okazała się strzałem w dziesiątkę. Na naklejce widniał obrazek ukazujący góralkę w tradycyjnym stroju z butelką w ręce. Co ciekawe, na plakatach reklamujących wodę widać było wyraźnie, że na butelce z plakatu jest przedstawiona góralka z butelką w ręce, na której widać było tę samą góralkę. Ten plakat autorstwa cieszyńskiego artysty malarza Adama Szewczyka zdobył złoty medal na konkursie grafiki użytkowej w Warszawie w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim. Woda o doskonałych właściwościach smakowych szybko stała się bardzo popularna na Śląsku Cieszyńskim. Dzięki dobrej akcji promocyjnej sprzedawano ją w całym kraju. Co ciekawe, podczas okupacji Niemcy w dalszym ciągu wytwarzali Góralkę, a skrzynki z doskonałą mineralką trafiały wszędzie tam, gdzie znaleźli się żołnierze Wehrmachtu. Znane są fotografie przedstawiające żołnierzy Afrika Korps, pijących wodę z Ustronia.

W czasach PRL-u zakład produkujący wodę znacjonalizowano, a woda przestała być produktem o znaczeniu ogólnopolskim, choć na południu kraju przez cały okres Polski Ludowej zajmowała mocną pozycję. Tak było do przemian w latach dziewięćdziesiątych. Przez kilka lat przedsiębiorstwo jeszcze jakoś sobie radziło, jednak w czasach gospodarki rynkowej dopiero szukało swojej drogi i miejsca na rynku. Ale pracownicy chcieli szybko zarabiać duże pieniądze. Zakładowa Solidarność weszła

w spór z dyrekcją, doszło do strajku, a po miesiącu firma upadła. Linie produkcyjne i cały majątek rozlewni przejęli dłużnicy, a samą nieruchomość przejął Skarb Państwa. Przez lata zabudowania rozlewni niszczały i być może teren prędzej czy później zostałby wykupiony przez deweloperów. Jednak na szczęście odnalazł się krewny i spadkobierca przedwojennego właściciela. Pan Łukasz Bednarek odzyskał to, co zostało po rozlewni, w dwa tysiące dwudziestym roku. Przedsiębiorca zainwestował w budowę nowoczesnej hali produkcyjnej. Na szczęście dla rozlewanej tu wody wraz z masą spadkową przejął też znak graficzny przedwojennej wody. I oto po latach znów na naszym rynku pojawiła się popularna niegdyś Góralka. Właściciel firmy chce, aby w ciągu najbliższych kilku lat jego woda stała się popularna w całym kraju.

– Myślę, że za pięć do dziesięciu lat Góralkę będą pili miłośnicy dobrej mineralnej w całej Europie – zapewnia Łukasz Bednarek. – Wszystko dzięki niepowtarzalnemu, jedynemu w swoim rodzaju smakowi wody spod Równicy.

Z reaktywowania zakładu produkującego wodę cieszą się samorządowcy.

– To szansa dla naszej gminy. Kolejny zakład o ogólnopolskiej renomie, który będzie u nas działał i się rozwijał, to przede wszystkim miejsca pracy dla ludzi, podatki, które zostaną w gminie, i oczywiście zysk wizerunkowy dla Ustronia – mówi wiceburmistrz miasta, pan Roman Królikowski.

Na tę szansę czeka cała gmina, ale też smakosze prawdziwej, krystalicznie czystej wody mineralnej z polskich gór”.

Artykuł nie był podpisany. Za to gdzieś z boku widniała informacja: „Artykuł sponsorowany”.

Przeczytawszy, spojrzałem na Kameę.

– No i co myślisz? – zapytała cicho.

Zrobiłem małą minę typu: a skąd mam wiedzieć, czy wyglądam na człowieka myślącego?

Wszystko to wydało mi się i ciekawe, i warte przedyskutowania. Ale nie mogłem przecież gadać o naszym zleceniodawcy w jego obecności.

Wskazałem na telefon. Otworzyłem Messengera i szybko napisałem:

Skąd miał kasę na działalność?

Kama mi odpowiedziała:

O tym samym pomyślałam. Nie wystarczy tylko mieć ziemię, żeby założyć rozlewnię. Trzeba coś w taką firmę włożyć. Podejrzewam, że kilka baniek.

Spojrzałem na nią i pokiwałem głową. Czyli jak zawsze pomyśleliśmy o tym samym. Więc napisałem kolejną wiadomość:

Pożyczka? Ale na to trzeba mieć zabezpieczenia. A nie wiem, czy dla banku odpowiednim poręczeniem kredytu może być zrujnowana nieruchomość? Musiał na czymś zarobić.

Kama odpisała po kilku sekundach.

Przejrzałam internet. Nigdzie nie ma śladu działalności kolegi biznesmena. Jakby się urodził wraz z odzyskaniem rozlewni. Coś tu śmierdzi.

Miała rację. Coś w tym wszystkim było nie tak, jak powinno. Tylko czy my jesteśmy od tego, żeby szukać nieprawidłowości w interesach Łukiego? Przecież wynajął nas do roboty. Trzeba będzie przegadać tę sprawę, myślałem, wyciągając nasze walizki z auta. Wasyl wyładowywał sprzęt filmowy, a Kama właśnie wychodziła z pensjonatu w towarzystwie Łukiego. Fajny z niego gość. Postawił nam pensjonat, żarcie w maku i do tego jeszcze za reklamę chciał nam bardzo przyzwoicie zapłacić. A co, jeśli okaże się, że gość obraca brudną forszą? Nie weźmiemy za robotę ani grosza od gościa, który jest złodziejem?

– Ej, Marcin, coś się tak zamyślił? – Kama położyła mi dłoń na ramieniu.

Miała piękne oczy, a uśmiech chyba najpiękniejszy na świecie. Boże, jak ja mogłem być taki głupi i zadawać się z Dżesiką, gdy obok mnie była Kama.

– Myślę, że jestem szczęściarzem.

– Dlaczego?

– Bo mam ciebie.

Godzina 14.50

Stary Wojciech Matys siedział na ławce przed domem i palił fajkę. Lubił posiedzieć na słońcu, pogrzać się i popykać starą fajkę, którą kupił chyba w dziewięćdziesiątym piątym roku, gdy był na wycieczce w Krakowie. Był na tym Wawelu i w Sukiennicach, pochodził trochę po rynku, zjadł cały wianek obwarzanków, które popił piwem, a potem pomyślał sobie, że może warto coś przywieźć, żeby pamiętać, że się było na wycieczce i się ten Kraków złąziło wzdłuż i wszerz. No i na straganie w Sukiennicach kupił sobie fajkę. Wtedy jeszcze palił papierosy, ale pomyślał, że może na stare lata, jak już będzie dziadkiem, zacznie kurzyć fajkę. I nawet się nie obejrzał, kiedy się z cygaretów na tę fajkę przerzucił. I teraz już nie wyobrażał sobie, że mógłby palić papierosy. Fajka lepiej mu pasowała i do ręki, i do gęby. Wtedy jego żona Teresa kupiła taką krakowską lalkę w stroju ludowym, bo powiedziała, że się idealnie nadaje, żeby ją wstawić za szybę do segmentu w dużym pokoju. Mieli porządny ten segment, z sosny nadwiślańskiej, na wysoki połysk zrobiony. Mebel odziedziczyli po rodzicach Teresy. W jednej z szafek, takiej z przesuwanymi szybami, stały wazony i kryształowe talerze. I Teresa stwierdziła, że krakowianka będzie idealnie się nadawała do ustawienia między tymi kryształami. Miała rację, lalka stoi tam do dziś i dzięki szybom nie kurzy się. Kto by przypuszczał, myślał Matys, że lalka przetrwa tyle lat nienaruszona i przeżyje nawet Teresę.

Jego żona zawinęła się dwa lata temu, na raka. Za późno odkryła u siebie guz, a jak już go tam wymacała, to był taki wielki, że nic się nie dało zrobić. Usunęli w szpitalu, ale powiedzieli, że za późno, bo rak znalazł sobie drogę do innych miejsc i się gdzieś w jakichś węzłach zagnieździł. Pół roku po operacji już ją pochował. Zostawiła po sobie dwóch synów, porządek i czystość w domu i męża, który od jej śmierci nie mógł sobie znaleźć miejsca. No chyba że siadał z fajką na ławce przed domem. Tu się czuł całkiem dobrze, bo nikt od niego niczego nie chciał, nikt mu nic nie mówił, o nic nie pytał, a on mógł sobie spokojnie tę fajkę kurzyć i patrzeć na stolarnię i hurtownię, i jeszcze kawałek tartaku, czyli to wszystko, co synom zostawi, jak pójdzie za tą swoją Teresą zamieszkać gdzieś w górze czy diabli wiedzą gdzie. Jednego był pewien. Ona tam poszła pierwsza, żeby się zakrzętnąć i wszystko przygotować. Podłogi pomyć, odkurzyć

półki, wyczyścić kryształy i jeszcze rosół nastawić na piecu, żeby męża podjąć obiadem, jaki najbardziej lubi, tym niedzielnym, z rosółem i z roladą, do której kluski śląskie są i modra kapusta. Jak już tam do Teresy przyjdzie, to będą se mogli po obiedzie wychodzić przed dom, on będzie palić fajkę, ona robić koronki na tych drewnianych klockach, i będą se patrzeć na góry. Taką miał przynajmniej nadzieję. Tylko żeby tak było, musiał tam do niej trafić, ale czy mu się to uda na pewno, tego naprawdę nie wiedział, bo przecież różnie w życiu bywa, a po śmierci to już w ogóle...

Miał już sześćdziesiąt siedem lat, a mimo to wzrok jeszcze całkiem dobry. Dlatego od razu zobaczył policjanta, co szedł przez plac manewrowy, na którym obsługiwano ciężarówki, odbierające deski albo zrzucające drewno do obrobienia. Dostrzegł go bez trudu, bo ciężarówki akurat żadnej nie było, tylko trzy prywatne samochody klientów, którzy przyjechali do hurtowni na zakupy. Policjant też musiał go dostrzec, bo szedł pewnym krokiem wprost na niego. Gdy podszedł, Matys rozpoznał jego twarz. To ten, co się niedawno sprowadził do Ustronia, nie miejscowy, żaden pniok, co by tu mieszkał z dziada pradziada, ale krzak, co się jeszcze nie zakorzenił, i mimo że kupił tu jakiś domek, wcale nie jest pewne, że na zawsze zostanie. Matys znał go z widzenia, ale specjalnie nie poważał. Co innego, gdyby to był ktoś z miejscowych.

– Dzień dobry, panie Matys! – rzucił przyjaznym tonem policjant.

– Dobry to będzie, jak rząd wszystkich złodziei powsadza za kratki – rzucił gospodarz.

– A od kiedy rząd jest od wsadzania? Jak rząd będzie wsadzał, to przecież policja nie będzie miała roboty.

– Wy macie ich łapać. A rząd jest po to, żeby robić takie prawo, żeby te wszystkie mafie VAT-owskie zamknąć i żeby podatki do państwa płynęły. Wtedy będzie w Polsce dobrze.

– Ja to se myślę, panie Matys, że dobrze będzie wtedy, kiedy każdy będzie dobrze robił swoją robotę. Jeśli rząd będzie dobrze rządził, to i policja będzie mogła łapać tych, co trzeba, a nie zajmować się obroną jakiegoś pomnika w Warszawie.

Matys spojrzał uważnie na policjanta. Miał rację co do niego. Ten Pilarski to nie jest swój chłop. Ci obcy to się na życiu nie znają i jeszcze na dodatek nic o polityce nie wiedzą. A Matys się znał i od lat codziennie o dziewiętnastej trzydzieści siadał przed telewizorem, żeby oglądać

dziennik. I dzięki temu wszystko wiedział na każdy temat, o polityce światowej i o tej polskiej. Wiedział, jak źle jest za granicą, co emigranci wyrabiają w Niemczech czy we Francji, na ulicach w takim Paryżu czy w Berlinie.

– Pan wiesz swoje, a ja swoje, i coś mi się zdaje, że my do zgody nie dojdziemy. Ale kłócić się nie będziemy, boś pan urzędowo do mnie chyba zaszedł, to i o urzędowych sprawach mówić będziemy. A tam, gdzie się o urzędowych rzeczach gada, tam na spory o politykę nie ma miejsca.

– Słusznie pan mówi, panie Matys. Mądrego to i dobrze posłuchać, bo ludzi, co to mają w głowie poukładane, teraz ze świecą szukać – powiedział pojednawczo Pilarski.

– Pan siądzie. – Zadowolony z pochwały stary stolarz wskazał policjantowi miejsce na ławce. Przesunął się trochę, by dać wyraźnie do zrozumienia, że się zmieszczą. Niepotrzebnie, bo ławka była szeroka i wygodna.

Sam gospodarz ją zrobił ze dwadzieścia lat temu, żeby z żoną mogli sobie przed domem siedzieć i patrzeć na swój dorobek. Ale teraz do siadania jest już tylko Matys.

Pilarski usiadł i zdjął z głowy czapkę. Wyciągnął z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych i wydobyl jedną, by otrzeć spocone czoło.

– Gorąco jak diabli – zauważył Matys, wypuszczając kłęb dymu.

– Mówią, że to efekt cieplarniany.

– Gadają głupoty. Jest lato, to musi być gorąco.

– Ale w czerwcu nie było takich upałów.

– Były i będą. Jest lato, musi być gorąco, tak jak zimą musi być zimno.

Tak już ten świat wymyślony, że nic bez przyczyny się nie dzieje.

– No właśnie, dlatego ja do pana przyszedłem o coś spytać. Bo właśnie tak mi się zdaje, że przyczyna musi dawać skutek. To ja właśnie o tę przyczynę chciałem zapytać.

Matys chciał coś powiedzieć, ale naraz odezwała się piła tarczowa, znajdująca się w szopie na prawo od domu. Obaj od razu spojrzeli w tamtym kierunku. Przez szeroko otwarte drzwi przesuwne widać było pracownika w roboczym kombinezonie i jakiegoś klienta. Pracownik przecinał wielką płytę na pół, a potem na mniejsze kawałki. Klient pilnie obserwował tę czynność, jakby znał się na cięciu i w razie czego mógł poinstruować, jak to zrobić najlepiej.

Obaj rozmówcy poczekali cierpliwie, aż cięcie się skończy. Pilarski w tym czasie sprawdził wiadomości w telefonie, a Matys zdążył ubić resztkę wygaszonego tytoniu i zapalił fajkę. W końcu maszyna ucichła i przez chwilę zrobiło się cicho. Ale to było tylko złudzenie słuchowe po zniknięciu źródła hałasu. Zaraz doleciał do ich uszu szum nieodległej drogi.

– To co z tą przyczyną? – Matys wrócił do przerwanej wątku.

– Chciałem zapytać o trumny – odparł policjant.

– Trumny? Za młody pan jesteś, żeby se zamawiać.

– Ja nie dla siebie.

– A dla kogo? Ktoś z rodziny zmarł?

– Nie, nikt nie zmarł.

– E, na zaś to nie ma co wydawać pieniędzy. Trumny zawsze będą dostępne.

– Nie o to chodzi, panie Matys. Ja chciałem zapytać, dla kogo robicie trumny?

Stolarz spojrział zdumiony na policjanta. Przez chwilę patrzył mu w oczy, ale w końcu zrozumiał, że ten pyta całkiem poważnie.

– No, panie, trumny robi się dla tych, co potrzebują, przeważnie dla nieboszczyków.

– Ale jak się kupuje trumnę, to ona jest polakierowana, ma okucia, jakieś poduszki, gąbki czy co tam jeszcze, a u was, w tym namiocie, bo tam po drodze zajrzałem – wskazał na magazynowy namiot stojący w głębi placu – to tam stoją trumny proste, bez niczego, jakby surowe.

Matys uśmiechnął się pod nosem.

– Bo te, panie, to półprodukt. My te trumny zbijamy i odstawiamy do producenta. I jemu cała robota odchodzi z drewnem. On tylko je przystraja, czyli wykańcza. A my kasujemy za taką trumnę prawie jedną trzecią tego, co później taki w zakładzie pogrzebowym weźmie od pana. O, pardon, od rodziny nieboszczyka.

– Czyli wytwarza pan trumny w stanie surowym – upewnił się policjant.

– O to chodzi – Matys ucieszył się, że wszystko zostało wyjaśnione.

– To jeszcze o jedną rzecz chciałem się zapytać. Po co klasztor w Dziegielowie kupił od pana trzy surowe trumny?

– Klasztor? – Matys wyglądał na zdziwionego. – Nie, klasztorowi my nie sprzedawali trumien.

– Niech pan sobie przypomni. Na pewno sprzedawaliście. Mają tam trzy trumny, takie same jak wasze, bez obróbki.

Właściciel stolarni pokręcił powoli głową. Wyciągnął fajkę z ust i wytrząsnął resztki popiołu, stukając o brzeg ławki.

– Ja, panie, wiem, co, komu, gdzie i kiedy sprzedaję. I mogę panu powiedzieć, że nasze trumny do klasztoru nie szły.

– Na pewno?

– Jak amen w pacierzu – stwierdził i wstał z ławki. – Coś jeszcze do mnie pan ma, panie aspirancie?

– Do widzenia, panie Matys – Pilarski też się podniósł, uścisnął rękę właściciela stolarni i poszedł ku bramie.

Jakoś nie bardzo uwierzył, że to nie ich trumny znalazł w klasztorze. Na szczęście zrobił kilka zdjęć w tym ich magazynowym namiocie. Jak przyjdzie do domu, będzie mógł porównać trumny, te z klasztoru i te dzisiejsze. Jednakże coś mu mówiło, że będą identyczne.

Godzina 15.20

– Przeczytałeś ten artykuł? – zapytała Kama. Wyjmowała właśnie z walizki ciuchy i rozkładała je na półce w szafie.

Muszę przyznać, że nasz pokój wyglądał całkiem miło. Szerokie, dwuosobowe łóżko, w którym swobodnie mogłaby się pomieścić jeszcze dwójka dzieci, zapewniało komfortowe spanie. Do tego mieliśmy do dyspozycji standardowe wyposażenie w postaci szafy dwudrzwiowej, biurka, przy którym można popracować albo się umalować, i dwa fotele, takie, na których się zazwyczaj nie siedzi, ale rozrzuca rzeczy. Dla dopełnienia komfortu na ścianie powieszono obraz przedstawiający góry, namalowany przez jakiegoś miejscowego artystę o niezbyt ostrym widzeniu rzeczywistości. Jednym słowem poziom jak najbardziej standardowy, ale nam przecież nie są potrzebne luksusy. Najważniejsze, żeby było schludnie i czysto, a tak właśnie jest w naszym pokoju.

– No przecież wymienialiśmy się uwagami na temat kariery Łukiego.

– Nie o tym mówię. Chodzi mi o ten o zaginionych kobietach.

– Cholera, zapomniałem. Zaraz zobaczę.

Chwyciłem telefon i usiadłem w fotelu. Szczęśliwie jeden z dwóch nie był zawalony naszymi rzeczami. Otworzyłem link. To była krótka informacja, również z portalu cieszyńskiego.

„Od dwudziestu czterech godzin trwają poszukiwania dwóch kobiet, które wyszły z jednego z hoteli w Ustroniu i jak dotąd nie wróciły. Z informacji, które udało nam się zebrać dotychczas, obie są mieszkankami Warszawy. Do Ustronia przyjechały na dwutygodniowy turnus świąteczno-noworoczny. Obie kobiety wyszły na spacer rano, osiemnastego grudnia. W hotelu nie poinformowały nikogo o tym, że mają zamiar udać się na wycieczkę górską. Nie kontaktowały się też telefonicznie z nikim z bliskich. Zdaniem ratowników GOPR być może wjechały wyciągiem na Czantorię i stamtąd postanowiły zejść o własnych siłach.

– Być może pomyliły drogę i zabłądziły gdzieś na górskich zboczach. Jeśli tak jest, ich odnalezienie na którejś ze ścieżek to tylko kwestia godzin – mówi szef akcji poszukiwawczej Jan Rykała.

Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że zeszyły ze szlaku, próbując sobie skrócić drogę w dół, schodząc poza ścieżkami. Jeśli tak się stało, poszukiwania mogą potrwać znacznie dłużej. O efektach akcji poszukiwawczej informować będziemy na bieżąco”.

Przeczytałem i spojrzałem na Kameę. Ona tymczasem poukładała już wszystko w szafie i nastawiła w czajniku wodę na herbatę.

– Myślisz, że te zaginione kobiety mogą się jakoś łączyć z ciotką Magdą? – zapytałem na wszelki wypadek, choć wiedziałem, że skoro Kama wysłała mi artykuł, to oznaczało, że ma przecucie, a tego nie można lekceważyć. Nieraz przekonałem się, że ona ma intuicję, która często się przydaje w naszej pracy. Bo przecież duża jej część to reportaże śledcze, w których przydawał się instynkt często nazywany policyjnym nosem, ale także praktyczna inteligencja, pozwalająca sprawnie łączyć wszystkie zdobyte dane. A posiadaczką policyjnego nosa i umiejętności kojarzenia faktów jest właśnie moja dziewczyna. Muszę przyznać, że często bywam z niej dumny, choć zdarzały się sytuacje, że zazdrościłem jej tej niesamowitej zdolności myślenia analitycznego i błyskawicznego wyciągania poprawnych wniosków. No cóż, nie każdy może pochwalić się mózgiem pracującym jak komputer.

– Myślę, że jeśli ktoś się rozplywa bez śladu w tej okolicy i dzieje się to w ciągu kilku miesięcy, oznacza to tylko jedno, to nie przypadek, choć w tej pierwszej sprawie jest trochę więcej niewiadomych.

– Tak, a o czym myślisz?

– O tym, że znalezienie jednej z kobiet na pierwszy rzut oka wydaje się dowodem na brak tych zbieżnych elementów. Ale ja myślę, że jest dokładnie odwrotnie.

– Odnaleźli jedną z nich? Nie widziałem tego w artykule.

– Bo artykuł jest z grudnia. Zobacz, niżej są informacje powiązane. Tam znajdziesz kolejny artykuł.

Wszedłem na cieszyński portal z artykułem, który już przeczytałem. Poniżej trafiłem na dwa kolejne, które wyświetliły się w związku z tym pierwszym.

Tragiczny finał górskiej wycieczki – głosił tytuł pierwszego.

„Ciało zaginionej w grudniu turystki znaleziono na zboczu Czantorii. Na zwłoki natrafili leśnicy typujący drzewa do przecinki. Zwłoki znaleźli około stu metrów od szlaku turystycznego. Wszystko wskazuje na to, że kobieta musiała zgubić drogę i najprawdopodobniej spadła w dół urwiska z wysokości około dziesięciu metrów. Nie wiadomo, czy przeżyła upadek, czy zginęła na miejscu. Tę kwestię rozstrzygnie zapewne dopiero sekcja zwłok. Zagadką pozostaje też, co stało się z jej towarzyszką, ponieważ na wycieczkę w góry wyszły dwie kobiety i obie nie wróciły do hotelu.

O tym, że zaginęły dwie turystki, które wypoczywały w jednym z ustronkich hoteli, informowaliśmy już w grudniu. Wówczas to podawaliśmy, że obie kobiety, emerytki z Warszawy, wyszły na spacer i nie wróciły na noc. Natychmiast zorganizowana akcja poszukiwawcza nie przyniosła rezultatu i kobiet nie odnaleziono. W tej chwili wznowiono poszukiwania ciała drugiej turystki. Ratownicy GOPR uważają, że jest duża szansa na odnalezienie zwłok w najbliższej okolicy, ponieważ turystka nie mogła oddalić się od miejsca, w którym zginęła jej koleżanka”.

Dalej przypomniano historię zaginięcia i poszukiwań, więc już nie czytałem.

– To interesujące – powiedziałem.

Kama postawiła na stoliku obok mnie kubek z gorącą herbatą. Było za ciepło na picie wrzątku, więc żeby spróbować herbacianej propozycji naszego pensjonatu, musiałem poczekać przynajmniej kwadrans. Nie mogłem zrozumieć, jak Kama to robi, że potrafi pić herbatę zaraz po zaparzeniu. Gdybym ja dotknął ustami herbaty o takiej temperaturze, trzeba by mnie odwozić natychmiast na pogotowie z poparzeniami trzeciego stopnia.

– Ale wygląda to na nieszczęśliwy wypadek. Kobiety poszły na spacer i po przedłużającym się marszu w dół postanowiły skrócić sobie drogę, idąc na przełaj. Zobaczyły w dole dachy domów i pomyślały, że to już niedaleko, więc poszły prosto w dół. Tylko że nie przewidziały, że to nie jest lasek porośnięty mchem i trawą, ale niebezpieczne górskie piargi, na których rosną drzewa. No i ta idąca przodem postawiła nieostrożnie stopę, runęła w dół, a jej koleżanka być może próbowała ją ratować i też spadła...

– Nie znaleziono jej ciała – przypomniała mi Kama.

– To niczego nie dowodzi. A raczej tego, że jest tak, jak mówię. Spadła albo ruszyła na poszukiwanie pomocy i też gdzieś się zagubiła. Może przeszła nawet kilometr albo i więcej, a potem opadła z sił i zmarła z wyziębienia.

– Przeczytaj tę ostatnią notatkę – zaproponowała mi Kama.

Spojrzałem na wyświetlacz telefonu. To już nie był artykuł, ale kilkuzdaniowa informacja:

„Poszukiwania ciała turystki z Warszawy zakończyły się niepowodzeniem. Ratownicy GOPR mówią, że przeszukali każdy metr kwadratowy leśnego urwiska w promieniu pięciuset metrów od miejsca znalezienia zwłok jednej z dwóch zaginionych w grudniu kobiet. Ale tym razem nie udało się natrafić na nic konkretnego, poza torebką poszukiwanej turystki. Znaleziono ją powyżej drogi, którą obie kobiety musiały schodzić z Czantorii, w odległości mniej więcej trzystu metrów od miejsca, w którym wcześniej natrafiono na zwłoki. Być może osłabiona w wyniku wychłodzenia turystka zatrzymała się tam, by odpocząć, a potem ruszyła w dół i spadła do jakiegoś wykrotu, których pełno na zboczu. Na razie nie wiadomo więc, kiedy możemy się spodziewać odnalezienia ciała. Ratownicy są zdania, że poszukiwania mogą być bardzo trudne i czasochłonne”.

– No i co? – spytałem.

Kama leżała na łóżku, studiując jakieś czasopismo, które kupiła po drodze na stacji benzynowej. Czasopismo historyczne, dodatek do „Newsweeka” czy „Polityki”. Ta dziewczyna nie czytała żadnych babskich czasopism, ale takie, które mogły rozszerzyć jej fachową wiedzę. Ciągle mnie zdumiewa swoją fachowością. Ale ta przecież nie brała się z niczego. Nie od dziś wiadomo, że czytanie to najlepszy pokarm dla mózgu. Kama swój karmiła nieustannie.

– Szczegół! – powiedziała. – Zwróciłeś na niego uwagę?

– Oczywiście, torebka i trzysta metrów – powiedziałem dumny ze swojej spostrzegawczości. – Czyli albo się zgubiły, albo ta druga szukała pomocy, gdy koleżanka spadła, albo...

– Nie – Kama pokręciła głową.

Naraz zrozumiałem, o co jej chodzi. Powyżej drogi to znaczy, że nie szła prosto w dół po pomoc. Jeśli znalazła się powyżej drogi, to znaczyło jedno, weszła tam, żeby się ukryć. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć, dlaczego tam była.

– Kama, powinnaś być policjantką, detektywką policyjną. Jesteś po prostu genialna.

– Coś ty, oszalałabym od biurokracji w policji – odpowiedziała, ale zauważyłem, że moja pochwała sprawiła jej przyjemność.

– Musimy pogadać z tymi ratownikami, którzy ją odnaleźli. A poza tym trzeba by się porozumieć z Frankiem, skoro są to zaginione z Warszawy. Niech nam sprawdzi, co się da, na ich temat.

Kama uśmiechnęła się, a potem postukała palcem w wyświetlacz swojego telefonu.

– Nie doceniasz mnie, kochany. Napisałam już eskę do Franka. Nic co prawda nie odpisał, ale to dobry znak. Jeśli odpisuje od razu, to znaczy, że nie ma na nic czasu i jest zajęty. Czyli możemy być dobrej myśli.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową i już chciałem coś powiedzieć, ale ona była szybsza.

– Nie mamy w zasadzie teraz nic do roboty, więc może byś tu do mnie przyszedł? Mam ochotę się troszeczkę odprężyć. Co ty na to? – Kama, powiedziawszy to, przeciągnęła się leniwie i mruknęła coś pod nosem.

Nie miałem wyjścia, musiałem zająć się sprawdzaniem wszystkich wypukłości i wklęsłości jej pięknego ciała o ciemnej karnacji, które nie wymagało opalania, by wyglądać pięknie. Wstałem z fotela i poszedłem do drzwi sprawdzić, czy klucz w zamku został przekreślony. Kiepsko by było, gdyby za chwilę zajrzał do nas Wasyl albo co gorsza Dżesi z tym swoim Łukim przyszli w odwiedziny. Teraz mamy czas tylko dla siebie. Gdy odwróciłem się do Kamy, leżała już na łóżku rozebrana.

Boże, ależ ona jest piękna.

Komisarz Franek Kaczmarek przeczytał esemesa od dziewczyny Marcina i uśmiechnął się pod wąsem. Od kilku miesięcy nosił brodę i wąsy, ponieważ doszedł do wniosku, że jako ojciec rodziny musi wyglądać dostojnie. A poza tym dostał wiosną awans na pełnego komisarza, to zobowiązywało do poważnej aparycji.

– Kama sobie myśli, że ja mam czas na załatwianie dla nich jakichś pierdół? – powiedział sam do siebie, ale nie wyłączył komputera.

Jeszcze przed chwilą miał iść do domu, jednak po odebraniu wiadomości pomyślał, że w zasadzie to nic go nie kosztuje, a może w ten sposób pomóc przyjaciółom. Bo Kama i Marcin to jego najbliżsi znajomi, z którymi często spędzał wolny czas na imprezowaniu czy wycieczkowaniu, w zależności od nastroju i pogody. Znali się od lat, bo Franek był wnukiem Matyldy. Poznał się więc z Marcinem w kilka miesięcy po jego wprowadzeniu się do mieszkania na Nowym Świecie. On mieszkał wtedy w Pile i do babci przyjeżdżał tylko od czasu do czasu. Po studiach poszedł w ślady Matyldy i został policjantem na prowincji. Po kilku latach trafił do pracy w Komendzie Głównej Policji w Warszawie. Nawet nie przypuszczał, że za zgodą na jego służbowe przeniesienie do stolicy stała babcia, która, mimo że w policji nie pracowała od bardzo dawna, miała tam jeszcze znajomości. Przeniesienie wnuka do stolicy to była kwestia jednego telefonu.

Franek oczywiście zamieszkał u babci. W tym czasie Marcin już cieszył się mieszkaniem na Woli. Wkrótce do Franka dołączyła jego żona Jowita z córką Weroniką. Mieszkanie Matyldy, przez lata ciche i spokojne, zmieniło się w pełen dziecięcego jazgotu dom wariatów. Tak przynajmniej uważała Matylda, która korzystała z każdej nadarzającej się okazji do wyjazdu. I wcale nie chodziło o to, że rodzina jej przeszkadzała. Absolutnie nie, było wręcz przeciwnie.

Matylda uważała, że to doskonałe rozwiązanie, że młodzi mieszkają u niej, a stare mieszkanie ożyło. Była też przekonana, że dziecko musi wychowywać się w przyzwoitych warunkach, a nie w pijackiej melinie, w której ona spotyka się z dawnymi przyjaciółmi przy kieliszku koniaku. Dlatego gdy to było możliwe, wsiadała do pociągu i jechała do swojego przyjaciela i dawnego podwładnego Bronka Cieślaka, który miał dom nad morzem, a teraz skorzystała, pierwszy raz w życiu, ze skierowania do sanatorium. W końcu jej się to należało, więc jak nie skorzystać.

Franek trochę się martwił o babcię, bo wiedział, że ta lubi pakować się w różne kłopoty, więc gdy dowiedział się, że Kama i Marcin są w Ustroniu, ucieszył się, bo był przekonany, że zapewnią jej odrobinę rozrywki podczas kręcenia filmu. Ale eska od Kamy trochę go zaniepokoiła. Skoro ona sprawdzała jakąś nierozwiązaną sprawę kryminalną, to z dużym prawdopodobieństwem wolno przyjąć, że zagadką zainteresuje się była pani pułkownik Milicji Obywatelskiej. Dlatego z miejsca postanowił, że trzeba przyjrzeć się bliżej sprawie, którą zajmowali się jego przyjaciele w Ustroniu.

Ustalenie nazwisk obu zaginionych w górach kobiet zajęło mu kilkanaście minut. Sprawa nie wyglądała na szczególnie skomplikowaną. Nie było śledztwa prowadzonego przeciwko komuś, czyli nie wytypowano żadnej osoby, która według miejscowych policjantów mogłaby przyczynić się do śmierci obu kobiet. Czyli nie istniało jakiegokolwiek podejrzenie, że przyczyna śmierci miała jakiś nienaturalny przebieg. Ustalono, że obie panie pojechały w góry, zgubiły się podczas wycieczki i zginęły w lesie. Raport z sekcji zwłok siedemdziesięciodwuletniej Jadwigi Szmít informował, że przyczyną śmierci było skręcenie karku, najprawdopodobniej spowodowane upadkiem z wysokości. Na ciele nie stwierdzono innych obrażeń oprócz lekkich stłuczeń i zadrapań, które powstały prawdopodobnie podczas upadku.

Nie znaleziono natomiast ciała drugiej turystki, siedemdziesięcioletniej Małgorzaty Wróbel. Według informacji uzyskanej od poszukujących zaginionej ratowników GOPR istniało duże prawdopodobieństwo, że kobieta wpadła do jakiegoś obniżenia terenu, grotu czy wykrotu i tam już na zawsze spoczną jej doczesne szczątki, o ile nie zagospodarują ich żyjące zwierzęta. Było to całkiem prawdopodobne, bo od zaginięcia minęło już sporo czasu, a lisy czy wrony nie próżnowały.

Sprawa wydawała się więc jasna i nie robiła wrażenia niebezpiecznej. A zatem Kama z Marcinem podczas realizacji jakiegoś reporterskiego materiału trafili na sprawę zaginięcia i teraz próbowali ją rozgryźć. Ale skoro nie ma w tym niczego zagadkowego, mogli sobie szukać i starać się ją wyjaśnić. Tyle że nie było tam niczego podejrzanego. Musiał im o tym napisać, żeby się niepotrzebnie nie angażowali, bo nie znajdą w tym wszystkim drugiego dna.

A właściwie to po co pisać. Zadzwoni. Przynajmniej będzie się mógł z nich trochę ponabijać, że zajmują się czymś, co nie kryje żadnej

tajemnicy.

Wybrał numer Marcina. Przez chwilę czekał na połączenie, w końcu przyjaciel odezwał się.

– Czołem, mówi Franek. Jak tam się bawicie w górach? Pogoda chyba idealna do chodzenia po górskich szlakach.

– Czołem. No wiesz, pogoda idealna, ale my za dużo czasu nie mamy na wycieczki.

– Nie macie? No przecież słyszę, że jesteś zdyszany, czyli idziecie sobie pod jakąś górkę. Polecam Czantorię. Piękne widoki. Teraz latem muszą być doskonałe, bo przy bezchmurnym niebie widać z niej będzie pewnie Górny Śląsk.

– Jak będzie chwila, to się wybierzemy. Ale na razie sporo pracy mamy. Wiesz, robimy filmik...

– I jak zwykle coś wam wpadło w ręce, i musicie to coś tam prześwietlić. Kama mi już wysłała pytanie w sprawie zaginionych kobiet. Masz tam ją gdzieś przy sobie, to zrób na głośnomówiący, żebym nie musiał dwa razy gadać.

– Tak, jest tu obok.

– Cześć, Franek, dzięki, że dzwonisz, bo wiesz, mamy tu taką zagadkę i...

– No co, złapałem was podczas wchodzenia pod górkę? Przecież słyszę, że i ty też jesteś zdyszana. Świetnie, że chodzicie, bo to dobrze robi na kondycję, no i można przy tym spalić sporo kalorii.

– Tak, masz rację, pracujemy nad spalaniem dość intensywnie – odpowiedziała Kama pogodnie. – No ale oprócz pracy mamy trochę rozrywek. Dlatego napisałam do ciebie, wiesz, sprawa zaginięcia wydaje się intrygująca.

– Przykro mi, ale was rozczaruję. Nie ma w tym niczego niezwykłego. Dwie panie poszły na spacer, ale nie wzięły pod uwagę, że to zima i że taki spacer z Czantorii w dół zimą to nie to samo co chodzenie latem. No i się zgubiły. Jedna spadła w jakąś przepaść, a druga chciała wezwać pomoc i też się zgubiła. Historia, jakich wiele. Ludzie niestety nie myślą racjonalnie i przede wszystkim nie mają podstawowej wiedzy o zagrożeniach, z jakimi można się spotkać w górach. Przede wszystkim lekceważą nasze Beskidy, bo im się wydaje, że to pagórki porośnięte lasem, a tymczasem to niebezpieczne góry, do których trzeba odnosić się z szacunkiem. One najprawdopodobniej o tym nie wiedziały, zablądziły i skończyło się

tragicznie. Powiem wam jeszcze, że nie było żadnego śledztwa w sprawie udziału osób trzecich w ich śmiertelnym zejściu. Nieszczęśliwy wypadek i tyle. Nic więcej.

– Tak nam się zdawało, ale woleliśmy sprawdzić – powiedziała Kama.

– Cieszę się, że mogłem wam pomóc.

– Wiesz, gdybyś jeszcze miał czas... – weszła mu w słowo.

– Co jeszcze? – zapytał lekko zniecierpliwiony, choć starał się tego nie okazywać.

– A gdybyś tak sprawdził ich rodziny. No wiesz, czy wszystko w porządku, czy nie było jakichś kłopotów po zakończeniu śledztwa, czy czegoś nie potrzebują.

– Kama, czego ty szukasz?

– Sama nie wiem, ale czuję, że coś jest nie tak.

– Kama, proszę cię.

– Franek, ja bym nie lekceważył jej przeczuć – odezwał się Marcin.

– Kurczę, nie robimy takich rzeczy. To znaczy, nie dzwoniemy i nie pytamy. Sprawa zamknięta i się do niej nie wraca.

– Zaginęła tu kolejna kobieta... – Kama rzuciła na szalę poważny argument.

Franek milczał przez chwilę.

– Dziewczyno, czy chcesz mi powiedzieć, że te dwie turystki zaginione zimą mają coś wspólnego z zaginięciem...

– Sprzed dziesięciu dni – wyjaśnił Marcin. – To ciotka Dżesiki. Dlatego sprawdzamy wszystkie możliwości.

– Ale to nie może się wiązać z tamtym dawnym zaginięciem. Te kobiety poszły na spacer, a ta...

– Też poszła na spacer – naciskała Kama.

– Dobra, niech wam będzie – Franek w końcu skapitulował. – Zadzwoń tu i tam i sprawdzę.

– Wyślij nam jeszcze esemesa z nazwiskami tych kobiet, dobra? – poprosiła na koniec.

No i wysłał, co miał zrobić. Niech szukają, choć wiadomo, że nic z tego nie wyjdzie. Najgorzej, jak cywile zaczynają się mieszać do policyjnej roboty, bo przecież nie mają żadnej wiedzy, jak się do takich spraw zabierać i dlatego w idiotyczny sposób łączą ze sobą fakty, których połączyć się nie da, jak te dwa zaginięcia. No ale niech sobie szukają, a on dla spokoju sumienia robi to, o co prosiła Kama, choć przecież nie

powinien się wtrącać. Ale pamiętał, że w zeszłym roku to oni właśnie wyjaśnili sprawę uzdrowiciela z Ustronia Morskiego⁷. Cholera, może natrafili na coś i teraz? Może przeczuć niektórych ludzi nie powinno się bagatelizować?

Zaczął czytać dokumentację sprawy w wewnętrznym intranecie w poszukiwaniu danych adresowych. Znalazł je bez trudu. Były tam numery telefonów do krewnych tej kobiety, której ciało znaleziono. Wypisał sobie na kartce numery do syna i synowej, zapisał też adres, pod którym Jadwiga Szmit mieszkała ze swoją rodziną. Był też adres tej drugiej zaginionej, Małgorzaty Wróbel, ale brakowało notatki na temat krewnych. Wyglądało na to, że była to osoba samotna, bez żadnej rodziny. Był za to adres na Saskiej Kępie w Warszawie i numer telefonu Małgorzaty Wróbel.

Ciekawe, po cholere ktoś zapisał do niej numer. *Przecież do nieboszczki raczej się nie dzwoni*, przeszło mu przez głowę. Telefon musiał być przecież od dawna wyłączony. Tak na wszelki wypadek, bo przecież nie miał żadnych ku temu podstaw, wziął komórkę i wklepał numer do nieboszczki. Komisarz Franek Kaczmarek należał do tych śledczych, którzy badają każdą sprawę niezwykle skrupulatnie, więc zrobił to, co samo mu się nasunęło, choć do końca nie wiedział, dlaczego tak postępuje. Przycisnął zieloną słuchawkę i przyłożył telefon do ucha. Był przekonany, że zaraz usłyszy informację głosową, że nie ma takiego numeru, albo jakiś inny komunikat o abonencie poza zasięgiem. Sygnał połączenia zaskoczył go całkowicie.

Ale jeszcze bardziej zdumiało go to, co stało się za chwilę.

– Halo? – odezwał się kobiecy głos.

– Halo, czy mogę mówić... – Franek przerwał, by spojrzeć w swoje notatki. – Czy mogę mówić z panią Małgorzatą Wróbel?

– Tak, słucham – odpowiedziała. – A w ogóle to kto mówi?

– To pani żyje?

W słuchawce zrobiło się cicho, a potem usłyszał ciągły sygnał. Małgorzata Wróbel przerwała połączenie.

Spróbował zadzwonić jeszcze raz, ale tym razem po drugiej stronie odezwał się automat oznajmiający, że abonent jest poza zasięgiem.

Rozdział VI

Ustroń

Wtorek, 13 czerwca

Godzina 10.30

– Tak to bywa na tym łoż padole – powiedziała siostra Perpetua, kiwając ze zrozumieniem głową. Widać już w swoim życiu słyszała niejedną podobną historię.

– Dobra kawa – stwierdziła Matylda. – Tylko bym musiała wyjść zapalić. Rzucam palenie, ale jakoś mi od lat nie idzie – dodała tonem usprawiedliwienia.

– Nie musisz się tłumaczyć. Wszyscy mamy swoje słabości, które w żaden sposób nie sprawiają, że jesteśmy gorszymi ludźmi. Jeśli chcesz palić, to proszę, pal jak najbardziej.

– Tutaj? – Matylda rozejrzała się po refektarzu. Siedziały tu tylko we dwie, w towarzystwie kilkunastu obrazów przedstawiających jakichś świętych. Niektórych rozpoznała po ich atrybutach, ale kilku wydawało się zbyt nowych, by móc się tak na pierwszy rzut oka zorientować, kim są.

– Im to nie przeszkadza – siostra wskazała zamknięte w złotych ramach postaci. – A mnie też nie. Przez lata paliłam, ale w końcu z dnia na dzień doszłam do wniosku, że już wystarczy. Wstałam rano, uklękłam przed Panienką Przenajświętszą i zaczęłam się modlić. I wiesz co, gdy wstałam z klęczek, wiedziałam, że już nie zapalę. Tak zwyczajnie wiedziałam i do tego jeszcze czułam się tak, jakbym nigdy nie paliła. Powinnaś spróbować tej metody.

– Nie jestem tak bardzo zdeterminowana, żeby Matce Boskiej zawracać głowę moimi problemami.

– To nie zawracanie głowy. Ona chce cię wysłuchać. Musisz w to uwierzyć i wtedy wszystko będzie prostsze. Wiara, żarliwa wiara, rozwiązuje wszystkie problemy i dylematy. Sprawia, że twoja dusza staje się czystsza.

Matylda kiwała głową, jakby przyjmowała te wszystkie argumenty i rozważała je w duchu. Ale przecież od razu dostrzegła, że to czysta demagogia. Może i ta siostra Perpetua jest dobrą kobietą i poczciwą zakonnica, jednak jej wywody były nic niewartym stekiem bzdur, które mają przekonać już przekonanych. Wystarczy bliżej przyjrzeć się kwestii bezkrytycznej wiary. Wystarczy tylko uwierzyć. Czyli nie rozważać „za” i „przeciw”, nie dać się przekonać racjonalnymi argumentami, ale zwyczajnie uwierzyć i już. Matka chce cię wysłuchać, uwierz w to. Ale dlaczego chce, dlaczego w ogóle słucha, dlaczego ze zwracania się do niej mam brać siłę? Dlatego że uwierzyłam? Przecież to kompletnie pozbawione sensu. Mam wierzyć, bo tak mówi Perpetua. I dzięki tej wierze moja dusza jest czystsza. To już demagogia najwyższych lotów. Wierzę, że jeśli będę się modlić, moja dusza stanie się czystsza, więc jeśli się modlę, to co się dzieje? Moja dusza staje się czystsza. *Perpetuum mobile*. No i na koniec rozwiązanie wszystkich problemów i dylematów. Jeśli wierzę, nie muszę się nad niczym głębiej zastanawiać. To, co robię, jest dobre i słuszne, bo wierzę. Moja wiara rozwiązuje wszystkie dylematy i sprawia, że moja dusza staje się czystsza. A jeśli jeszcze masz jakieś wątpliwości, choć już nie powinno ich być, wtedy wystarczy się pomodlić, bo Ona cię wysłucha, bo chce cię wysłuchać, i ta modlitwa i rozmowa z Nią oczyści twoją duszę z wszelkiego brudu, również papierosowego, czy krwi, która splamiła twoje ręce.

Miała ochotę to wszystko powiedzieć, rzucić jej w twarz te wszystkie argumenty i wydobyć na wierzch brak jakiegokolwiek logiki, ale wtedy mogłaby od razu pożegnać się i pójść do sanatorium. Ale nie po to przecież przyszła, a właściwie przyjechała, do klasztoru pod Ustroniem. Zjawiała się tu, żeby zrozumieć, co się w tym miejscu dzieje. Bo wczoraj dowiedziała się od Perpetuy dostatecznie dużo, by się zainteresować, dziś się zjawić i udawać kogoś zupełnie innego.

Na początku tej znajomości chciała tylko pogadać, być może trochę się posprzeczać na temat doktryn oraz prawd wiary i pójść swoją drogą. Ale na szczęście, słuchając zakonnicy, od razu ugryzła się w język.

– Ten strój, który noszę, oznacza, że należę do zgromadzenia sióstr betanek. Jednak to tylko strój, bo w sercu już jesteśmy gdzie indziej. Po tym, co wydarzyło się w naszym zakonie, w Kazimierzu nad Wisłą, odeszłam z zakonu, ale nie utraciłam wiary, nie utraciłam też pewności, że to, co robimy, ma sens. Dlatego zaczęłam szukać innego miejsca. I dzięki

pomocy dobrych ludzi trafiłam tu, tak jak i kilka naszych najwierniejszych siostr, co to nie dały się zwieść słowom oszustów, którzy chcieli nam wydrzeć to, w co wierzymy głęboko, czyli w sens naszych działań wśród ludzi i pomaganie im w potrzebie.

– Kościół tego nie akceptował?

– Kościół nie akceptuje niczego, co nie przynosi zysku, co nie daje pieniędzy, które idą na utrzymanie biskupów i ich złotych pałaców. Tymczasem my chciałyśmy, by te pieniądze, które otrzymujemy, szły na poprawę doli potrzebujących. I tak jest właśnie dzisiaj. My nie gromadzimy dóbr, mimo że ludzie przekazują nam swoje pieniądze. My je pożytkujemy na chwałę Pana, czyniąc dobro i pomagając najmniejszym. Nic dla siebie, wszystko dla innych.

– Piękna idea – pochwaliła Matylda, choć już wyczuła w tym, co mówi siostra, fałszywą nutę. Po chwili upewniła się, że tak jest naprawdę.

– Nie tylko pomagamy tu, na miejscu. Od samego początku wojny robimy też zbiórki na potrzeby walczącej Ukrainy. Wysyłamy transporty darów do Kijowa, bo wiemy, że to jest potrzebne.

– A, rozumiem, zbieracie ubrania, wodę...

– Nie, takie zbiórki to tylko zaśmiecanie magazynów. My robimy to inaczej. Zbieramy pieniądze, a potem kupujemy to, co jest najpotrzebniejsze tam, na wschodzie. Oczywiście w porozumieniu z Ukraińcami robimy te zakupy. Rozumiesz, chodzi o to, żeby nie przesyłać im rzeczy niepotrzebnych.

– Rozumiem... – Matylda potwierdziła, choć właśnie w tej chwili nabrała poważnych wątpliwości. Siostry działają więc jak finansowa instytucja dobroczynna.

– Może usiądziemy – wskazała ławeczkę, gdy doszły do ryneczku.

Perpetua zgodziła się z ochotą. Na jej okrągłej czerwonej twarzy pojawiły się kropelki potu, świadczące o dużym zmęczeniu. Przeszły już prawie dwieście metrów, więc dla osób w ich wieku był to poważny wysiłek.

– A ty czego szukasz w życiu? – zapytała zakonnica, gdy otarła twarz chusteczką. – Przyszedł do kościoła z jakąś konkretną prośbą?

Usłyszawszy to pytanie, Matylda mało nie wybuchnęła śmiechem. Powinna odpowiedzieć, że chciała prosić o pomoc w odnalezieniu księdza, który rozmawiał z zaginioną Magdą na chwilę przed jej zniknięciem. Ale oczywiście nie powiedziała tego. Postanowiła przekonać się, co Perpetua

może jej zaoferować. Bo że jakaś propozycja padnie, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Zrozumiała jednak, że musi się jej wydać na tyle atrakcyjna, by zakonnica się nią poważnie zainteresowała.

– Prosiłam o spokój duszy mojego męża – zaczęła snuć swoją opowieść jak pajak sieć. – Mam nadzieję, że czeka tam na mnie – wskazała palcem na bezchmurne niebo.

– Dawno odszedł? – zapytała Perpetua.

– Dziesięć lat temu. Zamęczyli go w więzieniu.

– Kto?

– Poprzednia władza. Przypisali mu jakieś afery. Że niby kradł, co było nieprawdą. Nigdy cudzego grosza by nie wziął. On był dobrym człowiekiem, tylko trochę za łatwowiernym. Wierzył ludziom, a ci go wykorzystali. Okazało się, że przyczepili mu aferę na ponad sto milionów w związku z prywatyzacją jakichś zakładów. Bo mąż był wiceministrem i zajmował się sprawami reprivatyzacyjnymi. Wsadzili go do więzienia i już nie wyszedł.

– I zostawił cię samą. A dzieci?

– Nie mamy dzieci. Nie udało się nam.

– Czyli jesteś sama i bez pieniędzy – Perpetua pokiwała głową ze zrozumieniem i jednocześnie spojrzała na zegarek.

– Już chcesz iść? – Matylda wyczuła, że Perpetua straciła zainteresowanie, bo rozmówczyni nie wydawała się jej już atrakcyjna. Musiała więc rzucić przynętę.

– Tak, jestem sama, ale na szczęście nie zabrali nam naszego domku.

– O, mieliście domek. To masz gdzie mieszkać.

– Tak, taki pensjonacik na Mazurach. Domek, do tego taki ośrodek wczasowy, co kiedyś należał do FWP, ale na szczęście jeszcze w latach dziewięćdziesiątych mężowi udało się go sprywatyzować. Wszystkie oszczędności w niego włożyliśmy, no i teraz całkiem dobrze działa. Szkoda, że tego nie doczekał. Jest tam osiemdziesiąt pokoi, restauracja z dyskoteką i przystań należąca do ośrodka. Tylko niestety nie ma gór, a ja muszę co jakiś czas przyjechać w góry, bo tu inne powietrze. Lepiej mi się po takim pobycie oddycha. Zastanawiałam się nawet, czy tego naszego ośrodka nie sprzedać i nie kupić czegoś w górach, bo na tę robotę to już mi nie starcza sił. Tyle z tym zachodu...

Nastawienie Perpetuy zmieniło się tymczasem. Twarz jej się wypogodziła, a na ustach wykwitł uśmiech.

– Może chciałabyś zobaczyć nasz dom? U nas jest cisza i spokój. Ludzie mówią o tym miejscu, że to rajski zakątek. Przyjeżdżają do nas goście z całej Polski, żeby zażyć spokoju i radości obcowania z Panem. Ale nie prowadzimy żadnego pensjonatu. To taka oaza spokoju i tylko dla naszych przyjaciół.

– Wiesz, ja jestem tu w sanatorium Maciejka.

– Ale ja nie mówię, żebyś rezygnowała z turnusu. Zapraszam cię tylko, żebyś nas odwiedziła. Zobaczysz, jak u nas jest pięknie, i kto wie, jeśli się zaprzyjaźnimy, następnym razem przyjedziesz do nas, a nie do sanatorium.

Matylda zamyśliła się, tak jakby rozważała wszystkie „za” i „przeciw”.

Perpetua podniosła się z ławki.

– Mój transport podjechał – pokazała na białe berlingo, które przed chwilą zaparkowało nieopodal.

Z auta wysiadł młody, przystojny człowiek i pomachał w ich stronę.

– To ksiądz Wojtek, nasz kapelan – wyjaśniła Perpetua. – Widać już załatwił wszystkie sprawy i zamierza mnie zabrać. To co, zobaczymy się jutro?

– Ale...

– Bądź tu o dziesiątej. Wojtek przyjedzie po ciebie.

Wyciągnęła ku niej dłoń, uścisnęła jej rękę i poszła do auta.

Nazajutrz ksiądz Wojtek przyjechał punktualnie. W refektarzu czekała już Perpetua. Gdy Matylda wspomniała o papierosie do kawy, siostra wykonała jakiś gest i po chwili, nie wiadomo skąd, podeszła młoda zakonnica o smutnej twarzy, postawiła na blacie masywną popielniczkę z rżniętego szkła i zaraz odeszła, niemal bezszelestnie.

– Jak ci się podoba to miejsce? – zapytała siostra.

– Z zewnątrz wygląda pięknie. Te drzewa, kwiaty i budynek, wszystko razem tworzy niepowtarzalną kompozycję. To naprawdę rajski zakątek.

Zadowolona Perpetua uśmiechnęła się promiennie.

– Myślę, że czułabyś się tu dobrze – oznajmiła, zataczając dłonią koło, jakby chciała ukazać całe piękno otoczenia, choć ten refektarz wyglądał jak stołówka. – Poza tym jest jeszcze coś. U nas za gościnę się nie płaci.

– O, to kusząca propozycja – Matylda roześmiała się. – Tyle że pieniądze nie są dla mnie problemem.

– Wiesz, jeśli się zdecydujesz przyjąć moje zaproszenie, nie musisz płacić, ale jeśli chcesz nas wspomóc, to co innego. Mamy sporo wydatków związanych z naszą działalnością charytatywną. W tym obszarze każda pomoc jest mile widziana.

– No przecież moich pieniędzy nie zabiorę ze sobą do grobu – rzuciła Matylda żartobliwie, a Perpetua roześmiała się głośno, jak z dobrego dowcipu.

– To co, pójdziemy zwiedzić nasz dom? Z zewnątrz prezentuje się pięknie, ale trzeba zobaczyć, jak wygląda wewnątrz. Na pewno ci się spodoba.

– Sostro Perpetuo, mam jeszcze pytanie – powstrzymała ją Matylda. – Czy mogę zapytać o to imię? Kim była Perpetua?

– To święta, która oddała życie za wiarę, mimo że miała wybór. Jako obywatelka rzymska mogła się uratować. Wystarczyło tylko wyrzec się wiary. Ale się nie wyrzekła. Do końca pozostała wierna.

Gdy tylko wstały od stolika, natychmiast pojawiła się młoda siostra o smutnej twarzy. Pozbierała kubki i popielniczkę, a potem zniknęła tak cicho, jak weszła.

Matylda pomyślała, że dziewczyna ma w sobie coś z ducha, który pojawia się na sekundę i pozostawia wrażenie swojej obecności tak ulotne, że nie wiadomo do końca, czy prawdziwe.

Okolice Ustronia Godzina 12.30

Od rana byliśmy na zdjęciach, więc na śledztwo nie było czasu. Pierwszy dzień zdjęciowy jest zawsze najtrudniejszy, bo człowiek traci czas na rzeczy, wydawałoby się, niepotrzebne, które w konsekwencji mają przynieść doskonały efekt. Nie jesteśmy w końcu profesjonalną ekipą zdjęciową, ale tak naprawdę telewizyjnymi łazikami, którzy potrafią coś zrobić, bazując na zawodowym doświadczeniu. Bierze się nas do kręcenia reklam, bo robimy to sprawnie i tanio. Gdyby taki początkujący biznesmen jak Łuki chciał sobie zafundować profesjonalną kampanię, to musiałby za robotę zapłacić dziesięć razy więcej, a ekipa filmowa nie pomieściłaby się w naszym Źródółku.

No więc pojechaliśmy zaraz po śniadaniu nad Wisłę szukać najlepszego planu. Chodziło o to, żeby były kamienie na brzegu, za nimi woda, a za wodą góry porośnięte lasami. Słowem, sielankowy widok, który nabierze jeszcze zdecydowanie bardziej soczystego koloru, gdy na kamerę nałoży się odpowiednie filtry, a potem na montażu doda się trochę głębokich barw. Ale żeby pobawić się w to koloryzowanie, najpierw trzeba znaleźć odpowiedni plener. Takich na pierwszy rzut oka nad Wisłą jest pełno, ale musi być taki, w którym nic nie przeszkadza, czyli nie ma w tle drutów wysokiego napięcia, dachów czy szosy z jeżdżącymi samochodami. To, wbrew pozorom, dość trudne do spełnienia wymogi, bo okolice Ustronia to obszar mocno zurbanizowany i jeśli się komuś wydaje, że jadąc tam na wakacje, będzie obcować z dziką przyrodą, na pewno się zdziwi po przyjeździe.

Mogliśmy więc szukać po omacku takich miejsc i chodzić z kamerą na plecach od rana do wieczora, bo na każdym znalezionym przez nas planie trzeba było ustawić kamerę i porobić próbne ujęcia. Nawet jeśli wydawało nam się, że jest wszystko w porządku, to i tak te zdjęcia były konieczne, żeby później w domu wrzucić to wszystko do komputera i uważnie przejrzeć jeszcze raz, zbadać świeżym okiem i w końcu wybrać najlepszy plan.

Krótko mówiąc, potrzebowaliśmy przewodnika, czyli osoby, która zna teren jak własną kieszeń i pokaże nam odpowiednie lokalizacje. Dlatego musieliśmy kogoś takiego znaleźć. To znaczy, znaleźć musiała Kama, bo ja po naszych ćwiczeniach, prowadzących do utraty zbędnych kalorii, byłem pilnie zajęty swoją pracą.

Pisanie scenariusza reklamy wymaga w końcu nieco zaangażowania intelektualnego. Trzeba każdy element reklamowego spotu rozpisać na ujęcia kamery, opisać każde pojawienie się gwiazdy, określić, czy będzie siedzieć, leżeć czy biegać, do tego jeszcze zaznaczyć, w którym miejscu będzie mówić, i napisać dla niej konkretny tekst. Miałem co prawda ten wytworzony przez Dżesi, ale były to wypociny, których nie dałoby się użyć, chyba że bilibyśmy się o podium w plebiscycie na najgorszą reklamę telewizyjną dekady.

Na wszelki wypadek przeczytałem tekst ponownie. I jeszcze raz.

„Zimna woda siły doda. Nasza woda ugasi nawet największe pragnienie. Smakuje jak woda, którą piły dinozaury, kiedy jeszcze świat był czysty jak górski kryształ. Pijcie wodę Góralkę codziennie od rana do

wieczora, a nie będziecie mieć zaparć i zgagi, tylko przeczyszczony żołądek falą górskiego potoku. Górskie wody na dobre pogody”.

Potem wybrałem dwa zwroty i wkomponowałem je w inny tekst. Chodziło o to, żeby Dżesi miała wrażenie, że wyciągnąłem z jej twórczości to, co najlepsze. W ten sposób zaspokoję jej próżność i jednocześnie nie dam Łukiemu szansy na grzebanie w tekście. Wiedziałem zresztą, że Dżesi nie pozwoli mu na to, święcie przekonana, że jest współautorką wypowiedzianej przez siebie kwestii. Żeby mieć ten problem z głowy, od razu napisałem do Dżesi:

Trochę popracowałem nad twoim tekstem. Musiałem go skrócić i lekko przerobić, ale teraz jest świetny. Przeczytaj go na głos i sama zobaczysz, jak brzmi: Woda z Ustronia jest czysta jak górski kryształ. Ugasi twoje pragnienie mocą i chłodem górskiego potoku. Twoja Góralka pobudzi twoje zmysły.

Potem zacząłem sumiennie spisywać te wszystkie kwestie techniczne, bez których nie da się nakręcić reklamy. Tymczasem Kama rozpoczęła poszukiwania tubylca znajdującego się na miejscowych widokach. I znów mnie zadziwiła tym, czego udało się jej dokonać.

– Dzień dobry, Kamila Frydrych się kłania, czy mam przyjemność z panem Janem Rykałą? – usłyszałem, jak mówi do telefonu, i przez moment wydało mi się, że znam to nazwisko, tyle że nie potrafiłem go dopasować do konkretnej osoby.

Często mi się tak zdarza, że ktoś się przedstawia przez telefon, a ja bezskutecznie szukam w pamięci czegokolwiek na temat dzwoniącej osoby i nie dość, że nie kojarzę, o co chodzi, to nie mam pojęcia, kim ten ktoś jest. Tymczasem Rykała nic mi nie mówił, więc wróciłem do pisania.

– Chodzi mi o plenery do reklamy wody mineralnej, czyli do zdjęć nad wodą. Kto, jak nie pan, może nam tu pomóc. I jeszcze pan Szałaciński z pensjonatu Źródleńko zapewnił, że jeśli ktoś ma nam pomóc, to tylko pan.

Oderwałem się. Powiedziała „Szałaciński” i to przynajmniej był ktoś znajomy. Faceta poznaliśmy wczoraj, kiedy zeszliśmy wieczorem na kolację. To właściciel pensjonatu, który przyszedł do nas pogadać, gdy kończyliśmy kotlet po zbójnicku.

– Mam nadzieję, że smakowało – powiedział. – Jestem Szałaciński Grzegorz, właściciel tego pensjonatu. A państwo z telewizji. Pana to chyba

widziałem kilka razy, jak pan rozmawiał o reportażach, tych w *Wizjerze*, co lecą w sobotę.

– No tak, zdarzyło mi się kilka razy mówić o naszych reporterskich ustaleniach – powiedziałem skromnie, choć byłem dumny jak paw, że facet mnie rozpoznał. No i oglądał *Wizjer*, czyli że gość jest na poziomie.

– Proszę, niech pan z nami siada – zaprosiłem go, a on skwapliwie wykorzystał nadarzającą się okazję.

Mógł mieć około sześćdziesiątki, łysiejące czoło i długie włosy z tyłu były jak żywcem wyjęte z lat osiemdziesiątych, przywodząc na myśl kadre Czechosłowacji w piłce nożnej. Mówiło się wtedy o fryzurze „na czeskiego piłkarza”. Pokażny brzuch Szałacińskiego podkreślała koszulka polo ze znaczkiem krokodyla na piersi.

– A państwo to reportaż robią? – spytał zaciekawiony.

– Nie – zaprzeczyła Kama. – Kręcimy reklamę wody. Ale jak się temat znajdzie, to możemy przy okazji strzelić reportaż.

Szałaciński najwyraźniej się ucieszył.

– Bo wiecie – ściszył głos do szeptu, nachylając się ku nam – tu u nas była jedna babka z Warszawy i ona zniknęła.

– Tak? – udałem zdumienie.

– Pewnie wyjechała – stwierdziła Kama obojętnym tonem.

– Nie! – zaprzeczył Szałaciński. – Zginęła, a nie wyjechała. Coś jej zrobili – powiedziawszy to, przejechał dłonią po szyi.

– Tak pan myśli? A kto i dlaczego miałby to zrobić? – zapytałem.

Gospodarz rozejrzał się, jakby obawiał się, że ktoś go podsłuchuje. Ale w pobliżu nie było nikogo chętnego.

– Ona była tu tylko chwilę i zaraz zniknęła. Nawet się nie naodpoczywała. Przecież nie po to z Warszawy przyjeżdżała, żeby gdzieś uciekać. I do tego zostawiła wszystkie swoje rzeczy. A jak człowiek ucieka, to zabiera walizkę, nie?

– No niby tak – zgodziła się Kama. – Ale komu mogłoby zależeć, żeby ją... zniknąć?

– No jak to komu? Tym z klasztoru. Ten ksiądz młody, taki czarny, był tu i się z nią spotkał. Dwa razy się spotkali. A jak ostatni raz się spotkał, potem już jej nie było.

– Jaki ksiądz? – zapytałem. Wreszcie jakiś ślad, więc trzeba było cisnąć.

– Tu u nas, niedaleko Ustronia, w Dzięgielowie, jest taki klasztor dla siostr. One się nazywają batanki czy jakoś tak. I ich księdzem jest ksiądz Wojciech. Taki młody, wygląda, jakby z dyskoteki dopiero co wyszedł, przystojniak jeden. No i ona z nim rozmawiała i patrzyła w niego jak w obrazek. To ja se od razu pomyślałem, że z tego nic dobrego nie będzie, jak dobrze wyglądająca babka zadaje się z takim pętakiem, choćby i księdzem. Ale co to za ksiądz, jak oni nie są katolicy ani protestanci, tylko jakaś sekta. No to mówię wam, porwali ją i ukatrupili – stwierdził stanowczo.

Szałaciński widać miał swoje przekonania, których za nic w świecie nie zamierzał porzucić.

– No i dlatego bez pana to nam się te zdjęcia nie udadzą – z zamyślenia wyrwał mnie głos Kamy, która zbałamuciła już chyba tego, jak mu tam, Janka Rykałę.

I w tym momencie przypomniałem sobie, skąd znam to nazwisko. Rykała to szef grupy GOPR, poszukującej zaginionych zimą kobiet. Kama namówiła goprowca, żeby nam pomógł na planie, a jednocześnie będzie chciała z nim pogadać o zaginionych turystkach.

No i pojechaliśmy bez specjalnych poszukiwań. Janek Rykała, szczupły trzydziestolatek, ubrany w obcisłe spodnie turystyczne, buty trekkingowe za kostkę i termiczną koszulkę z krótkim rękawem, przyjechał rano na parking pod naszym pensjonatem. Od razu otworzył mapę w telefonie i zaczął wyjaśniać Wasylowi, jak ma jechać. Pół godziny później rozkładaliśmy już kamerę. Rykała siedział na kamieniu, z zainteresowaniem obserwując nasze zabiegi. Kama usiadła koło niego. Podeszedłem tam do nich i pogadał, ale musiałem pomóc Wasylowi w wybieraniu ujęć. Muszę przyznać, że goprowiec znalazł nam miejsce niemal idealne. Żaden obcy element nie zakłócał widoku w tle. Tam, za rzeką, widać było tylko las i górskie zbocze. Do tego kamienie leżące na brzegu były na tyle płaskie, że można na nich spokojnie siedzieć i do tego jeszcze zanurzyć w strumieniu stopy. Idealny, sielankowy krajobraz, w sam raz nadający się do reklamy. Musiałem więc usiąść na miejscu, w którym niedługo miała zasiąść Dżesika, i powyginać się, jakbym był nią. Chodziło o to, żeby Wasyl sprawdził różne ujęcia, przejazdy, najazdy i wszystko, co może być potrzebne do nakręcenia spotu. Rozsiadłem się wygodnie, wpatrzony w kamerę. Z tyłu Kama słuchała w skupieniu jakiejś opowieści

goprowca, a mój telefon właśnie się odezwał. Sięgnąłem do kieszeni i sprawdziłem, co mi tam przyszło. Pisała Dżesi.

Miśku, nasz tekst jest genialny. Zawsze wiedziałam, że jak pracujemy razem, to efekt jest zajebisty. Łuki też mówi, że jest oki. Szkoda tylko, że dinozaury nie weszły, ale w końcu już wyginęły, może od tej wody właśnie.

No to przynajmniej jeden problem z głowy.

Z czego się ta Kama śmieje! Muszę iść posłuchać, o czym ona tak gada z tym goprowcem. Facet najwyraźniej ją podrywa. Dobra, Wasyl poradzi sobie. W końcu zna się na robocie, a ja mam do wyjaśnienia sprawę zaginionych kobiet.

Warszawa Godzina 13.30

Dom w kształcie sześcianu swój czas świetności przeżywał w latach siedemdziesiątych. Wtedy go otynkowano, wstawiono okna i drzwi, a na całą powierzchnię zewnętrznych ścian nałożono farbę, w kolorze być może kremowym. Dziś z kremu pozostało tylko smutne szare wspomnienie, z białych niegdyś ram okiennych farba odchodziła płatami. Jedynie drzwi odnowiono, malując je smętną bordowo-brązową olejną. Ktoś, przyglądając się z zewnątrz budynkowi, mógłby odnieść wrażenie, że to kapsuła czasu, dzięki której można by się przenieść o pięćdziesiąt lat wstecz, do ery, kiedy w kraju rządził towarzysz Edward Gierek. Ten, kto wówczas postawił ten dom, musiał być człowiekiem niezwykle zamożnym, taka budowa na Saskiej Kępie kosztowała majątek. Czyli musiał należeć do partyjnej nomenklatury albo być przedstawicielem prywatnej inicjatywy. Raczej to pierwsze. Zarówno jednego, jak i drugiego nie stać by było na taką budowę z normalnej pensji, czyli tak partyjniak, jak i prywaciarz musieli kraść i oszukiwać, żeby pozwolić sobie na taki luksus. Jednakże elegancki budynek przez lata zaniedbań zmienił się w burą w bryłę pośród bujnych drzew w zaniedbanym ogrodzie.

Coś się jednak zmieniło w ostatnim czasie. Świadczyły o tym paki z płytami styropianu, złożone pod boczną ścianą budynku. Ktoś najwyraźniej zamierzał zająć się ociepleniem domu. Za ogrodzeniem od

strony ulicy widać było też elementy rusztowania, jakieś drabiny i kilka palet z workami cementu albo kleju do styropianu. Franek nie znał się na budowlance, więc nie bardzo interesowało go przeznaczenie tych worków. Jedno było pewne, zauważył, że coś się koło tego domu dzieje. Było to dziwne, zważywszy, że jego właścicielka, Małgorzata Wróbel, zaginęła i najprawdopodobniej straciła życie w górach.

Zaintrygowany wczorajszym wydarzeniem, tym, że udało mu się dodzwonić do kobiety, która najprawdopodobniej nie żyje, postanowił sprawdzić parę rzeczy. Najpierw rano zadzwonił kilka razy pod ten sam numer, ale odpowiadało mu tylko nagranie o abonencie poza zasięgiem. Dlatego zaczął od numeru telefonu. W takich sytuacjach nieodzowna była pomoc.

Komisarz Kuba Wieczorek, lat trzydzieści trzy, nie wyglądał na policjanta. Ubierał się w T-shirty z graficznymi znakami i symbolami swoich ulubionych zespołów rockowych. Dziś miał na sobie piorunowy logotyp z napisem AC/DC. Te koszulki były zawsze przynajmniej o jeden rozmiar za duże, dzięki temu mogły skrywać wstydliwą prawdę o ich właścicielu. Wieczorek miał nadwagę i dobrze rozwinięty mięsień piwny, czym nie lubił się chwalić. Jednakże nic z tym faktem nie robił, walcząc ze skutkiem za pomocą garderoby, a nie z przyczyną ćwiczeniami fizycznymi. Na te nie miał za dużo czasu, bo godzinami przesiadywał przed ekranem komputera. Ten gość, z kilkuniedniowym zarostem na twarzy i długimi, sięgającymi do ramion płowymi włosami, sprawiał wrażenie człowieka znającego się na rzeczy. I rzeczywiście, w świecie wirtualnym poruszał się niczym Usain Bolt na bieżni.

– Nie mam czasu – powiedział, gdy Franek stanął nad nim, przyglądając się w milczeniu ekranowi komputera, na którym Kuba coś tam wpisywał.

Franek nic z tego nie zrozumiał, ale przecież nie zamierzał wgłębiać się w zawłóści kodów programowych, które pochłaniały bez reszty kolegę.

– No przecież widzę, że się nudzisz.

– Ja nudzę? Bracie, nudzą się tylko nudni ludzie. Ja przebijam się przez gąszcz algorytmów, by dojść do prawdy.

– I co? Jak ci idzie?

– Zbliżam się do prawdy i już niedługo zostanie ona odkryta.

– To zanim dojdiesz, weź mi sprawdź ten numer – Franek położył na biurku kolegi żółtą karteczkę.

Kuba popatrzył na nią z obrzydzeniem.

– To nie jest wyzwanie dla artysty – stwierdził. – Myślałem, że masz coś ciekawego, a tu zwykły numer. Co mam ci sprawdzić, czy gość nie dzwonił do kochanki?

– No nie, to sprawa bardziej skomplikowana.

– To może poproszę chłopaków z CBA, żeby udostępnił nam swojego konika. Wtedy o twoim gościu dowiesz się wszystkiego.

– To oni udostępniają Pegasususa?

– Ależ skąd. Pilnują go jak oka w głowie. Nawet jakbyś chciał rozgryźć jakiegoś terrorystę, to ci nie dadzą, bo mają swoje priorytety. Zajmują się śledzeniem gości z konkurencji. Zresztą on tak naprawdę nie istnieje.

– I co, robią to i się nie boją?

– Mają dobrze płacone, więc robią. A potem będą mówili jak goście z Wehrmachtu, że wykonywali tylko rozkazy. Ale mi się wydaje, że za daleko się posunęli i nic ich nie uratuje. Większość na skrzydlatym koniu poleci prosto do Hadesu. I powiedz, przyjacielu, czyż mitologia nie jest piękna?

– Oczywiście, że jest, i dlatego przychodzę z tym do ciebie, a nie do jakiegoś dyletanckiego nerda.

– Gadaj, czego chcesz, bo nie mam czasu na pierdoły.

– Wczoraj połączyłem się z Hadesem właśnie. Miałem rozmowę z babką, która od grudnia nie powinna już żyć.

– No, to zaczyna być ciekawie – zainteresował się.

– Właścicielka tego numeru zaginęła w górach w grudniu. Znalaziono jej torebkę z dowodem, a także jej zmarłą koleżankę, ale po niej nie ma śladu. Telefon był cały czas wyłączony, ale wiesz, coś mnie tknęło.

– Zadzwońiłeś?

– No, wczoraj, i odebrała jakaś kobieta, a potem się wyłączyła. No i dlatego...

– Dlatego chcesz, żebym ją odnalazł?

– I historię logowania, i ewentualnych połączeń od dnia zaginięcia.

– No dobra, zrobię to dla ciebie, jak będę miał przerwę. Odezwę się, gdy coś ustalę.

– Mówiłem ci już, że ładnie wyglądasz w tej koszulce?

– A co, nie pasuje? W końcu wysyłasz mnie na „higway to hell”.

Posłał więc kumpla, a tymczasem uruchomił swoje kontakty w księgach wieczystych. Znał tam pewnego referendarza, z którym miał zawodowy kontakt rok wcześniej, podczas jakiejś sprawy o oszustwa deweloperskie, a pozazawodowo był z nim kilka razy na piwie. Wystarczyło więc teraz wykonać tylko jeden telefon z prośbą o stwierdzenie stanu faktycznego domu, w którym była zameldowana zaginiona kobieta. Znajomy prawnik zapisał dane pani Wróbel i obiecał, że oddzwoni, jak tylko coś znajdzie. Zadzwoił pół godziny później, co było rekordem świata w szybkości rozpatrywanych spraw w wymiarze sprawiedliwości.

– Słuchaj, to jest zupełnie świeża sprawa – powiedział sędzia.

– No, jeśli chodzi o moją wiedzę, to zaginęła w grudniu...

– Nie chodzi mi o zaginięcie. Chodzi o to, że sprawa sprzedaży jest świeża.

– Mów po kolei – poprosił Franek.

– No to wyobraź sobie, że nie musiałem szukać daleko, bo miałem tę teczkę na swoim biurku. Coś mi mówiło nazwisko tej kobiety, i dlatego zajrzałem do ostatnich spraw czekających na wpis i wyobraź sobie, że ją znalazłem. Ta Wróblowa, mieszkająca na ulicy Czeskiej w Warszawie, w ubiegły poniedziałek sprzedała swój dom jakiemuś facetowi, Marianowi Konieczce z Warszawy, zamieszkałemu przy..., dobra, nieważne, zaraz ci prześlę skan strony z danymi gościa i tej zaginionej Wróblowej z aktu notarialnego.

– Czyli moja zaginiona żyje – ucieszył się Franek. – A to znaczy, że mam problem.

– Problem? To chyba nieźle, że nieboszczka okazała się żywą osobą i do tego zdolną do podpisania aktu notarialnego. Podpisanego osobiście, a nie przez pełnomocnika.

– Powiem ci szczerze, że lepiej by było, żeby jednak babka w tych górach zginęła – powiedział policjant, który właśnie zrozumiał, że Kama miała rację. Jak zwykle nie zawiódł jej instynkt.

Cholera, ta dziewczyna ma nosa, powinna pracować w policji, a nie w jakiejś telewizji. U nas mogłaby zrobić karierę. Muszę to jej powiedzieć, pomyślał, zastanawiając się nad tym, co powinien teraz zrobić. Najlepiej gdyby śledztwo w sprawie zaginięcia odgrzali ludzie z Ustronia, a on ewentualnie mógłby na ich prośbę powęszyć w Warszawie, bo na razie to działa na pełnym nielegalu. Ale najpierw trzeba by spotkać się z nowym właścicielem domu przy Czeskiej.

Zadzwoił pod numer, który przesłał mu na skrzynkę referendarz. Facet odebrał niemal natychmiast.

– Dzień dobry, rozmawiam z panem Konieczko?

– No, a co? – odpowiedział ktoś gburowatym tonem.

Franek natychmiast wyobraził sobie gościa siedzącego w knajpianym ogródku, jedzącego kebab i popijającego piwo. Skoczna muzyka w tle upewniła go w tym wyobrażeniu.

– Komisarz Kaczmarek z komendy stołecznej – przedstawił się chłodno. Niech sobie gość nie myśli, że będzie łatwo.

– Kurwa, pies? – warknął Konieczko. – Nie mam czasu, kurwa, na pierdolenie o Szopenie.

– A szkoda, bo muzyka łagodzi obyczaje.

– Co, kurwa? Jaka muzyka?

– Słuchaj, Konieczko, kupiłeś chatę na Czeskiej w zeszłym tygodniu, nie? No to wsiadaj w gablotę i jedź na Czeską, bo musimy pogadać.

– Kupiłem i zapłaciłem.

– Cieszy mnie to bardzo, ale w takim razie tym bardziej musimy pogadać.

– Nie mam teraz czasu, kurwa.

– To lepiej, żebyś miał. Za pół godziny na Czeskiej – rzucił do słuchawki i skończył rozmowę. *Ale mi się trafił rozmówca. Normalnie ucztą intelektualna*, przyszło mu do głowy i roześmiał się w głos.

Furtka prowadząca do posesji była zamknięta. Pomyślał, że całe ogrodzenie wymaga wymiany. Pomiędzy ceglanyimi słupkami zainstalowano tu siatkę ogrodową, wpiętą w stalowe ramy z kątowników i pomalowane tak, jak nakazywała moda w latach osiemdziesiątych. Przypomniała mu się piosenka *Piła tango* Grabaża, kolegi z Piły, który śpiewał o zielonych płotach w tym mieście. Tu zieleń pilska też dotarła w tamtych czasach, ale było jej coraz mniej. Te kratownice też pewnie znikną, zastąpione przez szczelne plastikowe panele.

– No jestem – usłyszał głos za plecami.

Odwrócił się. Za nim stał facet wyciągnięty wprost z siłowni. Ubrany w bluzę z kapturem i dresowe spodnie, włosy miał ostrzyżone na krótko, a twarz dokładnie ogoloną. Miało się wrażenie, że gość został wpakowany w za małe ubranie, a w ogóle to był za stary na taki ubiór. Wyglądał

przynajmniej na pięćdziesiątkę, a podkrążone oczy świadczyły o poważnym przetrenowaniu.

– Pan Konieczko, jak rozumiem?

– No i co?

– Trzeba pogadać – stwierdził Franek. – Może wejdziemy do domu?

– Syf tam jest, kurwa. Remont, nie? A w ogóle to pokaż blachę. Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś od Jarzabka?

Franek uśmiechnął się, a potem wyciągnął z kieszeni policyjną odznakę.

Gość najwyraźniej bał się Jarzabka, słynnego warszawskiego gangstera, działającego w obszarze narkotyków i sterydowych koktajli do faszeringowania troglodytów. Czyli musi też robić w tym interesie, a dom to zapewne lokata lewej kasy.

Uspokojony Konieczko otworzył furtkę i poszedł przodem. Po trzech schodkach dostał się na podest prowadzący do domu. Te drzwi, jak się okazało, nie były zamknięte.

– W środku są robole – wyjaśnił, idąc przodem. Od razu poprowadził policjanta do kuchni. – Tu można usiąść – wskazał stół z dwoma taboretami.

Meble, czyli kredens, wiszące szafki, a nawet lodówka i kuchenka, pochodziły z lat osiemdziesiątych. Na kuchennym blacie stały butelki po sokach i wodzie mineralnej, puste puszki po rybkach i gulaszu angielskim oraz torebki z niedojedzonym chlebem.

– Robole tu jedzą – wyjaśnił, siadając na białym taborecie.

Franek usiadł naprzeciwko. Dopiero teraz wyłowił jakieś hałasy dochodzące z góry. Wcześniej, stojąc na ulicy, nie usłyszał najmniejszego szmeru. Widać wzięli się do pracy, gdy zauważyli, że inwestor się pojawił.

– To o co się rozchodzi? – zapytał gospodarz.

– O tę chatę. Sprzedawała ją właścicielka, pani Wróbel?

– No a kto? Pewnie, że ona.

– Jak wyglądała?

– No jak ona, znaczy się stara i gruba.

– Mówiła coś?

– Mówiła, że jej szkoda, ale musi sprzedać i że chce gotówkę.

– No i?

– Jak chciała, tak dostała. Całą walizkę.

– Jeszcze coś ciekawego w tej transakcji dało się wyczuć?

– A bo ja wiem? No chyba tylko to, że babie zależało na czasie. Mówiła, że musi szybko sprzedać i dlatego cena niska.

– Okazyjna cena nie zawsze się opłaca – stwierdził Franek, wyciągając z kieszeni telefon. Właśnie dostał esemesa.

– Że niby jak?

– A tak, że być może wydałeś kasę, a domu mieć nie będziesz.

– Co, kurwa?

– Zobaczymy – rzucił policjant i otworzył wiadomość.

Napisał do niego Kuba Wieczorek.

Twoja zaginiona zamilkła w grudniu, a teraz od miesiąca się uaktywniła. Mamy w maju kilka rozmów z Warszawą, z biurem nieruchomości, potem kilka połączeń z gościem, co się nazywa Konieczko, i jest też połączenie z tobą. Logowania wszystkie od momentu uruchomienia telefonu w Ustroniu. Stawiasz piwo.

Franek schował telefon i popatrzył na siedzącego przed nim mięśniaka. Facet widać nie ma szczęścia w interesach, prawdopodobnie zostanie z niczym.

Ale żeby być tego pewnym, Franek będzie musiał pojechać do Ustronia.

Ustroń Godzina 14.30

Na obiad podano dziś kotlet z kurczaka z tłuczonymi ziemniakami, surówką z białej, młodej kapusty i zupę pomidorową z ryżem. Na deser można było jeszcze sobie wziąć jogurt i jabłko. Matylda nie jadła deserów, ale wzięła dla Aliny.

– No przecież to nie wypada nawet zostawić – skomentowała jej nowa koleżanka. – Mamy za to zapłacone. A jogurt jest zdrowy i jabłko tym bardziej.

– No to jak chcesz, weź mój jogurt i moje jabłko.

– Nie mogę. Bo na osobę przysługują tylko po jednej sztuce i jak będę ze stołówki wyciągnąć więcej, to jeszcze pomyślą, że ukradłam, i mnie zatrzymają.

– No to im wyjaśnię, że...

– Nie, Matyldo, proszę cię, weź ty i dasz mi w pokoju. Chybabym umarła ze wstydu, jakbym miała być osobą podejrzaną o kradzież. Przecież zaraz by się po całym turnusie rozeszło. Nie wiesz, jak jest? Wystarczy, że ludzie coś tam zobaczą, połowy nie usłyszą i już swoje wiedzą. Dla nich będzie najważniejsze, że mnie na wyjściu zatrzymano, i zaraz pójdą plotki. A potem będą mnie wskazywać palcem i mówić: „O, widzicie, to jest właśnie ta złodziejka, co ukradła jogurt”.

– Dobra, wezmę – zgodziła się Matylda.

Alina miała rację. Ludzie potrafią obgadywać innych, szczególnie tacy jak ci tutaj, emeryci, którzy nie mają nic lepszego do roboty.

Wyszły ze stołówki i ruszyły w kierunku windy. Matylda niosła swój jogurt z jabłkiem, a potem, stanąwszy przy windzie, w obliczu kilku świadków przekazała łup Alinie.

– Kochana, bądź tak dobra i weź mój jogurcik z jabłuszkiem do pokoju. Ja, wiesz, skoczę jeszcze na chwilę przewentylować płuca.

Powiedziała to głośno i wyraźnie, żeby wszyscy stojący przy windzie usłyszeli, że jej koleżanka nie jest złodziejką.

Ta na wszelki wypadek potwierdziła:

– Ależ oczywiście, droga Matyldo, zaniosę twój jogurcik do pokoju.

I z deserem wsiadła do windy. Matylda wyszła na zewnątrz i usiadła przy jednym ze stolików wystawionych tu dla pensjonariuszy, którzy mieliby ochotę posiedzieć przed hotelem. Na każdym blacie stała popielniczka, więc był to kącik dla palaczy, którzy z uwagi na wiek palić nie powinni, ale sanatorium nie miało w ofercie kuracji odwykowej.

Zapaliła papierosa, przyglądając się kątem oka sąsiadom siedzącym obok.

Dwaj mężczyźni w wieku, w którym dyskutować można już tylko o polityce albo o wędkarstwie, bo temat kobiet dawno przestał być intrygujący, zastanawiali się, na co najlepiej łowić w Wiśle.

– Na muchę to się złapie pstrąga, bo pstrąg tu chodzi – stwierdził szczupły pan z zalotną apaszką, założoną do brązowej koszuli, i w płóciennym kaszkiecie na głowie.

Przygotowywał się właśnie do palenia, robiąc skręta z bibułki i jakiegoś tytoniu, którego nazwa niczego nie powiedziała by żadnemu koneserowi. Jego kolega, przynajmniej o głowę niższy od niego, miał okrągłą, sympatyczną twarz człowieka zadowolonego z życia, który ostatnie lata zamierzał spędzić na samych atrakcjach i palił fajkę. Matylda

zauważyła, a właściwie poczuła, że jego tytoń pachnie niezwykle aromatycznie. Niewątpliwie była to amphora zmieszana z jeszcze jakimś dodatkiem o śliwkowym zapachu.

Fajkowy dym przywołał wspomnienia. Jej mąż, Gucio, generał milicji, palił fajkę. Kolekcja jego fajek jeszcze leżała w meblościance, nietknięta przez nikogo. Przez całe lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte kupował amphorę w peweksie, bo nigdzie fajkowych tytoniów z wyjątkiem podłego Bosmana nie można było dostać. W tej fajkowej szafce były jeszcze te stare tytonie, które pewnie całkowicie zwietrzały, ale Matylda nawet nie pomyślała, żeby je wyrzucić. Nikomu tam nie przeszkadzają.

Zapach tytoniowego dymu natychmiast uruchomił wspomnienia, kiedy to siadali w niedzielę po obiedzie przy lampce koniaku i włączali teleturniej *Wielka gra*. Jej mąż Gustaw był ważnym funkcjonariuszem MO. Ślązak z krwi i kości, do Warszawy przyjechał wraz z ekipą Gierka w siedemdziesiątym roku. W milicji zrobił błyskotliwą karierę, dosłużywszy się stopnia generała. To właśnie w pałacu Mostowskich Matylda, młoda, dobrze zapowiadająca się milicjantka, poznała swojego Gucia, gdy ten był jeszcze kapitanem.

– Pstrąg chodzi? Hi, hi! To pstrąg ma nogi? – ucieszył się wielbiciel fajki.

Jego szczupły kolega pokręcił głową.

– Ty to nic nie rozumiesz. Tak się tylko gada, że ryba chodzi. To znaczy, że pływa pod wodą, i na takiego pstrąga to się rzuca muchę...

– No tak, tyle że taką muchę to chyba trzeba najpierw złapać! Czyli że zanim złowisz tę chodzącą rybę, musisz złowić latającą muchę!

– Skądże znowu. Co ty za głupoty gadasz, Heniu. Much się nie łapie. Muchy się kupuje...

– W sklepie z muchami? Musisz mi pokazać kiedyś taki sklep, cha, cha!

Przypomniała sobie, że na wakacje jeździli do Wisły, a raz nawet była tu, w Ustroniu, choć już niewiele pamięta. To chyba było w siedemdziesiątym piątym, gdy ich syn Pawełek miał rok. Więcej się wtedy zajmowała dzieckiem niż wypoczynkiem. *To w sumie tak jak dzisiaj*, pomyślała, zaciągając się aromatycznym dymem z cienkiego papierosa. Teraz też jest na wczasach z wykupioną opcją sanatoryjnych zabiegów, ale na razie nie zaczęła jeszcze wypoczynku. Zajmuje się nie odnową biologiczną, regeneracją ciała i umysłu, ale zagadką zaginięcia kobiety.

Poszła jednak w zupełnie innym kierunku, czyli tak jak lubi najbardziej, kierując się przeczuciem, że to ją dokądś zaprowadzi.

Bilans jej działań był taki, że wypytała o zaginioną tylko kelnerkę z pensjonatu Źródółko i nie porozmawiała nawet z właścicielem, choć facet wydawał się interesujący, gdyż podobnie jak ona był koneserem dobrych smaków. Dowiedziała się, że kobieta rozmawiała z jakimś księdzem, więc poszła do najbliższego kościoła i tam natrafiła na awanturę między proboszczem a zakonnica. Ten ksiądz, krzykacz i awanturnik, nadawałby się idealnie na tego, który rozmawiał z zaginioną, lecz niestety tamten był młodszy. Być może to ten ksiądz Wojciech, który przyjechał po nią dziś samochodem. Gość sprawiał wrażenie niezwykle kontaktowego. Dziewczyna z knajpy mówiła, że ma urodę włoskiego aktora, i to by do niego pasowało. Tyle że Matylda nie miała jak go zapytać o znajomość z zaginioną, bo to zaraz wzbudziłoby podejrzenia. Dlatego poszła najprostszą drogą i gdy dziś zabierał ją z klasztoru po zakończeniu wycieczki przygotowanej przez Perpetuę, poprosiła o zrobienie zdjęcia przed wejściem do budynku klasztoru. Ksiądz się zgodził, a ona poprosiła jeszcze o wspólną fotkę. Wojciech spełnił jej prośbę, stanął blisko i objął ją w pasie jak młodą dziewczynę, a gdy przybliżył twarz do jej policzka, Matylda pstryknęła fotkę. Miała więc go na zdjęciu i mogła pójść pogadać z właścicielem pensjonatu i z kelnerką o twarzy obwieszanej metalowymi pierścieniami. Tak, musi pójść jak najszybciej. Tym bardziej że do Ustronia przyjechali Marcin z Kamą i są w tym pensjonacie. Kama zameldowała jej o tym telefonicznie zaraz po przyjeździe. Marcin na razie nie miał czasu, by z nią pogadać. Jak zwykle zresztą. Może i oni czegoś ciekawego zdążyli się dowiedzieć, więc będzie można zrobić naradę wojenną, na której im powie...

No tak, tylko co im powie? Że niczego nie odkryła i ma tylko niejasne przeczucia w postaci tego klasztoru, w którym przemiła siostra Perpetua pokazała jej, jakie możliwości daje przyjazd do nich na wakacje. Ale te możliwości były raczej dość skromne. Siostrze wydawało się, że otwiera przed nią bramy raj, pokazując ogród, a potem pokoje, które wyglądają jak cele więzienne.

– Nasze pokoje stworzyliśmy w duchu minimalistycznym. Ludzie do nas przyjeżdżający bardzo sobie chwalą tę prostotę – oznajmiła Perpetua,

pokazując jej iście eremicką celę.

Pokój miał może trzy na cztery metry i niezbyt wielkie okno, przez które widać było góry. Wewnątrz znajdowało się proste drewniane łóżko i stoliczek nocny, na którego blacie leżała Biblia. Do tego była jeszcze skromna, drewniana, dwudrzwiowa szafa, proste krzesło i klęcznik. Na ścianie nad łóżkiem wisiał krzyż. Ściany celi pomalowane były na biało.

– I jak ci się podoba? – zapytała zakonnica.

– Bardzo ascetycznie – stwierdziła Matylda.

– To właśnie chwałę sobie nasi goście, możliwość oderwania się od świata i spędzenia czasu na modlitwie, kontemplacji, które pozwalają zajrzeć w głąb siebie, własnej duszy i otworzyć swoje serce na obcowanie z Panem.

– Muszę to dobrze przemyśleć.

Matylda wiedziała, że za żadne skarby świata nie dałaby się zamknąć w tej klasztornej celi, przypominającej swoimi rozmiarami trumnę. Ale nie mogła tego powiedzieć, bo już nigdy by jej tu nie wpuszczono. A cały czas miała przeczucie, że ciotka Magda mogła trafić pod opiekuńcze skrzydła tego klasztoru. A jeśli tak było, trzeba to wyjaśnić do końca.

– Choć przyznaję, perspektywa ciszy i tego odosobnienia jest bardzo kusząca. Może mogłabym spróbować pobyc tu, powiedzmy, dzień czy dwa.

Perpetua uśmiechnęła się lekko, jakby pomyślała, że ziarno trafiło na podatny grunt.

– W każdej chwili. Mamy wolne pokoje. Jeśli chcesz, jesteśmy gotowi pomóc ci w wejściu do świata modlitwy. A to dla ciebie prezent, drobiazg o wielkiej mocy, specjalnie ode mnie. Żebyś poczuła tę więź, która od tej chwili będzie nas łączyć.

Wyciągnęła dłoń ku Matyldzie, ta podała jej swoją i zaraz poczuła, że coś na niej położono. Spojrzała. Na otwartej dłoni leżał różaniec.

– On ci pomoże w podjęciu dobrych decyzji. Miej go stale przy sobie, dotykaj w chwilach niepewności i odmawiaj z nim modlitwę do Najświętszej Panienki. To da ci siłę i umocni cię w wierze, która jest przecież największym darem dla człowieka od naszego Ojca.

Włożyła dłoń do kieszeni i natrafiła na różaniec. Nie poczuła jednak żadnej energii, co podobno miała być w nim zaklęta. Nie czuła kompletnie nic

oprócz niewygody, bo żeby włożyć dłoń do kieszeni dzinsów, musiała wygiąć rękę pod nienaturalnym kątem.

– Mówię ci, to złodziejka – powiedział ten szczupły w kaszkiecie.

– Która? – zapytał jego niższy, uśmiechnięty kolega.

– No ta babka, taka pulchna, co chodzi w ciemnej sukni w takie kwiaty i w słomkowym kapeluszu. O, już wiem, Alina ma na imię.

Matylda nadstawiła ucha. Najwyraźniej ci dwaj mówią o jej współlokatorce.

– A to już wiem. A czemu złodziejka?

– No jak czemu? Przecież wczoraj pod same drzwi Tulipana, o, tu, gdzie siedzimy teraz, przywieźli ją policyjną suką. Nie słyszałeś? Od wczoraj w sanatorium wszyscy o tym mówią.

– Ale niby czemu ma być złodziejką?

– No jak czemu? Musiała coś rąbnąć w sklepie, aresztowali ją, a potem odwieźli. Mówię ci, to podejrzana sprawa. Niewinnych suką nie wożą.

Matylda zerwała się z krzesła i w dwóch susach dopadła do stolika, przy którym siedzieli obaj plotkarze.

– A nie pomyślałeś o tym, cymbale jeden, że mogła zasłabnąć na spacerze i policjanci ją przywieźli, żeby nie musiała się męczyć, wracając do domu po czymś takim? – Matylda złapała się pod boki i nachyliła się nad chudym, jakby chciała za chwilę przyłożyć mu z główki.

– Ale ja...

– Tobie, ćwoku, nie zrobiło się nigdy słabo? Jeśli nie, to może się doczekasz, padniesz na ulicy, a ludzie będą przechodzić i mówić: zostawcie go, to pijak. Wtedy zrozumiesz, że nie wolno pochopnie oskarżać innych o zbrodnię.

Wyprostowała się, spojrzała jeszcze raz w oczy chudego, potem popatrzyła na jego kumpla, który wyglądał na przerażonego, a w końcu odwróciła się i powoli, z godnością, odeszła w kierunku wejścia do sanatorium.

Dwaj mężczyźni patrzyli za nią w osłupieniu. W końcu ten niższy wyciągnął fajkę z ust, odłożył ją na popielniczkę, a potem oblizał usta, jak człowiek spragniony na widok szklanki zimnej wody.

– Co za kobieta! Niech mnie diabli. Muszę ją koniecznie poznać bliżej.

– Jest jeszcze jedno miejsce, całkiem niedaleko – powiedział goprowiec Rykala, niby obojętnie, ale od razu zauważyłem, że zerknął na Kamę.

Cholera, wpadła mu w oko. W końcu moja dziewczyna jest nieprawdopodobnie piękna. Długie ciemne włosy, związane w koński ogon, piwne, a właściwie miodowe oczy, patrzące przenikliwie na każdego rozmówcę, od razu zwracają uwagę. Jeśli do tego dodać, że w zasadzie prawie wcale się nie maluje, podkreśla jedynie oczy czarną kreską, to już możecie sobie wyobrazić kobietę niemal doskonałą, która gdziekolwiek się pojawi, przyciąga spojrzenia mężczyzn. I wcale nie musi nosić wydekoltowanych bluzek, miniówek i szpilek, by robić wrażenie. Kama ubiera się w stylu survivalowym albo, jak kto woli, turystycznym, pasującym do górskich bezdroży. Dziś ma na sobie amerykańską wojskową czapkę, termiczną koszulkę z krótkim rękawem, czarne bojówki i buty trekkingowe za kostkę. Przy pasku są przypięte brezentowa torebka na telefon i fiński nóż w pochwie, przywieziony z wakacji w Norwegii. Lubi nosić ze sobą ten nóż, bo uważa, że nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Nic więc dziwnego, że ten górski ratownik od razu dostrzegł w niej ideał kobiety, taką, która mogłaby z nim przemierzać niebezpieczne szlaki. Ciekawe, że ten gość zobaczył to wszystko od razu, a mnie musiało to zająć tyle czasu. Wszystko to wina Dżesi, która jakiś czas temu zawróciła mi w głowie i odebrała jasność racjonalnego postrzegania świata. A może i moja, jak sądzicie?

Skończyliśmy już próbne zdjęcia nad brzegiem Wisły, całkiem zadowoleni z rezultatów, a Wasyl był nawet skłonny uznać, bez przeglądania obrazków w komputerze, że to jest właściwe miejsce do nagrywania. Ale ten góral chciał nam jeszcze coś pokazać, pewnie doszedł do przekonania, że za mało czasu spędził z Kamą.

– Co to za miejsce? – mruknąłem niezbyt zadowolony.

– Niedaleko, na południowym stoku Jasieniowej, wypływa taki potoczek, co się nazywa Puńcówka. To jest prawy dopływ Olzy, co w Cieszynie wpada do niej, to znaczy do tej Olzy. I ona wypływa w lesie, przepływa przez pola i koło zamku w Dziegielowie. Naprawdę jest tam bardzo malowniczo. Jak zobaczycie to miejsce, to myślę, że będzie bardziej się wam podobać niż to tutaj.

Wzruszyłem ramionami. Co miałem w końcu powiedzieć? Rozumiałem intencje gościa lepiej niż ktokolwiek inny w naszym towarzystwie. Chociaż nie, Kama chyba też wiedziała, o co chodzi, ale

zdaje się, że całkiem jej to odpowiadało. Może postanowiła go wykorzystać, by odegrać się na mnie za Dżesi i jej wtargnięcie w nasz wyjazd? Miałem wrażenie, że całkiem dobrze się bawi, więc żeby nie wyjść na dumnia, musiałem wykazać się profesjonalizmem.

– Nie mnie oceniać efekty zdjęciowe. Niech głos zabierze mistrz obrazu. – Wskazałem palcem Wasyla, który właśnie pakował kamerę do torby.

– Co powiesz, Wasyl? – zapytała Kama.

Operator spojrział na rzekę, potem na słońce ponad wierzchołkami i zmarszczył nos. Chyba mu się coś nie podoba, pomyślałem zadowolony, że mój kumpel jest po mojej stronie. Może dostrzegł to, jak Rykala nadskakuje Kamie, i też mu się to nie spodobało, więc postanowił skończyć tę farsę.

– Nie jest jeszcze późno – rzucił Wasyl, a Kama uśmiechnęła się.

– No to, panie Janku, dokąd jedziemy? – zapytała wyraźnie uradowana.

Cholera, przegrałem z kretelem. Teraz będę przez najbliższe dwie godziny patrzył, jak ten pajac umizguje się do mojej dziewczyny, i będę robił dobrą minę do złej gry. No ale co? Mam im powiedzieć, że nie chce mi się szukać kolejnego planu? No przecież wyjdę na dyletanta i, co tu dużo gadać, zazdrośnika.

– To jedźmy do Dzięgielowa. To jest stąd rzut beretem. Ale jak zobaczycie to miejsce, o którym myślę, będziecie oczarowani.

– Oby było warto – mruknąłem pod nosem.

– No co ty, Miśku! – rzuciła Kama i to rozwiało wszelkie moje wątpliwości. Z premedytacją bierze na mnie odwet. Ale ja jej jeszcze pokażę. Zobacz, że potrafię odpowiedzieć w wyrafinowany i okrutny sposób. Oczywiście jeśli nadarzy się okazja, a ja nie zapomnę o zemście.

– Przecież pan Janek zna tu każdy kamień – tłumaczyła zupełnie niepotrzebnie. Ja to wiedziałem. To, i znacznie więcej, niż się mogła domyślać. – Zobaczmy, co to za miejsce, i zastanowimy się. A w ogóle to musi nam pan opowiedzieć o tych poszukiwaniach – poprosiła, wsiadając do samochodu.

Janek oczywiście zajął miejsce koło niej. Zaraz, co ona powiedziała? Opowiedzieć o poszukiwaniach?

– O jakich poszukiwaniach? – zapytałem, bo przypomniało mi się, że oprócz poznawania gór i krajobrazów mieliśmy jeszcze jeden cel

w zaproszeniu tego gościa na plan. Zupełnie o tym zapomniałem, zdaje się, że zazdrość sprawiła, że straciłem kontakt z rzeczywistością.

– Wyobraź sobie, że pan Janek był szefem akcji poszukiwawczej tu, w górach...

– Dokładnie to na Czantorii – poprawił ją goprowiec.

– No właśnie, to było na Czantorii, jak zginęły dwie turystki, emerytki, które wyszły na spacer.

– Z górami nie ma żartów – stwierdził ratownik. – Dobra, teraz niech pan skręci w lewo – polecił Wasylowi. – To jest trasa na Cieszyn, a potem odbijemy znowu w lewo, na zamek w Dziegielowie. Tam przepływa ten strumień, ale my musimy pojechać jeszcze dalej w las.

– To tam gdzieś zginęły te turystki? – spytałem naiwnie, żeby dać mu szansę na sprostowanie i kontynuację opowieści.

– Nie, to zupełnie inna góra, inny kierunek. Jasieniowa, pod którą jedziemy, to pagórek, ma tylko trzysta osiemdziesiąt metrów, a Czantoria ma dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć. No i tam właśnie, prawie na szczycie Czantorii, obie panie wjechały krzeselkami, a potem wpadły na pomysł, żeby wrócić pieszo. Pogoda była ładna i słoneczna, widok piękny, tylko nikt im nie powiedział, że to się może zmienić z minuty na minutę...

– Teraz prosto? – spytał Wasyl.

– Prosto – potwierdził przewodnik. – No i poszły w dół, w normalny dzień w dwie godziny by zeszły, a tu pogoda się zmieniła, chmury usiadły na zboczu, zaczął padać śnieg i się zgubiły. Musiały w drodze dostrzec jaśniejsze miejsce, zobaczyły w dole światła i poszły na przełaj. A to najgorsze, co można zrobić. Jedna spadła w dół kilka metrów i już tak została, a druga poszła jej szukać i tej już nie znaleźliśmy. Tylko torebkę.

– A w torebce co było? – zapytała zciekawiona Kama.

– No właściwie to niewiele. Nawet się dziwiliśmy, bo nie było dowodu i telefonu, tylko same drobiazgi.

– Jakie? – dopytała Kama.

– Legitymacja jakaś, taka emerycka, do zniżek, chusteczki, szminki i pudry, i różanec.

– Czyli zabrała telefon, a nie wzięła różańca – zauważyłem. – Bardziej wierzyła technice i ludziom, którzy mogą jej pomóc, niż modlitwie.

– W górach modlitwa nie pomoże. Pomóc sobie trzeba samemu – stwierdził Jan. – W każdym razie telefon jej nie pomógł, bo jej nie znaleźliśmy. Do dzisiaj nie ma nigdzie po niej śladu. Tylko ta torebka

została i różaniec. Gdyby nie śnieg, tobym go nie zobaczył. Ale że czarny, a tam ten śnieg był jakby udeptany, na tym zboczku, gdzieśmy ją znaleźli, to znaczy torebkę...

– Czyli różaniec nie był w torebce – zauważyła Kama.

– Nie, leżał w śniegu. Podniosłem i wziąłem do kieszeni przez szacunek, żeby tam nie został. A torebka to była kilka metrów dalej. Torebkę zabrali policjanci.

– A co się stało z różańcem?

– Włożyłem go do kieszeni. A na następny dzień, jak mi się przypomniało, że go mam, to poszedłem do kościoła w Ustroniu, kościoła świętego Klemensa, i go ofiarowałem figurze Najświętszej Paniienki z prośbą o odnalezienie zaginionej. Ale widać za mało to było, bo kobieta się nie odnalazła.

– Sporo czasu minęło – powiedziałem, myśląc o tym, że las nie jest najlepszym miejscem do przechowywania zwłok.

– Po mojemu to już się nie znajdzie. Jenoty i lisy dawno rozwlekły, ptaki rozdziobały, a mrówki i robaki dokończyły. Może za jakiś czas ktoś kosteczki znajdzie.

– Teraz w lewo? – odezwał się Wasyl.

– Tak, na zamek się kierujemy, a potem prosto.

– Co to za zamek? – spytałem, widząc niewysokie zabudowania, przykryte czerwoną dachówką. Przypominało to bardziej folwark ze stodołami i oborami, ale na pewno nie wyglądało jak zamek. Brakowało wież i murów. No chyba że je kiedyś wyburzono.

– To renesansowy dwór rycerski. Ale tu się mówi „zamek” – wyjaśnił nasz przewodnik. – I teraz jeszcze tą drogą jakiś kilometr pojedziemy.

Droga prowadziła w las. Chwilę później nasz przewodnik kazał Wasylowi się zatrzymać.

Kierowca stanął na poboczu i wyłączył silnik. Wysiedliśmy z auta i rozejrzeliśmy się dookoła. Strumyk rzeczywiście był i wyglądał bardzo pięknie, tyle że płynął przez las i pośród krzaków.

– Nie nadaje się – stwierdziłem. – Za dużo roślin i za ciemno.

– To nie tu – odpowiedział Jan. – Musimy przejść nad tym strumykiem jakieś sto metrów, o, tam. Dojdziemy do polany i zobaczycie wszystko.

– To chodźmy – powiedział Wasyl i ruszył przodem.

Poszliśmy za nim. Parę minut później staliśmy na pięknej polanie, przez którą płynął strumień. Muszę przyznać, że było tam niezwykle

malowniczo i urokliwie, ale to nie taki krajobraz, o jaki nam chodziło. Przede wszystkim nie było gór w tle, widok zasłaniały drzewa. Wasyl jednak wydobyl smartfon i zaczął robić zdjęcia i filmiki. Ja nie miałem nic do roboty, Kama zajęta była rozmową z goprowcem. No to poszedłem w krzaki, żeby schować się i spokojnie wysikać. Wszedłem w gąszcz na kilka kroków i już chciałem rozpiąć spodnie, gdy moje spojrzenie napotkało coś. Szare spodnie dresowe z białym paskiem na boku. Skąd tu spodnie, zapytałem samego siebie i podszedłem. Naraz poczułem paskudny zapach, potem dostrzegłem chmary much i w końcu zrozumiałem, że te szare dresy mają swoją zawartość. Sinoszara stopa upewniła mnie w tym, że natrafiłem na coś potwornego.

Nie uciekłem jednak, przemogłem się i podszedłem jeszcze bliżej. Odchyliłem gałęzie i zobaczyłem poczerniałą głowę kobiety bez oczu, ust i nosa. Twarz w tych miejscach pokryta była masą kłębiących się białych robaków, które zdążyły się wylęgnąć z setek jaj złożonych przez muchy.

Poczułem, że robi mi się niedobrze i wszystko, co dziś zjadłem, podnosi się do góry. Na chwilę zdołałem się opanować. Wszedłem z krzaków na polanę i dopiero wtedy puściłem pawia.

Rozdział VII

Ustron/Dzięgielów
Godzina 15.50

Miał już być w domu, ale został jeszcze chwilę w komisariacie. Chciał poszukać wiadomości na temat surowych trumien, ale w necie nic mu się nie udało znaleźć. Przemysł trumniarski w Polsce miał się całkiem dobrze, ale surowych trumien nikt nie sprzedawał na masową skalę albo nikt się tym specjalnie nie chwalił. Domyślił się, że to chyba tak, jakby jakaś firma miała się chwalić produkcją plastikowych butelek albo nakrętek do nich. Wszyscy wiedzą, że się coś takiego robi, a ci, którzy ich potrzebują, wiedzą, do kogo uderzyć. Dopiero jak się taką flaszkę napelni oranżadą, umieści nalepkę z nazwą i zakręci korek, to wtedy towar staje się produktem nadającym się do sprzedaży. A wcześniej jest tylko półproduktem i gotowym do obróbki opakowaniem. Te trumny dopiero czekają na obróbkę i doprowadzenie do stanu używalności.

Wczoraj w domu po powrocie z tartaku postanowił rozpisać sobie wszystko w komputerze, wyciągnąć wstępne wnioski i być może określić jakieś tropy, które zapewne gdzieś prowadzą. Potrzebował więc hipotez, które mógłby zweryfikować. Żeby łatwiej się myślało, rozebrał się do samych gaci, włączył wiatrak elektryczny i otworzył zimne piwo. Tak przygotowany, przystąpił do analizy śledczej. Zaczął się zastanawiać, przeglądając zdjęcia z okolic klasztoru i z tartaku. Musiał przyznać, że trumny pobudziły jego wyobraźnię na tyle, że odpuścił zupełnie ślad w postaci buta. Żeby mieć zupełnie spokojne sumienie, zadzwonił jeszcze kilka razy na numer dziewczyny, ale nie udało mu się połączyć. No więc odpuścił ten wątek i zajął się trumnami. Porównał w komputerze powiększone zdjęcia trumien z klasztoru i z tartaku, wyszło mu, że w zasadzie są takie same, ale trochę inne. Żeby mieć pewność, brakowało mu zdjęć z bliska. Te w planie ogólnym były do niczego. To wina jego kiepskiego telefonu. Zamiast kupić sobie porządny sprzęt, zdecydował się na jakieś badziewie i niestety aparat robił słabe zdjęcia. Był zły na siebie,

bo różnica między tym smartfonem, który wybrał, a nieco lepszym, znanej marki, to było zaledwie czterysta złotych. Najlepiej więc będzie zrobić te zdjęcia jeszcze raz. A to wymaga ruszenia się z domu.

Ale najpierw hipoteza, zganił się w myślach, bo ruszenie się z domu to był pretekst. Pilarski pomyślał bowiem, że mógłby wskoczyć na rower i przejechać się do Dzięgielowa, tam przyrzeć się trumnom i zrobić im zdjęcia, a potem pojechać do tartaku i tam też porobić zdjęcia. I dzięki temu zaliczyłby fajną trasę, a do tego nie musiałby ślęczeć przed komputerem i wymyślać hipotez śledczych. To nie jest robota dla niego. Jednak najlepiej się czuł w terenie, a nie za biurkiem.

Spojrzał na ekran komputera, na razie napisał tytuł: Hipoteza 1, pogrubioną czcionką. Niżej nie było jeszcze nic. Zagłębił się w myślach.

Dobra, zrobimy tak, że pojedę na rowerze na wizję lokalną, ale pod warunkiem że wymyślę jakąś ciekawą hipotezę. No dalej, chłopie, wyteż umysł. Masz zaginioną dziewczynę, może jej but i trzy trumny w klasztorze oraz te w tartaku. Czyli może było tak, że dziewczyna nie chciała już być zakonnica, uciekła przez las, tam zgubiła but, ścigający ją dopadli. Kto ją ścigał? Przecież nie zakonnice. To oznacza, że musiał ją gonić ten księżulo, przystojniak, zaraz, jak on się nazywa? Wojciech Wojda się nazywa, musiał mu pomagać ten smutny stróż. No więc dopadli dziewczynę i zabili. I do tego potrzebowali trumny, żeby ją pochować. Zamówili nie jedną, ale kilka, żeby nie wyszło na jaw, że potrzebują tylko jednej, i dziewczynę w niej pochowali, a te trzy dla zamydlenia oczu umieścili w garażu. Tylko czemu ten Matys nie powiedział, że owszem, sprzedali im cztery trumny, tylko twierdził, że żadnej nie sprzedali? Tu się coś haczy w tej hipotezie, ale tak poza tym jest całkiem realna. Brakuje tylko ciała dziewczyny i miejsca pochówku. Jeśli takie się znajdzie, wszystko stanie się jasne. Ale najważniejsze, że udało mi się wymyślić, co tam się właściwie stało, i połączyć ucieczkę z trumną. No i najważniejsze: mam głównego podejrzanego. Od początku mi się ten miły księżulek nie podobał. Trzeba go będzie przycisnąć. Ale najpierw zacznę od wizji lokalnej. Pojadę tam rowerem i pochodzę sobie po ogrodzie i całym terenie klasztornym, sprawdzę, czy gdzieś ziemia nie jest świeżo ruszona. Jeśli tak, to będę miał dowód, że...

No ale nie ma co uprzedzać faktów. Zapisał wszystko w komputerze i wyłączył zasilanie. Potem popatrzył tęsknie na piwo. Może poczekać do

wieczora. Jak wróci, to sobie wypije. Zaczeka na niego w lodówce i porządnie się schłodzi.

Ubrał się w obcisłe krótkie spodnie i koszulkę kolarską, założył pas z sakwą na klucze i telefon, na głowę założył kask, a na nogi lekkie buty kolarskie. Teraz mógł zejść do garażu i wsiąść na swojego górala.

Gdy wyjeżdżał z domu, dochodziła dziewiętnasta. Do przejechania miał nieco ponad dziesięć kilometrów, więc powinien być na miejscu za pół godziny. Cieszyła go ta przejażdżka, tym bardziej że wieczór był gorący, a siedzenie w pustym domu nudne.

Przycisnął mocniej pedały, zadowolony z jazdy i z powietrza owiewającego mu twarz. Jechało mu się lekko i bez szczególnego wysiłku, tak jak dawniej, gdy pedałował codziennie. Od jakiegoś czasu mocno zaniedbał to jeżdżenie, bo dom, dzieci i praca, czyli zmęczenie codziennością. A przecież taka przejażdżka wieczorem po całym dniu to doskonała odskocznia od problemów i jednocześnie najlepsze lekarstwo na stres. Poza tym podczas jazdy zawsze można sobie pewne sprawy przemyśleć. Jak choćby przypadek tego księdza.

Trzeba by mu się dogłębnie przyjrzeć. Jest księdzem i żyje w żeńskim zakonie. Młody jest jeszcze, więc niedawno musiał skończyć seminarium. Czyli było tak: skończył szkołę, wyświęcili go, a potem co? Odszedł z Kościoła, żeby się przyłączyć do zbuntowanych sióstr. Faceta bez uprawnień do odprawiania mszy i spowiadania by przecież nie przyjęły. Czyli może nie odszedł i cały czas jest księdzem, ale coś przeszkobił i ma jakieś „zawiasy”? Być może więc księżulo ma jakąś tajemnicę, którą ukrywa. I dlatego trzeba się będzie o nim wszystkiego dowiedzieć.

Dwadzieścia minut później przejechał drogą wzdłuż zamku, a potem odbił w lewo, w kierunku Jasieniowej. Do klasztornych zabudowań tym razem postanowił podjechać od strony wsi i wejść główną bramą. Asfaltowa droga doprowadziła go do samego wejścia. Całą posesję otaczał cementowy płot z płyt, przez który nie widać było nic z zewnątrz, nic oprócz górnych kondygnacji i poddasza. Kilka drzew rośnie tuż przy płocie. Mogły mieć jakieś dwadzieścia lat, może nieco więcej. Posadzono je zapewne wtedy, gdy zbudowano ten pensjonat. Ale wtedy musiał mieć znacznie lżejsze i bardziej zachęcające do odwiedzin ogrodzenie. To teraz mówiło wszystkim, którzy tu przybyli: stój i nie wchodź na nasz teren, jeśli nie zostałeś tu zaproszony.

Stanął przy bramie wjazdowej dla samochodów. Obok była jeszcze furтка. Podszedł do niej, prowadząc rower. Na filarach bramy zobaczył kamery, czyli wjazd jest monitorowany. Jeśli tak, to podobnie będzie z ogrodem i dziedzińcem. Nie widział jednak żadnych kamer z tyłu, na małym podwórku, przy którym stał ostatnio. Czyli są dziury w monitorowanym obszarze.

Przycisnął guzik domofonu. Odczekał minutę, ale nikt nie odpowiedział. Nacisnął ponownie i tym razem przytrzymał dłużej, na wszelki wypadek, gdyby ktoś tam miał kłopoty ze słuchem. Tym razem się udało.

– Szczęść Boże, w czym mogę pomóc? – usłyszał kobiecy głos.

– Z tej strony aspirant Pilarski z komisariatu w Ustroniu. Chcę się widzieć z księdzem Wojdą.

– Czy był pan umówiony?

– Siostra żartuje? Czy z księdzem mam się umawiać jak z biskupem? Muszę się z nim pilnie zobaczyć. A jeśli nie wyjdzie do mnie, jutro dostanie oficjalne wezwanie na...

– Proszę poczekać – usłyszał, a potem zapadła cisza.

Oparł się o rower w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Tak naprawdę to jeszcze do końca nie wiedział, o czym miałby z tym księdzem rozmawiać, ale zdecydowanie wiedział więcej niż wczoraj, gdy kazał mu tu przyjechać komendant. Miał być razem z Okrasą, żeby zebrać trochę danych do śledztwa i do jego zamknięcia. Ale wolał tymczasem przemyśleć wszystko i pójść jeszcze do Matysa w tartaku. I dobrze zrobił, bo wiedział teraz znacznie więcej, choć ciągle nic konkretnego. Może po rozmowie z księdzem dowie się czegoś, co go naprowadzi na jakiś ślad.

Usłyszał zgrzytanie klucza w zamku i furтка się otworzyła. Ksiądz nie zaprosił go jednak do środka. Skinął głową, a potem wyszedł na zewnątrz.

– Pan wybaczy, panie aspirancie, ale po osiemnastej bramy naszego przybytku są już zamknięte dla osób postronnych. Czas po kolacji przeznaczony jest na indywidualne rozmowy z Bogiem, więc siostry udają się do dormitoriów i tam już zostają. Nic i nikt nie ma prawa zakłócać im tego czasu.

– Nie mam zamiaru się narzucać. Przyszedłem tylko zapytać o pewne kwestie, które według mnie są bardzo ważne.

– Proszę pytać, chętnie odpowiem w miarę swoich skromnych możliwości.

– W garażu macie trzy surowe trumny. Skąd je macie i dla kogo są przeznaczone?

Duchowny spojrział na policjanta jak na wariata.

– I dlatego pan się do nas wybrał na wyprawę rowerową, żeby zapytać o to, o co mógł spytać przez telefon?

– Lubię jeździć rowerem. Więc co z tymi trumnami?

– Dostarczył je pan Matys, a właściwie jego syn Romek Matys. A trumny nie są dla nikogo. To znaczy, na razie dla nikogo, ale kiedyś się przydadzą. Kupiliśmy je po okazyjnej cenie. A skoro była okazja, to kiedyś się je wykorzystają. Na razie stoją i czekają, ale niestety kiedyś się doczekają.

– Czyli robi je firma Matysa? – upewnił się policjant.

Ksiądz skinął głową.

To dlaczego stary Matys zaprzeczył?, przeszło mu przez myśl. Ale nie zapytał o to. Miał inne ważne pytanie.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy ksiądz... to znaczy, dlaczego ksiądz... – Pilarski nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa, ale duchowny się domyślił.

– Chce pan zapytać, czy odszedłem z Kościoła? Powiem panu w tajemnicy, że przyjemniej jest żyć w domu z pięćdziesięcioma kobietami, niż pracować z samymi facetami, którzy patrzą człowiekowi na tyłek... – co powiedziawszy, spojrział w oczy Pilarskiego, a potem roześmiał się głośno. – To oczywiście żart – dodał. – Taki potwierdzający stereotypowe opinie, które często są krzywdzące, jeśli się je odnosi do całości instytucji. Nie odszedłem, jestem, jak by to powiedzieć, na urlopie. A motywacja, to ogólnie rzecz ujmując, niezgoda na kupczenie odpustami.

Bardzo, bardzo ciekawe, pomyślał policjant. O odpusty chodziło chyba Lutrowi, a nie dzisiejszym reformatorom. Zresztą ten przystojniak nie wyglądał na kogoś, kto by chciał cokolwiek reformować. Bardziej mu wierzył, gdy ksiądz mówił o tych pięćdziesięciu kobietach niż o niezgodzie na grzeszny Kościół. Poza tym obraz dobrego pasterza za nic nie pasował do hipotezy, która zakładała, że ten człowiek stoi za zaginięciem dziewczyny. A jeśli doprowadził on do jej śmierci, nie jest dobrym pasterzem, na jakiego się kreuje. Trzeba będzie mu się bliżej przyjrzeć, a poza tym wejść na teren klasztoru i poszukać miejsca, gdzie mogli zakopać trumnę ze zwłokami zakonnicy.

– Ej, Michał, jesteś tam? – usłyszał głos swojego kumpla Marczaka. Ten siedział w biurze przepustek, bo miał dziś służbę dyżurnego podoficera.

– No, ale już mnie nie ma. Spadam do domu! – odpowiedział, na wszelki wypadek, dodając tę informację o końcu pracy, żeby Marczak czasami w coś go nie wpakował. – Nie piszę się na żadną kradzież w sklepie czy podpieprzony rower albo śmieci wyrzucone w lesie.

Marczak pojawił się w drzwiach. Pilarski od razu dostrzegł jego zafrasowaną minę. To nie wróżyło niczego dobrego.

– Mamy ciało w Dzięgielowie. Chyba młoda dziewczyna.

– Kurwa! – rzucił Pilarski i naraz przyszło mu do głowy, że nie będzie już trzeba szukać trumny w ogrodzie klasztornym.

Dzięgielów Godzina 16.00

W pierwszej chwili wszyscy chyba pomyśleli, że zwariowałem. Goprowski przewodnik, a nawet Wasyl patrzyli na mnie jak na świra. Bo rzeczywiście to, co powiedziałem o znalezieniu trupa w tej sielankowej scenerii, wyglądało jak fantazja ze snu wariata. Tylko Kama stanęła na wysokości zadania i zamiast zadawać głupie pytania, podała mi chusteczkę.

– Wytrzymaj się i masz tu wodę – w ręce miała butelkę z mineralną. – Przemyj twarz, wypłucz usta i powiedz, co znalazłeś.

Zrobiłem tak, jak powiedziała, a potem wskazałem za siebie.

– Tam, w krzakach, leży ciało jakiejś kobiety, chyba dziewczyny. Jest już dobrze nadgryzione przez muchy, więc musi tu leżeć kilka dni.

Trochę się na tym znałem dzięki mojemu znajomemu doktorowi Pawłowi Leśniewskiemu z Piły, który był specjalistą od owadów i ich aktywności na ciałach ofiar przestępstw. Byłem na kilku jego wykładach, więc wiedziałem, co w kilka letnich godzin mogą zrobić muchy składające jajka na wrażliwych miejscach ludzkiego ciała. Jednakże oglądanie zdjęć w sali wykładowej a doświadczenie tego na własne oczy to zupełnie różne rzeczy. No i moja odporność okazała się niewystarczająca w zetknięciu z rzeczywistością.

– OK, rozumiem – Kama skinęła głową. – Wasyl, kamera. Może być mała, nie musisz brać tego największego grata. Robisz zdjęcia ciała, tyle,

ile się da bez podchodzenia do zwłok. Ty – wskazała palcem Janka Rykałę – dzwoniś na policję.

– Na numer alarmowy? – wołał się upewnić ratownik.

– Nie, bo cię połączy z Katowicami albo Bielskiem. Dzwon na komisariat w Ustroniu. Znasz do nich numer?

– Pewnie, że znam. Współpracowałem z nimi przy poszukiwaniach tej zaginionej kobiety.

– To podaj im namiary tego miejsca i powiedz, że już zabezpieczamy wszystko i nikt nie dotknie trupa.

– Może to ta nasza zaginiona z grudnia? – domyślił się goprowiec.

– Nie ma szans – zaprzeczyłem. – Ta kobieta leży tu najwyżej tydzień.

– Niby skąd to wiesz? – zapytał zaczepnie Rykała.

Chciałem mu odpowiedzieć, ale uprzedziła mnie Kama.

– Chcesz pomóc, dzwoń. A jeśli Marcin mówi, że zwłoki są świeże, to ma rację. Zna się na tym – powiedziała to takim tonem, że dalsza dyskusja stawała się bezprzedmiotowa.

– No dobra, po co zaraz się wściekać. Wolę się tylko upewnić – stwierdził pojednawczo, a potem wy dobył telefon z kieszeni spodni.

Tymczasem Wasyl z małą reporterską kamerą już zanurzył się w krzakach. Kama poszła za nim, żeby mu w razie czego pomóc w odgarnianiu przeszkadzających gałęzi. Muszę przyznać, że byłem z niej dumny. Zachowała się jak dowódca akcji, rozdzielając zadania i nie pozwalając na zbędne dyskusje. Wiedziała, co robić, bo nie pierwszy raz byliśmy na miejscu zbrodni. Już nam się zdarzyło filmować zwłoki ofiary morderstwa. Prawda, wiedzieliśmy, że te obrazki nie będą do wykorzystania, bo żadna telewizja nie puściłaby zdjęć zwłok jeden do jednego, ale można było je zblurować podczas montażu i wykorzystać w reportażu. Tak, właśnie w reportażu, bo w tym momencie, niczego nawet nie uzgadniając, od razu zmieniliśmy się z zespołu realizującego spot reklamowy w profesjonalną ekipę reporterską. Na razie więc robiliśmy to, co można było zrobić, czyli korzystaliśmy z faktu, że policja jeszcze nie przyjechała, i kręciliśmy, ile wlezie. Bo za chwilę, gdy się tu pojawią, wyrzucą nas, żebyśmy nie przeszkadzali policyjnym technikom. Znamy procedury śledcze, więc korzystaliśmy z tego, że byliśmy tu pierwsi.

Poszedłem do samochodu, otworzyłem bagażnik i zacząłem szukać drugiej małej kamery, żeby móc sfilmować przyjazd policjantów, do materiału potrzebowaliśmy jak najwięcej przebitek. Poza tym potrzebne

nam były zdjęcia, które będziemy mogli sprzedać do programu newsowego. Wiadomo było, że będą potrzebne, gdy nasza stacja wyśle na miejsce odkrycia zwłok wóz satelitarny z reporterem, żeby mogli na żywo nadawać stąd relacje. Wtedy będzie można podrzucać obrazki, które my zrobimy już wcześniej. Ale zanim do tego dojdzie, musiałem jeszcze wszystko zorganizować. Gdy miałem już kamerę gotową do pracy, zadzwoniłem do naszego producenta, żeby powiedzieć mu o wszystkim.

– Czołem, mówi Marcin – zakomunikowałem, gdy usłyszałem przeciągłe „halo” w wykonaniu naszego telewizyjnego szefa.

Jarek Mazurek, mój producent, jest człowiekiem lubiącym stwarzać problemy. W zasadzie można by nawet powiedzieć, że on sam jest jednym wielkim problemem, nawet dla samego siebie. Ciągłe na coś narzeka. Przede wszystkim na swoje zdrowie.

– Marcin? Marcin Engel? – wolał się upewnić. – Marcin, jak się czujesz?

– Świetnie, słuchaj...

– Marcin, ty jesteś w górach, nie? Tak mi pisałeś, że jesteś w górach, bo wiesz, ja czytałem, że te ich góralskie sery owcze, te oscypki, to są bardzo dobre, bo mają mało kalorii, a do tego są bardzo zdrowe. Więc sobie pomyślałem, że mógłbyś mi kupić takich serów trochę od górali. Wiesz, tu, w Warszawie, też można niby je dostać, ale czy ja wiem, z czego oni je robią? A tak jak pójdziesz w tym Zakopanem do górala...

– Jestem w Ustroniu.

– Jak to w Ustroniu? Przecież w Ustroniu byliśmy w zeszłym roku. Znowu pojechałeś nad morze do Ustronia? Trzeba było mi powiedzieć, pojechałbym z tobą. Wiesz, jak dobrze na mnie działa morskie powietrze i ta terapia szumem morskich fal. Jakie to odprężające...

– Jestem w Ustroniu koło Cieszyna. To Beskid Śląski.

– Aha, bo już się bałem, że nad morzem. Ale znad morza to mógłbyś mi przywieźć wędzonego dorsza. Wiesz, że ja uwielbiam wędzonego dorsza. Ale to w takim razie idź do tego górala...

– Jarek, mamy morderstwo!

– Co? Kogoś zamordowałeś?

– Jeszcze nie. Ale za chwilę zamorduję ciebie, jak mnie nie wysłuchasz.

– No dobra, co się pieklisz. Już słucham. Tylko pamiętaj o tych oscypkach, żeby były prosto od górala...

– Zamordowano młodą dziewczynę – przerwałem mu w końcu. – Znaleźliśmy jej zwłoki.

– Młodą dziewczynę. Och, szkoda...

– Jestem na miejscu, robimy obrazki. Za chwilę zbierzemy informacje i możemy wszystko podesłać do newsroomu. Jeśli oczywiście wezmą, młoda dziewczyna, zamordowana, ciało nad górskim strumieniem. Wasyl robi obrazki, zaraz przyjedzie policja, bo my ich zawiadomiliśmy. Sprawa świeża, więc mogą podsyłać tu wóz, a my zadbamy o obrazki.

– A kto ją zabił? – zapytał Jarek Mazurek.

– Mordercy – wyjaśniłem. Nie miałem ochoty brnąć w tę rozmowę.

– Dobra, oddzwonię, co z wozem i w ogóle. Pamiętaj o oscypkach – rzucił jeszcze na koniec i się rozłączył.

Akurat w odpowiednim momencie, bo tuż przy naszym mercedesie zatrzymał się policyjny radiowóz. Z samochodu wysiadło dwóch policjantów. Obaj postawni, dobrze zbudowani, tacy goście, których można by spokojnie posłać do rozpędzania demonstracji rolniczej. Ale nie wyglądali na takich, którzy mieliby ochotę na taką pracę. Ten z dwoma gwiazdkami nadzianymi na srebrny drut od razu ruszył w kierunku naszego goprowca stojącego na skraju drogi. Widać, że się znali nie od dziś, po podaniu ręki policjant klepnął mężczyznę w ramię. Tymczasem kierujący radiowozem sierżant zbliżył się do mnie.

– Gdzie jest to ciało? – zapytał bez powitania.

– Tam, gdzie stoją operator kamery i reporterka – wskazałem Wasyla i Kamę. Oboje wyszli już z krzaków, ustawili kamerę na statywie i czekali, aż policjanci ruszą w ich kierunku.

– A co oni tam robią? – dopytał sierżant.

– Nic nie robią. Stoją i filmują.

– Kogo filmują?

– No na razie nikogo, bo za daleko. Ale jak podejście, to będą was filmować.

– Nas? Nie wolno. Niech pan im powie, żeby nie filmowali.

– Kto filmuje? – odezwał się aspirant, który podszedł wraz z naszym przewodnikiem.

– Nasza ekipa – pokazałem na czekających w gotowości Kamę i Wasyla.

– A pan to kto?

– Marcin Engel. Jestem dziennikarzem telewizyjnym.

– To pan znalazł ciało?

Pokiwałem głową.

– To niech pan prowadzi – zarządził aspirant. – I niech im pan powie, żeby nie filmowali.

– Oczywiście mogę zaprowadzić, ale z tym niefilmowaniem to nic z tego.

– Co? Przecież mówię, że nie wolno.

– Panie aspirancie, my trafiliśmy na zwłoki, my was zawiadomiliśmy i my robimy teraz relację z miejsca zdarzenia. A jeśli chodzi o filmowanie, to mamy do tego prawo i nic pan na to nie poradzi. No chyba że nas aresztujecie.

Aspirant machnął ręką. Widać nie miał ochoty tracić czasu. Czyli należał do rozsądnych gliniarzy.

– Niech pan prowadzi. A ty zostań tu i czekaj na technikę – polecił sierżantowi.

Ruszyłem przodem, a za mną aspirant. Goprowiec został przy samochodzie. Być może nie lubił widoku trupów. Wcale mu się nie dziwię. Też tego nie lubiłem. Po chwili minęliśmy kamerę. Napotkałem spojrzenie Kamy. Kiwnęła głową na znak, że wszystko, co trzeba, zostało już zrobione. Wasyl zdjął kamerkę ze statywu i podążył za nami. Jak zwykle w takich sytuacjach kamera była włączona.

Przeszliśmy przez krzaki i znaleźliśmy się w gęstwinie tuż nad brzegiem strumienia. Od razu w nosy uderzył nas trupi odór. Wyciągnąłem z kieszeni maseczkę, która zabrałem z auta. Cała paczka jeździła w naszej torbie na kamerę od czasu covidu.

– Chce pan? – spytałem policjanta.

– Chyba tak – potwierdził, więc podałem mu.

Założył ją i ruszył przed siebie. Podeszedł do zwłok, pochylił się i zaczął się im uważnie przypatrywać. W końcu po chwili odwrócił się do mnie.

– Ma jeden but – stwierdził, jakby dokonał epokowego odkrycia.

– No, widziałem – potwierdziłem tę obserwację. Wcześniej też to zauważyłem.

– Pierdolone muchy już zeżarły całą twarz, kurwa, jebane muchy. Ale jak nie ma buta, to znaczy, że to jest ona – mówił, ale chyba nie do mnie, lecz do siebie. – To znaczy, że to musi być ona.

– Kto?

– Zakonnica, która uciekła z klasztoru w Dziegielowie czwartego czerwca.

Chyba się zorientował, że za dużo powiedział, bo popatrzył na mnie, a potem na Wasyla.

– Pan to nagrywa? – zapytał.

Wasył kiwnął lekko głową. Jest profesjonalistą i nigdy nie odzywa się przy włączonym nagrywaniu.

– To, co powiedziałem, nie jest do publikacji. Rozumiemy się? Na razie to tajemnica śledztwa.

Teraz to ja pokiwałem głową. Woląłem nie obiecywać niczego podczas nagrywania. Bo przecież nigdy nie wiadomo, co trzeba będzie wykorzystać podczas montowania reportażu.

Wtedy mogłem mu obiecać, że z tej jego wypowiedzi nie zrobimy newsa, ale to, że dzięki niemu te zwłoki połączymy z zaginioną zakonnica, było tak samo prawdopodobne jak to, że Polska wyjdzie z grupy w eliminacjach do Euro.

Ustroń Godzina 16.30

Usiadła w kościelnej ławce, tej samej, w której siedziała wtedy, gdy na podłodze leżała zakonnica, a ksiądz wyrzucał ją z kościoła. Scena z kłótnią tych dwojga mocno ją zainteresowała. Pytała siostrę Perpetuę, ale ona wtedy zbyła ją i dodatkowo oskarżyła księdza o niezbyt przykładne zachowania. Ale kiedy przysłuchiwała się wymianie zdań i wzajemnemu obrzucaniu się obelgami, uznała, że oni kłócą się tak, jak to czynią ludzie, którzy doskonale się znają i wiedzą, jak najcelniej zranić się nawzajem. To było jak kłótnia dawnych kochanków, ludzi, którzy byli kiedyś ze sobą związani uczuciem, a teraz szczerze się nienawidzą, bo uczucie pozostało, tylko zmieniło ładunek z plusa na minus. Ale po co w takim razie Perpetua przychodzi do tego kościoła? Matylda odniosła wrażenie, że to nie była wyjątkowa sytuacja i ksiądz musiał zakonnice już wcześniej wypraszać ze swojej świątyni.

Koniecznienie chciała się dowiedzieć tego, co kryło się za konfliktem, bo miała niejasne przeczucie, że to może ją doprowadzić do czegoś ważnego. Tyle że wcale nie wiedziała do czego.

Mimo że uważała się za specjalistkę od spraw kościelnych, to jednak jej wiedza dotyczyła doktryny, a nie spraw międzyludzkich. A już szukanie podłoża konfliktu w przeszłości zakonniczy i księdza przerastało możliwości Matyldy. Dlatego postanowiła porozmawiać bezpośrednio z księdzem. Może uda się jej czegoś od niego dowiedzieć. Najpierw jednak spróbowała drogi okrężnej, by wyposażyć się w jakąś, minimalną nawet, wiedzę na jego temat. Znała kogoś, kto mógł jej w tym pomóc.

Gdy po awanturze z dwoma typami z dołu przyszła do pokoju, od razu chciała zapytać Alinę, o co chodziło z tym radiowozem i dlaczego nic jej nie powiedziała. Ale jej współlokatorka, przykryta kocem po sam czubek głowy, spała w najlepsze. Nie chciała jej budzić, więc zabrała ze sobą telefon i poszła na balkon. Szybko odnalazła kontakt w spisie numerów i wybrała ten odpowiedni.

– Czy rozmawiam ze Stanisławem Cieślakiem? – zapytała, usłyszawszy męski głos.

– Czyżby moja ulubiona ateistka zapragnęła pociechy duchowej? A może chcesz się wypowiedzieć?

– Niedoczekanie twoje. Jeszcze się taki nie urodził, któremu bym miała ochotę opowiadać o tych wszystkich zbrodniach, co je w swoim życiu popełniłam. Więc nie licz na to, że uda ci się mnie namówić na dobrowolne zeznania. Choćbyś mnie palił żywym ogniem, nie pójdę z wami na współpracę i nikogo nie wydam.

– No trudno. Ale skoro dzwonisz, to znaczy, że nie robisz tego z czystej sympatii, tylko...

– Jeśli dzwonię do ciebie, to dlatego, że jesteś jednym z nielicznych księży, z którymi da się rozmawiać. Może w gruncie rzeczy jesteś heretykiem i gdyby tacy ludzie jak ty zarządzili Kościołem, to ta diabelska instytucja miałaby szansę się zmienić na lepsze.

– Pracujemy nad tym, ja i inni heretycy – przyznał z rozbawieniem w głosie.

Ksiądz Stanisław Cieślak jest bratem Bronka Cieślaka, jej bliskiego przyjaciela. Spotkali się po raz pierwszy w ubiegłym roku, kiedy to Bronisław przejmował spadek po zmarłej ciotce: stary dom nad morzem. Musieli wtedy spędzić ze sobą trochę czasu, który upłynął im na

rozmowach o Kościele i jego miejscu we współczesnym świecie. W końcu Matylda przeszła do ataku.

– Rozumiem, że tę pewność siebie daje księdzu Biblia mówiąca, że wiara, którą ksiądz wyznaje, jest prawdziwa, bo opiera się na Biblii, która jest źródłem wiary i wiedzy wszelkiej.

– Biblia to słowo, droga pani, na którym wspiera się wiara. Ale ta moja wsparta jest przede wszystkim na miłości.

– Do Boga, którego nie bardzo obchodzi nasz świat i który tylko od czasu do czasu spuszcza nam na głowę jakieś kataklizmy, żebyśmy nie poczuli się zbyt pewnie.

– Do ludzi, droga pani. Bo ja, szanowna pani, szukam Boga w ludziach, w ich dobrych uczynkach i w miłości, która jest Bożym darem.

– Bronek, uszczypnij mnie – jęknęła Matylda. – Twój brat jest heretykiem. Powinno się go natychmiast spalić na stosie.

– Mówiłem ci, że mój brat zwariował! I tak mu właśnie zostało do dziś – powiedział były milicjant, a była milicjantka musiała przyznać, że ma do czynienia z dość niezwykłym księdzem.

Od tamtej pory spotkali się kilka razy, a od czasu do czasu do siebie dzwonili. To znaczy, najczęściej dzwoniła Matylda, szukając odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Dzisiejsza prośba była zupełnie inna od pozostałych.

– Słuchaj, jest tu taki ksiądz, na pierwszy rzut oka około sześćdziesiątki. Jest proboszczem parafii świętego Klemensa. No i ten ksiądz, Borówka Wiktor, ma jakąś tajemnicę, kryjącą się w przeszłości. Pewna zakonnica kłóciła się z nim publicznie, to znaczy przy mnie, a ja wszystko słyszałam. I ona powiedziała mi, dlaczego tu wyładował, na tym pograniczu kultur i wiar...

– A gdzie ty właściwie jesteś?

– W Ustroniu.

– A, czyli jesteś na ziemi opanowanej od wieków przez antychrysta, której jeszcze nie odbiliśmy, ale pilnie nad tym pracujemy.

– Ksiądz Borówka nie wydaje mi się szczególnie zapracowany. Ale to akurat mnie nie interesuje. Najważniejsza dla mnie, a być może kluczowa, jest jego przeszłość. Gdybyś mógł zasięgnąć języka i spróbować mi go przeświecić, gotowa jestem nawet zapalić świeczkę w jakiejś intencji.

– Te świece to w cerkwiach. U nas wrzuca się do puszek, a potem za zebrane w ten sposób pieniądze ksiądz sam kupuje.

– To znaczy, że przy najbliższej okazji mam ci zapłacić, a ty kupisz sobie świeczkę?

– Broń Boże. Wystarczy mi kawa w twoim towarzystwie. Możemy jeszcze dopuścić do kawowej komitywy mojego brata milicjanta, by pogadać o komunistycznych zbrodniach.

– Z przyjemnością, o zbrodniach zawsze. Ale ja bym chętnie zaczęła od tych popełnianych w imię wiary katolickiej.

– Ciekawy temat. Więc jesteśmy umówieni, a jeśli czegoś się dowiem, dam ci znać.

Tymczasem Alina ciągle spała, więc rozmowę na temat jej konszachtów z miejscową policją Matylda postanowiła odłożyć na wieczór. Po cichu, żeby jej nie zbudzić, przebrała się w strój spacerowy, czyli džinsy, trampki i kurtkę dzinsową. Nie chciała brać torebki, bo jej do niczego nie była potrzebna, telefon mieścił się w kurtce, a karta bankomatowa w kieszonce. Wzięła do ręki różaniec i już chciała go schować do torebki, ale coś ją tknęło. Nie był to zwyczajny różaniec jak te powszechnie używane, składające się z czarnych paciorków. Ten był z drewna, pewnie egzotycznego, w kolorze pomarańczowym. Srebrny czy raczej posrebrzany krzyżyk był prosty, bez żadnych ozdób czy żłobień. Cały różaniec sprawiał więc dość estetyczne wrażenie, nie było w nim nic z jarmarcznej tandety.

Przez chwilę ważyła go w dłoni, a potem wcisnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki. Właściwie nawet nie wiedziała, po co to robi. Przecież nie był to artykuł pierwszej potrzeby.

Ksiądz Cieślak, pracujący w kurii lubelskiej, musiał mieć dobry wywiad, bo zanim wyszła z pokoju, dostała esemesa:

Ksiądz Borówka nie jest pijakiem wygnanym na parafię do dzikich krajów. Cięży na nim poważny zarzut odejścia od celibatu i życia w grzechu z zakonnice, siostrą z zakonu betanek. W jego papierach nie ma informacji o siostrze, ale jeśli to ważne, to mogę ustalić jej dane. Kiedyś ksiądz był kapłanem w klasztorze tego zgromadzenia w Kazimierzu Dolnym. Dlatego tak szybko go odnalazłem, bo to nasz teren, podległy lubelskiej diecezji. Ksiądz Borówka odszedł stamtąd jeszcze przez tym zamieszanym z księdzem Natankiem. Myślę, że wiesz, o co chodzi, a jeśli nie, sprawdź sobie w necie. Swoją drogą to ciekawa historia, której przyglądała się dzięki mediom cała Polska. Nawet nawiązywał do niej nasz świetny lubelski pisarz Marcin Wroński w swojej powieści kryminalnej. Ale to pewnie wiesz, bo czytasz dobre kryminały. Kłaniam się nisko i jak zawsze będę prosił Najświętszą Panią, by w szczególny sposób dbała o Twoją pomyślność śledczą.

Gdy usiadła w kościelnej ławce, jeszcze raz otworzyła wiadomość od Stanisława i uważnie ją przeczytała. Wyglądało na to, że gdy była tu ostatnim razem, natrafiła na kłótnię byłych kochanków. Tylko dlaczego siostra potem opowiadała jej o tym, że ksiądz Borówka jest pijakiem? Przecież to się nie trzyma kupy. Po co przypisywać mu wymyślone przewiny? Można tak robić, by zrzucić winę na kogoś. Tylko w tym wypadku za co? Ponieważ się kłócili? W tym wszystkim coś było nie tak. Musiała porozmawiać z księdzem. O historii buntu betanek nie musiała czytać w internecie. Pamiętała doskonale tę historię.

Schowała telefon i rozejrzała się po wnętrzu kościoła. Dopiero teraz spostrzegła, że coś dzieje się przy konfesjonale. Dwie kobiety czekały w kolejce, a jedna klęczała, opowiadając spowiednikowi o swych grzechach. Matylda skrzywiła się na ten widok. Uważała spowiedź za obrzydliwą praktykę, element nieustającej inwigilacji ludzi, którzy dają się zmanipulować księżom i wyjawiają im swoje grzechy, a tak naprawdę opowiadają o wszystkim, co widzą dookoła siebie. Ale ta okoliczność oznaczała pewną szansę. Matylda podeszła do pogrążonych w modlitwie, czekających na spowiedź kobiet i zajęła ostatnie miejsce w kolejce. Czas oczekiwania wykorzystała, żeby zastanowić się nad tym, jak rozegrać tę spowiedź, ale nic błyskotliwego nie przyszło jej do głowy. Rozglądała się więc, podziwiając niezbyt ciekawe obrazy, przedstawiające świętych, i inne elementy wystroju wnętrza. Naraz jej uwagę zwróciła figurka Matki Boskiej, stojąca na niewielkim bocznym ołtarzu. Maria miała ręce złożone jak do modlitwy, a na nich Matylda dostrzegła coś, co wydało jej się znajome. Wstała z miejsca, podeszła bliżej i natychmiast rozpoznała to, co oplatało dłonie Matki Boskiej. To był różaniec. Identyczny jak ten, który dostała od Perpetuy, różaniec z drewnianych koralików z jakiegoś egzotycznego drewna.

– Czy pani do spowiedzi? – usłyszała za sobą głos. Ksiądz Borówka wychylił się z konfesjonau i spoglądał na nią. Kobiety z kolejki przed nią zostały już wyspowiadane i klęczały w ławkach, w skupieniu odmawiając zadane modlitwy.

– Tak, idę! – odpowiedziała i pobiegła do klęcznika. Gdy znalazła się w konfesjonale, natychmiast przypomniała sobie młodsze lata, kiedy to musiała co niedzielę chodzić do spowiedzi i opowiadać księdzu o swoich największych tajemnicach. Szybko jednak nauczyła się, że nie warto mówić wszystkiego i trzeba wymyślać grzechy uniwersalne, które nie dawały

spowiednikowi dostępu do jej duszy. Opowiadała więc, że była niegrzeczna, pyskowała mamie i biła się z chłopakami. Takie wyznania kończyły się reprimendą dotyczącą bicia i zestawem podstawowym pokuty, czyli pięcioma *Zdrowaś Mario* i pięcioma *Ojcze nasz*. Wystarczyło to odmówić i znów można było spokojnie grzeszyć.

– Słucham – powiedział ksiądz Borówka, pewnie zniecierpliwiony przeciągającą się ciszą.

– Nie będę księdza oszukiwać, że mam coś do wyznania. Chciałam zapytać o siostrę Perpetuę. Słyszałam, jak się kłócicie. Muszę wiedzieć, czy można jej zaufać.

Ksiądz przez chwilę nic nie mówił, jakby rozważając wszystkie „za” i „przeciw”. W końcu zwrócił się do Matyldy:

– To diabeł wcielony! Strzeż się Szatana, bo w jej ustach będzie cię kusić jak Jezusa na pustyni.

– Czy tam, w Kazimierzu, ona była po stronie matki przełożonej?

Pytanie bez dwóch zdań zaskoczyło spowiednika. Zapadła cisza. W końcu poruszył się niespokojnie i Matylda była przekonana, że przerwie spowiedź, zdejmie stulę i wyjdzie z konfesjonału. Tymczasem usłyszała, jak głośno wypuszcza powietrze, a potem mówi szeptem:

– Ona była od niej gorsza. Ona była najgorsza z nich...

Warszawa Godzina 17.10

– Ten akt notarialny jest jak najbardziej w porządku – stwierdził Kuba Wieczorek.

– A ty jesteś prawnikiem i specem od aktów? – Franek miał zasadnicze wątpliwości.

Po tym, co usłyszał od nowego właściciela willi na Czeskiej, był już przekonany, że ta cała sprzedaż jest lipna. Musiał jednak mieć pewność, dlatego poprosił o pokazanie aktu notarialnego. Facet nie miał nic przeciw temu, bo jego zdaniem ten akt najlepiej świadczył o jego wiarygodności i uczciwości. Okazało się nawet, że ma go przy sobie. Na wszelki wypadek przywiózł.

Otworzył plecak, który postawił na podłodze obok kuchennego blatu, i wyjął z niego różowy skoroszyt na papiery.

– Ja wiedziałem, że się możecie czepiać, i dlatego w papierach mam wszystko poukładane na cacy. Nic tu się nie da wypatrzeć. Kobieta, to znaczy właścicielka, przyjechała na sprzedaż, zainkasowała kasę, cały milion dwieście, tak jak jest w akcie zapisane, i po robocie.

Podał policjantowi teczkę ozdobioną orłem i z napisem: akt notarialny, czyli standardowe opakowanie dokumentu kupna-sprzedaży, sporządzonego w kancelarii notarialnej. Franek nie był specjalistą od papierów i dokumentów, niemniej przejrzał umowę. Nic nie zwróciło jego szczególnej uwagi, oprócz jednego punktu. W umowie stało, że nowy właściciel bierze na siebie zrobienie porządku w budynku, „w postaci usunięcia wszystkich starych mebli i sprzętów domowych”.

– O co chodzi z tymi sprzętami i meblami? – zapytał Franek.

– No generalnie o nic – odparł Konieczko. – Ta babka chciała, żeby nie było, że musi przygotować lokal dla nowego właściciela. Wie pan, niby jest taka zasada, że jak się sprzedaje dom, to się go opróżnia z gratów, żeby właściciel mógł se go remontować od razu. Ale ona mówiła, że nie ma czasu na zajmowanie się starymi meblami i tym, co tam w domu jest, i żebym to wziął na siebie.

– I pan się zgodził?

– A co miałem zrobić? Przecież nie będę robił jej wbrew. Tym bardziej że dawała dobrą cenę. Co to dla mnie za problem, żeby te wszystkie śmieci wypieprzyć. Zamówiło się wannę, postawili mi ją za domem od ogrodu i wypierdoliło się wszystko na zewnątrz z okien przez taki rurociąg z plastikowych kubłów. Papiery wszystkie poszły na spalenie, tak samo jak i meble. Meblościanki i szafy się potrzaskało na kawałki i do piwnicy. Jak będzie zimno, to się z dymem puści. Bo tu jeszcze piec jest, węglowy. A ja go na razie jeszcze nie ruszałem, bo się zastanawiam, czy założyć ogrzewanie gazowe, czy elektryczne. No to te jej graty pójdą na pierwszy sezon grzewczy.

– Czyli nic nie zabrała? Nie potrzebowała starych mebli?

– Powiedziała, że tam, dokąd się przeprowadza, wszystko ma i nic nie potrzebuje.

– A rzeczy, pamiątki i takie tam duperele, co się zbiera przez całe życie? – zapytał i jednocześnie spojrzął na kuchenną szafę. Za szklanymi drzwiczkami stały talerze, a między nimi maskotki, pamiątki znad morza czy z gór, jakieś statki i latarnie morskie...

– Panie, ja się wcale nie pytałem. Kazała wszystko wypierdolić, to się tak zrobiło.

Gdy wyszli z domu na ulicę, Konieczko natychmiast poszedł do swojego samochodu i odjechał. Franek z zazdrością przyglądał się skrzyżowaniu ze Słowacką. Już chciał iść do auta, gdy przyszło mu do głowy, że mógłby jeszcze coś sprawdzić. Wrócił więc do domu, korzystając z tego, że gospodarz nie zamknął furki na klucz. Drzwi też nie były zamknięte. Z góry dolatywały dźwięki wydawane przez wiertarkę albo podobne urządzenie, przeplatane taktami ukraińskiego rapu.

Z niewielkiego korytarza można było wejść do kuchni albo dalej w głąb mieszkania, a jeszcze jedne drzwi mieszczące się pod schodami musiały prowadzić do piwnicy. Nacisnął klamkę. Na ścianie po prawej namacał włącznik. Zapalił światło i ruszył w dół dość stromymi schodami. Po chwili znalazł się w niewielkim pomieszczeniu z drewnianymi półkami, zastawionymi słoikami z kompotami i dżemami. To były chyba wieloletnie zapasy, nikt by nie robił tylu przetworów w jednym sezonie. W każdym razie właścicielka miała tyle słoików, że mogłaby przeżyć w tym domu kilka miesięcy. Dwoje drzwi wychodziło z tej piwnicznej spiżarni. Pchnął prawe. Było to wejście do garażu. Wewnątrz nie było samochodu, który musiał stamtąd wyjechać dość dawno, nie widać było żadnych akcesoriów, opon, kanistrów. Za to aż po sufit piętrzyły się poukładane równo kawałki pociętych mebli.

Więc tak wygląda koniec świata, w którym pani Wróblowa żyła przez kilkadziesiąt lat.

Zamknął drzwi od garażu i otworzył kolejne. To była kotłownia. Tu też leżały przygotowane do spalenia kawałki mebli, a w kącie, w miejscu, które zazwyczaj służyło do przechowywania węgla, o czym świadczyły ciemne smugi na ścianach, leżała wielka sterta papierów. Piętrzyły się tam jakieś dokumenty, a nawet stare zeszyty szkolne. Podeszedł bliżej, przyświecając sobie latarką w telefonie. Książki z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, sporo kryminałów z serii z kluczykiem i niebieskich broszur z serii „Ewa wzywa 07”. Znał je doskonale, bo w domowej bibliotece babci Matyldy było ich sporo. Oprócz tego encyklopedie, podręczniki, słowniki i albumy z malarstwem. Pomyślał, że szkoda tego na spalenie i właściwie warto by to wszystko zabrać. Ale jak tu zabrać komuś z domu jego własność? Przecież teraz właścicielem tych papierów jest Konieczko. Nie może go ot tak okraść. Pogrzebał jeszcze chwilę

w papierach, natrafiając na świadectwa szkolne, a nawet dyplom magisterski Małgorzaty Wróbel. Czyli właścicielka zostawiła wszystko. Co musiało się w jej życiu stać, że nawet dyplom Uniwersytetu Warszawskiego, wystawiony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, przestał mieć dla niej znaczenie...

Rozejrzał się jeszcze wokół. Pod ścianą stało kilka plastikowych skrzynek na owoce. Wziął jedną i szybko zapełnił ją po brzegi albumami i książkami. Nie mógł dopuścić do takiego barbarzyństwa jak palenie książkami. A Konieczko się nawet nie zorientuje. Zaniósł wszystko do samochodu, zawartość ułożył w bagażniku, a potem poszedł jeszcze raz. I jeszcze raz. Na koniec zabrał też dyplom właścicielki. Gdy ją spotka, odda i powie, że przez pomyłkę zostawiła go w domu, a ona się ucieszy.

Kuba z uwagą przyglądał się zdjęciom dokumentu, które przesłał mu na skrzynkę Franek. Porobił fotografie aktu notarialnego, żeby jeszcze się przyjrzeć, ale na pierwszy rzut oka widać było, że wszystko jest w porządku. Kuba nie dopatrywał się żadnych nieprawidłowości.

– W takim papierze nic nie znajdziesz – powiedział długowłose komputerowiec. – Akt według mnie jest jak najbardziej autentyczny. To znaczy wystawiony w obecności notariusza, który stwierdził, że stawiły się strony, odczytał wszystko jak należy i oni podpisali, babka przyjęła forszę, taksa notarialna i gotowe. Więc ten dokument na pewno nie jest sfałszowany. Jeśli szukałbym nieprawidłowości, to mogą być tylko takie, że na przykład twoja sprzedająca, ta pani Wróbel, nie jest Wróblową, ale kimś podającym się za nią, to znaczy podającą. Wiesz, taka podmianka, że ktoś podaje się za kogoś i opycha jego mieszkanie czy dom. Ma prawdziwy dowód, ale gębę nieprawdziwą. To numer stosowany przez oszustów. I jeśli czujesz, że w tym wszystkim jest jakiś smród, to lepiej ustalić, czy Wróblowa sprzedająca mieszkanie jest rzeczywiście panią Wróblową.

Franek miał podobne podejrzenie, dlatego tłumaczenie kolegi utwierdziło go tylko w przekonaniu, że rzeczywiście prawda może tak wyglądać. Uśmiechnął się pod nosem, zadowolony z siebie, a dokładnie z tego, że jest człowiekiem przewidującym i że nie lubi, gdy bez potrzeby pali się dokumenty. Dlatego oprócz książek i starego dyplomu zabrał też całą stertę rodzinnych zdjęć, na których występowała dość często jedna kobieta. Jej wizerunek zmieniał się przez lata, ale raczej na pewno była to

właścicielka domu. Trzeba będzie tylko wybrać najnowsze fotografie i wysłać jakiegoś policjanta, żeby wypytał sąsiadów, czy to jest ona. Jeśli tak, ustalenie tego, czy rzeczywiście Wróblowa podpisywała umowę sprzedaży domu, nie będzie trudne.

– No to dzięki za pomoc, panie kolego, a tu masz specjalny prezent – Franek położył na biurku Kuby starą reklamówkę.

– Ostrożnie, chłopie, bo mi naruszysz mój artystyczny ład na blacie – jęknął Wieczorek na widok pakunku.

Artystyczny ład w jego wykonaniu polegał na zbieraniu i kolekcjonowaniu kubków po coli, kartonów po pizzy i różnych papierów, w które zawija się w cukierniach pączki i drożdżówki. Od czasu do czasu robił tu porządki, kiedy sterty śmieci uniemożliwiały dotarcie do klawiatury, ale teraz było w miarę przejrzyste. Dość że torba nie przygniotła żadnych resztek i nawet nie dotknęła klawiatury.

– Nie gadaj, tylko zobacz, co jest w środku.

– Jakies stare gazety. Jeśli znalazłeś „Komputer Świat” z dziewięćdziesiątego trzeciego, to mam już wszystkie. Dziewięćdziesiąty czwarty mnie interesuje...

Kuba zbierał stare gazety i koledzy od czasu do czasu przynosili mu rozmaite egzemplarze z czasów przedpotopowych, ale tym razem pomylił się w ocenie sytuacji. Wydobył kilkanaście kolorowych zeszytów i zamarł, wpatrzony w kolorowe okładki.

– O, ja pierdykam, to *Żbiki*. Ja cię kręcę, *Ryzyko*, wszystkie trzy numery, i *Dziękuję, kapitanie*, i jeszcze *Tajemnica ikony!* Stary, skąd to masz? To są prawdziwe skarby, pierwsze wydania, i to w jakim stanie. One chyba stały przez pięćdziesiąt lat na półce. Cholera, nie wierzę!

– To się uszczypnij i uwierz. A właściwie możesz powiedzieć: dziękuję.

Franek klepnął kolegę w tył głowy, a potem wrócił do swojego biurka. Wiedział, że minie trochę czasu, zanim kumpel wróci do rzeczywistości. A on tymczasem musiał pilnie zadzwonić.

Trzeba powiedzieć Marcinowi, że jutro mogą się spodziewać jego odwiedzin. W sumie wyjazd do Ustronia latem na dwa, trzy dni to nie jest głupi pomysł. Tylko ciekawe, co na to powie Jowita. Chyba raczej nie będzie zadowolona.

Ustron' Godzina 17.30

– Nie wiem, kto był prawdziwym diab'lem. Jedni mówią, że to ksiądz Komarenko sprowadził to ca'e z'ło na klasztor, ale inna wersja jest taka, że on tylko wykorzystał fakt, że dzia'ło się tam źle, dla swoich niecznych celów. Największym złem zaś miała być przeorysza zgromadzenia, siostra Jadwiga. Jaka jest prawda, tego się już dziś nie dowiemy, bo ksiądz wyjechał do Ukrainy i tam podobno sprawuje posługę, a siostra Jadwiga zmarła trzy lata temu. Jednakże wszystko o tym, co tam się dzia'ło, wie siostra Maria, prawa r'eka Jadwigi. Siostra Maria dziś nosi imię Perpetua – powiedziawszy to, spojrział na obraz z ołtarza, jakby w spojrzeniu ojca Kościoła mógł znaleźć siłę.

Usiedli w ławce jakiś czas temu, gdy oboje doszli do wniosku, że przeciąganie spowiedzi nie ma sensu i lepiej porozmawiać w bardziej normalnych warunkach. Ksiądz zamknął drzwi do kościoła i mogli rozmawiać, nienarażeni na to, że coś dotrze do obcych uszu. Zanim jednak podjął decyzję o tym, by opowiedzieć jej wszystko, zapytał Matyldę o jej intencje.

– Szukam zaginionej kobiety – odparła. – Mieszkała tu, w Ustroniu, w jednym z pensjonatów. Zniknęła w zeszłym tygodniu, wyszła z pensjonatu i nie wróciła.

– To mogło się zdarzyć, że tak powiem, z naturalnych przyczyn.

– Gdyby wyszła i się zgubiła, już by ją odnaleziono. Jakoś nie wierzę w takie wypadki, a niech mi ksiądz wierzy, że już miałam do czynienia z wieloma podobnymi sytuacjami. I prawie nigdy się nie zdarza, żeby zniknięcie spowodowane było naturalnymi przyczynami.

– Z wieloma? Więc pani jest detektywką, jak panna Marple?

Matylda uśmiechnęła się. Porównanie sprawiło jej przyjemność. Od zawsze jest miłośniczką kryminałów, a na powieściach Agaty Christie nauczyła się czytać.

– Można tak powiedzieć. W tej chwili jestem detektywką amatorką, ale przez lata pracowałam w policji jako oficer śledczy. Tą sprawą zaginięcia zainteresowałam się z powodów, że tak powiem, prawie rodzinnych. I niech mi ksiądz wierzy, te tajemnice zostaną wyjaśnione do

końca. Dlatego muszę wiedzieć wszystko o siostrze Perpetui, a więc i o jej przeszłości.

– Myśli pani, że ona jest w to wplątana?

– Może to dziwne, ale nie mam żadnych, nawet najmniejszych dowodów, nawet szczerze powiedziawszy, nie mam poszlak. Ale czuję, że ten trop mnie dokądś doprowadzi. Wiem, że to wbrew wszelkim zasadom śledczym, ale ja często w dochodzeniach szłam pod prąd i na koniec okazywało się, że to ja miałam rację, a nie zimno kalkulujący koledzy.

– No to coś nas jednak łączy – stwierdził ksiądz. – Wiara i intuicja, czyli to, co transcendentale. Wiara, podobnie jak intuicja, wymyka się racjonalnemu spojrzeniu na rzeczywistość.

– Tak, ale ja nie jestem bezkrytyczna. Wiem, że się mogę mylić. Dlatego wszystko sprawdzam po kilka razy. Tak jak na przykład ten ślad z księdzem.

– Jakim księdzem?

– Ostatnią osobą, z którą rozmawiała zaginiona, był ksiądz.

– Ja?

– Nie, znacznie młodszy. Myślę, że to ten ksiądz, który jest kapelanem zakonu.

– Ten młodzieniec. Tak, wiem, który to. Ale nic na jego temat nie wiem. Słyszałem tylko, że to jakiś przybłęda. Nawet nie wiem, czy ma święcenia kapłańskie. Może Perpetua przyjęła go do siebie z całkiem innych powodów.

– Jakich?

– Tego nie wiem. Tam decydują różne czynniki, tak jak w Kazimierzu. Znałem dobrze ten zakon. Sam przyjeżdżałem odprawiać msze, udzielałem sakramentów i sprawowałem opiekę duszpasterską. Do czasu, aż mnie stamtąd odwołano. Doniosła na mnie siostra Jadwiga. Podobno za bardzo zbliżyłem się do jednej zakonnicy.

– Do Marii?

– Tak. Rzeczywiście byliśmy blisko... Pokochaliśmy się. Ale nic więcej. Myśleliśmy o tym, by odejść, zacząć życie po drugiej stronie, ale coś się wydarzyło. Ktoś nas musiał podsłuchać, zobaczyć, jak staliśmy zbyt blisko siebie. No i wszystko zaczęło się dziać błyskawicznie, co w kontekście kościelnym brzmi dość nieprawdopodobnie. Zostałem wysłany do domu rekolekcyjnego, kazano mi się wyrzec swojego uczucia i w końcu zabroniono mi zbliżać się do klasztoru w Kazimierzu. I chyba to

ja popełniłem największy grzech, bo wyrzekłem się jej, tak samo jak święty Piotr zaparł się Chrystusa. Do dziś nie mogę sobie darować, że uległem. Byłem wtedy jeszcze zbyt głupi i nierozważny. A poza tym bałem się tego, co może mnie spotkać w świecie bez mojego Kościoła. Wszak byłem przez całe życie jego trybikiem i tak miało być zawsze. Dałem się złamać i do dziś tego żałuję. Gdybym tylko wtedy się wyrwał, to dostałbym się tam, za mury klasztorne, i wyrwał ją stamtąd. Tymczasem Maria została poddana praniu mózgu. Dowiedziałem się o tym znacznie później od jednej z sióstr, które odeszły z zakonu po tym, jak zgromadzenie zostało rozwiązane. Opowiedziała mi, co działo się z Marią, kiedy zastąpił mnie ksiądz Komarenko. To właśnie wtedy w klasztorze zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Później siostry mówiły o tym, że ksiądz wykorzystywał je seksualnie, uzależniał od siebie i wmawiał, że to, co robi, nie jest złym dotykiem, gdyż przez niego przemawia Chrystus. Ksiądz brał siostry do pokoju, rozbierał je, mówiąc, że nagość jest czystością, a tylko czyste mogą stanąć przed Panem. A potem sam się rozbierał i kładł się na... Takie praktyki potwierdziło potem kilka sióstr, przesłuchiwanym przez duchownych badających to, co działo się w klasztorze.

– A czy starsze siostry nie reagowały? – zapytała Matylda, która słyszała o tym, że w klasztorze dochodziło do molestowania, ale nie miała pojęcia, jak to wyglądało w praktyce.

Ksiądz Borówka odparł po chwili:

– Tam się działy straszne rzeczy. Ksiądz wykorzystywał zakonnice, a matka Jadwiga w zasadzie je terroryzowała.

– W zasadzie?

– No tak. W zasadzie, bo chodzi o to, że nie tylko ona. Siostry były karane za wszystko, za najmniejsze przewinienie. W ciągu dnia, jak w każdym takim zgromadzeniu, dostawały jakąś pracę do wykonania. Często te zadania były ponad ich siły. Jeśli któraś nie zrobiła tego, co jej nakazano, była wzywana do pokoju, to znaczy do biura siostry Jadwigi. Tam była rozliczana ze swojej pracy, krzyczano na nią, szarpano i bito. Dziewczyny, to znaczy siostry, wychodziły z pokoju pobite, posiniaczone i w poszarpanych ubraniach. Siostra wprowadziła terror, a kto się opierał, zaraz był przywoływany do porządku. Dowiedziałem się, że moja przyjaciółka, Maria, była właśnie w taki sposób traktowana. Powiedziano jej, że to ja się od niej odwróciłem, że wydałem ją siostrze przełożonej i że mówiłem o niej jak o kobiecie sprzedajnej, która kupczy swoimi

wdziękami. Domyślam się, jakie piętno musiało to na niej odcisnąć, jak musiała cierpieć, gdy jej zaufanie, jej uczucie, zostało w tak paskudny sposób zbrukane. Tłumaczono jej, że nie ma innego wyjścia, że musi teraz zrobić wszystko, by odpokutować swoje grzechy, którymi obraziła Boga. I jeśli chce to zrobić, ma zawsze być posłuszna siostrze przełożonej. No i w ten sposób, budząc w niej i utrzymując cały czas poczucie winy, siostra Jadwiga stworzyła potwora. To właśnie Maria biła inne zakonnice i podobno była w tym niesłychanie skuteczna – ksiądz Borówka przerwał, wpatrzony w okno, przez które do wnętrza kościoła wpadał słoneczny promień.

Matylda nie przerwała ciszy. Jako wytrawna śledcza wiedziała, że osoba, która opowiada jakąś trudną historię, musi niekiedy uporać się z własnymi myślami.

– Zatraciła się w tym okrucieństwie, w tych niegodziwościach, które trwały do rozwiązania zgromadzenia. Cała Polska oglądała w telewizji zabarykadowany klasztor, z którego zbuntowane siostry nie chciały wyjść. Tyle że nie było tam masowego buntu. To tylko kilka starszych sióstr nie zamierzało się podporządkować kurii. Młodsze były zmuszane do posłuszeństwa biciem i zastraszaniem. A Maria pełniła funkcję klasztornej kapo. W końcu policji udało się odbić budynek, wyprowadzić zakonnice i zakończyć to idiotyczne oblężenie. Siostry zostały rozwieszone do różnych miejsc w Polsce, tam odbyło się coś w rodzaju śledztwa. Część z nich odeszła z zakonu, niektóre poszły do innych zgromadzeń. Maria była wśród tych, które wybrały swoją drogę. A zły duch tego klasztoru, ksiądz Komarenko, początkowo trafił do jakiejś parafii, a w końcu został wysłany do Ukrainy. Nadal jest duszpasterzem.

– Czy udało się księdzu porozmawiać z Marią? – zapytała Matylda. – Oczywiście poza ostatnim razem.

– Tak, spotkałem ją tutaj przypadkiem. Wtedy już miała ten pensjonat i zarejestrowany związek wyznaniowy. Zakładała własny klasztor razem z kilkoma dawnymi siostrami i przyjmowała młode, niedoświadczone dziewczyny. Już wtedy zastanawiałem się nad tym, skąd miały pieniądze na zakup tego pensjonatu. Przecież musiał kosztować przynajmniej kilka, jak nie kilkanaście milionów.

– To rzeczywiście zastanawiające – stwierdziła Matylda. – Przecież po opuszczeniu zakonu te kobiety nie mogły być zamożne.

– Ale jednak skądś miały na ten swój klasztor pieniądze.

– Może to robota tego księdza. Może to on organizuje fundusze?
– Ten chłystek? Nie, to według mnie figurant, osoba potrzebna klasztorowi, bo siostry nie mogą obejść się bez duchownego.

– Myślałam o tym księdzu Komarence z Ukrainy.

Ksiądz Borówka wzruszył ramionami.

– Tam jest teraz wojna. On pewnie nie miałby takich możliwości. No chyba że zajął się handlem bronią.

Znowu zapadło milczenie. Po chwili Matyllda przypomniała sobie o czymś.

– Dlaczego nazwał ją ksiądz „czarownicą”?

– Bo ona, jak wiedźma, rzuca klątwę i swoje podopieczne zaraża złem. Ta kobieta to zło w czystej postaci. A było w niej tyle dobra. Dziś już nic z tego nie zostało. Niech się pani trzyma od niej z daleka, zło jest zaraźliwe jak covid.

Matyllda wstała i, o dziwo, przeżegnała się. Nie robiła tego od lat i teraz nawet nie wiedziała, dlaczego uczyniła znak krzyża. Może to ze strachu przed złem, o którym mówił ksiądz Borówka.

Do tego jeszcze magia tego miejsca i opowieść o tych wszystkich niegodziwościach, muszę to gruntownie przeanalizować, pomyślała.

Na pożegnanie podała rękę księdzu. Ten uścisnął ją delikatnie i z powagą pokiwał głową.

– Zło jest zaraźliwe jak covid – powtórzył. – Proszę na siebie uważać.

Rozdział VIII

Ustroń

Godzina 18.20

No to się narobiło. Kto by przypuszczał, że tak wdepniemy. Jedziemy na wakacje, no, prawie wakacje, bo w końcu coś tam do roboty mamy w tych pięknych okolicznościach przyrody i Dżesi nie jest nam w stanie swoją obecnością zepsuć atmosfery. A tu naraz wszystko zostaje postawione na głowie.

Jedziemy szukać planu filmowego, a znajdujemy w lesie rozkładającego się trupa. To jest tak nieprawdopodobne i niedorzeczne, że przychodzi na myśl odcinek polskiego serialu kryminalnego. Tyle że niestety w tym obrazie odgrywamy rolę statystów, a kto wie, czy wszyscy nie jesteśmy aktorami drugiego planu. Na szczęście nie ma mowy o graniu głównych ról. Te zarezerwowane są dla mordercy i dla policji. Choć ten policjant, jakże on się nazywa, Pilarski, nie sprawia wrażenia posiadacza nieprzeciętnego intelektu. Trzeba przyznać, że zachował się profesjonalnie po przyjeździe na miejsce zdarzenia, kazał nam się odsunąć, żeby zrobić miejsce dla ekipy technicznej, która przybyła z Cieszyna, i sprawnie zabezpieczył cały teren. Czyli zrobił wszystko tak jak trzeba, ale chyba nic więcej. Poczekał na techników, a potem na szefa z posterunku w Ustroniu. I dobrze, że gość się pojawił, bo dzięki temu mogliśmy nagrać od razu setkę o tym, co się tu wydarzyło.

– Panie komisarzu, możemy pana prosić o wypowiedź dla telewizji? – zapytałem, gdy wysiadł z samochodu.

Popatrzył na mnie zdumiony, jakby badał, czy czasami nie robię go w konia. Na szczęście zobaczył za mną Wasylę z kamerą na statywie i uznał, że jesteśmy rzeczywiście z telewizji.

– A skąd wiedzieliście, że tu się coś dzieje? – zapytał podchwytliwie.

– Nie wiedzieliśmy. Szukaliśmy pleneru do reklamy i natrafiliśmy na zwłoki – wytłumaczyłem.

– Aha. Dobra, zaraz do was przyjdę, tylko pogadam z moimi chłopakami. Wiecie, muszę mieć szczegóły, żeby wam coś powiedzieć, nie? – uśmiechnął się i poszedł tam, gdzie uwijali się technicy.

Przywołał tego Pilarskiego, a ten zaczął mu coś tłumaczyć, wskazując na krzaki i brzeg strumienia, i na nas. Oficer kiwał głową, przyjmując informacje i pewnie je analizując.

– Myślisz, że da radę? – zapytała Kama, bacznie wpatrując się w podkomisarza.

– A co ma nie dać. Wszystko mu powiedzą, to chyba będzie umiał powtórzyć, nie?

– Nie o to mi chodzi. Chodzi o to, czy będzie wiedział, co powiedzieć? – sprecyzowała swoje wątpliwości.

No tak, ma rację, na takich naturszczyków policyjnych trzeba uważać. Jeśli facet nie miał obycia przed kamerą, mógł pieprzyć, co mu ślina na język przyniesie, a po jakimś czasie będzie dzwonić, że niby za dużo powiedział, i dlatego wycofuje swoją wypowiedź. Policjanci najczęściej odmawiali występowania, zasłaniając się tym, że nie są upoważnieni do wypowiadania się przed kamerą, a jeśli od razu się zgodzali, tak jak ten, to znaczy, że nie wiedzieli, że do wypowiadania się przed kamerą upoważniony jest rzecznik policji. On tego nie wiedział, skoro od razu się zgodził. Pewnie gdy w komendzie wojewódzkiej były kursy na temat kontaktów z mediami, był chory, to nie chciało mu się jechać i wysłał kogoś z podwładnych. Ale czy to jest nasze zmartwienie? Najważniejsze, że się zgodził i być może coś ciekawego od niego wyciągniemy.

Policjant podszedł do nas i stanął na wprost obiektywu.

– No to co chcecie wiedzieć? – zapytał, spoglądając na mnie, ale zaraz jego wzrok zatrzymał się na Kamie. Funkcjonariusz uśmiechnął się szeroko. Nic dziwnego, moja dziewczyna robi zazwyczaj piorunujące wrażenie na facetach.

– Wszystko, co pan nam powie – wyjaśniła Kama, przywołując na usta swój czarujący uśmiech, zarezerwowany dla gości, których trzeba natychmiast obezwładnić.

Jak zwykle się udało, bo policjant stracił kompletnie zainteresowanie moją skromną osobą i kontynuował rozmowę z Kamą.

– No dobra, powiem tylko to, co mogę wam powiedzieć. Jak za wiele powiem, to wiecie, trzeba by wyciąć coś tam. Ale wy, z telewizji, to się już na tym wycinaniu znacie, nie?

Kama skinęła głową.

– Jak będzie trzeba, to się wytnie, ale mam wrażenie, że pan sobie świetnie poradzi. Mówi pan jasno i rzeczowo, więc nie będzie problemu.

Rozległ się dźwięk telefonicznego dzwonka. Spojrzeliśmy z wyrzutem na policjanta, a ten przepraszająco się uśmiechnął.

– To mogą dzwonić z Bielska – wyjaśnił, jakby dla nas ta informacja miała jakieś znaczenie.

– Halo, panie inspektorze, podkomisarz Jabłoński się melduje. Tak, jestem na miejscu zdarzenia. Już wszystko widziałem, no i mniej więcej wiem, o co chodzi. Otóż postrzelili ją jak uciekającą sarnę. I najprawdopodobniej opadła z sił podczas tej ucieczki, przewróciła się i straciła przytomność. A w takim stanie, przy ranie postrzałowej, bez pomocy, w lesie, praktycznie nie miała szansy, by przeżyć. To znaczy, że dziewczyna się wykrwawiła i umarła. Jakby doszła do jakiejś drogi, gdzieś do ludzi, to miałyby szansę przeżyć, bo ktoś podwiózłby ją do lekarza albo karetkę wezwał, ale ona nie doszła. No właśnie miała pecha. A poza tym odkryliśmy, to znaczy medyk sądowy...

Przez chwilę nic nie mówił, tylko słuchał tego, co ma mu do powiedzenia dowódca. Gdy tamten skończył, Jabłoński uśmiechnął się zadowolony.

– Melduję, że medyk sądowy przyjechał błyskawicznie. Mówił, że mieliśmy mnóstwo szczęścia, bo miał tu śmiertelny wypadek pod Cieszynem, w którym zginęły cztery osoby, i on od rana robił ten wypadek, a jak skończył, to mu podali informację, że ma jechać do nas. No i przyjechał, bo inaczej to medyka sądowego byśmy mieli dopiero jutro. W tej chwili na całe województwo jest tylko trzech dostępnych, tak nam mówił, i powiedział od razu, że dziewczyna ma na plecach ślady uderzeń, takie jak od bicia jakimś sznurem czy pasem. No, takie jak od chłosty.

Obejrzałem się za siebie. Wasyl stał za kamerą, spoglądając w wyświetlacz. Wszystko było w jak najlepszym porządku, to znaczy, że nasz mistrz operatorki błyskawicznie zrozumiał, co się święci, gdy policjant odebrał telefon, i na wszelki wypadek włączył nagrywanie. Ja miałem w dłoni mikrofon, który wysunąłem do przodu, by znalazł się jak najbliżej policjanta. Dobrze wiedzieliśmy, że takie okazje do nagrywania swobodnych wypowiedzi trzeba natychmiast wykorzystywać. I już miałem pewność, że się opłaciło, bo ten tekst o uciekającej i postrzelonej sarnie był świetny i zapewne nie do powtórzenia podczas oficjalnego nagrania.

– No, są tu ci z telewizji i za chwilę mam wystąpić przed kamerą – wyjaśniał z dumą funkcjonariusz.

Trafił się nam gość, który swój występ nagra później na płycie i będzie pokazywał rodzinie przy każdej okazji.

– Tak jest, rozumiem, tak jest. Tak zrobię. Oczywiście powiem im tylko to, co konieczne. Jasne, nic na temat ran... to znaczy tylko to, co można. Dziękuję, odmeldowuję się – zakończył rozmowę i spojrzał na Kameę.

Jego spojrzenie nieco się zmieniło, pewność siebie uleciała, a na jej miejscu pojawiło się strapienie. Chyba podkomisarz nie ma dla nas dobrych wiadomości.

– To komendant dzwonił i mówił, że mogę wystąpić, tylko żadnych szczegółów nie wolno mi jeszcze zdradzać, więc jakby co, to nic nie usłyszeliście, chyba że przypadkiem, a jak coś słyszeliście, to ja nic nie mówiłem.

Spojrzeliliśmy na siebie, jakbyśmy się wzajemnie brali na świadków, że niczego nie usłyszeliśmy, a jeśli nawet, to przecież nie powiemy o tym nikomu. Kama nawet pokiwała głową i położyła rękę na sercu.

– No dobra, to teraz mogę wreszcie mówić – oznajmił, stając przed kamerą.

Podniosłem mikrofon, żeby lepiej zbierał dźwięk.

– Nagranie! – rzucił zza moich pleców Wasyl.

– Proszę powiedzieć – zacząłem – co się stało. Dlaczego ta młoda kobieta zginęła?

– W związku z zaistniałą sytuacją ujawnienia zwłok młodej kobiety mogę, jako komendant posterunku w Ustroniu, stwierdzić z całą stanowczością, że kobieta nie żyje. Co więcej, jest nieżywa już od kilku dni, a dokładnie najprawdopodobniej od poniedziałku, czwartego czerwca bieżącego roku. Na chwilę obecną nie możemy jeszcze stwierdzić, co było przyczyną śmierci młodej kobiety. Będziemy to wiedzieli po przeprowadzeniu sekcji zwłok. O pozostałych kwestiach będziemy informować na bieżąco. Bardzo dziękuję za uwagę.

– Panie komisarzu! – zawołałem. – Przecież na pierwszy rzut oka widać, że kobieta została postrzelona.

– Może pan widzi na pierwszy rzut oka, ale ja niestety tego nie widzę. Widzę tylko ranę w ciele, nic ponadto w tej chwili nie wiadomo. Można przyjąć roboczą hipotezę, że została postrzelona, ale można też

przypuszczać, że ktoś ją ranił nożem albo czymś innym. O tym dowiemy się po sekcji zwłok.

– A rany na plecach?

– Rany na plecach? – powtórzył, robiąc przy tym minę człowieka autentycznie zdumionego. – Nic na temat żadnych ran od chłosty na razie nie można powiedzieć, bo nie przeprowadzono jeszcze szczegółowych oględzin zwłok, dlatego niczego nie potwierdzam ani niczemu nie zaprzeczam, bo na ten moment to stanowczo za wcześnie.

– Dziękuję za rozmowę – powiedziałem, a na zatroskanej twarzy policjanta, przejętego śmiercią kobiety, natychmiast pojawiło się zadowolenie.

– I jak wyszło? – zapytał Kameę.

– Super! – pokazała mu kciuk skierowany ku górze.

– A kiedy to pójdzie? – spytał jeszcze.

– Za kilka minut wyślemy to do Warszawy – wyjaśniłem. – No i zaraz wrzucą do serwisów, więc będzie co godzinę. Na pewno pan dziś zdąży się zobaczyć.

– Nie, to nie o mnie chodzi, tylko wicie, rodzina się zawsze pyta...

Oczywiście, rodzina zawsze się pyta, szczególnie takich policjantów, którzy występują w TV, ale ten, jak mogliśmy się domyślać, był świeżym adeptem występowania przed kamerą. Należało więc przypuszczać, że za chwilę obdzwoni całą rodzinę i znajomych, by opowiedzieć im o tym, co się stało, i że będzie gwiazdą popołudnia w serwisach informacyjnych.

– Co dalej, Sherlocku? – Kama westchnęła, kładąc mi rękę na ramieniu.

– W sensie?

– No co z tym trupem w kwestiach śledczych?

– A bo ja wiem? – odpowiedziałem. Nie miałem pojęcia, co dalej.

Zabita dziewczyna to nie było nasze śledztwo. My mieliśmy znaleźć ciotkę Dżesi, a nie morderców zakonnic. Ale oczywiście temat był kuszący. Można by się trochę w tej sprawie rozejrzeć. Tylko od czego zacząć?

Poczułem wibrowanie w kieszeni. Wydobyłem telefon. No ładnie, kilkanaście nieodebranych połączeń. Spojrzałem na listę, dziesięć od Dżesi i pięć od Matyldy. Były też esemesy. Te od Dżesiki mogłem sobie darować. Znałem ją na tyle, by wiedzieć, że w pierwszym pytała, gdzie jestem,

w drugim, gdzie jestem, do diabła, w trzecim gdzie jestem, do cholery, i tak dalej. Najpierw sprawdziłem wiadomość od Matyldy.

Mam ślad. Prowadzi mnie wprost w objęcia Pana. Szczegóły poda ci moja współlokatorka Alina. Odezwij się do niej. Będzie wieczorem w naszym pokoju w sanatorium. A ja w tym czasie będę nieco zajęta.

Matylda udaje się w objęcia Pana? Czy ona aby nie zwariowała? Poczulem na karku gęsią skórę. Babcia będzie zajęta? Cholera, to znaczy, że zaczęła działać na własną rękę. Czyli pakuje się w kłopoty? Nie, to my wszyscy mamy kłopoty. Trzeba coś zacząć robić i liczyć, że nie jest za późno. Mam nadzieję, że Matylda nie narobiła jeszcze bigosu.

Godzina 20.10

– Tym razem nie mam ochoty na rozmowy pod bramą, proszę księdza – powiedział aspirant Pilarski, wyraźnie wzburzony.

Ksiądz nie odpowiedział od razu. W domofonie słychać było jakieś szumy, przez które przebijał się dźwięk wypowiedzianych pospiesznie słów.

– Zdaje się, że w środku się naradzają – powiedział Pilarski do sierżanta Okrasy.

Pięć minut temu przyjechali do klasztoru, wysłani przez swojego komendanta. Ten najwyraźniej nabrał wiatru w żagle, bo z zapalem wziął się do wyjaśniania przyczyn śmierci dziewczyny. Być może zapалу do pracy dodała mu kamera telewizyjna, która robiła zdjęcia z daleka.

– Wszystko im powiedziałem. – Zadowolony z siebie Jabłoński wskazał dłonią ekipę telewizyjną. – To znaczy oczywiście w granicach możliwości, bo jak wiadomo, dziennikarzom nie wszystko można powiedzieć. A ty, Okrasa – zwrócił się do sierżanta, najmłodszego stopniem i stażem w tym policyjnym towarzystwie – jak dziś będziesz w domu, to se włącz wieczorem program informacyjny i zobacz, jak się gada do kamery. Bo występować w telewizji trzeba umieć. Dlatego jest u nas zalecenie z wojewódzkiej, żeby w sytuacjach, w których funkcjonariusz nie wie, co

mówić, mówił tylko to, że mówić może rzecznik prasowy, czyli że powie, jak przyjedzie na miejsce zdarzenia. Tak że wiesz, Okrasa, jak cię będą kiedy pytać z jakiejś telewizji, czy im odpowiesz na ich pytania, to lepiej powiedz, że nie możesz się wypowiadać do kamery i zaraz zadzwonisz do komendanta posterunku, to znaczy do mnie, a ja już im wszystko powiem.

– Tak jest, włączę se telewizję – potwierdził zamiar wykonania polecenia Okrasa.

Zadowolony Jabłoński podrapał się po głowie, jakby coś sobie przypomniał. Spojrzał w prawo, na brzeg rzeki, tam, gdzie leżała nieżywa dziewczyna, i zaraz na jego twarzy pojawił się uśmiech. Podkomisarz przypomniał sobie, że powinien pogadać z Pilarskim.

– Pilarski, chodź no tu – zawołał rosłego aspiranta.

– Tak jest – podoficer podszedł do dowódcy.

Ale nie zameldował się, stanął w niedbalej pozie, jaka możliwa jest, gdy dwaj policjanci znają się doskonale i wzajemnie darzą szacunkiem, który nie musi być wspierany koszarową dyscypliną. W tym wypadku nonszalancja świadczyła jednak o czymś innym, mianowicie o tym, że podoficer ma do swojego przełożonego stosunek niezbyt zgodny z regulaminem, z powodów bliżej nieokreślonych. Wnikliwy obserwator mógłby nawet wysnuć wniosek, że ma go w nosie.

– Słuchaj no, Pilarski, widzisz, że narobiłeś nam tu sporo bigosu, nie?

– Nie rozumiem – zdumiony aspirant lekko przekręcił głowę.

– No, chodzi o to, że z tym trupem to jest bigos, bo jaką zasadniczo mamy pewność, że to jest dziewczyna z klasztoru, ta zakonnica, która uciekła?

– Pewności nie mamy, ale są jej zdjęcia i będzie można je porównać z twarzą ofiary. – Wskazał na dwóch mężczyzn w kombinezonach ochronnych, ładujących zwłoki na nosze.

– Jak niby porównać te zdjęcia z twarzą, jak ona ma twarz zeżartą przez robale?

– Cechy charakterystyczne są widoczne, takie jak rozstaw oczu, uszu i tak dalej. Wszystko nie zostało zjedzone.

– No a coś jeszcze? Bo wiesz, chodzi o to, że w tej telewizji już powiedziałem, że nie wiadomo, ale jakby co...

– Jakby co to ona ma jeden but.

– Aha, jeden but! No bo drugi jej pewnie spadł.

Pilarski milczał.

– Co ty mi z tym butem pieprzysz. Mnie chodzi o identyfikację...
– To ja w kwestii tej identyfikacji właśnie. Już meldowałem o tym bucie.

– Nie, nie meldowałeś... Zaraz, zaraz, ty meldowałeś o bucie, coś go gdzieś tam znalazł – Jabłoński spojrzał badawczo na swojego podwładnego.

Ten uśmiechał się lekko, jakby przed chwilą ktoś opowiedział mu niezbyt śmieszny żart, więc z grzeczności wygiął tylko usta, żeby nie robić przykrości żartownisiowi. I wtedy jego dowódca nagle poskładał wszystkie dane i wyszło mu, że ten but, o którym meldowano mu wcześniej, może mieć związek ze sprawą.

– Jak wtedy mówiłeś? Że to nowy but sportowy.

– Tak mówiłem, a pan kazał mi go oddać żonie, żeby se drugi dokupiła na...

– Na żartach się nie znasz czy jak? Ale nie oddałeś?

– Nie oddałem, bo wyjechała na wakacje – Pilarski pokręcił głową. – Mam go w pracy pod biurkiem.

– A to dobrze, że wyjechała. Bo wiesz, jeśli to jest ten but, pasujący do tego, co ona, ta denatka, ma na nodze, to wszystko zaczyna nam się układać w trasę ucieczki i w ogóle.

Pilarski musiał się zgodzić z Jabłońskim. Tyle że w jego spostrzeżeniu nie było nic odkrywczego. On już wcześniej te fakty połączył i był przekonany, że buty do siebie pasują. Jabłońskiemu tymczasem trzeba było wytłumaczyć wszystko jak krowie na rowie i podkomisarz dopiero zrozumiał, o co chodzi. Dlatego gdy aspirant wspomniał o klasztorze i zasugerował, że warto by tam od razu podskoczyć, oficer natychmiast zaakceptował pomysł, by wziąć w obroty księdza i kogo się tam jeszcze da, skoro zabita jest zakonnica. Sam oczywiście nie miał zamiaru tam jeździć, ale skoro Pilarski już się tą sprawą zajmował, niech więc jedzie, może czegoś się tam dowie.

Klucz w furcie klasztornej zazgrzytał i przed policjantami stanął ksiądz Wojda. Jego twarz sprawiała wrażenie, jakby go właśnie zdjęto z krzyża. Była jednym wielkim cierpieniem. Pilarski spojrzał na niego i uśmiechnął się radośnie, najwyraźniej zadowolony z ponownego spotkania.

– Nawet nie przypuszczałem, że tak szybko będę mógł się z księdzem zobaczyć.

– Proszę mi wybaczyć, ale mam wrażenie... Chyba się ostatnio nie zrozumieliśmy – odparł cierpko duchowny.

– Jak najbardziej się zrozumieliśmy. Ja wiem, wieczorami nie przyjmujecie w klasztorze, bo śpicie czy co tam robicie? – Pilarski zaśmiał się głośno, odwracając się do sierżanta Okrasy, jakby miał nadzieję, że ten doceni jego wysublimowane poczucie humoru.

Nie docenił. Też przybrał maskę cierpiętniczą, zapewne chcąc dostosować się do księdza.

Pilarski pomyślał, że pewne rzeczy później mu będzie musiał wytłumaczyć. Nie jest gburowatym chamem, ale jeśli w ten sposób się zachowuje, to po to, żeby coś zyskać. W tym wypadku zyskiem byłoby wyprowadzenie księdza z równowagi. No ale jeśli młody nie zna jeszcze tych numerów, Pilarski musi sam ruszyć do ataku.

– Ta uwaga wydaje mi się nie na miejscu – rzekł ksiądz.

– Nie na miejscu jest strzelanie do uciekającej zakonnicy. Możemy wejść czy mam zadzwonić po nakaz prokuratorski? Bo jeśli tak, to zaręczam księdzu, że dostaniemy go od ręki, w końcu to sprawa morderstwa...

– Zaraz, o czym pan mówi?

– O nakazie...

– Nie o tym, o strzelaniu?

– Mówię o tym, że znaleźliśmy waszą zgubę. Siostrę... Jak ona się nazywała?

– Mówi pan o siostrze Anastazji?

– Tak, o waszej siostrze, która zaginęła i której zaginięcie sam ksiądz zgłaszał. Nie rozumiem tylko, po co ten cyrk ze zgłaszaniem.

– Jak to cyrk? – zdumiał się Wojda. – Przecież zgłasza się zaginionych. Rozumiem, że się odnalazła?

– Niestety tak. Odnalazła się, ale martwa.

Ksiądz otworzył szeroko usta.

Pilarski zmierzył go krytycznym spojrzeniem. Pomyślał, że ma do czynienia z niezłym aktorem. No przecież czarny musiał brać udział w tym pościgu, a może nawet sam do niej strzelał, a teraz robi z siebie świętoszka. Trzeba będzie go ostro przemaglować.

– Boże, ona naprawdę nie żyje? – zapytał duchowny. Nie spojrzał na żadnego z policjantów i ukrył twarz w dłoniach.

Na aspirancie nie zrobiło to wrażenia. Nie zamierzał się z księdzem cackać.

– Możemy wejść? – zapytał. – Już mam dość stania na... – przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć. Że ma dosyć stania na mrozie, bo mróz pasowałby do sytuacji i spojrzenia księdza, ale nie powiedział, bo znalazł w końcu odpowiednie wyrażenie: na polu. Pasowało do każdej sytuacji i nie miało żadnych temperaturowych konotacji.

– Dobrze, proszę. Muszę tylko zawiadomić matkę przełożoną.

– Nie trzeba – dotarł do nich kobiecy głos.

Aspirant rozpoznał go od razu. Należał do Perpetuy. Zaraz też zakonnica się pojawiła. Nie wyglądała na zasną, więc wcale nie było tak późno, jak sugerował odźwierny.

– O co chodzi? – zapytała ostro, mierząc policjantów nieprzyjemnym spojrzeniem. – Powinniście wiedzieć, że klasztor o tej porze jest...

– Proszę wybaczyć, ale to sprawa nadzwyczajna – Pilarski zmienił ton na bardziej pojednawczy. – Niedaleko stąd znaleziono zwłoki młodej kobiety. Mamy powody przypuszczać...

– Oni mówią, że to nasza Anastazja – przerwał mu ksiądz.

– Anastazja? – powtórzyła zakonnica.

– Dlatego chcemy wejść, porozmawiać i rozejrzeć się w jej pokoju. Rozumie siostra, musimy przejrzeć jej rzeczy.

– Tak, to zrozumiałe – Perpetua pokiwała głową i odwróciła się. – Proszę za mną!

Dwaj policjanci poszli za nią, mijając księdza, który ciągle był w głębokim szoku. Szli chodnikiem w kierunku portyku o czterech kolumnach, przykrytych drewnianym fryzem i deskowanym tympanonem. Nad nim wzniosła się szczytowa, dwupiętrowa ściana klasztoru, przykrytego gontem. Nim zdążyli wspiąć się po czterech schodach w górę, drzwi otworzyły się bezszelestnie. Stała w nich młoda zakonnica z głową spuszczoną skromnie w dół.

Pewnie mają zakaz patrzenia ludziom w oczy, pomyślał Pilarski, przypomniawszy sobie obsługującą ich w refektarzu młodą siostrę, która też sprawiała wrażenie niewidzialnej. Weszli do niezbyt obszernego foyer, wyłożonego sosnową boazerią. Pilarskiemu natychmiast przypomniała się podobna boazeria z mieszkania jego rodziców w Siemianowicach. W latach dziewięćdziesiątych, gdy dorastał, w większości mieszkań w blokach tak się zabudowywało ściany w przedpokojach. I naraz, dzięki zapachowi

drewna dość intensywnie wypełniającego tę niewielką przestrzeń, przypomniał sobie o czymś, a to odczucie było tak intensywne, że aż przystanął, by w pełni je sobie uświadomić.

– Czy coś się stało? – zapytała Perpetua, odwracając się.

Mało brakowało, a rzeczywiście by doszło do czegoś gwałtownego i niespodziewanego, bo Okrasa wpadł na stojącego kolegę i gdyby w ostatniej chwili się nie zreflektował i nie odskoczył na bok, mogliby obaj runąć na podłogę. Ale ten wypadek nie wytrącił z równowagi Pilarskiego.

– Trumny! – powiedział i wskazał palcem przestrzeń przed sobą. – Gdzie są trumny? – zapytał.

Okrasa pomyślał, że aspirant zwariował. Może dostał udaru słonecznego, bo w końcu dziś pół dnia musieli wystawać na słońcu. Prawda, nosili czapki, ale ze słońcem nie ma żartów i nigdy nic nie wiadomo.

– Może chcesz coś do picia? – zapytał z troską, ale jego starszy kolega potrząsnął gwałtownie głową, jak pies otrzepujący się po wyjściu z wody.

– Gdzie są te trumny? – zapytał zdecydowanym tonem, ale nikt mu nie odpowiedział.

Cisza klasztorna zdawała się wypełniać każdy centymetr kwadratowy przestrzeni drewnianego foyer, którego jedyną ozdobą był krzyż wiszący na głównej ścianie nad solidnymi drzwiami. Okrasa pomyślał, że doskonale komponowałyby się na tych ścianach jelenie rogi, ale nie podzielił się z nikim tym przemyśleniem. Za to odezwał się ponownie Pilarski.

– Pokażcie mi te trumny!

Godzina 20.50

Oczywiście zadzwoniłem do Matyldy zaraz po tym, jak dostałem od niej wiadomość. Nie odbierała telefonu i nie odpisywała na esemesy. Nie było rady, musieliśmy pojechać do tego Tulipana, by porozmawiać z jej koleżanką. Swoją drogą ciekawe, że Matylda, która wiele spraw utrzymywała w ścisłej tajemnicy, szczególnie takich dotyczących prowadzonych własnych śledztw, tak postąpiła. O, proszę, jakaś Alina zyskała jej zaufanie i teraz ta zupełnie obca kobieta jest depozytariuszką wiedzy na temat miejsca, w którym Matylda się zasyła. Miałem nadzieję,

że nie wyjechała gdzieś z Ustronia, do Katowic czy do Krakowa, bo była nam teraz potrzebna. Chciałem z nią skonsultować wszystkie nasze ustalenia i porównać z tym, co jej się udało dotąd znaleźć, bo że tak było, w to nie wątpiłem ani przez chwilę. Zresztą jej wiadomość nie pozostawiała wątpliwości, że babcia Matyllda jest na tropie. Tylko jakim, kogo i co takiego tropi? Bo wszystko zaczynało nam się mieszać. My też przecież nie próżnowaliśmy. Wiedzieliśmy albo raczej byliśmy przekonani, że nasza zaginiona kobieta, której ciała nie znaleziono, została przez kogoś zaatakowana i być może porwana. Jeśli tak, to podobnie mogło być z ciotką Dzesiki. I teraz do tego wszystkiego dochodziło ciało dziewczyny, zakonnicy z pobliskiego klasztoru. Tyle że te sprawy raczej nie miały ze sobą nic wspólnego. Jak tu połączyć zaginione emerytki i zakonnice, która związała z klasztoru?

Miałem mętlik w głowie i dlatego potrzebowałem konsultacji. Kama uważała podobnie.

– Matyllda to ogarnie – stwierdziła, ufając w zdolności analityczne naszej babci. W końcu Matyllda nie raz dała dowody swojej przenikliwości i umiejętności wyciągania właściwych wniosków śledczych. My musieliśmy przyznać, że jesteśmy niestety za słabi i chyba stanęliśmy pod ścianą. Siedząc w naszym busie, przegadaliśmy wszystko jeszcze raz i doszliśmy do wniosku, że nic nie wiemy.

– A w zasadzie to co my tu robimy? – zapytał jak zwykle przytomny Wasyl, który siedział za kierownicą i pewną ręką prowadził auto po malowniczych ulicach Ustronia.

– No jak to co? – zdziwiłem się. – Robimy reklamę.

– To po cholere nam te trupy?

No, miał rację, ale jak tu nie zainteresować się zwłokami kobiety? W końcu to temat, który sam wpadł nam w ręce. Byliśmy tam tak długo, dopóki na miejsce nie przyjechał z Krakowa mały wóz reporterski do nadawania na żywo za pomocą łączy satelitarnych. Reporterowi, który miał wchodzić do programu, przekazaliśmy wszystkie zebrane przez nas informacje, łącznie z tą najbardziej sensacyjną, że zabita to zakonnica z pobliskiego klasztoru.

Wasyl dał operatorowi karty pamięci do przerzucenia wszystkiego na komputer, żeby mogli zmontować trochę obrazków do podrzucania podczas fajfów, i mogliśmy w końcu jechać, nasza newsowa robota się skończyła. No i gdzie pojechaliśmy? Wcale nie do naszego pensjonatu, żeby zająć się

tym, czym powinniśmy, czyli przeglądaniem planów nagranych do naszej produkcji reklamowej, ale wyruszyliśmy na spotkanie z nieznaną nam jeszcze Aliną, nową koleżanką i powierniczką Matyldy.

Gdy samochód zatrzymał się na podjeździe przed sanatorium, rozległ się dźwięk dzwonka mojego telefonu. Szybko wydobyłem go z kieszeni, mając nadzieję, że oddzwania Matylda. Okazało się jednak, że to jej wnuk.

– Franek dzwoni, zrobię na głośno – powiedziałem do Kamy. Do Wasyla nie musiałem kierować żadnych wyjaśnień, bo jego raczej nie obchodziło to wszystko, co działo się w kwestii naszego śledztwa.

– Co się dzieje z Matyldą, bo przez pół dnia nie odbiera? – zaczął bez ogródek.

– Gdzieś się zawieruszyła – odpowiedziałem. – Właśnie szykujemy akcję poszukiwawczą.

– Jak to zawieruszyła?

– Cześć, Franek, Kama mówi. Nie znasz jej? Przecież wiesz, że chodzi swoimi drogami i trudno za nią nadążyć.

– Kama, cześć. No wiecie, że ją znam, i dlatego zacząłem się martwić.

– Jesteśmy właśnie pod budynkiem sanatorium, w którym mieszka Matylda – zacząłem objaśniać koleżdze sytuację. – Napisała do mnie, że ma trop i wkrótce się odezwie. Ale na razie się nie odezwała.

– Cholera! – mruknął Franek.

– Na szczęście zostawiła u swojej koleżanki informację na swój temat, to znaczy o miejscu, gdzie ma przebywać. Czyli niejaka pani Alina ma nam wszystko powiedzieć. No to jesteśmy pod sanatorium i idziemy sprawdzić, co i jak. A poza tym trochę mamy skomplikowaną sytuację, bo znaleźliśmy ciało.

– Jak to? Macie tę zaginioną turystkę z grudnia, czy może tę ciotkę Dżesi?

– Zupełnie nowy trup – wtrącił Wasyl.

– To Wasyl – wyjaśniłem.

– Cześć, Wasyl – powiedział Franek. – Jaki nowy trup?

– To ciało dziewczyny, która uciekła tydzień temu z klasztoru pod Ustroniem. Została postrzelona i zmarła z upływu krwi. Nadajemy informację o tym w telewizji. Zobacz sobie.

– Nie mogę, nie mam w samochodzie telewizora.

– To jak przyjedziesz do domu...

– Nie jadę do domu. Jadę do Ustronia. Będę tam nad ranem. Zarezerwowałem już pokój w waszym Źródélku.

– To super – ucieszyła się Kama. – Przydasz się, bo zaczynamy się w tym wszystkim gubić.

– To ja mam do was prośbę, kochani. Pogadajcie z tą kobietą, dowiedzcie się, co i jak, i postarajcie się wyciągnąć Matyldę z... Nie wiem, czy wdepnęła w jakieś paskudztwo, ale dobrze by było, żebyście ją znaleźli.

– Tak będzie, kierowniku – potwierdziłem.

– No dobra, to... – najwyraźniej chciał się rozłączyć, więc go powstrzymałem.

– Słuchaj, a ty się czegoś więcej dowiedziałeś poza nazwiskami tych kobiet, co zaginęły w grudniu? Tylko nie mów, że nie, bo i tak nie uwierzę.

Przez chwilę na linii zapanowała cisza. Znałem Franka nie od dziś i już wiedziałem, że szybko analizuje sytuację, żeby oddzielić informacje ważne od mniej ważnych i przekazać nam te najmniej istotne.

– Franek, proszę cię, szczerosc za szczerosc – rzuciła Kama, która, podobnie jak ja, domyśliła się natychmiast, co to milczenie oznacza.

– Ta kobieta, która zniknęła, której ciała nie odnaleziono, sprzedała niedawno swój dom – usłyszeliśmy.

– Jak to? To ona żyje? – odpowiedzieliśmy niemal równocześnie.

– Była na spisaniu aktu notarialnego. Ale mam powody przypuszczać, że to nie ona. Że ktoś się pod nią podszył, posługując się jej dowodem. Wicie, nie mam jeszcze pewności, to tylko przypuszczenia, ale sprawdzę to na miejscu. Mój kolega ma pokazać te zdjęcia facetowi, który kupił dom od niej, i będziemy wiedzieli, czy sprzedała mu go właścicielka, czy ktoś, kto się pod nią podszywał. Chciałem to zrobić sam, ale nie starczyło mi czasu.

– No więc pozostaje nam jeszcze zakonnica – przypomniałem.

– No tak, tylko co jej śmierć ma wspólnego z naszymi zaginionymi? – Franek oczywiście miał wątpliwości.

Wcale mnie to nie zdziwiło. Sprawy nie musiały się w żaden sposób łączyć.

– Tego nie wiemy. Ale przecucie... – rzuciła Kama, a Franek wszedł jej w słowo.

– Masz przecucie? – zapytał chyba z nadzieją w głosie.

Spojrzałem na nią zdumiony, bo dotąd nic nie słyszałem o tym, żeby wyczuła związek między tymi dwoma zaginięciami.

– No nie, raczej nie – przyznała.

– To znaczy, że te sprawy się nie łączą – powiedział policjant z pewną ulgą w głosie.

Wcale mu się nie dziwię, pomyślałem, bo jeśli to morderstwo miałyby być naszą sprawą, to Matylda jest w niebezpieczeństwie.

– Nie mam przecucia. Mam pewność wynikającą z logiki zdarzeń – rzuciła Kama.

– Co ty gadasz? – zapytałem, bo nie bardzo rozumiałem, co ona wymyśliła.

– To proste, panowie, cztery zaginięcia w niewielkiej miejscowości w ciągu kilku miesięcy. Z tych czterech dwa kończą się tragicznie. To bardzo śmierdzi. A wy mówicie, że te sprawy nie mają związku? Obudźcie się, chłopaki.

No i obudziliśmy się. Ustaliliśmy, że zaczynamy szukać Matyldy, a gdy ją znajdziemy, zaraz dzwonimy do Franka i robimy szybką naradę, podczas której babcia przedstawi nam swój trop. No, tak przynajmniej pisała, że na coś trafiła, czyli pewnie coś jest na rzeczy. Połączenie wszystkich zebranych informacji, tych naszych, tych Franka i zebranych przez Matyldę, może nas przybliżyć do celu, jakim ma być rozwiązanie zagadki znikających kobiet. Najpierw jednak musieliśmy znaleźć naszą zgubę.

Wasył został w samochodzie, a ja z Kamą wparowaliśmy do sanatorium. Wsiadliśmy do windy, wcisnąłem guzik i pomknęliśmy w górę z prędkością wyścigowego zółwia. Spontanicznie skorzystaliśmy z okazji i przytuliliśmy się do siebie. Pocałowałem Kamę w usta, a ona oddała mi namiętny pocałunek, więc od razu przyszło mi do głowy, że znajdujemy się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Powinniśmy w tej chwili wskakiwać do łóżka w naszym pensjonacie. Przyłgnąłem do niej, chwytając ją obiema dłońmi za pośladki. Kama jęknęła mi do ucha. W zasadzie to w tym momencie przestałem racjonalnie myśleć. Rozpiąłem jej spodnie, a ona...

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze i drzwi powoli zaczęły się otwierać. Kama natychmiast odwróciła się do nich tyłem, a ja z tym rozpiętym paskiem w ręce zamarłem jak czerwonoarmista na widok puszek z tuszonką.

– Do góry czy na dół? – zapytała niewysoka staruszka, opierająca się na balkoniku.

– My do góry jedziemy – wyjaśniłem.

– A ja na dół – odparła kobieta i zaczęła powoli wchodzić do środka. – Najwyżej się przejadę – stwierdziła zadowolona.

Przesunęła się obok mnie, wchodząc w głąb kabiny. Ja w tym czasie zapiąłem pasek, Kama odwróciła się, jej spodnie też były już w porządku i uśmiechnęła się do babci.

– Lubi pani jeździć windą? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem. Nie mam windy w domu, to korzystam tu, ile się da. Tylko za wolno jeździ. W Pałacu Kultury w Warszawie jest szybsza.

– Wiadomo, stolica! – zgodziła się z nią Kama.

Wyszliśmy z windy i poszliśmy pod drzwi, które wskazała mi esemesem Matylda. Zapukałem, może trochę za głośno, ale zrobiłem tak na wszelki wypadek, bo wiadomo, że ludzie starsi nie zawsze dobrze słyszą.

– Proszę! – odezwał się ze środka kobiecy głos.

Kama nacisnęła klamkę i znaleźliśmy się w środku. Sympatyczna, rumiana i uśmiechnięta kobieta siedziała przy stole, pochylona nad książką.

– Dzień dobry. Jesteście już, kochani. Zaczynałam się denerwować, że nie przyjdziecie.

– Mieliśmy sporo spraw do załatwienia – powiedziałem tonem usprawiedliwienia.

– Miło panią poznać – Kama podała kobiecie rękę. Ona jak zawsze potrafiła się zachować. – Pani Alina, prawda?

– Tak, a ty, moje dziecko, jesteś Kama, a ten przystojny kawaler to pewnie Marcin. Ale jesteście ładni. Mój Boże, jakie to szczęście być młodym i beztrudnym jak wy. No dobra, nie będziemy przecież rozmawiać o głupotach. Siadajcie. Marcin, tam na oknie są karty. Dwie talie nam są potrzebne, z dzokerami. Rozumiem, że umiecie grać w remika? Ale nawet jeśli nie, to przecież gra jest bardzo prosta. Chodzi tylko o to, żeby zebrać sekwens i się wyłożyć. Zresztą pierwszą partię możemy zagrać na próbę, a potem...

– Pani Alino, przepraszam, ale nie mamy czasu na karty – przerwałem jej chyba nieco nazbyt ostro.

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Jak to?

– Chodzi o to – Kama widać chciała załagodzić niezbyt dobre wrażenie, jakie mogło na staruszce zrobić moje obcesowe zachowanie – że

musimy jak najszybciej odszukać Matyldę. Rozumie pani, ona gdzieś poszła, a my nie wiemy dokąd. Dlatego przyszedliśmy do pani...

– Matyldę? – Alina uśmiechnęła się szeroko. – Cóż za przypadek. Wyobraźcie sobie, że miałam kuzynkę Matyldę. Ale ona utopiła się w morzu w siedemdziesiątym czwartym, nie, nie w czwartym, tylko rok później, w piątym. To było akurat wtedy, jak był ten nowy podział województw i z siedemnastu starych zrobili czterdzieści dziewięć. Wtedy nasza Piła stała się miastem wojewódzkim. Ale tego nie pamiętacie, bo jesteście za młodzi na to, żeby pamiętać. Ja wtedy byłam jeszcze młoda. Piękne czasy...

– Pani Alino, gdzie jest Matylda? – przerwałem jej, bo czułem, że nie ma czasu do stracenia. Trzeba było przywołać ją do porządku.

Kama posłała mi jadowite spojrzenie pustynnego grzechotnika, ale nie zareagowałem.

– Matylda może być w niebezpieczeństwie!

– Ależ mój drogi chłopcze, Matylda nie żyje. Utopiła się w morzu w zeszłym roku. Nie pamiętasz? Byliśmy wtedy na wakacjach w Sarbinowie z twoim tatą. Miałeś wtedy cztery lata. No tak, możesz tego nie pamiętać. A ta piękna dziewczyna, którą przyprowadziłeś, to kto? – wskazała na Kamę.

Popatrzyłem przez okno. Rozciągał się z niego piękny widok na dolinę Wisły. Na jej brzegach rozsiadły się domy, domki i ogrody malowniczego Ustronia. Gdzieś tam jest Matylda, tylko za cholerę nie wiemy gdzie. I nic nie zapowiada, że dowiemy się tego w najbliższym czasie.

Raczej nie było powodu do niepokoju, bo chyba nie znalazła się w niebezpieczeństwie, ale sam fakt, że gdzieś się zawieruszyła, stanowił pewien problem.

Dzięgielów Godzina 21.15

– Czy pan się dobrze czuje? – zapytała siostra Perpetua.

– Ja? – Pilarski spojrzał na nią nieco zdumiony. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że rzeczywiście jego głośne, może nawet zbyt głośne pytanie o trumny mogło wywołać konsternację. Postanowił więc uściślić tę kwestię.

– Pytam o to, gdzie macie składowane trumny – wytłumaczył, ale siostra w dalszym ciągu go nie rozumiała.

– Czy my jesteśmy jakimś zakładem pogrzebowym? – zapytała samą siebie i wszystkich pozostałych.

– Na podwórku. Takie podwórko, gdzie jest śmietnik. Tam jest garaż – mówił dalej policjant.

Jego podwładny, który przed chwilą spoglądał na Pilarskiego z z troskaniem, w końcu zrozumiał, że jego starszy kolega pyta o konkret, a nie o scenę z kiepskiego horroru.

– Pan aspirant pyta o trumny w garażu – uściślił Okrasa.

– A na co panu te trumny? – odezwał się w końcu ksiądz Wojda.

– Niech mnie tam ktoś zaprowadzi – zarządził aspirant.

– Jeśli są tam jakieś trumny, to niech je pan sobie ogląda do woli – powiedziała siostra Perpetua. – Ale najpierw należą się nam wyjaśnienia. W końcu chyba coś się stało. Co jest z naszą siostrzyczką?

W pierwszej chwili Pilarski chciał powiedzieć, że najpierw trumny, a potem wyjaśnienia, ale w końcu się zreflektował. Przecież tej zakonnicy musiał leżeć na sercu los jej podopiecznej, więc trzeba jej wszystko wytłumaczyć, a dopiero potem ruszyć śladem swoich podejrzeń.

– No dobrze – stwierdził. – Wszystko powiem od razu, a potem poproszę o pomoc. Muszę się tu rozejrzeć.

– Gdzie? Tu? – zapytała ostro siostra.

– No tu, w klasztorze – Pilarski machnął ręką, zakreślając jakiś niedorobiony okrąg.

– W klasztorze nie można się ot tak rozglądać. To miejsce, gdzie żyją siostry, które ofiarowały się Bogu. Nie można im zakłócać spokoju. Poza tym nasza reguła mówi, że do części klauzururowej nie mogą wchodzić mężczyźni. Nawet ksiądz Wojciech tam nie wchodzi.

– Prawda – potwierdził duchowny. – To jest obszar ściśle odizolowany.

– Ale ja nie mam zamiaru wchodzić siostronom do sypialni. Chodzi mi o część gospodarczą. Tam chciałem się rozejrzeć i porozmawiać z księdzem i z waszym stróżem.

– Stróżem? – zdziwił się ksiądz. – My nie mamy stróża.

– To może palaczem albo nie wiem, co on tam robi...

– Czy dowiem się wreszcie, co zaszło i czy na pewno chodzi o naszą siostrę Anastazję? – przerwała mu stanowczo Perpetua.

– A, tak, no właśnie. – Przywołany do porządku Pilarski postanowił wszystko jej powiedzieć. – Nad rzeczką znaleziono ciało. Młoda dziewczyna o jasnych włosach. Nie mamy zdjęcia jej twarzy, bo ta jest bardzo zniszczona przez zwierzęta. – Nie powiedział o muchach, których larwy obżarły twarz, bo wiedział, że to może być zbyt obrzydliwe dla ludzi o słabych nerwach. – Na szczęście podczas przeszukiwania zwłok natrafiliśmy na portfel, a w nim dowód osobisty na nazwisko...

Przerwał, żeby wyjąć telefon. Otworzył galerię zdjęć. Nie mógł oczywiście zabrać dowodu, ale na wszelki wypadek zrobił zdjęcia. Teraz odczytał głośno dane.

– Kinga Marcysiak. Czy tak się nazywała siostra Anastazja? – zapytał i spojrzał na księdza.

Ten skinął głową i wbił wzrok w podłogę.

Perpetua musiała się upewnić. Podeszła do policjanta i zajrzała mu przez ramię. Pilarski powiększył zdjęcie i zbliżył telefon do twarzy zakonnicy.

– Tak, to jest jej dowód – potwierdziła siostra Perpetua. – To nasza siostrzyczka – przeżegnała się szybko, a potem ukryła twarz w dłoniach, jakby zamierzała płakać.

Pilarski wyczuł w tym jakiś fałsz, więc bez żadnych skrupułów od razu przystąpił do ataku.

– Kiedy rozmawiałem z księdzem, to się dowiedziałem, że nie ma już sprawy zaginięcia, bo dziewczyna się znalazła. Czy nie tak mi ksiądz powiedział? – obrzucił Wojdę groźnym spojrzeniem rozdrażnionego grzechotnika.

– Tak właśnie było – potwierdził ksiądz. – Byłem przekonany, że się odnalazła.

– Rozmawiał z nią ksiądz?

Zapytany pokręcił głową.

– Matka przełożona rozmawiała. Prawda? – spojrzał na zakonnice, która cały czas stała nieruchomo, z dłońmi przy twarzy.

– Czy siostra potwierdza, że rozmawiała z zaginioną i ona powiedziała, że jest z nią wszystko dobrze? – zapytał policjant.

Perpetua wyprostowała się, dłonie spuściła w dół, a potem odpowiedziała zimno i poważnie:

– Rozmawiam codziennie z wieloma ludźmi. Nie pamiętam akurat tej rozmowy.

– Jak to? – ksiądz był najwyraźniej zdumiony. – Przecież siostra powiedziała, że zadzwoniła sama i wyjaśniła, że musi odpocząć i jest u rodziny. Pamięta siostra, że była mowa o tym, że jest u rodziny we Wronkach. Ja jeszcze powiedziałem, że to miasto słynne z więzienia, a siostra powiedziała, że ma nadzieję, że Anastazja nie trafi tam za kratki – powiedziawszy to, ksiądz spojrział na aspiranta. – Tak sobie zażartowaliśmy.

– Być może tak było. Ale dokładnie nie pamiętam – rzuciła siostra.

Była blisko, więc teraz Pilarski mógł przyjrzeć się jej twarzy. Jak na osobę, która przed chwilą płakała, nie miała zaczerwienionych oczu, nawet łzy na policzku. Raczej nie rozpaczała po śmierci młodej zakonnicy.

Być może Perpetua zauważyła badawcze spojrzenie policjanta, bo zrobiła kilka kroków, idąc przed siebie z rękoma założonymi z tyłu. Naraz zatrzymała się, odwróciła i wskazała palcem Pilarskiego.

– Kto ją zabił? – zapytała.

Aspirant wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nie on, ale zaraz się zreflektował, że przecież to nie jest przesłuchanie, w którym on odpowiada na pytania.

– Ja się tu pytam o wszystko! – rzucił suchym tonem.

– Każdy może mieć jakieś pytania – wtrącił ksiądz.

– Ale to ja ustalam, kto ją zabił – Pilarski nie miał zamiaru dać się zdominować. On jest tu śledczym, a oni – spojrział na księdza, a potem na siostrę – potencjalnymi winnymi.

– Może to był wypadek? – zasugerował duchowny.

Na twarzy Pilarskiego pojawił się uśmiech. Okrasa też się uśmiechnął. *Jednak ci cywile są naiwni*, musieli pomyśleć jednocześnie obaj policjanci.

– Wypadek to jest, jak kogoś przejedzie samochód – wyjaśnił sierżant.

– Albo jak ktoś spadnie z góry w przepaść – uzupełnił aspirant.

– Albo jak ktoś kogoś niechcący uderzy za mocno – Okrasa przypomniał sobie awanturę na weselu w zeszłym roku, kiedy pan młody pobił szwagra tak mocno, że ten leżał przez miesiąc w śpiączce. I to był prawdziwy wypadek, bo szwagrowie raczej ze sobą piją, a jak się już biją, to nie za mocno i najlepiej tak, żeby śladów nie zostawiać. A tu zwyczajnie coś poszło nie tak...

– Można też postrzelić się przez przypadek – podał kolejny przykład ksiądz.

– Na przykład podczas czyszczenia broni – podpowiedział sierżant Okrasa, który słyszał o kilku takich przypadkach funkcjonariuszy, którzy

palnęli sobie w łeb, a potem, żeby rodziny mogły dostać rentę, zrobiono protokół o nieszczęśliwym wypadku podczas czyszczenia broni.

– Właśnie – zgodził się ksiądz.

– Owszem – Pilarski pokiwał głową. – Pod warunkiem że wasze siostry noszą ze sobą sztucery myśliwskie i strzelają do siebie nocą, podczas uciezek z klasztoru. W każdym razie siostra uciekiniarka zginęła w wyniku postrzału. Dlatego jeśli siostra pozwoli, chciałbym wyjątkowo zobaczyć jej rzeczy, naruszając klauzurową część klasztoru.

– To nie będzie konieczne. Jej rzeczy są w biurze – wyjaśniła Perpetua.

– Jak to? – zdziwił się chorąży.

– Przygotowane do wysyłki – zakonnica nie traciła pewności siebie. – Wszystko jest w kartonie. Mieliśmy jej to odesłać do tych Wronek. Teraz możemy te rzeczy przekazać policji. Ale nie spodziewajcie się, panowie, niczego ciekawego. Jest tam jej książeczka do nabożeństwa, Pismo Święte, różaniec, grzebień, nożyczki i jeszcze kilka drobiazgów. Ubrania, które zostały po niej, zgodnie z zasadami trafiły do innych sióstr.

– W porządku, zabierzemy, jak będziemy wychodzić – powiedział Pilarski. Potem zwrócił się do Wojdy:

– A teraz te trumny. Może nas ksiądz zaprowadzić?

Zapytany spojrział na Perpetuę, a ta lekko skinęła głową. Ruszył więc przed siebie, w kierunku drzwi prowadzących, jak się za chwilę okazało, ku pomieszczeniom gospodarczym. Znaleźli się na niewielkim dziedzińcu. Policjant natychmiast skierował się do garażu. Brama była zamknięta.

– Niech ksiądz otworzy – wskazał dłonią kłamkę.

– Nie rozumiem, po co to panu?

– Mam takie przeczucie – aspirant dotknął palcem wskazującym nosa i jednocześnie wciągnął głośno powietrze.

– Myślałem, że policjanci kierują się w swojej pracy tylko i wyłącznie dowodami czy poszlakami, to znaczy śladami materialnymi.

– Nasza praca jest podobna, bo łączy to, co realne, z nierealnym, czyli świat żywych i umarłych. Tyle że my nie obiecujemy nikomu życia wiecznego. Jeśli ktoś umrze, stawiamy pytania o przyczynę, a wy mówicie, że tak chciał Bóg.

Ksiądz wreszcie znalazł odpowiedni klucz, włożył go do zamka, przekręcił, zwolnił mechanizm zatraskowy i otworzył bramę, odsłaniając pusty garaż. Prawie pusty, bowiem z trzech trumien, które stały tu wcześniej, została tylko jedna. Dwie pozostałe się zdematerializowały.

– Gdzie są trumny? – zapytał Pilarski. – Jakieś siostry wam umarły?
Były dwa pogrzeby?

Ksiądz wyglądał na zaskoczonego.

– Nie mam pojęcia – bąknął.

– A ten wasz cieć, co tu pilnuje?

– To nie jest nasz pracownik. On tu przychodzi tylko sprzątać i wystawiać kubły ze śmieciami. Zimą to on jest częściej, bo trzeba ogrzewać. Ale teraz to nie mam pojęcia, gdzie on...

– A jak się nazywa?

– Karol Matys. Chyba Karol Matys.

– Tak jak ten właściciel tartaku?

– No właśnie, to jest jego brat albo kuzyn...

Pilarski pokiwał głową. Coś mu zaczęło się zgadzać w tym śledztwie, choć jeszcze nie wiedział do końca co. Na razie nazwisko Matys i trumny pasowały do siebie. Właśnie, gdzie są te trumny? Musi to jak najszybciej sprawdzić. Trzeba pojechać do tego Matysa i z nim pogadać. Z jednym i z drugim. A na razie wrócić po rzeczy zamordowanej siostry. Pewnie nic tam nie znajdą, ale skoro już są przygotowane w kartonie, trzeba je będzie zabrać.

Klepnął w ramię Okrasę i poszedł w kierunku drzwi, którymi kilka minut temu wyszli na dziedziniec. Nim przekroczył próg, spojrzał w górę na niebo. Jeszcze było jasno. W końcu to „noc czerwcową, królową jaśminową”, przypomniały mu się słowa jakiejś piosenki, ale za cholerę nie wiedział, skąd ją w ogóle zna. Być może z harcerstwa?

Tyle że nigdy przecież nie był harcerzem.

Godzina 21.30

– Co tam się dzieje? – zapytała Matyllda przechodzącą korytarzem siostrę.

Stara, pomarszczona jak zesuszone jabłko, a przy tym dość tęga zakonnica o wdzięcznym imieniu Immaculata zrobiła strapioną minę, jakby została przyłapana na jakimś przestępstwie. Może nawet czuła się winna wobec gościa i gdyby była taka możliwość, uciekłaby, niczego nie tłumacząc. Nie dało się, bo gdy Matyllda otworzyła drzwi od swojej celi, skrzydło odgrodziło drogę ucieczki. Korytarz na poddaszu był dość wąski,

więc przy otwartych drzwiach trudno by było się precyzyjnie przycisnąć. Matylda dałaby radę bez trudu, jednak siostra Immaculata była osobą wielkogabarytową i ze swoją małą głową wyglądała jak ogromna gruszka.

– Nie martw się, siostrze – odpowiedziała zakonnica. – Nic się nie wydarzyło. To chyba jakaś awaria, zdaje się, że to hydraulik przyjechał. Połóż się spokojnie w swoim pokoju i niczym się nie kłopotuj – wyjaśniła i zrobiła krok w przód, ale Matylda stała na straży przejścia, nie puszczając klamki.

– No, w zasadzie to się niczym nie kłopotuję, ale te głośne rozmowy... Nie mogę się skupić na modlitwie – skłamała, aby zyskać zrozumienie. – Siostra Perpetua powiedziała mi, że to miejsce, w którym oderwę się od świata zewnętrznego, a tu proszę, sama siostra widzi. To znaczy, nie widzi, tylko słyszy. Ktoś tam krzyczy o jakichś trumnach! Czy aby ktoś nie umarł?

– Musiało się siostrze coś zdawać. Nie słyszałam niczego o trumnach.

– Może źle usłyszałam. Może to chodziło o urny? Ale urny to też pojemniki do grzebania zmarłych. Czyli ktoś umarł?

– Nikt nie umarł. Wszystkie siostrzyczki czują się dobrze.

– To dobrze. Będę się za nie modliła, żeby się czuły dobrze jeszcze długie lata. Ja też się na szczęście dobrze czuję. Ale będę się czuła jeszcze lepiej, jak będzie tu cicho.

– Poproszę, żeby się uciszeli. Może chcesz się czegoś napić, siostrze? Czy mam przynieść ci wody?

Matylda pokręciła głową. *Wody, też mi coś. Czy ja jestem koń, żeby pić wodę? Mogłabyś mnie, koleżanko, zapytać, czy nie chcę koniaku, to wtedy bym się chętnie zgodziła. Kieliszek koniaku by mi dobrze zrobił. I kawa do tego jeszcze by się przydała. Ale tu nie oferują takich luksusów. Może zbyt pochopnie przystałam na propozycję Perpetuy, aby spędzić tu noc, bo oprócz gadających na dole hydraulików raczej nic ciekawego mnie tu nie czeka. Gdybym została w swoim sanatorium, mogłabym siedzieć sobie w pokoju, palić papierosa, popijać koniaczek i do tego jeszcze rozmawiać z Aliną, wspominając stare dobre czasy. Ale jakieś licho podkusiło mnie i się zgodziłam pójść na jedną noc do tego nietypowego klasztoru, myślała, analizując swoją sytuację.*

Skinęła głową siostrze Immaculacie, przepuszczając ją w wąskim przejściu, weszła do swojej celi i zamknęła drzwi. Podeszła do małego, niezbyt wygodnego łóżka i usiadła na kołdrze.

W zasadzie to nie umiałyby nawet racjonalnie wyjaśnić, dlaczego się zdecydowała tu przyjechać. Chyba poczuła zwykłą ciekawość. Tak, to przede wszystkim chodziło o zainteresowanie tym, co może zaoferować jej ten klasztor. Każdy w końcu ma jakieś wyobrażenie o klasztorze, ale mało kto miał okazję być w środku, więc jak nie skorzystać.

No i druga sprawa to zmiana postawy Perpetuy. Najpierw potraktowała ją jak zwykłą emerytkę, obcą osobę, której może się zwierzyć po tej awanturze z księdzem Borówką, czyli bez specjalnego zainteresowania. Ale potem, gdy usłyszała wymyśloną historię o tym, że Matylda jest bogatą, samotną wdową, od razu zainteresowała się nią zdecydowanie intensywniej.

I co, do cholery, mam teraz robić? Mam iść spać?, zastanawiała się. *No ale skoro tu przyszedłam, to z jakiegoś powodu. Chyba nie po to się tu zjawiłam, żeby się przespać na klasztornym łóżku, i do tego o suchym pysku. No może nie do końca o suchym. Miała w swojej niewielkiej torbie piękną, metalową piersióweczkę z ćwiartką koniaku.*

Tę piersiówkę przywiózł do domu z wycieczki do Moskwy jej mąż. Pojechał tam w osiemdziesiątym roku pociągiem przyjaźni na igrzyska olimpijskie, te, które przeszły do historii polskiego sportu dzięki Władysławowi Kozakiewiczowi, który wygrał zawody w skoku o tyczce i gwizdzącym kacapskim kibicom pokazał wała. Na pamiątkę tego wydarzenia Gustaw kupił w jakimś sklepie z suvenirami piersiówkę z wygrawerowanymi kółkami olimpijskimi i niedźwiadkiem Miszka, czyli maskotką olimpiady. Przywiózł wtedy do domu tę piersiówkę, wypełnioną armeńskim koniakiem, oraz dowcip o olimpijskim niedźwiadku. Opowiedział go, gdy zapytała, jak się układały relacje z radzieckimi milicjantami, na których zaproszenie pojechał wraz z kolegami z komendy głównej.

– Tak jak w tym dowcipie o Kolei Transsyberyjskiej – stwierdził i zaczął opowieść:

„Jedzie w przedziale dwóch rusków, nie odzywają się do siebie przez dzień, dwa, trzy, tylko piją, nalewają do stakanczyków wódkę, zagryzają tuszonką, ogóreczkiem, wachają ciemny chleb, piją i zakaszają. Aż w końcu jeden patrzy na drugiego i pyta:

– A, Miszka, ty jebał?

– Nie – odpowiada zapytany. – Jeszcze się nie zdarzyło – wyjaśnia. – A dlaczego pytasz?

– Ot tak, dla podtrzymania rozmowy – wyjaśnia ten drugi, nalewa i piją znowu.

Zapada cisza i słychać tylko równomierny stukot kół pociągu”.

– Tak właśnie wyglądały nasze stosunki bilateralne – wyjaśnił żonie Gustaw i w zasadzie nic więcej mówić nie musiał.

Wydobyła z torby butelkę, pociągnęła niewielki łyk i zakręciła starannie, żeby nie wylała się niepotrzebnie cenna w tych warunkach odosobnienia zawartość. Tym razem w środku był martell, a nie armeński koniak. Ale uśmiechniętemu Miszce, wygrawerowanemu na płaskiej butelce, było raczej wszystko jedno.

Podeszła do okna, otworzyła je i zapaliła. Papierosy też przemyciła. Zakładała, że nie można tu palić, ale na wszelki wypadek nie zapytała o to siostry Perpetuy. Mogłaby jej jeszcze zakazać i wtedy Matylda musiałaby świadomie łamać zakaz, a tak zawsze może powiedzieć, że nie wiedziała...

Delektując się dymem, spoglądała na górskie zbocze porośnięte świerkami. Stąd widać było ścianę majestatycznego lasu, oświetloną ostatnimi promieniami słońca, skrywającego się gdzieś na prawo od okna. *Czyli to górskie zbocze jest południowe*, pomyślała, patrząc z przyjemnością na zielono-pomarańczowy landszaft. Zawsze gdy była w nowym miejscu, określała strony świata, tak na wszelki wypadek, bo przecież nigdy nie wiadomo, czy taka wiedza się nie przyda.

Nagle ciszę rozdarł zgrzyt metalu trącego o metal. Tak jakby ktoś otwierał starą, zardzewiałą bramę.

– Mam takie przeczucie – usłyszała głos na dole, niemal dokładnie pod jej oknem, tyle że dwa piętra niżej.

Nie widziała tego miejsca, bo widok bezpośrednio pod oknem zasłaniały dachówki. Jej okno bowiem osadzone zostało w mansardzie na pochyłym dachu.

– Myślałem, że policjanci kierują się w swojej pracy tylko i wyłącznie dowodami... – odpowiedział inny mężczyzna.

Jego głos wydał się jej znajomy. Tak, na pewno go zna, tylko nie potrafi przypisać do konkretnej osoby.

– Nasza praca jest podobna, bo łączy to, co realne, z nierealnym, czyli świat żywych i umarłych... – Jakiś filozof z tego policjanta.

Ten znajomy głos mówił o pracy policjantów, więc ten drugi to policjant. Co tu robi policja?

Dźwięk jęczącej jak legion potępieńców bramy rozległ się ponownie.

– Gdzie są trumny? – powiedział głośno i zdecydowanie policjant.

Cholera, gość mówi o trumnach. Więc jednak dobrze słyszała. A ta pieprzona, niepokalana Immaculata próbowała z niej zrobić idiotkę. Jeszcze dzięki odpowiedniemu zakonserwowaniu miała całkiem dobry słuch. Gdyby nie koniak i papierosy, już dawno byłaby mamroczącą pod nosem staruszką. Ale jak ktoś uparcie i z pełną determinacją ćwiczy codziennie, to może liczyć na wyniki. Ze starością można walczyć skutecznie, tyle że ludzie o tym nie wiedzą i dają się oszukiwać lekarzom, a ci faszerują ich tonami tabletek. Tymczasem wystarczy tylko codziennie wypić koniak albo dwa, zapalić papierosa i dla zachowania psychicznej sprawności rozwiązać kilka krzyżówek. No i najważniejsze, trzeba czytać kryminały...

– Jakies siostry wam umarły? Były dwa pogrzeby? – pytał znowu policyjny głos.

Mowa o pogrzebach? Matylda wychyliła się najmocniej, jak się dało, ale niczego nie osiągnęła. Krawędź dachu, zakończona rynną, była przynajmniej metr dalej, więc nie dało się dostrzec tych tam na dole.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział ten drugi i wtedy go rozpoznała.

To był ten ksiądz, co ją podwoził z Ustronia za pierwszym razem. Więc ksiądz oprowadzał policjanta, który szuka tu jakichś trumien. Tylko co miały znaczyć te trumny? *Może to były trumny przeznaczone dla zwabionych tu czasowych pensjonariuszek*, pomyślała, śmiejąc się w duchu z makabrycznego żartu. *Ale zaraz mina jej zrzędła. Jasny gwint, to może być prawda. Siostry obsługują tu specjalnie wyselekcjonowane kobiety, podają im jakąś truciznę, mordują, a potem zakopują na miejscowym cmentarzu albo we własnym ogrodzie. No dobrze, to możliwe, zaczęła szybką analizę sytuacyjną. Ale jeśli tak, to musi być jeszcze powód. Przecież w słynnej Czerwonej oberży, w filmie z Fernandem w roli głównej, właściciele mordowali podróżnych, mając nadzieję wzbogacić się na ich bagażach. Wtedy ludzie wozili cały swój majątek w podróżnych kufrach. Ale dzisiaj jest całkiem inaczej. Nikt nie ma szansy wzbogacić się moim kosztem*, pomyślała i spojrzała na swoją niewielką torbę, do której spakowała trochę najpotrzebniejszych rzeczy. *Nawet gdyby mnie zabili*

i zabrali moją kartę bankomatową, to przecież nie dostaną się na konto, bo nie znają PIN-u, a tego nie podam im nawet torturowana. A tak swoją drogą, jakby tam weszli, przeżyliby ciężkie rozczarowanie. Nie ma tam prawie żadnych oszczędności.

Nie, to kompletna bzdura, stwierdziła, uśmiechając się do własnych myśli. Już mam chyba całkowicie poprzewracane w głowie od tych wszystkich śledztw, które w życiu przeprowadziłam. Przecież nie otruję mnie tylko dlatego, że nakłamałam siostrze Perpetui o moim bogactwie...

Brama się zatrzasnęła i na podwórku zrobiło się cicho. Policjant i ksiądz dokądś poszli. Już chciała zamknąć okno, gdy naraz usłyszała coś dziwnego. Tak jakby zduszony szloch.

Zwariowałam, kompletnie zwariowałam. Z trumnami miałam rację i się nie przesłyszałam, ale ten cichy płacz. Takie jakby kwilenie dziecka. Nie, to niemożliwe, zastanawiała się.

Nagle usłyszała coś niepokojącego. Przez chwilę stała nieruchomo, niemal wstrzymując oddech. Szloch się powtórzył. Jakaś kobieta, może dziewczynka, płakała gdzieś w pobliżu. Trzeba by wyjść z pokoju, przejść się po korytarzu i posłuchać. Może ktoś tam potrzebuje pomocy?

Po cichu podeszła do drzwi, nacisnęła klamkę i wyjrzała na korytarz. Od razu natrafiła na przeszkodę nie do pokonania. Siostra Immaculata, skupiona na modlitwie, okupowała klęcznik ustawiony pod ścianą, zaledwie kilka metrów od drzwi do jej celi. Gdyby Matylda chciała pójść w stronę, z której dobiegał płacz, musiałyby przejść po nogach zakonnicy. Przez chwilę wpatrywała się w jej nieruchomą sylwetkę, zastanawiając się, czy nie powiedzieć jej o tym płaczu. Ale nie wiadomo skąd przyszła jej do głowy myśl, że ta niepokalana, pomarszczona gruszka dobrze wie, że ktoś płacze, i dlatego klęczy tam, żeby tego płaczu pilnować. Immaculata była niezbyt dobrym sojusznikiem. Trzeba zdać się na własne siły. Matylda zamknęła drzwi. Przecież siostra nie będzie się modlić wiecznie. Za chwilę zdrętwieją jej kolana i pójdzie je rozprostować. Nikt w tym wieku nie jest w stanie klęczeć w nieskończoność, choć zakonnice w tej konkurencji muszą być mistrzyniami, skoro trenują codziennie przez całe życie. Ale Immaculata opadnie z sił. Wtedy będzie można wykorzystać moment i pójść się rozejrzeć.

Matylda usiadła na łóżku. Z torby wydobyła piersiówkę i pociągnęła łyk. Koniak miło podrapał ją w język i rozlał się ciepłem w gardle. Położyła

się i przymknęła na chwilę oczy, zastanawiając się, kto tam może płakać. Ale teraz nikt nie łkał. Było cicho i trochę sennie.

Po chwili była w swoim gabinecie w pałacu Mostowskich. Lubiła swój pokój. Czuła się w nim jak w domu.

Rozdział IX

Dzięgielów
Godzina 22.50

– Gdzie to może być? – zapytałem Łukiego, a ten tylko wzruszył ramionami.

– Kuźwa, za dnia to wszystko lepiej wyglądało, ale teraz to mi się tu chrzani. Chyba prosto trzeba by...

– Łuki tylko tak gada – wyjaśniła z właściwą sobie prostotą Dżesi. – Niby nie wie, a wie. Zawsze tak jest.

– Nie wiem, kotku. Do tego zamku jakoś dojechaliśmy, ale dalej to chyba tą drogą było, a potem... cholera wie.

– Łuki, ty weź no się nie wygłupiaj, przecież nie myślisz chyba, że będziemy spali we czwórkę w tym aucie. Zresztą ja się muszę wykapać. Jestem wykończona po całym dniu.

– Wiesz co, Łuki, to może odwieź nas do Ustronia – zaproponowała Kama.

Chyba sama możliwość spędzenia nocy w samochodzie z Dżesi wydała jej się niezbyt atrakcyjna i dlatego zaproponowała powrót. Zresztą nie było to głupie. Też miałem dosyć trajkotania mojej byłej dziewczyny. Jak ja to mogłem znosić? Przecież ona z tym swoim gadulstwem jest jak pająk owijający swoje ofiary nicią pajęczą.

– Poczekaj, zaraz sprawdzę na mapie satelitarnej – Łuki zaczął wpisywać coś do swojego komputera pokładowego, którego wyświetlacz był większy niż ekran mojego komputera do montażu.

No ale jak się ma fabrykę wody mineralnej, to można sobie pozwolić na furę z wielkim komputerem pokładowym. Tylko dlaczego taki sprzęt nie potrafi sobie poradzić ze znalezieniem jakiegoś klasztoru? Ciekawe, czy mój telefon sobie da radę? Jak dotąd znajdował wszystko...

– Mam – odezwała się Kama, która od kilku chwil wpatrywała się w swoją komórkę. – Jest ten klasztor. To niedaleko, jakieś cztery kilometry

stąd. Jedź teraz prosto. Poprowadzę – przejęła rolę przewodnika w całkowicie naturalny sposób. Wiedziała, co robi.

Łuki natychmiast ruszył, a Dżesi, usłyszawszy, że już niedaleko, zaczęła wkładać swoje pomarańczowe buty trekkingowe. Wyobraźcie sobie, że założyła buty odpowiednie do chodzenia po górskich ścieżkach i sama z siebie wpadła na ten pomysł. Tak przynajmniej nam powiedziała, gdy przyjechali do nas do Źródłka.

Siedzieliśmy właśnie przy stoliku pod parasolem, w ogródku kawiarnianym, gdy na podjazd zajechał wielki srebrny SUV land rover discovery. Kierowca podjechał prawie pod nasz stolik i dopiero wtedy dostrzegłem w blasku zachodzącego słońca, odbijającego się od przedniej szyby, że jest to nasz zleceniodawca Łuki. Ale zanim zdążył wyjaśnić nam powód swojego przyjazdu, z auta wyskoczyła Dżesi. Tym razem nie była ubrana na różowo-dresowo. Przebrała się w strój dość niecodzienny jak na siebie. Założyła bowiem zielone bojówki, fioletową koszulkę termiczną z krótkimi rękawami i buty trekkingowe. Pomarańczowe buty były widoczne z odległości kilometra i zapewne świeciły w nocy. Nie zdążyłem jednak zapytać o tę przemianę, Dżesi nie dała nam bowiem dojść do słowa.

– Miśku, czy ty kompletnie zwariowałeś? Przecież my się o was martwimy. Nie dawaliście znaku życia, a przecież to są góry. Tu można się sturlać z grani i spaść na dół. Były już takie wypadki, że ludzie spadali i łamali sobie nogi.

– Z górami nie ma żartów – oznajmił Łuki, wychodząc z wielkiego auta. – A Dżesi chciała koniecznie się z wami zobaczyć, żeby się umówić na zdjęcia, najlepiej na pojutrze.

– No właśnie, Miśku! – Dżesika klasnęła w dłonie, jakby oznajmiała jakąś nieprawdopodobną nowinę. – Najlepiej nie jutro. Jutro wy sobie jeszcze poszukajcie kolejnego miejsca do nagrywania reklamy, a my musimy mieć trochę oddechu, no po tym, co nas czeka w nocy dzisiaj. Mówię wam, dzisiejsza noc będzie intrygująca!

Spojrzałem na Kamę, ale ona nie miała zamiaru wchodzić w jakiegokolwiek dyskusje. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do mnie.

– Jak uważasz, Miśku? – zapytała słodko. – Może my też zaplanujemy coś intrygującego?

Zrobiłem kwaśną minę. Kama nie musiała przecież być tak złośliwa. W końcu wie dobrze, że wcale nie jestem zachwycony tym, jak zwraca się do mnie Dzesika.

Mówiłem jej wiele razy, że od czasu, jak się rozstaliśmy, nie powinienem być Miśkiem. Ale ona wytłumaczyła mi, że nie ma zamiaru zmieniać swoich przyzwyczajzeń i na zawsze pozostanę Miśkiem, bo nie wyobraża sobie, że mogłaby mówić do mnie na przykład Marcin. Jej zdaniem to imię zbyt pospolite i nie pasuje do mnie, a Misiek jak najbardziej. I co miałem zrobić? Byłem w tej rozgrywce na przegranej pozycji. A na przekręcane przez Dzesikę słowa w zasadzie przestałem zwracać uwagę. To jest denerwować się. Niektóre z nich były zresztą ciekawe, żeby nie powiedzieć „intrygujące”.

– Ja nie mam nic przeciwko temu – zadeklarował Wasyl, popijając piwo z długiej szklanki o cienkich ściankach.

Pił bezalkoholowe, bo nie miał zamiaru zastanawiać się rano, czy przypadkiem nie jedzie na jakichś złych oparach. Ja na szczęście nie miałem takich postanowień i piłem zwyczajne brackie z Cieszyna. Kama też się skusiła na tę miejscową specjalność, ale chyba nie była zachwycona smakiem, bo w jej szklance od pół godziny nie ubyło więcej niż łyk.

– No to jak Wasyl nie ma nic przeciwko temu, możemy sobie zrobić jutro wolne – stwierdziłem. – Tym bardziej że plan już wybrany, więc mogę jeszcze doszlifować tekst i popracować nad rozpisanem scenariusza, to znaczy ująć i tak dalej.

– No to superancko – ucieszyła się Dzesi i znów klasnęła w dłonie. – To co, Łuki, jedziemy, co nie? – zapytała.

Łuki stał obok naszego stolika i coś sprawdzał w komórce.

Naraz Dzesika coś sobie uświadomiła. Najprawdopodobniej doszła do wniosku, że nikt nie zapytał jej, skąd ta nagła zmiana planów. Znałem ją dobrze i od razu to wyczułem. Miała w zanadrzu coś, czym chciała się koniecznie podzielić, ale dotąd nie padło pytanie, na które mogłaby udzielić elektryzującej odpowiedzi. Nie mogliśmy przecież pozostać tu, w tym naszym pensjonacie, w nieświadomości, gdy ona robi rzeczy wielkie.

– Więc powiem wam jeszcze, że przeczytałam, że w góry można chodzić tylko w stroju wysokogórskim. I dlatego pojechaliśmy z Łukim do Białego Stoku, do specjalistycznego sklepu...

– Do Bielska-Białej – sprostował Łuki.

– No właśnie do Białej, nie Białego, choć bardziej by ten stok tu pasował, taki od śniegu biały, nie? No i kupiliśmy cały ten górski ubiór dla mnie – wskazała najpierw palcem swoją koszulkę, potem spodnie, a na koniec buty. – I teraz mam buty traktorowe i mogę chodzić po górach.

– Trekkingowe – poprawił ją Łuki.

– No bo one mają takie bieżniki jak koła traktora – uniosła w górę nogę i wykręciła stopę tak, że mogliśmy dojrzeć bieżnik. *Rzeczywiście, niezłe*, przyznałem w duchu. Ale nie zamierzałem dawać jej szczególnej satysfakcji, chwając zakup.

– Rozumiem, że jutro idziecie na górską wycieczkę – rzuciła obojętnie Kama.

– No coś ty! – Dżesi zaśmiała się. – Przecież nie będziemy się wspinać. Ja nie jestem jakimś koziorożcem, żeby skakać po skałach. Jutro wjedziemy kolejką linową.

– Wyciągiem krzeselkowym – znów poprawił ją Łuki, nie przerywając przeglądania telefonu.

– No właśnie, ale to dopiero rano, jak się wyśpimy, pewnie koło południa. Jakbyście mieli takie stroje, to moglibyście pojechać z nami na wyprawę wysokogórską – rzuciła, ale nie oczekiwała, że podchwycimy temat.

I tak też się stało, bo ani ja, ani Kama nie odpowiedzieliśmy. Nie mieliśmy strojów wysokogórskich. Dżesi zrozumiała to i obrzuciła nas krytycznym spojrzeniem. Jak zwykle na takich wyprawach mieliśmy na sobie stroje terenowe, czyli T-shirty, bojówki i buty trekkingowe. Kama miała czarne, a ja brązowe, więc nie były tak czaderskie jak te Dżesiki.

– No i jeszcze zapomniałam wam powiedzieć, że moje buty są zajebiste, bo świecą w nocy. Jakbym się zgubiła w górach, to mnie można zobaczyć nawet z helikoptera.

– No, nie mów – rzuciła Kama tonem, w którym od razu dostrzegłem ironię zaprawioną sarkazmem, a Dżesi zapewne prawdziwy podziw i uznanie dla nieprawdopodobnych właściwości jej obuwia.

– No mówię ci, Kama, zajebioza. Ale to jeszcze nic. Bo najbardziej zajebiaszce jest to, że dziś w nocy będziemy spać w klasztorze. Czujecie to, klasztor, cisza starych murów, chłód od rzeki, gwiazdziste niebo i nocne medytacje. Człowiek w takim miejscu może odnaleźć siebie, wchodząc w głąb własnej duszy, do samego środka, i odpowiedzieć sobie na pytanie, kim jest i co robi na tym świecie. Czujecie to, chyba warto wiedzieć, po co

się żyje – powiedziała Dzesi i spojrzała na Kamę, na Wasyła, a potem na mnie.

Musieliśmy chyba mieć dość głupie miny, bo uśmiechnęła się uradowana, ukazując te swoje piękne białe zęby, od których dawno temu wzięło się moje zauroczenie.

Teraz nie zrobiły na mnie aż takiego wrażenia, choć muszę przyznać, że nadal wyglądają ładnie. Choć dziś myślę, że Kama ma zdecydowanie ładniejsze, ale przede wszystkim wie dobrze, że niekiedy nie warto mówić zbyt wiele i lepiej trzymać język za zębami. Dzesi niestety tego nie wie.

– To niesamowite – stwierdziła Kama. – A ty, Marcinku, nie chciałbyś zejść w głąb siebie?

– Nie pomyślałem o tym. Trzeba było zabrać z Warszawy trawkę – rzuciłem żartobliwym tonem.

– Nie, medytacja w klasztorze nie może być z jointami. Pytałam tę siostrę obłożoną o to...

– Przełożoną – rzucił Łuki, który już skończył przeglądanie wiadomości w telefonie. – No dobra, Kiciu, zbieramy się, bo nas do tego klasztoru nie wpuszczą. To co, jutro odpuszczamy? – zapytał na wszelki wypadek.

Skinąłem głową.

– Tak będzie najlepiej. Tym bardziej że musimy jeszcze jutro spotkać się z babcią Matyldą, bo przyjechała do Ustronia...

– Matylda? – wykrzyknęła Dzesi. – No przecież to jej robota! Sami ją tam podwieźliśmy.

– O czym ty mówisz? – zapytałem, wyczuwając, że zdarzyło się coś niepokojącego.

– No Matylda! – wyjaśniła Dzesi. – Nasza babcia Matylda szła sobie ulicą, a my akurat jechaliśmy z Łukim, to ja jemu mówię, Łuki, stawaj, bo to jest Matylda, i Łuki stanął. A ja się jej pytam, co tu robi, a ona, że się wybiera do klasztoru, ma dość ludzkiej głupoty i nie chce więcej widzieć idiotów, którzy ją otaczają. No to jej mówię, żeby wsiadała, to ją podrzucimy, bo ja lubię klasztory i wszystkie zabytki. Ty wiesz, Miśku, jak ja lubię te stare ruiny, co nie? No i zawieźliśmy ją do tego klasztoru i jak tam przyjechaliśmy, to nam ta siostra przekładana powiedziała, że jakbyśmy chcieli, to są tam jeszcze wolne pokoje i oni wynajmują zaufanym ludziom na medytacje klasztorne. A jak my jesteśmy z Matyldą, to znaczy, że jesteśmy zaufani, nie, Łuki?

– Tak było – potwierdził biznesmen. – No to już, lecimy – zarządził.
Spojrzeliśmy z Kamą na siebie i zrozumieliśmy się bez słów.
Poderwaliśmy się z krzeseł.
– Jedziemy z wami – powiedziałem.
No i pojechaliśmy.

Wielki wóz Łukiego trzymał się dobrze drogi. W mocnych światłach halogenowych widać było całą okolicę, lasy, pola i zamarłe ze zdumienia sarny oraz zające, spoglądające jak zahipnotyzowane w snopy światła. W końcu przed nami pojawił się zarys ogrodzenia i nieregularna bryła kilku chyba budynków. Nie przypominało to średniowiecznego klasztoru, a raczej ekskluzywny pensjonat.

– A jak nas nie przyjmą? – zapytała Kama. – Nawet nie mamy szczoteczek do zębów.

– Wrócimy pieszo – odparłem bez przekonania. – Chyba to nie jest daleko.

– Przyjmą was, bo siostra przekładana mówiła, że mają pokoje dla zaufanych znajomych. To znaczy, jak my jesteśmy zaufani od Matyldy, to wy jesteście zaufani od nas i muszą was przyjąć. Zresztą Łuki to załatwi. On ma tam dobre układy z tymi pingwinami. Co nie, Łuki?

– Mają szczoteczki do zębów i pastę – stwierdził Łuki, tak jakby sam był właścicielem tego klasztorowego pensjonatu.

Auto zatrzymało się przy bramie. Łuki zatrąbił i niemal natychmiast oba skrzydła rozchyliły się. Wjeżdżaliśmy do świata medytacji, dzięki któremu będziemy mogli zajrzeć w głąb siebie i zdobyć odpowiedź na pytanie, po co żyjemy. Byłem ciekaw tych wszystkich odpowiedzi, ale nie bardzo chciało mi się wierzyć, że znajdę tu jakąś prawdę na swój temat. Znaleźć chciałem przede wszystkim babcię Matyldę, która nie wiadomo po co pojechała do tego klasztoru.

Nigdy bym jej o coś takiego nie podejrzewał. Przecież zawsze była zdeklarowaną ateistką, a jej poglądy na tematy religii zabarwione były ostrym antyklerykalizmem. I teraz okazuje się, że Matylda wybrała się na medytacje do klasztoru. Jakoś mi to do niej nie pasowało. Ale ludzie

przecież się zmieniają, szczególnie na starość. W końcu Matyllda ma do tego prawo.

Ustroń Godzina 23.00

– Czemu właściwie nie wejdziemy tam normalnie, czyli przez bramę? – zapytał Okrasa.

– Bo nie możemy być widoczni i wzbudzać podejrzeń. Spokojnie, trzeba się najpierw rozejrzeć – wyjaśnił Pilarski swojemu podkomendnemu.

Z tym rozglądaniem się to akurat było zrozumiałe, tylko sierżant nie wiedział, na czym to rozglądanie się ma polegać. Przecież tu nie ma nic do oglądania. Normalny plac manewrowy do rozładunku drewna, tam dalej w głębi podłużny barak, w którym jest hurtownia, gdzie sprzedają obrobione deski podłogowe, klepki czy płyty drewniane, czyli wszystko to, co mogło być potrzebne podczas wykańczania domu albo mieszkania. Z prawej, czyli niemal bezpośrednio przy miejscu, gdzie stanęli, za betonowym płotem kolejny magazyn z surowymi deskami, a w głębi dom należący do właściciela tego zakładu, Wojtka Matysa. Tu, z ulicy, było widać dokładnie fasadę willi wybudowanej w stylu góralskim, ze spadzistym dachem, zdobionej deskami w rzeźbione wzory, charakterystyczne dla regionalnej architektury. Ale to był jedyny ukłon w stronę góralszczyzny, więcej się nie dało zrobić. Dom wybudowano bowiem jeszcze za komuny, kiedy materiałów budowlanych nie było pod dostatkiem, więc Matys postawił, co się dało, czyli zwyczajny klocek z prostym dachem. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych, gdy się zaczęło polepszać, doszedł do wniosku, że musi coś zmienić w swoim byle jakim domu, zdjął i zbudował od nowa dach, ale nie zwyczajny, tylko taki stylowy, żeby do gór nawiązywał. Powstała więc hybryda łącząca stare z nowym i wyglądająca, jakby ktoś peerelowski klocek skrzyżował z chińską pagodą.

Za domem był kawał placu zawalonego drewnem, a tuż za nim zaczynało się zbocze porośnięte lasem. Złośliwi gadali, że Matys nie musi kupować drewna, bo może rąbać za płotem. Ale było to tylko gadanie, bo gdyby tam ze zbocza jakiś chojak został wycięty, leśniczy od razu by to

zobaczył. Jeśli więc Matys organizował drewno na lewo, to na pewno nie z sąsiedztwa. Był za mądry, żeby w tak głupi sposób ryzykować.

– Ale za czym się mamy rozglądać? – zapytał w końcu Okrasa, gdy już się rozejrzył i nic ciekawego nie zauważył.

– Ty nie gadaj, tylko patrz, czy wszystko jest tak, jak powinno – rzucił Pilarski.

W zasadzie on też nie wiedział, czego szuka. Ciągłe po głowie chodziły mu te trumny, mimo to w dalszym ciągu nie miał pojęcia, do czego je przypiąć. Były trumny w klasztorze, a teraz ich nie ma. Ksiądz wiedział, że były, gdy rozmawiał z nim wcześniej, a teraz twierdzi, że ich nie było, gdy garaż został otwarty. Ale nie potrafił w żaden sposób wytłumaczyć, gdzie się podziały. I w tej sytuacji jedyną osobą, która mogła mieć na ten temat wiedzę, był ten Karol Matys, czyli kuzyn właściciela hurtowni i tartaku Wojtka Matysa.

– O co chodzi w tych trumnami? – zapytał w końcu znudzony Okrasa.

– No wiesz, z trumnami jest tak, że służą do chowania ludzi – wyjaśnił Pilarski, gapiąc się na magazyn po prawej. – O, widzisz, ten magazyn, tu, gdzie stoi ten dostawczak.

– Stary transit – Okrasa natychmiast określił markę.

Chłopak znał się na samochodach i wszyscy wróżyli mu, że prędzej czy później wyląduje w drogówce. Ale na razie jest za młody do tej roboty i musi odbębnić swoje na zwykłym posterunku.

– Nie ci będzie, że to transit...

– Jak Boga kocham, jakiś koniec lat osiemdziesiątych, taki kanciak. Może być rocznik osiemdziesiąty dziewięć.

– Co nas obchodzi rocznik tego grata – zachnął się aspirant. – Mnie chodzi o magazyn. Tam są trumny, o które pytałeś.

– Aha, znaczy te trumny z klasztoru? – domyślił się sierżant. – Czyli że je stamtąd ukradli?

– Cholera ich wie. Tu jak ostatnio liczyłem, było sześć trumien, a w klasztorze trzy. A teraz tam nie ma ani jednej, to znaczy, że musi tu być dziewięć. I jak jest dziewięć, to jesteśmy w domu.

– Ukradli?

– No nie wiem, czy ukradli, czy wypożyczyli, ale jedno jest pewne. Trumny to śmierć, a śmierć nastąpiła tam, gdzie były trumny, czyli w klasztorze.

– Postrzelić ją musieli poza klasztorem. – Okrasa wsadził właśnie kij w tryby maszyny zbudowanej z dobrze dopasowanych elementów teorii Pilarskiego.

No i okazało się, że jednak nie do końca się dopasowały. Ale najgorsze, że twórca tego mechanizmu nie wiedział, po co to jego urządzenie w ogóle ma działać.

– Nie gadaj, tylko się rozejrzyj, a ja skoczę na drugą stronę i zobaczę, ile tych trumien jest.

– To może ja skoczę? Całkiem zdrętwiałem od tego stania – zaoferował sierżant.

– Ktoś musi zostać na czatach.

– A niby po co? Czy my wchodzimy do lasu pełnego zbójców? Tu jest cywilizowany kraj. Nawet jak podpieprzyli trumny, chyba nie będą do nas strzelać.

– W sumie masz rację. Idziemy razem. Tylko uważaj – zdecydował Pilarski.

– Będę uważał – potwierdził Okrasa, choć nie bardzo wiedział, jak ma uważać i w szczególności na co.

Zapewne starszemu koledze chodziło o to, by się rozglądać. No więc podsadził najpierw Pilarskiego na płot, a gdy ten znalazł się po drugiej stronie ogrodzenia, zaczął się uważnie rozglądać. Niczego nie dostrzegł, więc złapawszy za górną krawędź, podskoczył, wspiął się na górę, oparł brzuch o szczyt płotu, a potem zwinnym ruchem przerzucił nogi na drugą stronę i opadł na miękką trawę.

– Ja idę do tej szopy, a ty uważaj! – zarządził Pilarski i ruszył przez podwórko, skradając się jak kot.

Okrasa przez chwilę analizował polecenie i doszedł do wniosku, że jest niezbyt precyzyjne. Dowódca akcji nie powiedział bowiem, na co dokładnie zwrócić uwagę. Ale on był inteligentnym policjantem i wiedział, że jeśli mają się spodziewać jakiegoś zagrożenia, to tylko stamtąd, czyli z domu, w którym mieszka Matys. No to poczekał chwilę. Gdy jego kolega zniknął w szopie, Okrasa przebiegł podwórko na ukos i znalazł się koło willi. Wejście do domu znajdowało się z boku, niewidoczne z placu manewrowego. Z tej strony był za to taras, który jednocześnie był dachem niewielkiej części przyziemia. Okrasa znał to miejsce, bo z synem Matysa, Tomaszem, chodził do jednej klasy. Wiedział więc, że pod tarasem jest niewielki warsztat i magazynek narzędzi.

Ważniejsze jednak to, co wyżej, czyli taras i okna do mieszkania. To jedno, w którym paliło się światło, było najważniejsze, bo należało do tak zwanego pokoju telewizyjnego. Nic dziwnego, że tam właśnie było jasno. W końcu co ma robić człowiek po całym dniu pracy? Wiadomo, że siedzi przed telewizorem i w zależności od upodobań ogląda albo propagandę, albo informacje.

Barierki tarasu wykonane były z betonowych słupków, kształtem przypominających kręgle. Nie było się za co chwycić. Na szczęście z boku, koło domu, leżała drewniana drabina. Okrasa przyniósł ją i oparł o krawędź tarasu. Zrobił to bardzo delikatnie i cicho, mimo to drewno uderzyło o blachę, a ta jęknęła. W wieczornej ciszy policjantowi zdawało się, że to jęk zbójnika powieszzonego przez hajduków za ostatnie zbrodnie. Do tego od zbrocza powiał wiatr, jak to się niekiedy zdarza, nawet w bezwietrzne dni, a gdzieś w oddali rozszczękał się pies, oznajmiając światu swoją łańcuchową rozpacz. Sierżant poczekał chwilę na wszelki wypadek, mając nadzieję, że hałas nie zdradził jego obecności. Przez otwarte okno słychać było dźwięk z telewizora, przez który przebijały się głosy dwóch mężczyzn. Okrasa odwrócił się i spojrzął na szopę, w której zniknął Pilarski. Zobaczył smugę światła przesuwającą się za ścianą z desek. Aspirant krążył w środku, szukając swoich trumien, a jemu kazał uważać. Więc sierżant będzie uważał na tych, co tam siedzą w domu.

Powoli wspiął się na pierwszy szczebel. Drabina skrzypnęła. Na następnym szczeblu znów lekko zaskrzypiała, podobnie jak na trzecim. Na czwartym nie wydała z siebie żadnego dźwięku, a gdy Okrasa znalazł się na piątym, znów wydała z siebie dźwięk. Na szczęście był już przy balustradzie. Złapał się blaszanego parapetu i przeszedł na drugą stronę. Zrobił to niemal bezszelestnie, jego buty miały dobrą, gumową podeszwę. Idealnie nadawały się do wieczornych podchodów.

Po wykafelkowanym tarasie na czworakach zbliżył się do okna. Bardzo ostrożnie zajrzał do środka. W głębokim skórzanym fotelu siedział Wojtek Matys, właściciel tartaku i gospodarz domu. Jego kuzyn Karol półleżał, oparty o podglówek skórzanej kanapy. Przed nimi znajdował się stół, a właściwie ława, na której stało kilka kartonów po sokach, butelki po innych napojach i kilka po wódce.

– Weź no jeszcze nalej, Wojtek – powiedział Karol.

Wojtek chwycił flaszkę i rozlał. Wypili natychmiast, strzepując ostatnie krople na dywan. Karol wziął butelkę i teraz on nalał, ale tym razem nie wypili. Trzeba było chwilę poczekać, żeby poprzednia porcja spłynęła do żołądka.

– To co tam powiedziała? – zapytał Wojtek.

– Powiedziała, że nie pamięta nic – odpowiedział Karol, zagryzając wódkę kawałkiem suchej kiełbasy.

– Nie pamięta? – rzucił zdziwiony Wojtek. – To niech se przypomni.

– I tak jej powiedziałem, ale ona nic, ino w płacz, tom zamknął wieko i tyle było gadania. Po mojemu jutro pęknie, cholera jedna.

– Wszystkie pękają – stwierdził Wojtek i podniósł w górę kieliszek. – Nie było jeszcze takiej, co by nie pękła. Tak już jest w życiu, że człowiek kruchy jest, to musi pęknąć prędzej czy później. Jedni szybciej, inni wolniej, ale każdy pęknie. Ale najlepsze jest to, że ty nic nie musisz robić, ino spokojnie se czekać... Powiem ci, Karol, że trumna to jednak użyteczne opakowanie.

– Bo w trumnie jest cała prawda o człowieku – stwierdził Karol i znów sięgnął po wódkę.

Policjant, najciszej jak potrafił, przeszedł na skraj tarasu, potem przelazł na drugą stronę i zeskoczył w dół. Nie miał zamiaru schodzić po skrzypiącej drabinie, bo jeszcze któryś z Matysów mógłby coś usłyszeć. A on nie mógł zdradzić swojej obecności. Musiał jak najszybciej pobiec do Pilarskiego i powiedzieć mu, co tu usłyszał. Sam jeszcze do końca nie wiedział, co to było, ale odniósł wrażenie, że mówili o czymś, co na razie nie mieści mu się głowie. Trzeba to przegadać z aspirantem. Tylko gdzie go teraz szukać? W szopie czy pod płotem? Światła jego latarki nigdzie nie było widać. W oddali ujadły psy. Ten pierwszy, który zaczął nocne szczekanie, obudził chyba wszystkie łańcuchowe burki w okolicy.

Dzięgielów Godzina 23.30

– No, wstawaj już. Ile można spać? – powiedział Marcin.

– Zaraz, jeszcze chwilę. Coś mi się śniło – odpowiedziała, próbując sobie przypomnieć, co to był za sen.

– Coś dobrego czy złego? – zapytał.

– Nie wiem. Chyba coś dobrego, bo nie czuję niepokoju. To był sen o tobie i o... O, Boże, śniła mi się twoja koszmarna Dżesika. Siedziała tu, koło mnie, na łóżku, trzymała moją rękę i mówiła, nic się nie martw, wszystko będzie dobrze. Więc się spytałam, co będzie dobrze, a ona wyszczerzyła te swoje wielkie zęby i powiedziała, że będzie dobrze, bo Misiek nie musi się martwić o mieszkanie, ponieważ ono nie będzie teraz ani jej, ani twoje, tylko wasze. Rozumiesz? Wasze. To znaczy, że chyba chciała mi zasugerować, że problem mieszkaniowy zniknie, bo będziecie współwłaścicielami mieszkania. Nie powiedziała, jak to się stanie, ale jestem domyślna. Ona chyba chciała mi powiedzieć, że wyjdzie za ciebie za mąż. Powiedz mi, że to niemożliwe. Przecież to nie może być prawda. To nie jest sen, to jakiś horror. Miałbyś zostać jej mężem? Do końca życia, a zamierzam jeszcze żyć jakieś pięćdziesiąt lat, miałabym widywać tę koszmarną babę? Nie, los nie może być tak okrutny, Marcin! No, odezwij się. Marcin, gdzie jesteś? Dlaczego nic nie mówisz? Marcin!

Zerwała się z posłania i uniosła na łokciu. Marcina nigdzie nie było. Dżesiki na szczęście też. Ale gdzie ona jest? Rozejrzała się wokół. W jasnym świetle księżyca dostrzegła klęcznik i już wiedziała, że jest w klasztorze. Jest noc, a Marcin i koszmara z Dżesiką, to wszystko były sny.

Spojrzała w okno. Jest środek nocy, a ona zasnęła na swoim klasztorным posłaniu, nie przebrawszy się nawet w koszulę nocną. Położyła się na łóżko... Tak, chlapanęła sobie trochę koniaku, i to ją musiało załatwić. Swoją drogą musi uważać z alkoholem. Chyba za dużo pije, bo zmniejsza się jej tolerancja na koniak... Kiedyś mogła wypić butelkę i normalnie funkcjonować. Wieczorem wypła tylko kilka kropelek i padła jak mucha po dawce muchozolu.

Naraz przypomniała sobie to, co wydarzyło się na chwilę przed zaśnięciem. Słyszała jakiś płacz, a potem wyszła na korytarz, żeby sprawdzić, kto to płacze. Ale nie mogła zbadać tej zagadki, bo na korytarzu pełniła służbę wartowniczą ta siostra o niepokalanym imieniu. Wielka Immaculata spała na klęczniku i trudno byłoby przez nią przejść, nie budząc jej. Ale teraz jest środek nocy, więc powinna była już pójść do swojego łóżka. Ile można klęczeć?

Spojrzała na zegarek. Dochodziła północ. Dobrze, że ma ten staroświecki zegarek na ręce. Matyllda nie wierzyła do końca elektronice, dlatego mimo zegara w telefonie nosiła jeszcze ten stary, nakręcany, który dostała kiedyś w prezencie od Gustawa. Wskazywał za kwadrans północ i raczej się psuł.

Na ten w telefonie nie zawsze można liczyć. Dziś nie mogła, bo telefon musiała oddać do depozytu.

– Takie panują tu zasady – wyjaśniła siostra Perpetua, gdy przyjmowała ją do klasztoru. – Telefon oddamy jutro, a dziś musisz się wyciszyć i całkowicie odciąć od świata zewnętrznego.

– A jak ktoś będzie chciał się ze mną skontaktować? No wie siostra, rodzina czy znajomi, to co wtedy?

– Wtedy odpiszesz rano, zaraz jak wstaniesz. Przed śniadaniem dostaniesz swój cenny telefon. Ale jeśli szczególnie ci na kimś zależy, możesz zadzwonić teraz i go poinformować.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie dać znać Marcinowi. Ale w końcu dostał już informacje i jeśli jest tak inteligentny, jak jej się zdaje, to poskładał wszystko do kupy. Alina miała mu powiedzieć, że Matyllda jedzie na specjalny nocleg w klasztorze, a może powiedziała mu o tym ta głupia Dżesi. No więc nie będą się o nią niepokoić, wiedząc, gdzie przebywa. A przecież powiedziała tej zakonnicy, że jest samotna. Trzeba więc podtrzymać tę legendę.

– Nie, nie mam do kogo zadzwonić – stwierdziła po chwili i podała siostrze telefon.

I teraz jest odcięta od wszystkich informacji i przede wszystkim od internetu.

Nie mogła nawet przejrzeć ostatnich wiadomości. A te robiły się coraz ciekawsze, bo kampania wyborcza do parlamentu nabierała rozpędu. A że Matyllda lubiła obserwować wydarzenia polityczne i liczyła, że niedługo w kraju nastąpią radykalne zmiany, dlatego każdego wieczora przez zaśnięciem robiła sobie przegląd prasy.

Ale dziś i tak nie miała na to czasu. Trzeba zbadać sprawę płaczu, o ile oczywiście wszystko to jej się nie przyśniło. Zeszła z łóżka i wsunęła nogi w crocсы. Wygodne obuwie pozwalało na bezszelestne poruszanie się,

a to było ważne, bo gdy wyjdzie na korytarz, nie przyciągnie człapaniem żadnej wartowniczkii.

Delikatnie przekręciła klucz w drzwiach, lekko je uchyliła, a potem wyjrzała na zewnątrz. Immaculaty już nie było. Nie zastanawiając się długo, wyszła na korytarz i ruszyła przed siebie.

Jeśli mnie złapią, powiem, że chciałam coś zjeść, próbowała w myślach ułożyć sobie linię obrony. Gdy szła do pokoju zaraz po przyjęciu do klasztoru, Perpetua zaproponowała jej posiłek w postaci kanapek, ale Matylda odmówiła, twierdząc, że sama modlitwa jej wystarczy.

W zasadzie to nie wystarczyła, bo gdy pomyślała o jedzeniu, natychmiast poczuła głód. W sumie mogłaby coś przekąsić. Tylko żeby to zrobić, musiała zejść na dół do kuchni. Więc byłaby to wyprawa z poddasza trzy kondygnacje niżej. Może ktoś by ją zobaczył i zapytał, co tu robi. Nie, nie potrzebuje takiego ryzyka. Zobaczy tylko, kto to płakał i dlaczego, a potem pójdzie spać. Do rana jakoś wytrzyma z tym niejedzeniem, tym bardziej że w piersiówce został jeszcze łyk koniaku.

Stała przy sąsiednich drzwiach, tych, które prowadziły do sąsiedniego pokoju. Przyłożyła ucho do drzwi i usłyszała chrapanie. Tak chrapać mogła tylko osoba o wielkich gabarytach. Może to Immaculata, zmęczona klęczaniem, weszła do pustej celi, by się trochę przespać. Tak, to było możliwe, że zakonnica odpoczywała po sąsiedzku. W takim razie płacz mógł dochodzić z następnego pokoju. Nie mógł z drugiej strony, bo tam była klatka schodowa.

Stała przed kolejnymi drzwiami i zaczęła nasłuchiwać. Nic się nie działo. Jeśli tam była ta płaczka, najprawdopodobniej już spała. *No i po wycieczce*, pomyślała. Nie będzie kogo ratować czy pocieszać. Może więc wracać do swojego pokoju. Na wszelki wypadek jeszcze nacisnęła klamkę, mając w duchu nadzieję, że drzwi będą zamknięte. Ale nie. Klamka lekko zgrzytnęła i wejście stanęło przed Matyldą otworem. W blasku księżyca z łatwością zorientowała się w układzie mebli wewnątrz pomieszczenia. Wszystko było dokładnie tak samo jak u niej, z tym że łóżko znajdowało się po przeciwnej stronie. Od razu dostrzegła postać leżącą na łóżku.

Zrobiła dwa kroki do przodu i przystanęła. Dwoje oczu, w których odbijał się księżycowy blask, utkwilo w niej spojrzenie. Poczowała się nieswojo, jak kłusownik w lesie podczas nocnego polowania przy użyciu silnego reflektora. Zwierzęta złapane w taką pułapkę stoją zahipnotyzowane.

No przecież nie jestem kłusownikiem i nie mam złych zamiarów, pomyślała i już chciała przeprosić za wtargnięcie do czyjejś prywatnej przestrzeni, więc powiedziała to, co powinna była powiedzieć:

– Przepraszam, ale słyszałam płacz. Pomyślałam, że coś się stało. Więc przyszedłam, ale to chyba mi się przyśniło. Pójdę już.

– Nie – powiedziała cicho leżąca na posłaniu osoba.

Matylda nie mogła określić, w jakim jest wieku, bo poświata wydobywała tylko owal twarzy i oczy, nie było natomiast widać szczegółów.

– Niech siostra nie odchodzi – poprosiła dziewczyna.

Tak, teraz Matylda upewniła się, bo gdy kobieta uniosła się na łokciu, dostrzegła, że to młoda osoba. Jej głos był wyraźnie młodzieńczy.

– Jeśli wszystko jest już dobrze...

– Nie jest dobrze. To ja płakałam.

– Dlaczego?

– Może siostra chwilę ze mną zostać? Proszę.

– No w sumie... Nigdzie się nie spieszę.

– Proszę, niech siostra usiądzie – wskazała jej miejsce na łóżku. – Nie mogę być sama. Nie teraz, gdy się okazało, że Anastazja odeszła.

– Anastazja – powtórzyła Matylda. – Jaka Anastazja?

– Jak to, siostra nic nie wie?

– Nie – pokręciła głową. – Dopiero dziś przyjechałam.

– A, no tak. Rozumiem. Siostra dopiero do nas przyjechała. Podawałam do stołu w refektarzu, jak siostra rozmawiała z siostrą Perpetuą.

Matylda uważniej spojrzała na dziewczynę. Tak, to była ta bezszelestna siostrzyczka, która przemykała jak cień po jadalni.

– Ale nie wiem, czy w takim razie w ogóle to siostrę będzie obchodziło. To moja rozpacz i nikogo nie powinnam tym obciążać.

Matylda pomyślała, że to niezbyt uczciwe podawać się za kogoś, kim się nie jest, ale to dawało jej niebывalą możliwość, żeby dowiedzieć się czegoś interesującego. Tam trumny, których szuka policja, a tu ta młodsza siostrzyczka rozpacza po tym, jak odeszła jakaś Anastazja. Matylda nie byłaby prawdziwym oficerem śledczym, gdyby nie skorzystała z okazji, która sama pcha się w ręce.

– Mów, dziecko, jeśli ma ci ulżyć. Nieraz lepiej porozmawiać z obcym niż z kimś, kto jest zainteresowany w sprawie – powiedziawszy to, pogłaskała dziewczynę po policzku. Ta pocałowała ją w otwartą dłoń,

a potem odkaszlnęła, jakby musiała się zastanowić, od czego zacząć. Matylda jej nie poganiała. Wiedziała, że sięganie w głąb bolesnych wspomnień wymaga spokoju i ciszy.

– Od trzech miesięcy mieszkałam na dworcu w Katowicach. Piłam, ćpałam i robiłam wszystko, co chcieli faceci, za dwie, trzy dychy. Sprzedawałam się, żeby tylko mieć na coś, co dawało kopa. I wtedy trafiłam na takiego przystojniaka. Taki chłopak modnie ubrany, o czarnych oczach, ciemnym zaroście i z wyglądu jak włoski mafioso. Zabrał mnie na hamburgera i colę, a ja całkiem zwariowałam na jego punkcie. Zaczął mi opowiadać coś o Bogu i świętych, ale mnie to wcale nie obchodziło. Dla mnie liczył się tylko on. Gdy kilka dni później powiedziałam mu, że go kocham, on mi powiedział, że to dobra droga do tego, by pokochać jego Ojca. Pomyślałam, że wpadłam po uszy, bo mój piękny facet jest jakimś zbokiem, który wyrywa laski, żeby je oddawać swojemu ojcu. Wie siostra, ja wtedy nie myślałam jeszcze normalnie, bo mózg miałam zlasowany od prochów. Ale jak go poznałam, to prawie nic nie brałam. Chciałam, żeby zwrócił na mnie uwagę. I zwrócił. A z tym ojcem to wyszło rzeczywiście głupio, bo dałam się wpuścić w ten jego prank. Bo on powiedział mi, że idziemy na spotkanie z jego Ojcem, i zaprowadził mnie do kościoła. A tam przed ołtarzem mi pokazał, że jego Ojciec to Pan Bóg. Mało nie umarłam ze śmiechu, gdy on w końcu mi powiedział, że jest księdzem. Ale nie takim, co to nie może mieć żony, tylko protestanckim, i jeśli chcę pójść z nim, to on mnie ze sobą weźmie i obiecuje mi miłość, ale nie będziemy mogli zostać kochankami. I tak z nim zostałam. Przestałam ćpać dla niego i dla jego Ojca, a potem on mi wytłumaczył, że to jest też mój Ojciec i kocha mnie tak samo jak on... Dużo by gadać. Takich dziewczyn jak ja, znalezionych na ulicy, jest już chyba ze czterdzieści. Ksiądz Wojtek jeździ po Polsce i łowi jak wędkarz takie zabłąkane istoty. Anastazja była właśnie taka. Przywiózł ją i oddał pod moją opiekę. Tak tutaj jest, że każda nowa dziewczyna dostaje starszą siostrę. Ja byłam jej siostrą i rzeczywiście po kilku miesiącach byłyśmy jak rodzina, najbliższe i dla siebie najważniejsze. I obie kochałyśmy naszego księdza Wojtkę.

– Czyli wasz klasztor to miejsce, w którym klei się połamane dusze? – powiedziała cicho Matylda. Zrobiło się jej głupio przed samą sobą. W końcu przyszła tu, żeby przyłapać siostry na jakichś bezeceństwach, na czymś strasznym, a tu okazuje się, że tu czyni się dobro w najczystszej postaci.

– Tak, Wojtek tak mówi, że tu jest zakład naprawczy popękanych serc. On nas wszystkie posklejał, i Anastazję, i inne dziewczyny...

– A siostra Perpetua? Słyszałam, że gdy była w klasztorze w Kazimierzu, to dochodziło tam do różnych...

– Tak, dochodziło, dlatego siostra Perpetua zabrała stamtąd kilka sióstr i same postanowiły założyć nowy dom, już bez tych wszystkich fanatyczek, które zawładnęły tamtym miejscem.

– Mówił mi o niej ksiądz z Ustronia, że...

– To nie jest ksiądz. To jest diabeł w czystej postaci. To on stał za tym buntem w Kazimierzu.

– Zaraz, tamten ksiądz wyjechał do Ukrainy...

Dziewczyna gwałtownie pokręciła głową.

– Nie był w żadnej Ukrainie. Przyjechał tu za Perpetuą i chciał ją zmusić do uległości. Ale na szczęście był tu już nasz Wojtek. Nie dał rady z nim wygrać. Wojtek ćwiczył karate – dodała z wyraźnym podziwem.

– A co z tą twoją koleżanką?

– Siostrą. Anastazja to moja siostra.

– To co z nią?

– Zabili ją – odpowiedziała cicho i się rozpląkała.

Matylda nie wiedziała, jak ma się zachować, bo zawsze była bezradna wobec płaczących ludzi. Za to dziewczyna wiedziała. Rzuciła się Matyldzie w ramiona, tak że ta nie miała innego wyjścia.

Musiała ją przytulić.

Ustroń Godzina 23.45

– I co tam było? – zapytał Okrasa. – Znalazłeś coś?

Wsiedli do radiowozu, żeby spokojnie przegadać swoje ustalenia. Auto stało zaparkowane jakieś sto metrów od tartaku i hurtowni. Tu mogli spokojnie się naradzić, niezauważeni przez nikogo. Na głównej ulicy radiowóz od razu rzuciłby się w oczy mieszkańcom, więc nie byłoby mowy o dyskrecji.

– Zasadniczo to znalazłem tyle, że jest jedna trumna więcej niż ostatnio. I myślę sobie, że to jest ta przywieziona z klasztoru – wyjaśnił Pilarski.

- A dlaczego tak sądzisz?
- Ano dlatego, że ta trumna jest zamknięta.
- Jak to zamknięta? Na klucz?
- No skąd – Pilarski pokręcił głową z dezaprobatą.

Tym młodym policjantom wszystko trzeba tłumaczyć jak krowie na rowie. To zrozumiałe, że trzeba było mu objaśniać kwestie służbowe, bo jako żółtodziób nie mógł się jeszcze taki Okrasa znać na wszystkim, ale sprawy związane z pochówkiem to co innego. Przecież wszyscy jeżdżą do rodziny na pogrzeby i wiedzą, jak to się robi z trumną, wiedzą to z autopsji. A ten cymbał nie?

– Trumny, chłopie, się zakręca na śruby, żeby nieboszczyk się nie rozmyślił i nie wyszedł, jak już go pochowają.

– Jak to rozmyślił się? – Okrasa był autentycznie zdumiony. Nie słyszał jeszcze o nieboszczyku, który by zrezygnował z pogrzebu. – To są takie przypadki?

– No pewno, że są, tylko my o nich nie wiemy, bo jak się trumnę zakręci na te śruby, to już po robocie. Nieboszczyk nie ma żadnych szans. Jakby się w trumnie obudził, to koniec. Nie odwali wieka, bo zakręcone na śruby.

– Czyli że co, tam jest zaśrubowana trumna? – domyślił się Okrasa.

– No tak, wszystkie są niezaśrubowane, a ta jedna tak właśnie jest zamknięta. Dlatego musimy do niej zajrzeć i zobaczyć...

– Nieboszczyka? – wszedł mu w słowo sierżant. – Ale po co mamy patrzeć na trupa?

– No, człowieku, przecież my tu po to przyjechaliśmy, żeby sprawdzić, co oni robią z tymi trumnami. A jak są trumny, to prędzej czy później musi się znaleźć trup.

– Już się znalazł – Okrasa przypomniał sobie tę dziewczynę bez twarzy nad rzeką.

– Znalazł się, ale bez trumny. A tu są trumny bez ciała, więc trzeba sprawdzić, co oni tam kombinują.

– No to trzeba by otworzyć tę trumnę. Możemy pojechać do mnie do domu, to wezmę skrzynkę z narzędziami – zaproponował.

Pilarski uśmiechnął się pod nosem.

– Jak człowiek jedzie na patrol, to zawsze powinien być gotowy na to, co się może zdarzyć. A różne rzeczy się mogą wydarzyć. Więc żeby odkręcić te śruby, potrzebne są nam klucze imbusowe. A tak się składa, że

takie klucze mam zawsze w samochodzie. To znaczy, komplet takich kluczy jest w aucie służbowym, na wszelki wypadek. Biermy klucze i idziemy sprawdzić.

– Oficjalnie? – zapytał z nadzieją w głosie Okrasa. Wolał zdecydowanie przeprowadzać akcje, w których wszystko dzieje się w sposób jak najbardziej legalny, a taka partyzantka jak ta, którą właśnie uprawiali, nie bardzo mu się podobała.

Pilarski w pierwszej chwili nic nie odpowiedział i to nasunęło podejrzenie, że raczej nie ma mowy o działaniu zgodnym z prawem.

– Działamy, chłopie, na granicy prawa, ale walczymy z bezprawiem. I dlatego musisz mi zaufać.

– No, w zasadzie rozumiem. Zwłaszcza że ten Matys mówił o trumnach.

– Jaki Matys? – zapytał podejrzliwie Pilarski, który właśnie uświadomił sobie, że wysłał młodego, żeby ten go ubezpieczał, ale jak dotąd nie wysłuchał jego raportu. A tymczasem okazuje się, że ten sobie uciął pogawędkę z Matysem.

– Gadałeś z nimi?

– Z Matysem? Nie, skąd. Podśluchałem ich tylko.

– Kogo?

– Wojtka Matysa i Matysa, jego kuzyna, to znaczy Karola. Pili wódkę i gadali w pokoju o... O trumnach gadali.

– Co mówili? – ponaglił aspirant.

– Mówili, to znaczy, ten Karol powiedział, że zamknął wieko, jak się nie dogadał z jakąś babką. To, znaczy... Cholera, to może znaczyć, że oni trzymają w trumnie jakąś kobietę!

– Tak powiedział? O kobiecie jakiejś?

– Jakby z nią gadał. Jakby się ją o coś pytał, a ona nie wiedziała, co odpowiedzieć, no to zamknął wieko. Tak powiedział.

– Cholera, a ja w tę trumnę pukałem – przypomniał sobie Pilarski. – A ona tam siedzi w środku i się nie odzywa.

– Kto siedzi?

– No ta zaginiona. Co ją zgłaszali ze Źródłka, z tego pensjonatu, że zaginęła kobieta. A potem jej znajoma była na komisariacie i zgłaszała Jarkowi Marczakowi. Tyle że on myślał, że nic nie będzie ze sprawy, bo babka trochę pomyłona – dla podkreślenia swoich słów zakręcił palcem kółko na czole. – Fiksum dyrdum. Mówiła, że jest z milicji, więc Marczak

ją kulturalnie odwiózł do pensjonatu. Ale mówiła, że jej znajoma czy krewna zniknęła ze Źródełka. I to by się nam zgadzało. Kobieta zaginęła, a oni ją wsadzili do trumny.

– Tylko po co ją wsadzili? – Okrasa był autentycznie zdumiony, lecz to, co mówił Pilarski, miało sens. Oni, ci dwaj w tym domu, rzeczywiście mówili o kimś, kto jest w trumnie. A jak się z kimś rozmawia, kto w trumnie leży, to znaczy, że ten ktoś żyje!

– Bo chcą coś wymusić. No wiesz, żeby powiedziała, gdzie ukrywa złoto albo dolary.

– Teraz to się nie ukrywa złota ani dolarów w domu, ale się trzyma w bankowej skrytce.

– Wszystko jedno! – przerwał mu aspirant. – Jak tam jest kobieta, musimy ją z tego więzienia wyzwolić. Czyli że wchodzimy i wyciągamy ją!

– Nieoficjalnie?

Pilarski pokręcił głową.

– Nieoficjalnie to chciałem wcześniej, ale jak se uświadomiłem, że ona tam w środku może być przetrzymywana i umiera ze strachu, bo te gnoje się nad nią pastwią, to ja ci powiem, że wejdziemy tam jak najbardziej oficjalnie i z przytupem. Tylko trzeba powiedzieć o tym Jabłońskiemu. On musi wydać zgodę.

– A wyda? – sierżant miał wątpliwości.

Ich szef był znany z niechęci do spraw niezbyt przejrzystych. Był za wykrywalnością, oczywiście gonił statystyki, ale nie miał w zwyczaju ryzykować. Nie miał w sobie nic z hazardzisty. Dlatego było wątpliwe, czy się zgodzi na wejście na posesję Matysa i otwieranie jego trumien.

– Zrobimy tak, żeby wydał i nie wydał.

– Czyli jak?

– Zobacz, jak to się robi – powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha Pilarski.

Wydobył swój telefon z kieszeni, odnalazł na wyświetlaczu kontakt z szefem posterunku, przycisnął zieloną słuchawkę i natychmiast wcisnął czerwoną.

– Widziałeś?

– No tak, głuchacz mu przyjdzie.

– Prawda, telefon tylko jęknie i zaraz będzie cicho. A nieraz się uda tak zadzwonić, że się tylko wyświetlacz zaświeci, a sygnału nie ma. Czyli że Jabłoński sobie śpi, a rozmowę ma nieodebraną. No przecież telefon mu nie

powie, że to było tylko pół dzwonka. Rano zobaczy, że do niego dzwoniłem. A wtedy wstanie, wysika się, ogoli, zje śniadanie i przyjedzie na posterunek. A tam, proszę bardzo, powiemy mu: mamy tu dwóch Matysów porywaczy, których nakryliśmy na gorącym uczynku. A jak zapyta, czemu nie pytaliśmy go o zgodę, to powiem, że w nocy dzwoniłem, ale pan nie odebrał, to znaczy, że pan spał, a tu trzeba było wchodzić, bo było zagrożenie zdrowia i życia, i dlatego poprosiłem o pomoc Marczaka.

– I Okrasę – dodał Okrasa.

– No, ciebie to już miałem ze sobą, to co miałem prosić. W każdym razie Jabłoński zrobi wielkie oczy, ale będzie zachwycony, że się nam udało i że w statystykach wykrywalności polecimy na szczyt w powiecie. Bo jak myślisz, ile udaremnionych porwań mają na koncie inne posterunki?

– Żadnego? – odparł pytaniem młody policjant.

– Żadnego, a my sto procent u siebie, a w skali całego powiatu też będzie sto procent, bo nikt nie wykrył dotąd żadnego porwania. Czyli *we are the champions!* – powiedziawszy to, odnalazł numer do aspiranta Marczaka i przez chwilę czekał na połączenie.

– Co jest, jak pragnę zdrowia – jęknął Jaromir z drugiej strony. – Czy ty wiesz, że właśnie przed chwilą zasnąłem? Tak że gadaj, o co chodzi, i lepiej by było dla ciebie, żeby to było coś ważnego...

– Budź się, chłopie, zakładaj mundur i wal tu do nas jak najszybciej. Zaraz będziemy wyciągać z trumny tę kobietę, co zaginęła.

Na linii zapadła kompletna cisza.

Zadowolony Pilarski mlasnął głośno, jakby ktoś zaproponował mu jego ulubiony tort bezowy. Wiedział, że zrobił wrażenie na koledze.

– Najebałeś się? – usłyszał.

– Trzeźwy jestem jak gwizdek. Okrasa może potwierdzić, nie?

– No! – potwierdził sierżant.

– Przyjeżdżaj pod tartak Matysa – polecił Pilarski. – Za piętnaście minut wchodzimy, z tobą albo bez ciebie. – Po tym oświadczeniu przerwał połączenie.

Nie pozostało im nic innego, jak przygotować się do wkroczenia na obcy teren. Poszedł więc do bagażnika po klucze imbusowe. Bez trudu zlokalizował je w skrzynce na narzędzia. Przez chwilę zastanawiał się, ale w końcu praktyczny zmysł wziął górę. Aspirant zabrał na wszelki wypadek całą skrzynkę z narzędziami. Wrócił do auta i usiadł na siedzeniu pasażera.

– No to jesteś gotowy? – zapytał Okrasę.

Ten pokiwał głową. Oczywiście, że był. Tak bardzo, że nawet odeszła mu senność, która zaczynała go jeszcze przed chwilą morzyć. Zaraz rozpocznie się prawdziwa akcja policyjna, więc musi być całkowicie przytomny. Dlatego sięgnął do podłokietnika, wydobyl z niego napój energetyczny, otworzył i wypil duszkiem całą puszkę.

Pilarski nie miał ochoty. Jemu wystarczyła własna adrenalina, której nie musiał niczym wspomagać.

– Jestem gotowy – potwierdził sierżant.

– No to do roboty! – Wskazał ręką kierunek aspirant.

Jego podwładny uruchomił silnik, włączył sygnały świetlne na dachu, ale bez dźwięku, żeby ludzi po nocy nie budzić, i ruszył ku bramie tartaku. Gdy podjechali na miejsce, dostrzegli auto Marczaka. Jaromir pojawił się na czas.

Policjanci wyskoczyli z samochodów. Marczak podszedł do Pilarskiego.

– Ty, pewny jesteś, że musimy tam wejść?

– Zobaczysz za chwilę – odpowiedział mu przyjaciel. – Okrasa, dzwoń do bramy.

Zadzwoił natychmiast, ale bez rezultatu. Zrobił to po raz drugi, trzeci, czwarty, ale nikt ze środka nie zareagował.

– Nie ma nikogo – oświadczył sierżant, bezradnie rozkładając ręce. Jednocześnie odruchowo złapał za klamkę, szarpnął nią w dół i brama, ku zaskoczeniu wszystkich, ustąpiła.

– Otwarte – wyjaśnił Okrasa i pchnął drugie skrzydło.

Wjazd do tartaku stał przed nimi otworem.

– Jesteś pewny? – zapytał jeszcze na wszelki wypadek Marczak, ale błyski w oczach kolegi, spowodowane oczywiście policyjnymi światłami, odpowiedziały mu na to pytanie.

Pilarski jest pewny swego. No a jeśli tak, to cała odpowiedzialność w razie niepowodzenia spada na niego, pomyślał Marczak i ruszył za Pilarskim.

Ten kroczył przez podwórko ze skrzynką narzędziową w ręce, pewny, że to, co robi, ma sens. Psy, które jeszcze przed chwilą szczekały jak oszalałe, nagle umilkły. W końcu każdy szczekający w nocy pies ma swoją psią wytrzymałość.

– A wy co tu robicie? – usłyszeli tubalny głos, dochodzący od strony willi.

Wszyscy trzej policjanci stanęli jak wryci. Mogli się spodziewać, że któryś z Matysów będzie chciał ich zatrzymać. Tymczasem ten głos należał do kobiety.

– A kto pyta? – rzucił pytanie w ciemność Pilarski. – Tu akcja policyjna się rozgrywa, więc lepiej nie przeszkadzać.

– Ja nie przeszkadzam, tylko się pytam. Mogę pytać, bo jestem u siebie.

– Kto to mówi? – spytał Pilarski. Nie przypominał sobie, żeby widział tu wcześniej jakąś kobietę. Przez chwilę szukał w myślach i w końcu przypomniał sobie wielką babę, jeżdżącą widlakiem po placu manewrowym.

– Jestem Helena Matysowa, żona Karola. Mieszkam tu. A wy co tu robicie?

Wysunęła się z cienia pod domem. Ubrana była w szlafrok, na głowie miała jakiś czepek, a na nogach laczki.

Zagadka się wyjaśniła i dowódca akcji odetchnął z ulgą.

– Okrasa, idź z panią Matysową do domu i przyprowadź tu Wojtka Matysa. Niech nam poświeci latarką – Pilarski zaśmiał się głośno i ruszył w kierunku szopy z trumnami.

Teraz mógł się zabrać do pracy. Wszyscy zainteresowani stawiają się niedługo, a on, jak mistrz ceremonii, rozpocznie swój koncert na osiem śrub, klucz imbusowy i świerkową trumnę.

Będzie się działo.

Dzięgielów Godzina 23.55

– Cholera, tutaj nie da się spać – powiedziała Kama, siadając na łóżku w naszej klasztornej celi.

Musiałem się z nią zgodzić. To był jakiś koszmar, albo nawet madejowe łoże wprost z filmu grozy.

Pół godziny temu, tam na dole, w recepcji, siostra, która nas tu przyjmowała, ostrzegła, że na luksusy nie mamy co liczyć.

– To jest, proszę pana, prawdziwy klasztor – wyjaśniła, gdy przyjmowała nas na ten osobliwy nocleg. – Ale że w dzisiejszych czasach trudno jest się utrzymać, prowadząc tylko i wyłącznie działalność

dobroczynną, musimy jakoś zarabiać na swoje utrzymanie. I dlatego prowadzimy coś w rodzaju działalności hotelowej. Tyle że nie przyjmujemy tu każdego, kto miałby na to ochotę. To hotel, który oprócz łóżka i stawy daje możliwość spojrzenia w głąb własnej duszy. Dlatego w zasadzie nie przyjmujemy par. Ale dla państwa robimy wyjątek, tylko ze względu na pana Łukasza Bednarka, który jest naszym dobroczyńcą.

– Nie ma o czym mówić, siostrzo Perpetuo – powiedział właściciel rozlewni wód i spuścił skromnie wzrok.

Spojrzałem zaskoczony na Łukiego. Dżesi wpatrywała się w niego z podziwem i taką dumą, jakby właśnie wygrał szkolny konkurs recytatorski.

– Nie wiedziałem, że zajmujesz się taką działalnością – bąknąłem, a Łuki wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: co ty tam o mnie wiesz.

Rzeczywiście, nic o gościu nie wiedziałem poza tym, że ma forszę i moją byłą dziewczynę z moim mieszkaniem. I muszę szczerze powiedzieć, że nie zazdrościłem mu ani jednego, ani drugiego.

– Łuki jest bardzo wrażliwy w kwestiach religijnych – stwierdziła Dżesi.

Siedziała na skromnej ławie w obszernym lobby, które kiedyś było zapewne recepcją pensjonatu, a teraz jest pomieszczeniem, w którym załatwia się sprawy oficjalne. Pomyślałem, że jest zbyt wielkie jak na klasztor i powinno się je w przyszłości przebudować, żeby nadać mu skromniejszy wygląd. Bo teraz przypominało foyer w tureckim hotelu *all inclusive*. Tyle że nie było tu widać żadnego portiera czy gościa w hotelowym uniformie, pomagającego w przenoszeniu walizek. Zresztą nie było co przenosić. Nikt z nas nie miał dużego bagażu. Z Kamą zmieściliśmy swoje kosmetyki i bieliznę na zmianę w jedną małą torbę. Dżesi miała walizkę, ale to było normalne. Ona nie potrafiła przeżyć ani jednego wieczoru bez przedmiotów, które zwykłym ludziom mogą się wydawać zupełnie niepotrzebne, jak choćby ramka ze zdjęciami z ostatniej sesji. Zabierała ją zawsze ze sobą, bo podobno patrzeć na siebie krytycznym okiem pomaga jej we właściwym podejściu do kolejnego wyzwania.

– Wyobraźcie sobie, że w swoim domu ma święty obraz namalowany przez tego malarza... Jak on się nazywa? Nowohucki, co nie, Łuki?

– Nowosielski – poprawił ją. – Ale to nie jest święty obraz.

– Jak nieświęty, jak na nim jest powieszony Jezusek. Prawda, proszę siostry, że jak obraz pokazuje Jezuska, to musi być święty?

– To zależy od intencji twórcy i od tego, czy w obrazie chcą dostrzec *sacrum* ci, którzy na niego patrzą – odpowiedziała z powagą Perpetua.

– A, proszę siostry, mam jeszcze jedno pytanie – zwróciłem się do zakonnicy, gdy dawała mi już klucz od naszej celi. – Jest tu u was nasza, to znaczy moja, babcia Matylda?

– Babcia, ta, co z nami tutaj przyjechała – wyjaśniła na wszelki wypadek Dżesi.

– Właśnie, o tę panią chodzi – potwierdziłem. – Czy może nam siostra powiedzieć, gdzie mogę ją znaleźć?

Perpetua pokręciła głową.

– Niestety, takie mamy zasady, że nie udzielamy nikomu informacji o naszych gościach. Nikt nie ma prawa naruszać ich prywatności, jeśli sami tego sobie nie życzą. Ja mogę tylko potwierdzić, że taka pani jest u nas, ale jeśli chcecie się z nią zobaczyć, to dopiero rano na śniadaniu. Śniadanie jest o szóstej...

– Jak to o szóstej? – jęknęła Dżesi.

Ona nigdy nie budziła się przed dziesiątą, więc szósta to dla niej środek nocy.

– Tak, zaraz po porannych modlitwach. Te zaczynamy o piątej trzydzieści. Ale to oczywiście nie jest obowiązkowy program dla państwa – wyjaśniła, a ja odetchnąłem z ulgą.

Już wyobraziłem sobie siebie klęczącego i modlącego się przez pół godziny przed śniadaniem. Też nie lubiłem wczesnych pobudek, ale gdy było trzeba, potrafiłem się przemóc. Na szczęście tu nie musiałem. Śniadania też nie zamierzałem jeść o szóstej.

Od razu ustaliliśmy to z Kama: śpimy przynajmniej do ósmej, a potem schodzimy na jedzenie.

– Nawet jeśli śniadanie się już skończy, to może dadzą nam chociaż kawałek chleba z masłem i kawę – powiedziała Kama, próbując ułożyć się na tym madejowym łożu.

Ja czekałem, siedząc na klęczniku, aż ona zajmie najwygodniejszą pozycję, żebym mógł się ułożyć obok i jakoś spróbować się dopasować do jej kształtów.

– Jeśli nie dadzą nam jeść, to najwyżej zjemy w mieście. Staniemy przy jakimś sklepie, kupimy bułki oraz sery topione i zrobimy sobie górski piknik z suchym prowiantem i mokrym pićiem – zaproponowałem.

– Wcale mi się nie chce myśleć o jedzeniu.

– No wiadomo. W klasztorze myśli się przecież wyłącznie o modlitwie.

– Głupi jesteś. Myślę o tej dziewczynie. O tym, dlaczego zginęła.

– Przedyskutujemy to z Matyldą. Potrzebujemy do rozkminienia tego dobrej śledczej, czyli ona nadaje się idealnie. Na razie jest za mało danych. Nic nie mamy oprócz tego, że ta dziewczyna chyba mieszkała w tym klasztorze.

– Tak. Tu musiało się wydarzyć coś strasznego.

– Nie myśl teraz o tym. Powinniśmy odpocząć – powiedziałem tak tylko po to, żeby skończyć niezbyt przyjemny temat. Rozgryzanie sprawy morderstwa nie było najlepszym pomysłem na spędzenie nocy w dość ekscytującym miejscu.

– No dobra, chodź już tu do mnie – powiedziała cicho Kama, a ja poczułem dreszcz przechodzący od pępka w dół.

Zawsze tak mam, gdy woła mnie do łóżka. Szczególnie podczas wyjazdów staraliśmy się wykorzystać każdą chwilę, która sprawiała, że mogliśmy być ze sobą blisko. A tu, na tym wąskim łóżku, nawet jakbyśmy nie chcieli, to i tak musieliśmy się w siebie wtulić, żeby wykorzystać efektywnie niewielką przestrzeń. No a jak już się wtulimy, to wtedy...

– Już idę do ciebie, Kiciu – odpowiedziałem, przeciągając się i lubieżnie patrząc na gołe piersi mojej dziewczyny. *Ależ ona jest doskonale zbudowana*, przeszło mi przez głowę, jednak zaraz zostałem sprowadzony na ziemię.

– Nic z tego. Nawet o tym nie myśl. Nie mam zamiaru kochać się w klasztorze.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Czyżbyś stała się purytanką?

– Nie, ale nie mam zamiaru zakłócać ciszy nocnej. No wiesz, tu mieszkają kobiety, które oddały się Bogu. Nie mogę ich rozpraszać moimi jękami.

Zrobiłem głupią minę, ale że światło było już zgaszone, Kama nie dostrzegła, że na ustach pojawił mi się przebiegły uśmiech. Znałem ją dobrze i wiedziałem, że wystarczy tylko pogłaskać ją w odpowiednim

miejscu, by jej zastrzeżenia i obawy o moralną czystość w murach klasztornych zgubiły się w zakamarkach łóżka i gmatwaninie nagich ciał.

– Połóż się do mnie plecami – poleciała.

To w zasadzie burzyło mój niecny plan wykorzystania naszej bliskości. Mając ręce z przodu, mogłem nimi pieścić co najwyżej powietrze, a nie jej krągłości. Dlatego postanowiłem być stanowczy.

– No przecież wiesz, że nie lubię spać na prawym boku.

– Nie masz wyjścia. Ja śpię od ściany, a ty z brzegu, więc musisz na prawym. Zresztą sam chciałeś tu przyjechać.

– Zaraz, zaraz, oboje chcieliśmy. Mieliśmy pogadać z Matyldą. Powinniśmy się z nią naradzić, przegadać wszystko, a ona miała się z nami podzielić swoim odkryciem.

– No to ją znajdź – zaproponowała, a ja znieruchomiałem, daremnie próbując się ułożyć obok.

– Może to nie jest głupi pomysł? Właściwie to powinienem do niej zadzwonić. Ale gdy próbowałem pół godziny temu, to miała wyłączony telefon.

– A jak chcesz zadzwonić, jak telefony oddaliśmy w depozyt na recepcji?

– Racja. Nie zadzwonię. No dobra, będziemy mieć upojną noc, gniotąc się wzajemnie bez żadnej przyjemności.

– Tak przecież nie musi być, Marcinku – szepnęła mi do ucha, a ja znów poczułem mrowienie w brzuchu.

Teraz tylko musiałbym się do niej odwrócić. Zacząłem to robić dość niezgrabnie, przytrzymując się drewnianego zagłówka. Łóżko głośno zaskrzypiało, Kama zapiszczała, ja stęknąłem z wysiłku, a potem usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

– Ktoś puka – powiedziałem szeptem.

– No to otwórz – Kama klepnęła mnie w ramię.

– Ale jestem goły.

– To załóż spodnie i otwórz.

– Może to siostra przełożona przyszła nas uciszyć – powiedziałem, wstając z łóżka.

Założyłem spodnie i podszedłem do drzwi. Pukanie się powtórzyło, więc ten ktoś zza drzwi nie dawał za wygraną. Precyzyjnie rzecz ujmując: nie dała, bo gdy otworzyłem, nocnym gościem okazała się Dżesi.

– No nareszcie. Myślałam, że śpicie – rzuciła, wchodząc do pokoju.

Ubrana była w różową pidżamę w czerwone jednorożce. Obszerna bluza miała kaptur z dużymi uszkami, więc Dżesi wyglądała jak kosmitka. Stała na środku celi, rozglądając się wokół, ale nie znalazła niczego, na czym można by usiąść. W naszej samotni nie było krzesła. No to podeszła do łóżka i usiadła w nogach. Kama natychmiast swoje nogi podkurczyła, by nie zostać zmiądzona przez stado jednorożców.

– Zajebicie tu jest, co nie? Jak w więzieniu trochę, ale da się jedną noc jakoś opędzić. U was też nie ma krzesel? – obrzuciła pomieszczenie uważnym spojrzeniem, ale nie dostrzegła niczego, co przypominałoby krzesło.

– Można usiąść na klęczniku – wskazałem narzędzie tortur dla fanatyków.

– No, siadaj, Miśku, chciałam wam powiedzieć, że Matylda powiedziała, żebyście do niej szybko przysli.

– Widziałś się z Matyldą? – Kama przychylniej popatrzyła na Dżesikę. – Gdzie ona jest?

– No jak to gdzie? W klasztorze jest. Jak już się umyliśmy pod tym prysznicem, o, też macie taki mały ten prysznic. Ledwie się tam z Łukim zmieściliśmy, ale jakoś się dało – zaśmiała się i zadowolona klasnęła w dłonie. – Wszystko jest tu takie malutkie.

Trudno było się z nią nie zgodzić.

– To co z babcią?

– No to jak już się umyliśmy i wysuszyłam włosy, to poszłam na górę do Matyldy. Bo ja wiedziałam, jaki ona ma pokój. Widziałam, jak jej dawali klucze, jak ją tu przywieźliśmy. No i zapamiętałam, nie wiem dlaczego, bo wiesz, Miśku, jaką mam słabą pamięć do liczb.

Wiedziałem. Nigdy nie pamiętała, ile trzeba było zapłacić za wodę czy gaz, ale zawsze wiedziała, ile mam jej zwrócić za benzynę, którą wlała do mojego auta.

– Z Matyldą wszystko w porządku? – zapytała Kama, a w jej głosie słychać było nutę troski.

– No pewnie – Dżesi klepnęła ją w kolano. – Jest w zajebistej formie i powiedziała, że mamy do niej iść, bo coś wyśledziła. Chyba jakieś morderstwo czy coś. Zaraz wam wszystko powie. To znaczy nam. Bo powiedziała, że Łuki też może przyjść.

Wstałem z klęcznika i poszukałem koszulki. Znalazłem na podłodze rzeczy Kamy i podałem jej wszystko. Też zaczęła szybko się ubierać.

A Dżesi mówiła dalej, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi.

– Ale zajebicie. Czuję się jak w jakimś angielskim horrorze. Te starożytne mury klasztoru i zagadka śmierci wyjaśniona przez ekipę detektywów. Mówię wam, to bardziej zajebiste niż wyjście na wybieg. Jak przyjedziemy do Wawy i powiem dziewczynom, że po nocy szukaliśmy mordercy, to popękają jak stare kondomy. Ale czad, że tu przyjechaliśmy. No, to idziemy, bo Matylda mówiła, że mamy się spieszyć. Dalej, dalej, bo nam ucieknie ten morderca. Musimy go szybko złapać i wsadzić do więzienia.

– Jaki morderca? – nie wytrzymałem w końcu i przerwałem tę paplaninę.

– No jak to jaki? Ten, co zamordował tę dziewczynę z klasztoru. Jak on ją zabił z premedytacją, to znaczy, że on nie jest zabójcą, tylko mordercą, co nie? Przecież mordują zawsze mordercy, nie?

Muszę przyznać, że niekiedy Dżesi ma rację. Oczywiście oczywistości są jej specjalnością i znakiem firmowym.

Rozdział X

Ustroń

Środa, 14 czerwca

Godzina 0.30

– No i co? – rzucił zdenerwowany aspirant Marczak, spoglądając na rozbebeszoną trumnę.

– Przecież widzisz, że była używana. – Pilarski wskazał na to, co widać było w środku.

– Kurwa, każdy sobie w swojej trumnie może trzymać, co mu się żywnie podoba.

– A ty trzymasz w trumnie pudełka po wypitych soczkach i pampersy dla dorosłych?

– Nie używam pampersów – rzucił Marczak.

– Ale prędzej czy później będziesz.

– I co z tym robimy? – zapytał sierżant Okrasa, który był całkiem zadowolony z odkrycia.

Jego zdaniem bowiem to był poważny sygnał: możemy odkryć coś jeszcze, coś, co nie zostało odkryte, ale gdzieś musiało być schowane. Okrasa wierzył swoim informacjom. A te przecież były z pierwszej ręki. Karol Matys powiedział, że rozmawiał z kimś, kto był w trumnie i kto miał sobie o czymś przypomnieć. Wszystko wskazywało na to, że chodzi o kobietę. Ale na razie nie mógł tego ustalić, bo Karol Matys gdzieś zniknął. Gdyby go miał na widelcu, na pewno od razu by go o te rozmowy z trumną zapytał. Gdy Pilarski wysłał go do domu po obu Matysów, w środku zastał tylko jednego. Wojtek Matys spał w najlepsze przed włączonym telewizorem. Jego kuzyna nigdzie nie było. Dlatego sierżant zrobił to, co powinien był zrobić. Obszedł duży dom, wszystkie pomieszczenia po kolei, łącznie z tymi w przyziemiu, i nigdzie na nic nie trafił. Matysowa towarzyszyła mu przez cały czas. Szła za nim, z rękami zwiniętymi nad brzuchem i z miną, jakby go chciała rozszarpać na kawałeczki. Ale nie zrobiła niczego, bo – jak każda tutejsza kobieta – czuła

respekt przed policyjnym mundurem. Tylko że nie powiedziała, gdzie można znaleźć jej męża, bo ona nie jest żadnym kablem, żeby własnego starego wydawać. Nie znalazł go, więc wrócił do Wojtka Matysa i spróbował go obudzić. Ten tylko jęknął, kaszlnął, a potem wyzwał wszystkich dookoła od kurwów i psich chujów, by w końcu ponownie zasnąć. Dlatego Okrasa, znający się dobrze na cuceniu delikwentów, którzy za dużo wypili na weselu czy na chrzcinach, poszedł do kuchni po garnek z zimną wodą. Wróciwszy, stanął nad pijanym i już chciał wylać zawartość na jego głowę, ale wtrąciła się Matysowa:

– A czyś ty zgłupiał do reszty, chłopie? Chcesz go cucić, to proszę bardzo, ale nie na kanapie, bo kanapę trzeba będzie potem suszyć. Kto będzie sprzątał? Przecież nie ty, ino ja. Bierz se go stąd i potem mu lej wodę na łeb.

– Gdzie mam go wziąć?

– A weź no se go na taras – pokazała szeroko otwarte drzwi tarasowe.

– Tam mu chluśnij w mordę.

Okrasa odstawił garnek. Baba miała rację. Nie można robić kłopotu, jeśli takowego można uniknąć.

Pochylił się nad śpiącym i najpierw spróbował po dobroci.

– Wstawajcie, Wojciechu! – powiedział mu wprost do ucha, szarpiąc go za rękę.

Ale znów poleciały kurwy, więc nie miał innego wyjścia. Chwycił gospodarza pod ramiona i wyciągnął na taras. Spojrzał w lewo, tam, gdzie pracowali jego dwaj starsi koledzy. Światło w szopie było zapalone, a dodatkowo wejście oświetlał szperacz z radiowozu. Widać Pilarski podjechał autem, żeby wszystko lepiej było widać.

Tu, z tarasu, był doskonały widok na całe podwórko. Dodatkowo Okrasa zapalił lampę tarasową, więc zrobiło się jasno jak w dzień. Matysowa stanęła w drzwiach z rękami złożonymi na brzuchu i z zaciśniętymi pięściami. Ale sierżant nie martwił się tymi wielkimi łapami. Wiedział, że z jej strony nic mu nie grozi. Gdyby to był chłop, to co innego, ten mógłby po pijaku się rzucać, ale baba, nawet najbardziej zawzięta, przyzwyczajona jest do tego, że to ona po gębie dostaje od chłopca, a nie odwrotnie.

– Jak nie chcecie po dobroci, to nic nie poradzę – powiedział Okrasa i wylał jednym chluśnięciem garnek zimnej wody na głowę Matysa.

Przez chwilę nic się nie działo, aż w końcu mokry mężczyzna poruszył się gwałtownie, uniósł głowę i rozejrzał się wokół. Nic go nie zdziwiło, bo do widoku szwagierki musiał być przyzwyczajony. Widok tarasu i krzeseł z plastiku imitującego rattan też nie był mu obcy. Ale gość w policyjnym mundurze, w środku nocy i do tego z garnkiem w dłoniach, wzbudził podejrzenia.

– A po coś ty, Okrasa, przylazł tu po nocy? Czego ci trzeba, bo ja przynapity trochę jestem i we łbie mi się kotłuje.

– Wstańcie, panie Matys, bo będziemy trumnę otwierać! – rzucił Okrasa głosem pewnym i nieznoszącym sprzeciwu. Aż się sam zdziwił, że tak ładnie mu to wychodzi. – Potem se możecie legnąć i spać do rana, ale na razie idziemy do waszej szopy.

– Zaraz, chwileczkę. A o co chodzi? – zapytał gospodarz i znów potrząsnął głową jak pies otrzepujący się z wody.

– Wleźli do szopy i się tam panoszą jak u siebie – powiedziała Matysowa.

– Do mojej szopy? – Matys z pewnym trudem podniósł się z kafelków i stanął na chwiejnych nogach.

Ale jeszcze nie czuł się na tyle pewnie, by stać tak dłuższy czas, więc zrobił dwa kroki i oparł się o balustradę. Okrasa podszedł do niego, żeby go trochę przytrzymać, bo zachwiania równowagi były wyraźne i grożące upadkiem. Przypomniawszy sobie, jak starzy ludzie powiadali, że pijanego się nie powinno wybudzać ze snu, bo on jeszcze kontaktu z ziemią złapać nie potrafi i swoje odleżeć musi. A jak taki zacznie łązić, to tylko kłopot być może, bo ziemia jeszcze go utrzymać nie da rady.

Tymczasem ziemia zapragnęła bliskiego kontaktu z pijanym i przyciągnęła go do siebie. Nim Okrasa zdążył się zorientować, Matys oparł się tyłkiem o brzeg balustradowej poręczy, ale że poręcz była nieco za nisko w stosunku do pleców, te nie znalazły oparcia i siła ciężkości przechyliła go na drugą stronę. Nogi Matysa znalazły się w górze, a głowa w dole. Najpierw rozległo się głucho uderzenie, a potem zdumiony i pewnie przestraszony Matys jęknął głośno.

– Żeby cię diabli wzięli, ty pioruńska barierko! Jutro cię każę wyburzyć, cholero jedna! Jak nic po młot pójdziesz, ty kurwo sakramencka!

– Jezusie Nazareński, Wojciechu, żyjecie? – zawołała Matysowa.

– A niby co mam nie żyć? Jeszcze nie czas na mnie. O, a ci co tam robią w moim magazynie?

Nim Matys zorientował się na dobre, że w jego włościach szperają policjanci, obok niego stanął Okrasa. Widząc, jak właściciel domu spada prosto w skopaną pod domem grządkę, zszedł po drabinie, którą tu zostawił godzinę wcześniej, podszedł do Matysa i pociągnął go za rękaw.

– Chodź pan, panie gospodarzu, bo tam policja już przeszukanie robi.

– Jakie przeszukanie? A niby to po co przeszukanie?

– Trumny rabują! – zawołała z góry Matysowa i zaraz zaczęła gramolić się na balustradę.

Okrasa przestraszył się, że zaraz spadnie mu na głowę razem z tymi wszystkimi kolumienkami, więc odciągnął Matysa w stronę szopy.

W środku było jasno jak w dzień. Zapalone lampy pod sufitem i do tego policyjny szperacz oświetlały wszystko tak dokładnie, że nie dałoby się ukryć nawet szpilki, nie mówiąc o trumnie.

Jedna z nich, stojąca na samym środku, wyglądała inaczej niż pozostałe. Była uwalana czymś ciemnym. Szarobure plamy wyraźnie odbijały się od jasnego, świerkowego tła. Wieko było zamknięte, ale Pilarski, pochylony nad śrubą z kluczem imbusowym w dłoni, próbował coś zrobić.

– O, jest pan gospodarz Matys – przerwał na chwilę, by powitać właściciela obejścia. – A my tu sobie trumienkę otwieramy.

– A kto wam pozwolił? – zapytał hardo Matys.

– Widzi pan, taka robota, że musimy wszystko sprawdzić – wyjaśnił policjant.

– Ja wam zaraz dam sprawdzić! Wtargnęliście bez pozwolenia. Na to się znajdzie paragraf! Helena, gdzie jest mój telefon?

– Nie mam pojęcia. Ale mam ten – podała mu aparat, a on zaczął coś wystukiwać, przyciskając guziczki starej nokii.

– Zaraz będzie z wami porządek. Na milicję was podam, wy bandyci!

– Panie Matys, milicja to była trzydzieści lat temu! – zadrwił Pilarski.

– Cholera jasna, nie da się z tego zadzwonić – chciał rzucić telefon gdzieś w kąt, ale praktyczny zmysł pokonał pijacką irytację. Włożył aparat do kieszeni i zaraz zrobił krok naprzód.

– Wynośta się wszyscy! – krzyknął.

– Zaraz, panie szanowny! – odpowiedział mu milczący dotąd Marczak.

– Zajrzymy do trumny, a potem sobie pogadamy! – stwierdził i odwrócił się do swojego kolegi.

– No dalej, odkręcaj! – polecił, a sam podszedł bliżej, żeby nie uronić niczego z ciekawego widoku.

Gdy ostatnia śruba puściła, Pilarski złapał wieko trumny i lekko je podważył. Zebrani wokół poczuli intensywny zapach ekskrementów.

– A co to, w trumnie się pan załatwiasz? – zapytał z ironią w głosie Pilarski i nie czekając na odpowiedź, uniósł wieko.

Wszyscy zebrani w magazynie pochylili głowy, by zajrzeć do środka. Ale nie było specjalnie na co patrzeć. Kilka pudełek po soczkach, jakieś papiery, zapewne po kanapkach, i kilka wielkich pieluch dla dorosłych. To one wydawały paskudną woń.

– No i co? Nie wolno śmieci trzymać w swojej trumnie?

– Tu był przechowywany żywy człowiek – powiedział Pilarski.

– Ale nie ma tego człowieka – stwierdził Marczak.

– Gdzie jest ta kobieta, co ją tu przechowywaliście? – zapytał aspirant.

– Gdzie ona jest, gadać mi tu zaraz, bo...

Naraz stojący w wejściu do szopy Okrasa poczuł, że coś twardego wbija mu się w plecy.

– Co jest! – warknął i odwrócił się gwałtownie.

Tuż za nim ze sztucerem w dłoniach stał Karol Matys. Kuzyn właściciela i mąż Heleny szczyrzył zęby w upiornym uśmiechu.

– No, policyjne gnojki, rączki do góry! Dalej, bo jak nie, to odstrzelę wam makówki. No, rączki!

– Karol, czyś ty zwariował? – krzyknęła Helena.

– Tyś chyba oszalał, ciulu! – zawołał Marczak i chwycił za pas, próbując wydobyć z kabury glocka.

Ale nie zdążył. Matys wypalił i kula uderzyła w klatkę piersiową policjanta. Okrasa przez chwilę stał osłupiały, gdy pijany Karol Matys pociągnął kolejny raz za spust. Pilarski padł na kolana, chwytając się za biodro. Tymczasem Okrasie udało się wyjąć glocka i niemal nie celując, posłał kulę w stojącego metr od siebie Matysa. Mężczyzna nie miał najmniejszych szans, kula trafiła go w głowę. Karol Matys, z odstrzelonym sporym kawałkiem czaszki, powstał jeszcze chwilę, jakby zdumiony tym, co zaszło, w końcu zachwiał się i przewrócił na ziemię. Ale tego nie zobaczył już Okrasa, za to kątem oka dostrzegł Matysową, jak z siekierą rzuca się na niego i uderza go obuchem w głowę.

I to był ostatni obraz, który zarejestrował mózg Okrasy, gdyż jego właściciel osunął się w ciemną otchłań, w której nic nie było widać

i słyhać. Ogarnęła go pustka, można by powiedzieć: trumienna.

Ustroń Godzina 0.40

Wpatrywała się w wyświetlacz telefonu i nie bardzo rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Dwie godziny temu napisała do niej Matylda. Tak, ta sama Matylda, która mieszka z nią w pokoju sanatoryjnym. Tyle że pisała z jakiegoś obcego telefonu. Numer, który się jej wyświetlał, nic jej nie mówił. Ale za to mówiła Matylda w tym swoim esemesie:

Halo, to ja, Matylda. Na szczęście numery telefonów zapisuję w notesie, a nie telefonie. Piszę do ciebie z tajnego telefonu jednej siostrzyczki z tego klasztoru, o którym ci mówiłam...

– O jakim niby klasztorze? Nic o żadnym klasztorze nie mówiła. Chyba ta moja Matylda ma fiksum dyrdum w głowie i wszystko się jej miesza. No cóż, niestety jest kobietą w podeszłym wieku. Być może chciała mi powiedzieć, ale zapomniała. Boże, żebym tylko na starość nie miała takich kłopotów z pamięcią.

No więc chodzi o to, że jeszcze muszę chwilę tu zostać, póki wszystkiego się nie dowiem. Więc jeśli przyjdą do ciebie Marcin i Kama, powiedz im o wszystkim, to znaczy, gdzie jestem. Napisałabym do nich, ale nie mam ich numerów. Twój na szczęście zapisałam na kartce. Wygląda na to, że zostałam moją skrzynką kontaktową. Czekaj na Marcina i Kamę i wysyłaj ich do mnie. A ja, jak widzisz, bawię się w detektywa.

Przeczytała kolejną część wiadomości i pokręciła z niedowierzaniem głową. Czy ta Matylda wyobraża sobie, że jest policjantką? Najwyraźniej sama prowadzi śledztwo w sprawie o morderstwo. Czy ona jest jakąś panną Marple? Pewnie naoglądała się filmów kryminalnych i teraz chce mi zaimponować swoimi umiejętnościami śledczymi. Ale prawda jest taka, że ludzie, którzy nie mają pojęcia o robocie śledczej, powinni się od niej trzymać z daleka. Oglądanie filmów nie wystarczy. No ale na szczęście wysłała te informacje, więc nie mam wyjścia, trzeba wziąć sprawy w swoje ręce, zanim ta Matylda w coś się wpakuje. A tak swoją drogą, ciekawe, o kim ona mówi. Kto to jest ten Marcin i jakaś Kama? Wszystko jej się już poprzestawiało w głowie. Jak wróci do hotelu, trzeba będzie jej dyskretnie

zwrócić uwagę, żeby zadbała o siebie. Przecież któregoś dnia pójdzie do sklepu i zapomni, jak wrócić do domu.

Kontaktu ze mną na razie nie będzie, bo swój telefon musiałam oddać w depozyt. Na ten telefon nie dzwoń, jest tylko grzecznościowy. Gdyby Marcin nie znalazł mnie w klasztorze, niech szuka w tartaku na Katowickiej. Całuję, Matylida.

No i kłopot z tą Matylidą. Pęta się gdzieś po nocy, szuka jakiegoś rozwiązania zagadki i może być w niebezpieczeństwie. Ci cywile nie zdają sobie sprawy, że mogą stanowić zagrożenie sami dla siebie. Trzeba ją w takim razie ratować. Z tych wiadomości wynika, że będzie czekać w klasztorze, a potem pojedzie do tego tartaku. To znaczy, że w tartaku może przebywać podejrzany. Czyli można podjechać dyskretnie pod ten tartak i założyć tam obserwację. Może się nic nie wydarzy, ale może taka sprawna i bystra obserwatorka, jak ona, coś odkryć. Nie ma rady. Trzeba przystąpić do akcji.

Szybko przebrała się w spodnie dresowe, bluzę z kapturem i trampki. Nie biegła w nich oczywiście, bo była na biegi nieco zbyt ciężka, ale buty dobrze się prezentowały na nogach. Założyła jeszcze bejsbolówkę i ciemne okulary, więc teraz wyglądała jak prawdziwa nocna tropicielka.

Do niewielkiego plecaka spakowała jogurt, który został z obiadu, i łyżeczkę. Konieczna była też butelka wody, bo nie wiadomo, ile czasu spędzi na posterunku obserwacyjnym. Wzięła też chusteczki i scyzoryk o dziesięciu ostrzach. Nigdy nie wiadomo, czy taki sprzęt się nie przyda, szczególnie podczas takiej akcji.

Przed wyjściem zamówiła taksówkę pod hotel i wyszła z pokoju. W recepcji nikogo nie było, więc zostawiła klucz na ladzie. Nie wiedziała, czy Matylida ma swój, więc wolała jej zostawić zapas, gdyby nagle okazało się, że wróciła do hotelu, a jej by nie było. Kiedy klucze zadzwoniły o kontuar, z drugiej strony wychyliła się rozczochrana głowa portiera. Spał na rozłożonym fotelu, więc Alina go w pierwszej chwili nie dostrzegła.

– O, a pani co? – zapytał niezbyt przytomnie.

– Nic, śpij, chłopcze. Idę się przejść.

– Ano tak – pokiwał głową. – Niech pani uważa i chodzi tylko ulicami, tymi oświetlonymi, bo tu łatwo się zgubić – ostrzegł ją i natychmiast zasnął.

– Będę uważnie się rozglądać – stwierdziła i wyszła na zewnątrz.

Niemal dokładnie w tym samym momencie podjechała taksówka. Volkswagen passat nie był ani pierwszej, ani nawet drugiej młodości. Jeśli jeszcze kilka lat jego kierowca wytrzyma w tym aucie, to będzie mógł jeździć na zabytkowych blachach. Na razie jest to jednak stary grat, który już dawno powinien być na samochodowej emeryturze.

– Dokąd szanowną panią zawieźć? – zapytał kierowca, nieco tylko starszy od swojego auta.

– Na Katowicką, do tartaku – poleciła.

Swoją drogą, jaką dobrą mam pamięć, pomyślała Alina. Wcale nie zapisywała adresu tego tartaku, a tu proszę, pamięta, że firma jest na Katowickiej, choć Matylda nie podawała tego adresu. Ale zaraz, skąd wiedziała, gdzie jest tartak? Chyba sama sprawdziła w internecie, gdzie jest tartak, i potem zapamiętała. Czyli pamięć idealna.

Ulice o tej porze były puste. W centrum gdzieś jeszcze można było dostrzec spacerowiczów, wracających na swoje kwatery z wieczornych zabaw tanecznych. Samochodowy ruch uliczny ustał niemal zupełnie, więc w pobliżu tartaku podjechali w kilka minut. Taksówkarz, nieświadomy, że bierze udział w policyjnej akcji śledczej, zatrzymał się na wprost bramy wiodącej do zakładu. Alina natychmiast przywołała go do porządku.

– Tu proszę nie stawać, bo mnie jeszcze zobaczą. A ja muszę sprawdzić niezwykle dyskretnie, co tam się dzieje. Niech pan stanie sto metrów dalej – pokazała pogrążoną w ciemnościach ulicę.

Kierowcy nie trzeba było tego powtarzać. Trochę dalej to kolejny przeskok w taksometrze. Zatrzymał auto, pasażerka zapłaciła i wysiadła.

– Poczekać na panią? – zapytał kierowca.

Pokręciła głową.

– Nie, bo nie wiem, kiedy będę wracać. Jakby co zamówię taksówkę telefonicznie.

Starszy pan wyciągnął w jej kierunku wizytówkę.

– Co pani będzie szukać po nocy obcego samochodu. My się już znamy, to będzie bezpieczniej, jak pani do mnie zadzwoni. Będę tu, w okolicy.

– Jak pan chce – zgodziła się, wzięła wizytówkę i ruszyła w kierunku bramy wiodącej do tartaku.

Trzy minuty później była na miejscu. Przez chwilę przyglądała się temu, co można było dostrzec na podwórku. Ale nie zauważyła tam niczego, co by mogło kogokolwiek zaciekawić. Na pewno nie było tam

niczego z perspektywy śledztwa. No chyba, że elementem śledztwa może być policyjny radiowóz, stojący na wprost otwartego wejścia do szopy, na prawo od miejsca, w którym się znajdowała.

– Zaraz, a co, do cholery, robi tu radiowóz? – Alina wyteńczyła wzrok, ale nic się nie działo.

Żadnego ruchu, żadnych policjantów, cisza jak makiem zasiał. Może policjanci poszli do domu? Spojrzała na pseudogóralską willę, ale tam też nic się nie działo. Dom wyglądał na uśpiony. No to gdzie podzieli się funkcjonariusze? O ile dobrze pamiętała, to już za jej czasów przepisy mówiły jasno i wyraźnie, że policjant odpowiedzialny za radiowóz nie może zostawić go z otwartymi drzwiami i pójść sobie dokądś. A teraz były przecież inne czasy, więcej złodziejstwa i mniejszy szacunek do munduru, a do tego samochody są nafaszerowane elektroniką. Więc jeśli taki kierowca sobie gdzieś poszedł, musiał przecież się liczyć z tym, że ktoś mu takie służbowe auto rąbnie. Nie chciałyby być w skórze gliny, który da sobie ukraść auto. Przełożeni go ukarzą dyscyplinarnie, a potem koledzy dołożą jeszcze swoje, naśmiewając się jawnie i za plecami. Taki gość na zawsze zostanie na swoim posterunku ofermą, której ktoś rąbnął radiowóz.

Zrobiło się jej żal tego zagadkowego funkcjonariusza. Cały czas w końcu odczuwała solidarność zawodową. Nie mogła więc stać bezczynnie, gdy działo się coś, na co mogła w prosty sposób zareagować.

Nacisnęła klamkę i brama otworzyła się. Alina wślizgnęła się do środka i ruszyła przez dziedziniec. Gdy podeszła do radiowozu, zatrzymała się, by uważnie wszystko obejrzeć. Radiowóz miał otwarte przednie drzwi z obu stron, tak jakby dwóch policjantów wyskoczyło z niego w pogoni za przestępcą. Jeśli kogoś gonią, to za chwilę wrócą. Można tymczasem pozamykać wszystkie drzwi. Chwyciła za te od strony pasażera i zatrzasnęła je. Metaliczny trzask rozdarł ciszę jak wystrzał i aż się skuliła. Na szczęście nikt chyba tego nie usłyszał. Drugie drzwi zamknęła już delikatnie. No i po sprawie.

Rozejrzała się wokół. Nikogo podejrzanego, niczego podejrzanego, cisza nocna, przerywana tylko przez psy szczekające gdzieś w oddali. Naraz za domem dostrzegła jakieś światło. Ktoś szedł w jej kierunku. Człowiek, nie, dwoje ludzi, bo dwa strumienie światła z latarek oświetlały drogę idącym. Alina schowała się za samochodem. A może to wracają ci funkcjonariusze? Ucieszyła się, bo powie im od razu, że zabezpieczyła ich auto. Ciekawe, czy któryś z nich to ten miły policjant, który odwoził ją do

hotelu. Nie pamiętała, dlaczego to zrobił, może zmęczyła się podczas spaceru i poprosiła kolegów z firmy o podwózkę.

– I co, kurwa, teraz zrobimy! – usłyszała jakiś niski, ale na pewno kobiecy głos.

– Zamknij się, idiotko. Same kłopoty przez was – odpowiedział mężczyzna głosem chropowatym i mocno nadwreżonym. – Gdyby nie ty i ten twój durny mąż, nie byłoby kłopotu. A tak trzeba teraz sprzątać. Ja pierdołę, że też z takimi debilami musiałem wejść w interesy.

– Gdyby nie my, to gównu byś wiedział. Gdybym nie pracowała w klasztorze, nie wiedziałbyś o tych bogatych babach, a gdyby nie Karol, to jakby tu do ciebie trafiły? Ileś dzięki nam zarobił? Tylko w ostatnim roku dwa domy i jedno mieszkanie. Będzie tego z pięć milionów na czysto. A nam żeś wypłacił tylko półtora miliona. Karol mówił, że uczciwie by było pół na pół. A teraz gównu z tego będzie...

– Zamknij ryj! Trzeba posprzątać do czysta, bo do rana już niewiele czasu. Tych policjantów zapakujemy do trumien i do ziemi. Odpalę koparkę i wykopię grób, a ty pakuj ich do trumien.

– Ale oni jeszcze żyją! – zauważyła kobieta.

– Długo nie pociągną... Zresztą każdy musi kiedyś umrzeć.

Alina natychmiast zorientowała się, że tych dwoje to nie policjanci. Mówią o rannych policjantach, których chcą pochować? To jakaś bzdura. Trzeba by ich aresztować i przesłuchać. Ale jak to zrobić bez broni? Nie, nie ma co się na nich rzucać z gołymi rękami. Trzeba się na razie ukryć.

Szybko otworzyła drzwi od radiowozu i wskoczyła na tylną kanapę. Zrobiła to niemal w ostatniej chwili. Trzydzieści sekund później do auta wsiadła wielka baba, przekręciła klucz w stacyjce i radiowóz ruszył. Alina wstrzymała oddech.

Dokąd jedziemy?, zapytała samą siebie w myślach.

Dzięgielów Godzina 0.50

Ja się chyba nie nadaję do takich akcji. Mało brakowało, a złamałbym sobie nogę.

Szedłem w ciemności za Matyldą, a Kama za mną. No i na tych schodach oczywiście straciłem równowagę, a potem poleciałem na łeb, na

szyję i noga mi się tak jakoś podgięła do tyłu, a potem poczułem okrutny ból w kolanie. No i wygląda na to, że mam złamaną nogę albo chociaż zwichniętą. Niby idę dalej, ale nie mam pewności, czy się za chwilę nie wywrócę i nie zaryję zębami w ziemi, a właściwie w posadzce. Bo tu wszystkie korytarze i schody są wykafelkowane albo wyłożone kamiennymi płytami. No i przez te kamienne, śliskie powierzchnie płaskie upadłem i teraz ledwo łązę.

– No i jak ci tam? – zapytała z troską Kama.

– Jakoś się lezie, ale boli mnie jak cholera. Mam wrażenie, że całe kolano mi pulsuje i za chwilę noga mi odpadnie.

– Poczekaj, zaraz będziesz siedział wygodnie w samochodzie.

– No wiem, ale boli jak diabli.

– Ja z postrzelonym sierżantem przeszłam dwa kilometry – rzuciła Matylda, która kroczyła przodem.

– Z jakim sierżantem? – zainteresowała się Kama.

– Braliśmy udział w obławie na dwóch facetów, którzy obrabowali bank. Ukrywali się gdzieś w lesie pod Piasecznem, w osiemdziesiątym szóstym to chyba było. I w trakcie wymiany ognia, a my byliśmy we dwójkę z przodu, to znaczy we trójkę, bo sierżant prowadził psa tropiącego, ci uciekinierzy ostrzelali nas, ukryci w gęstwinie, i sierżant dostał w nogę. Dokładnie to kula uderzyła go w prawą krawędź rzepki kolanowej. I ten dzielny człowiek szedł dalej.

– Za złodziejami? – zapytałem nieco zdumiony.

– Nie, musieliśmy odpuścić ze względu na ten postrzał. I musiałam go doprowadzić do drogi, skąd nas podjęli nasi ludzie. Ale trzymał się dzielnie. Doszliśmy, a on potem został odznaczony za wierną służbę, dostał nagrodę pieniężną i talon na fiata 125p.

– W sumie mu się opłaciło – rzuciłem złośliwie. – Mnie nikt żadnego talonu nie da.

– Nie musiałeś wcale iść z nami. Mogłyśmy same z Kamą to załatwić – odpowiedziała Matylda.

– Tak, a ciekawe, jak byście się dostały do tego składziku? Beze mnie i męskiej siły byście jeszcze tam stały.

– Przypominam, że to Matylda otworzyła w końcu zamek od tego pomieszczenia, gdy twoje zabiegi z łomem okazały się nieskuteczne – podsumowała mnie moja dziewczyna.

A przecież zrobiłem, ile się dało, i jeszcze mało brakowało, a straciłbym nogę. To się nie liczyło? Dla moich towarzyszy liczył się tylko efekt w postaci znalezionej broni, karabinu, który ukryty był w składziku narzędzi, należącym do palacza i stróża w jednym, Karola Matysa. O tym, że karabin jest tam schowany, powiedziała nam Matylda, gdy przyszedliśmy do jej pokoju na naradę wojenną. Niestety, przybyła tam też Dżesi, no i jej Łuki. Ten na szczęście niewiele się odzywał. Za to Dżesikę trzeba było uciszać kilkakrotnie, bo nie była w stanie opanować podniecenia.

– Ale wy jesteście wszyscy zajebięci. Jak ja opowiem o tym, co się zdarzyło w klasztorze w nocy, to nikt mi nie uwierzy. Sprawa morderstwa rozkminiana na naszych oczach. W sumie, Miśku, mógłbyś z tego napisać scenariusz do serialu dla jakiejś dobrej telewizji. Ale by była zajebioza. Łuki, wyobrażasz sobie, leżymy wieczorem, a w telewizorze leci film o nas. Ciekawe, kto by mógł nas zagrać. Ja myślę, że Łukiego to mógłby ten, co grał tego Świętego Mikołaja, jak on się nazywa, no, Karolak, a mnie na przykład Kozuchowska albo nie, bo ona za stara jest. Musimy znaleźć jakąś młodszą aktorkę. W sumie to sama bym mogła zagrać. Myślicie, że dałabym radę? Roli bym się nauczyła błyskawicznie, mam dobrą pamięć...

– Czy możesz wreszcie, moje dziecko, zamknąć jadaczkę i dać nam odrobinę spokoju? – Matylda w końcu nie wytrzymała.

Dżesi spojrzała na nią jak na kogoś, kto próbuje w bezczelny sposób zrujnować jej plany zawodowe.

– No przecież nic nie mówię, tylko że film byłby ekstra. Co, Miśku, napiszesz scenariusz?

– Oczywiście – burknąłem.

– Zanim Marcin zrobi film, najpierw musimy wyjaśnić sprawę. Więc ta siostrzyczka, o której wam mówiłam, koleżanka zabitej Anastazji, powiedziała mi wszystko to, czego się dowiedziała.

– Dlaczego nie powiedziała o tym temu księdzu?

– Bo nie była pewna, czy on w tym nie maczał palców.

– Czyli ksiądz jest podejrzany? – zapytał naraz Łuki.

– Tak jest. Wtedy w nocy, gdy uciekła jej siostra, bo one się traktowały, jakby były prawdziwymi siostrami, wówczas nocą pojechał za Anastazją samochód. W tym samochodzie były dwie osoby. Obserwowała podwórko z okna i jest pewna, że kierowcą był stróż. Drugą osobą był chyba ksiądz. Dlatego nikomu nie powiedziała o tym nocnym pościgu. I zobaczyła coś jeszcze. Ten stróż o nazwisku Matys zabrał ze sobą karabin.

Dziewczyna mówi, że on ma broń schowaną w tym składziku narzędziowym na podwórku. Kiedyś tam sprzątała i odkryła broń, na półce w zielonym pokrowcu. No i wtedy, w nocy, zobaczyła, że stróż ma tę broń ze sobą, wsadza do samochodu i potem jada. Było to jakieś dwadzieścia minut po tym, jak Anastazja uciekła z klasztoru.

– Dlaczego ta siostra uciekła? – zapytałem, bo coś mi się tu nie zgadzało.

Matylda mówiła nam przed chwilą o tym, jak to ksiądz wyszukiwał dziewczyny na ulicach i pomagał im wejść na właściwą ścieżkę. A tu jedna z nich, taka, która powinna mu być wdzięczna za uratowanie życia, ucieka z tego rajskiego zakątka.

– Siostra Anastazja widziała, jak Matys razem z żoną pakują do trumny kobietę i wywożą nie wiadomo dokąd.

– Jak do trumny, to na cmentarz! – Dżesi wyciągnęła jak najbardziej prawidłowy wniosek.

– Ta kobieta mogła być żywa – domyśliła się Kama.

– Jak zwykle, moje dziecko, twoje myśli podążają we właściwym kierunku. Bo nasza zamordowana siostra Anastazja zaczęła sprawdzać, co się wydarzyło w nocy, i okazało się, że nie wydarzyło się nic. Jedna z czasowych pensjonariuszek zniknęła. Nie zmarła, tylko zniknęła. Podobno miała wyjechać w nocy do domu. A stróż miał ją odwieźć na pociąg.

– Tyle że pensjonariuszek nie odwozi się na pociąg w trumnach – zauważyła Kama.

– Właśnie o to chodzi – zgodziła się z nią Matylda. – I w tej sytuacji wszystko zaczyna nam się składać w całość. Mamy więc dom zakonny, który położony jest w malowniczej górskiej okolicy. Do tego domu od czasu do czasu wprowadzają się ludzie chcący odseparować się od świata zewnętrznego i nacieszyć się ciszą i spokojem. A w tym domu pracuje sobie młody, ambitny ksiądz, który robi świetną robotę na ulicach. Taki *streetworker* z powołania, który ratuje zagubione dusze młodych dziewczyn. Ciekawe swoją drogą, że nie ratuje chłopców.

– Widać woli dziewczyny. To chyba normalne, że facet woli dziewczyny bardziej niż chłopaków. Jak ktoś nie jest gejem, to nie lubi facetów – wyjaśniła nam wszystkie te zawiłości ludzkiej duszy Dżesi.

Matylda spokojnie poczekała, aż skończy, i wróciła do przerwanej wątku.

– No więc w moim założeniu ten dobry ksiądz jest filarem całej organizacji. To on typuje osoby, które nadają się do tego, by je porwać i wydusić od nich pieniądze. Ma świetny kontakt z ludźmi i potrafi wyciągnąć od każdego informacje na temat stanu majątku. Wybiera osoby samotne, posiadające jakąś nieruchomości, dom, mieszkanie. Tak jak twoja ciocia – spojrzała na Dżesi, a ta zrobiła zdumioną minę. Chyba właśnie w tym momencie dotarło do niej, że ta sprawa dotyczy także jej osobiście.

– Co z moją ciocią? – zawołała, autentycznie wzburzona. – Co z nią zrobił... Łuki, idź zaraz do tego księdza i sprawdź, co się z nią stało!

– Jeśli to prawda, zabiję gnoja! – Łuki poderwał się z klęcznika.

W pokoju Matyldy, tak jak i w naszych celach, nie było specjalnych wygód, więc siedzieliśmy na czym się dało. Dziewczyny oczywiście na łóżku.

– Spokojnie, jeszcze niczego mu nie udowodniliśmy – powstrzymała ją Matylda. – Co do twojej cioci, to wydaje mi się, że mogli ją zabrać właśnie w przeddzień ucieczki tej zakonnicy Anastazji. Czyli w piątek, trzeciego czerwca. Albo raczej z czwartku na piątek.

– Prawda – potwierdziła Dżesi. – Ciocia wyszła z pensjonatu właśnie w czwartek!

– To znaczy, że ją wywieźli, a świadkiem była Anastazja. Sprawdziła następnego dnia, że pani Magda nie zmarła, i przerażona tym, co się stało, poszła do księdza podzielić się z nim strasznymi wieściami. I tu dochodzimy do najważniejszego momentu. Ksiądz powiedział jej, że jest idiotką i żeby się tym nie interesowała, bo inaczej wróci znowu na ulicę. Opowiedziała o tym swojej siostrze i o tym, że podjęła decyzję o ucieczce.

– Księżulek się wkurzył – zauważyła Dżesi. – Odkryła jego tajemnicę, a on pokazał, jaki jest naprawdę. Jak ja nie lubię takich oszustów!

– Ale dokąd je wywożą? Nic nie zdziałamy, jeśli nie znajdziemy miejsca pochówku. A oni na pewno nam o tym nie powiedzą – zawyrokowała Kama.

Moja dziewczyna jak zwykle potrafiła wyciągnąć właściwy wniosek. Na razie byliśmy bezradni. Mogliśmy sobie oskarżać księdza, stróża, kogokolwiek. Ale nie mieliśmy nic, dosłownie nic. Żadnego dowodu.

– Mamy dowód! – powiedziała Matylda, jakby odpowiadając na moje wątpliwości. – Ten karabin to pewnie broń, z której strzelano do Anastazji. Dlatego musimy go zdobyć. Więc zrobimy tak: Łukasz i Dżesi powiedzą siostrze przełożonej, że muszą natychmiast stąd wyjechać. Łukasz,

powiesz jeszcze jedno, że policja znalazła ciało ciotki Magdaleny i proszą o pilną identyfikację.

– Ale ona może kazać nam siedzieć tu do rana! – Dżesi miała wątpliwości.

– Oj, kochana, wierzę w twoje talenty aktorskie. Udaj przed nią rozkapryszoną gwiazdę, która jest zła, że policja ciąga ją gdzieś po nocy. Ona to zrozumie.

Dżesi spojrzała na swojego chłopaka, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Ja to tak odegram, że siostra sama nam zanieśie walizkę do auta, żebyśmy tylko wyjechali.

– Brawo, moje dziecko! – ucieszyła się Matylda.

Wiedziała tak samo dobrze jak my wszyscy, że odgrywanie rozkapryszonej idiotki przyjdzie jej bardzo łatwo. Znała tę rolę jak nikt inny.

– Pojedziecie z Łukaszem na tył klasztoru. Tam jest śmietnik i takie podwórko. Zaparkujecie pod lasem i poczekacie na nas.

– Ale zajebicie! – Dżesi klasnęła w dłonie. Była zachwycona.

– My tymczasem musimy poszukać karabinu – zarządziła Matylda.

No i oczywiście karabin znaleźliśmy bez trudu. Tak jak powiedziała siostra, był ukryty pośród narzędzi. Zabraliśmy go i wyszliśmy na drogę przez bramę koło śmietnika. Samochód stał jakieś sto metrów dalej. Ledwo do niego doszedłem. Wgramoliłem się na tylne siedzenie, jęcząc przy tym z bólu.

– Co ci się stało, Miśku? – zapytała Dżesi.

– Chyba złamałem nogę – odpowiedziałem głosem pełnym bóleści.

– To jutro ci założą gips. Ale super. Podpiszę ci się. Jak złamałam rękę, gdy chodziłam do podstawówki, to cała klasa mi się podpisała...

– Nie robią już gipsu, tylko wkładają nogę w ortezę – zauważyła Kama, sadowiac się ostrożnie obok mnie.

Babcia, która wsiadła z drugiej strony, nie była już tak delikatna. Kopnęła mnie w kontuzjowaną nogę, a ja zawyłem z bólu.

– No i jak się udała scena opuszczania klasztoru? – zapytała Kama.

– Siostra powiedziała, że powinienem zawieźć Dżesi do lekarza, i to natychmiast, bo może się to zakończyć jakimiś stałymi stanami lęgowymi,

a być może jest to początek depresji! – stwierdził Łuki.

– Ha! Ja i deprecha! Niezłe. Ale ją przerobiłam na miazgę, co nie, Łuki?

– Myślę, Kiciu, że powinnaś zostać aktorką.

– Ha! Nie mówiłam? Ma się ten talent – zgodziła się z nim Dżesi.

– No to co, moi mili, jedziemy dokończyć sprawę? – rzuciła Matylda.

Była w świetnym humorze. Jak zwykle, gdy działo się coś ekscytującego, zachowywała się, jakby miała najwyżej trzydziestkę.

– Ale gdzie mam jechać? – zapytał Łuki.

– Jak to gdzie? Jedziemy do tartaku. Tam mieszka ten Karol Matys, stróż klasztorny. Jak go weźmiemy w obroty, to mówię wam, zanim oddamy go w ręce policji, wymusimy na gnoju zeznania. A ja, wierzcie mi, znam takie metody, że każdy przestępca pęknie.

– Chcesz go torturować? – zapytał pełen obaw.

Babcia Matylda czasami bywa nieobliczalna, ale nie wiedziałem, że do tego stopnia, by łamać podejrzanego kołem czy wbijać mu szpilki pod paznokcie.

– Kochany, za kogo ty mnie masz? Ja jestem mistrzynią psychologicznego obrabiania przesłuchiwanym. Nie tacy przy mnie pękali.

Samochód ruszył powoli, tocząc się po nierównej bitej drodze. Łuki nie włączył świateł, żebyśmy nie byli widoczni z klasztoru. „Na wszelki wypadek”, tak wyjaśnił i dodał coś o tym, że przecież lichy nie śpi.

Ustroń Godzina 1.20

Obudził go paskudny ból głowy. Sierżant Okrasa otworzył oczy, ale niczego nie dostrzegł. Wokół było ciemno. Nie dość, że nic nie wiedział, to jeszcze nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Nie pomagał mu w tym głośny silnik jakiegoś urządzenia. *To chyba raczej nie jest samochód*, przyszło mu do głowy. Może ciężarówka? Nie, one pracują inaczej, bardziej płynnie. A ten odgłos był przerywany, raz mocniejszy, raz słabszy, jakby operator ciągle zmieniał tryb pracy. Operator? Może to koparka. Tak, na pewno to jakiś gospodarczy czy raczej budowlany sprzęt do kopania rowów.

Przypomniał sobie, że podobne odgłosy wydawała koparka pracująca przy zakładaniu kanalizacji na jego ulicy. W ubiegłym roku leżał w domu

powalony covidem, czuł się paskudnie, nie mógł jeść, bo wszystko, co dostało się do jego żołądka, zaraz lądowało w ubikacji. Więc leżał na łóżku, ciężko oddychał i próbował odpocząć, łapiąc odrobinę snu, a za oknem pracowała koparka. I ten hałas sprawiał, że całą tę chorobę przeżywał sto razy ciężiej. Pamiętał, jak go to wtedy irytowało i jak bardzo miał ochotę wstać z łóżka, wyciągnąć glocka z kabury, pójść na dół i zastrzelić tego gościa. Leżąc w gorączkowej malignie, obmyślał różne scenariusze, ale każdy z nich kończył się egzekucją koparkowego. W końcu koparka przestała pracować, a jemu spadła temperatura do trzydziestu siedmiu stopni. Zniknęła też żądza krwi. Teraz, przypomniawszy sobie tę koparkę, uświadomił sobie, że to coś w rodzaju *déjà vu*. Znow ten sam charakterystyczny dźwięk, a on leży chory...

Ale zaraz, jak to chory? Przecież jeszcze niedawno jechał z aspirantem Pilarskim do tartaku, żeby się rozejrzeć. A potem co się stało? Sprawdzali obojście, on poszedł do mieszkania i przyprowadził do szopy pijanego Wojtka Matysa. A tam, w środku, nad trumnami stali jego dwaj koledzy.

Naraz scena, w której pojawia się na miejscu Karol Matys ze sztucerem, stanęła mu przed oczyma. Przypomniał sobie, jak padają jego koledzy, potem jak on strzela do Matysa, odstrzeliwując mu pół głowy, i w końcu Matysowa, która z siekierą rzuca się na niego.

Dlatego tak go boli głowa. Uderzyła go w łeb i musiała mu tę głowę rozbić. Pewnie stracił przytomność, a teraz ją odzyskał. Czy jednak aby na pewno? Skoro jest przytomny, to dlaczego nic nie widzi? Ma przecież otwarte oczy, czuje, że mruga powiekami i robi to w pełni świadomie, a mimo to jest pogrążony w ciemnościach. Czyżby po tym uderzeniu w głowę stracił wzrok? Na dodatek nie może się ruszyć. Ani ręce, ani nogi mu się nie poruszają. Nie może też mówić, bo usta ma zamknięte. Nic nie może. Słyszy tylko tę cholerną koparkę.

Co się ze mną, do cholery, dzieje? Czy ja w ogóle żyję?

Koparka przestała pracować. Zrobiło się cicho. Po chwili usłyszał jakieś kroki. Ktoś się do niego zbliżał.

– Bierzemy najpierw na paleciaka tę tu z brzegu – powiedział męski głos.

– Oni tam chyba jeszcze żyją – odpowiedziała kobieta.

– No i co z tego?

– To z tego, że jak mamy ich zakopać całkowicie, to powinni nie żyć chyba, nie?

- No to ich zabij – warknął mężczyzna.
- Nigdy w życiu. Ja nie jestem mordercą – odpowiedziała kobieta.
- Okrasa rozpoznał po głosie starego Matysa i jego szwagierkę.
- No widzisz, tak samo jak ja. W życiu bym nikogo nie zabił. Jedyne, co mogę zrobić, to ich zakopać. Niech se umierają sami. Ale zabijanie to nie moja robota. Co innego usunąć tych gości, zakopać i mieć spokój. Ale zabijać to za nic w świecie. Ty już jednego zabiłaś i byś mogła, uch, tą siekierą przejechać po łbie i by było...
- Nikogo nie zabiłam.
- A ten Okrasa to co? Kto siekierą przez łeb go przejechał?
- A to co innego. On mi męża zabił. To się jemu należało. Ale do tych dwóch to ja nic nie mam.
- To jak nic nie masz, to dawaj ze mną tę pierwszą trumnę na wózek. No, tę, w której leży ten Pilarski. Łaził tu, węszył i w końcu się doigrał. No dalej, bierzemy go do rowu i zaraz wrócimy po Marczaka...
- A jak się ktoś dowie? – Matysowa miała wątpliwości.
- Głupiaś. Jak się ma kto dowiedzieć. Jak już będą w ziemi, nikt ich nigdy nie znajdzie. Trzeba będzie tylko jeszcze gdzieś ten radiowóz przestawić i spalić. Najlepiej w lesie. I szukaj wiatru w polu. Nie będzie po nich śladu.
- A co z moim chłopem?
- Trudno, jego też pochowamy. Nie można go zgłosić, że umarł, bo zaraz ludzie zobaczą, że ma odstrzelony łeb. Pochowamy go gdzieś, a potem się rozpowie, że uciekł od ciebie! – powiedziawszy to, Matys zaśmiał się głośno.
- To nie po chrześcijańsku – powiedziała Matysowa.
- Powiesz księdzu, żeby odmówił modlitwę. Zaraz tu przyjedzie, bo już do niego dzwoniłem. Mówił, że zaraz będzie. Trzeba z nim wszystko przegadać.

Usłyszał cichy dźwięk mechanizmu napędowego wózka widłowego, a potem odgłos łańcucha unoszącego widły w górę. Po chwili wszystko ucichło. Widlak musiał wyjechać na zewnątrz z trumną. A w trumnie był jego kolega. Boże, czy to się dzieje naprawdę? Za chwilę przyjadą po kolejną trumnę, a na koniec po niego? To znaczy, że w tej chwili leżał w trumnie związany i zakneblowany. Dlatego nie mógł nic powiedzieć i nie

potrafił poruszyć rękami i nogami. Zamknęli go w trumnie i chcieli żywcem pogrzebać. Chcieli? Przecież oni to zrobią. Właśnie zakopywali gdzieś tu w pobliżu Pilarskiego, potem Marczaka i za chwilę przyjdzie pora na niego. Jak to? Ma zniknąć z powierzchni ziemi, przysypany piachem, i udusić się w trumnie bez dostępu powietrza? Przecież tam pod ziemią udusi się w pół godziny. Zginie bez tlenu, w męczarniach. Taki ma być jego koniec? W te pół godziny nikt go nie znajdzie. Nie ma co liczyć na pomoc. Przecież nikt nie wie, że są w tym tartaku.

Genialny plan z wysłaniem głuchacza do Jabłońskiego teraz obracał się przeciwko nim. Mieli wejść do tego tartaku i rozejrzeć się, a ewentualnie, jeśli się coś wydarzy, zatrzymać właściciela, a tu wszystko poszło nie tak. Strzelanina, ranni, zabici i ciemna mogiła. *Nie, to się nie dzieje. To nie może być prawda. Nie chcę umierać w grobie, zakopany żywcem!*, pomyślał.

Widlak wjechał do szopy.

– A tu który jest? – zapytała Matysowa.

– Tutaj jest Marczak – wyjaśnił Matys. – Szkoda chłopaka, bo nasz. Prawdziwy pniok, z góralskiej rodziny, nie żaden bastard. Ale co zrobić.

Coś uderzyło w trumnę. Nie, nie w trumnę, ale w trumnie. Widać policjant nie chciał pogodzić się ze swoim losem. Okrasa usłyszał zduszone jęki i stukanie, jakby Marczak próbował się wydostać, co przecież było niemożliwe, jeśli trumna została zaśrubowana.

– Rusza się – stwierdził Matysowa.

– Dalej, bierzemy go na widły – ponaglił Matys.

Po chwili zrobiło się cicho. Pojechali wrzucić kolejnego policjanta w grobową czeluść. Teraz został on. Czyli miał jeszcze kilka minut życia. Jednak najgorsza była świadomość, że nie jest w stanie nic zrobić. Nie mógł walczyć, bo nie było jak.

Ktoś uderzył w trumnę. Potem jeszcze raz.

– Jest tam ktoś? – usłyszał kobiecy głos.

– Mmmmyyyy! – jęknął najgłośniej, jak się dało.

– No to trzeba się spieszyć. Zaraz, tu gdzieś widziałam imbusa. Gdzie on był? O, jest. Zaraz, czekaj, kochanieńki. Otworzymy cię, tylko się nie

denerwuj. Już mam śrubę. Łatwo idą. Nowe śruby, to i łatwo wychodzą. W porządku, jest następna i jeszcze jedna. Koparka chodzi, to znaczy, że zasypują drugą trumnę. Mamy jeszcze chwilę. No i jest czwarta śruba. Na szczęście nie zakręcali na wszystkie osiem. Szkoda im było czasu. No dobra, to teraz tylko trzeba unieść wieko...

Zmrużył oczy, gdy światło dostało się do środka. Nad policjantem pochylała się jakaś okrągłolica staruszka.

Jej twarz wydała mu się znajoma.

Starsza pani uniosła dłoń uzbrojoną w scyzoryk i szybko przecięła trytytkę, która krępowała mu ręce, i drugą na nogach. Nim zdążył się ruszyć, zdarła mu taśmę z ust.

Jęknął głośno, bo pozbawiła go w ten sposób sporej części włosów spod nosa.

– No co tak leżysz, synku? Ruszaj się, bo zaraz tu wrócę.

Podniósł się, łapiąc krawędź trumny. Poczul, że robi mu się zimno. Był zlany potem, a dodatkowo miał mokre spodnie.

– Ja pierdolę, musiałem się zlać!

– Ja bym się zesrała ze strachu – stwierdziła kobieta, uśmiechając się.

W tym momencie ją poznał. To ta była policjantka, co przyszła na komisariat, żeby zgłosić czyjeś zaginięcie. Chciał zapytać, co tu robi, ale nie dała mu dojść do słowa.

– Bierz wieko trumny i łap się za śruby. Niech myślą, że tam leżysz. To nam da kilka minut przewagi, gdy będą tę trumnę zakopywać. A my w tym czasie wymkniemy się i... coś tam zrobimy.

Miała rację. Gdy tamci będą zajmować się zakopywaniem kolejnej trumny, oni muszą coś zrobić. Tylko co? Czy mają ich sami zaatakować? A jeśli przegrają, jeśli go powalą, wsadzą znowu do trumny, to będzie już pozamiatane. Babcię też zakopią i nikt ich nigdy nie znajdzie. Trzeba wezwać pomoc i wtedy zaatakować. Tak, to będzie najlepsze rozwiązanie.

Silnik koparki zgasł. Zrobiło się cicho. Tylko jakiś pies szczekał gdzieś w oddali. Słychać też było nieśmiały śpiew budzących się ptaków.

Godzina 1.30

Nasz samochód, a właściwie auto Łukiego, na wyłączonych światłach podjechał na koniec bitej drogi, do miejsca, gdzie ta łączyła się z asfaltówką. Już miał wjechać na szosę, gdy naraz Kama poprzez ścianę drzew i krzaków zauważyła światła samochodu.

– Patrzcie, tam z prawej jedzie coś od klasztoru! – rzuciła ostrzegawczym tonem.

– O ja cię jebię, śledzą nas? – Dżesi była cała podekscytowana.

– Kto ma nas śledzić? – Łuki nie był przekonany do jej teorii. – Przecież nie siostra Perpetua. Po tym cyrku, który tam urządziłaś, na pewno ma nas serdecznie dosyć.

– Dobra jestem, co nie, Łuki?

– No – potwierdził.

– Łuki, zostajemy. Zobaczymy, kto to jedzie o tej porze – zaproponowałem. – I nie włączaj świateł.

Wyłączył silnik. Przez chwilę czekaliśmy na samochód, który nas minie. Byliśmy ustawieni przodem do drogi, a auto z klasztoru nadjedzie ku nam z prawej strony. Powinno się więc udać dostrzec osobę kierującą.

– Jeśli nie trafię, utopcie mnie w najbliższej studni! – rzuciła Matylda.

– Czy ty chcesz strzelać do tego samochodu? – zapytałem przestraszony. Po Matyldzie przecież można było się wszystkiego spodziewać. Na szczęście chodziło jej o coś zupełnie innego.

– Mówię, chłopcze, o trafności obstawiania odpowiedniej karty. Według mnie ten gość, który jedzie w aucie, to walet pik! – wyjaśniła zadowolona.

– Jaki walet? – Dżesi nie znała się na karcianych kolorach. – Pik to jest to czerwone serduszko, co nie? – domyśliła się.

– Nie – odpowiedziała Kama, ale nie miała zamiaru wgłębiać się w to zagadnienie.

Od tego Dżesi ma swojego chłopaka, żeby jej takie rzeczy tłumaczył. Ja na szczęście już od dawna nie musiałem.

– Czyli obstawiasz księdza? – domyśliłem się.

– Postawiłabym na to ostatnią flaszkę koniaku – stwierdziła Matylda.

– Wygrała pani! – rzucił do tyłu Łuki. – Nasz księżulo jedzie na nocną eskapadę. Jedziemy za nim? – zapytał.

W odpowiedzi usłyszał tylko pomruki aprobaty i głośne jęknięcie, bo Matylda kopnęła mnie w kolano.

Auto wjechało na drogę. Łuki jeszcze przez chwilę jechał z wyłączonymi światłami. Dopiero gdy minęliśmy zamek, włączył reflektory. Z perspektywy wstecznego lusterka auta, którym jechał ksiądz, musieliśmy wyglądać jak ostatni goście, opuszczający zamkową restaurację po nocnej imprezie.

– Jedzie w kierunku Ustronia – odezwał się w końcu Łukasz.

– Dościgniemy go? – zapytała Dżesi. – Jakbyś przyduśił gaz do dechy, to moglibyśmy go wyprzedzić i zablokować mu drogę – zaproponowała. – Widziałam w jednym filmie, jak to się robi. Ten uciekający nie ma szans, jak goniący go wyprzedzą.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziałem Dżesice. – Jedźmy za nim. Może nas dokądś doprowadzi.

– Może byśmy podrzucili Marcina na pogotowie? – odezwała się Kama.

Jednocześnie poczułem, jak delikatnie gładzi mi kolano. Ciekawe, ale jakby mi trochę ulżyło, choć to raczej złudzenie. Faktem jest jednak, że obecność mojej dziewczyny zawsze dobrze na mnie działa. Ale jej troska na razie była zupełnie niepotrzebna. Mieliśmy ważne rzeczy do zrobienia.

– Nie, lekarz może poczekać – zaprotestowałem. – A z moją nogą już lepiej.

Niekiedy trzeba okłamać nawet swoich bliskich, bo nadmierna troska może być zabójcza. Szczególnie gdy zajmujemy się rozwikłaniem zagadki rodem z thrillera. Czy Kama mogła sobie wyobrazić mnie siedzącego na pogotowiu, gdy Matylda przesłuchuje podejrzanego? Chybabym nie dał rady wysiedzieć spokojnie, nawet w gipsie. Zresztą gips może poczekać. Nie, nie gips, tylko orteza. Dobrze, że nie stosuje się już gipsu, bo głupio bym wyglądał z nogą, na której Dżesi narysowałyby serce przebite strzałą.

– Wjeżdża na drogę w kierunku Katowic – odezwał się nasz kierowca. – Według mojej nawigacji za chwilę będzie zjazd na tartak i hurtownię drewna. Zresztą wiem, gdzie to jest, widać tę firmę z drogi.

Nie mylił się. Białe berlingo prowadzone przez księdza Wojdę zjechało w prawo z głównej drogi. Chwilę później zobaczyliśmy, jak staje przed ogrodzeniem. Ksiądz nawet nie rozejrzał się, wysiadając z samochodu. Nie przypuszczał, że ktoś może go śledzić.

Podszedł do bramy, otworzył osadzoną w niej furtkę i zniknął za ogrodzeniem. Łuki minął berlingo i zatrzymał się pod kolejną posesją.

– Taki kawał mam iść? – zapytałem z trwogą. – Przecież to ze sto metrów będzie.

– Możesz zostać w aucie – stwierdziła Matylda, wysiadając z samochodu.

Kama mi pomogła. Nie miałem zamiaru zostawać przed teatrem, gdy na scenie rozgrywał się dramat sensacyjny.

Łuki otworzył bagażnik, sięgnął do środka i wydobył dwa białe kijki do nordic walking.

– Masz, wożę na wszelki wypadek, jakby trzeba było chodzić po górach.

– Kotku – Dżesi spojrzała na Łukiego z wyrzutem – nic nie mówiłeś, że masz takie fajne kijki. Ja też chcę takie.

– Mogę ci dać jeden – zaproponowałem.

– W tym chodzeniu muszą być dwa, bo inaczej mięśnie nie pracują równomiernie – skomentowała znawczyni tej spacerowej dyscypliny.

Nie było sensu kontynuować tej rozmowy. Tym bardziej że w środku mogło dziać się coś niedobrego, a czas uciekał.

Wsparty na kijkach, ruszyłem ostrożnie. Kolano bolało jak diabli, jakoś się dało iść. Z przodu, koło bramy, tuż przy zaparkowanym samochodzie księdza zobaczyłem Matyldę. Nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego, bo ona zawsze pędzi, nie oglądając się na nikogo. Tymczasem obok Matyldy stała kobieta, która z daleka wydała mi się znajoma.

– Czy ty widzisz to co ja? – spytałem Kamę, która szła obok mnie.

– To chyba ta koleżanka Matyldy – moja dziewczyna ma zdecydowanie lepszy wzrok ode mnie i dostrzegła panią Alinę. – Tylko co ta kobieta tu robi?

– Może się zgubiła? – uznałem. – Wiesz, ona ma kłopoty z pamięcią.

– Słuchajcie, to jest Alina. – Matylda wskazała na swoją współlokatorkę.

– Tak, znamy się – potwierdziłem, a obie panie spojrzały na mnie zdumione.

Matylda nie wiedziała, że byliśmy u niej w hotelu, a Alina najwyraźniej nie miała o tym zielonego pojęcia.

– No więc nie wiem, czy wiecie, że Alina służyła, tak jak ja, w milicji. Ale to nieważne. Prowadziła ze mną śledztwo w sprawie zaginięcia ciotki Dżesiki...

– Kochana, nie ma czasu – przerwała jej Alina. – Policja już tutaj jedzie, ale trzeba działać, bo jak nie zrobimy czegoś od razu, to oni się tam poduszają.

– Kto się podusi, proszę pani? – zapytał zza moich pleców Łuki.

– No, ci policjanci. Dwaj ranni policjanci zostali wpakowani do trumien i zasypani żywcem.

– Ja pierdołę – jęknąłem, a w zasadzie mógłbym powiedzieć to samo, gdyby nie jeden problem.

Wiedziałem, że Alina ma nierówno pod sufitem. Tylko jak im to powiedzieć, że ta pani żyje przeszłością i ma porządnie namieszane w głowie? Nawet nie wiemy, skąd ona się tu wzięła i co tu robi. I teraz co, mamy wjechać do tego tartaku i wykopać na środku placu dziurę, bo Alina nam powiedziała, że policjanci zostali zakopani żywcem? Trzeba im to jakoś powiedzieć, tyle że naraz zrobiło się wokół mnie pusto.

Matylda i jej stuknięta koleżanka weszły przez furtkę do środka. Kama i Dzesika poszły w ich ślady. Łuki tymczasem pobiegł do samochodu. Nim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, brama była już szeroko otwarta. Oba jej skrzydła otworzyły, zgodnie współpracując, moja była i obecna dziewczyna.

Wielki wóz Łukiego wjechał do środka, zatrzymał się na placu manewrowym, na wprost willi z wyglądu przypominającej skrzyżowanie bloku i chińskiej pagody, a potem włączyła się syrena alarmowa.

Ja pierdziele, Łuki włączył syrenę. Gość miał w aucie policyjnego koguta z sygnałem dźwiękowym. Potem zobaczyłem, jak otwiera bagażnik i wyciąga z niego taktyczny karabin gładkolufowy, popularnie zwany pompką. *Facet jest nieobliczalny*, zdążyłem pomyśleć, ale to, co zrobił za moment, sprawiło, że zacząłem o nim myśleć jak o szaleńcu.

Podał bowiem pompkę Matyldzie, a ta ją przeładowała. Ale na tym nie koniec. Z bagażnika wydobył drugi, identyczny karabin. Oboje ruszyli w kierunku domu. To było jakieś wariactwo.

W willi zapaliły się światła. Ktoś wyszedł na taras, jakiś mężczyzna ubrany w szlafrok. Obok niego pojawiła się kobieta. Trzymała w rękach karabin. Uniosła go w górę i wymierzyła w Matyldę i Łukiego. Nie zdążyła jednak oddać strzału. Matylda była szybsza. Kula wystrzelona z „pompki” powaliła kobietę. Stojący obok niej mężczyzna uniósł ręce.

A gdzie jest ten ksiądz? Chyba nie dotarł do domu. Był gdzieś w obejściu, ale raczej nie powinien być niebezpieczny. Księża chyba mniej

strzelają...

Gdzieś z za domu dotarł do nas metaliczny odgłos silnika. Ktoś uruchomił jakiś sprzęt budowlany? Powoli zacząłem iść w tamtym kierunku. Tym bardziej że Dżesika z Kamą i babcią Aliną już tam biegły. Nie wiem, co powiedziała im ta chora na demencję kobieta, ale szły za nią jak rekruci za dowódcą. A ona pokazywała cel. Czy one kompletnie zwariowały? Trzeba powstrzymać to szaleństwo, za chwilę dojdzie do jakiegoś nieszczęścia.

Najszybciej jak się dało pokuśtykałem, wsparty na dwóch kijkach, w stronę terkoczącej maszyny budowlanej. Gdy byłem na wysokości willi, zobaczyłem światło zainstalowane na koparce. Ktoś próbował coś wydobyć z ziemi. Do uruchomionej koparki podeszła już babcia Alina. Obok niej stanęły moje dziewczyny. Byłem za nimi jakieś trzydzieści metrów.

Drzwiczki od kabiny koparki otworzyły się i ze środka wyskoczył facet ubrany w popielaty dres. Alina coś krzyknęła, ale mężczyzna jej nie posłuchał. Naraz zobaczyłem, że z za jej pleców wysunęła się Kama z łopata w dłoni. Facet ruszył na nią, ale obok niej pojawiła się Dżesi. Ona też miała w rękach jakiś kij. Tak, Dżesika uzbroiła się w grabie. Machały mu przed nosem tymi swoimi śmiercionośnymi narzędziami, a mężczyzna stał chyba bezradnie. Za nim była koparka, a na drodze ucieczki trzy krwiożercze harpie.

– Na ziemię, kurwa! Gleba, gnoju, bo ci wpakuję kulę w łeb! – krzyknęła Alina.

Facet w końcu podniósł ręce do góry, powoli klęknął i posłusznie położył się twarzą do ziemi.

W końcu dotarłem do nich i wtedy ze zdumieniem dostrzegłem, że babcia Alina trzyma w dłoni malutki rewolwer *baby gun*. Znałem tę spluwę. Taką samą miała Matylda. Dostała ją w prezencie od męża i nigdy się z nią nie rozstawała.

– Skąd pani ma broń? – zapytałem, przystanawszy koło niej.

– Jaką broń, chłopcze? – zapytała zdumiona.

– Ten pistolecik – wskazałem na jej uzbrojoną dłoń.

– A, to... Nie wiem. Chyba musiałam go znaleźć. To nie jest mój gnat. Ja mam służbowego czaka. A to jest zabawka dla dzieci. Weź go, chłopcze, i schowaj, żeby się nie dostał w niepowołane ręce. Najlepiej oddaj go Matyldzie, bo to chyba od niej go pożyczyłam.

Podawała mi rewolwer, a ja natychmiast włożyłem go do kieszeni.

– Miśku, zobacz, złapaliśmy tego księdza. – Dżesi wskazała grabiami gościa w dresie.

– Coś tam wykopał tą koparką – Kama patrzyła na metalową skrzynię, pochwyconą wraz z ziemią przez łychę.

Jednakże ta skrzynia zdecydowanie nie wyglądała na trumnę. Zrozumiałem, że pani Alina pomyliła wszystko, a kasetę, którą wykopał ksiądz, była na to najlepszym dowodem. Zresztą nie miałem zamiaru się dłużej nad tym zastanawiać. Na podwórku zrobiło się zamieszanie, wjechały policyjne wozy na sygnale, a wokół zaroilo się od mundurowych. Naraz młody policjant podbiegł do nas, a właściwie do Aliny.

– Gdzie ich zakopali? – zawołał na jej widok, a ona zrobiła zdumioną minę. Jednak po chwili na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– No jesteś nareszcie, już myślałam, że się nie doczekam, kiedy tu wrócisz. O, zobaczcie, moi kochani, to jest właśnie ten młody chłopiec, którego wyciągnęłam z trumny, a jego dwaj koledzy są zakopani tam – wskazała na prawo. – Dwie trumny zakopane tam po prawej, tam, gdzie jest pulchna ziemia. Nie można na nią najeżdżać, bo jeszcze gąsienice ugniotą ją za mocno i ludzie się uduszą...

– Jacy ludzie...? – bąknąłem, ale nikt nie zwracał już na mnie uwagi.

Policjant wszedł do koparki i ruszył. Z łychy spadła skrzynia i otworzyła się. Ze środka wysypały się pieniądze, całe pliki banknotów w równych paczkach obwiązanych banderolami. Wyglądało to tak, jakby wewnątrz skrzyni przechowywane były miliony. Jednak nikt prócz mnie nie zwrócił na tę forszę uwagi. Koparka odjechała. Alina wskazywała policjantowi, gdzie ma kopać, a on bez wahania zanurzał łyżkę koparki w miękką ziemię.

Pięć minut później wydobyliśmy pierwszą trumnę, a chwilę później drugą. Ze środka policjanci wyciągnęli dwóch swoich kolegów. Obaj żyli. I wtedy zdarzyło się coś jeszcze. Pod ziemią była kolejna trumna. Po wyciągnięciu jej na zewnątrz okazało się, że wewnątrz jest żywa osoba.

Dżesi na jej widok zaczęła krzyczeć i płakać. Łuki musiał odciągnąć ją na bok, żeby lekarze i sanitariusze mogli zająć się jej cudem odnalezioną ciotką Magdą.

Patrzyłem na to jak na scenę z jakiegoś horroru i nie bardzo docierało do mnie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Co ciekawe, Kama również obserwowała wszystko, ale robiła to w zdecydowanie bardziej profesjonalny sposób. Na swojej bejsbolówce miała bowiem założoną

opaskę, do której przypięta była kamera go-pro. To znaczy, że w chwili gdy ja pałętałem się po tym podwórzu kompletnie bez sensu, ona cały czas wszystko nagrywała. No i okazało się, że Kama jest prawdziwą profesjonalistką, a ja oberpierdołą, i do tego ze skrzyconą nogą.

Nie miałem nic lepszego do roboty, więc wróciłem do skrzyni wykopanej przez księdza. Leżała na boku, obróciłem ją i powoli zacząłem pakować paczki banknotów. Wtedy przyszła mi do głowy głupia myśl, że nigdy nie widziałem takiej fortuny i w życiu nie będę właścicielem takich pieniędzy.

Epilog

Dwa dni później
Godzina 13.30

Ptaki śpiewały jak oszalałe, a kilka metrów dalej szumiała wesoło rzeka. Dla pełnego obrazu sielanki powinienem jeszcze powiedzieć, że ryby radośnie pluskały się w wodzie, ale nie widziałem ani jednej, więc nie będę ściemniał. Wszystko, co szumiało, pluskało i świergotało w moich słuchawkach, to był tylko niepotrzebny szum, który mógł zakłócać czystość przekazu. A przekaz był najważniejszy. Dlatego Dżesi musiała na wszelki wypadek powtórzyć swoją kwestię jeszcze raz, żebyśmy mogli wybrać najlepszą wersję z dwudziestu nagranych.

– Dobra, Dżesi, siadaj na tym kamieniu i robimy jeszcze raz.

– Ja cię, tyłek mnie już boli od tego siedzenia.

– Za to siedzenie mamy wszyscy płacone – przypomniałem jej trochę bez sensu.

Usiadła, wzięła do ręki butelkę wody i zastygła w bezruchu.

– Cisza na planie! – powiedziałem głośno i wyraźnie, żeby wszyscy słyszeli, choć każdy dobrze wiedział, że trzeba się skupić i wreszcie skończyć robotę.

– Akcja! – krzyknąłem.

– Kamera w zapisie – odpowiedział Wasyl.

Dżesi odczekała jeszcze dwadzieścia sekund, przyłożyła butelkę do ust, upiła niewielki łyk, a potem spojrzała w kamerę, uśmiechnęła się, ukazując swoje idealnie białe i równe zęby, po czym powiedziała:

„Woda z Ustronia jest czysta jak górski kryształ. Ugasi twoje pragnienie mocą i chłodem górskiego potoku. Twoja Góralka pobudzi twoje zmysły”.

Wypowiedziawszy swoją kwestię, znów uśmiechnęła się promiennie i pozostała ze spojrzeniem zastygłym w obiektywie kamery.

W myślach odliczyłem do dziesięciu, a potem głośno spytałem:

– Mamy to?

- Mamy! – odpowiedział Wasyl.
- Fajrant! – krzyknąłem zadowolony.

Robota skończona. Dżesi wstała z kamienia i machnęła do Łukiego, który stał przy swoim wielkim samochodzie. Dostrzegłszy jej gest, natychmiast wy dobył z auta bordowy szlafrok i podbiegł do niej. Pomógł jej się ubrać, a potem delikatnie zawiązał pasek na brzuchu. Zadowolona Dżesi pocałowała go w policzek.

Dziwne, ale wcale mnie to nie ruszyło. Widać już całkowicie wyzwoliłem się spod jej uroku. Teraz jedyną dziewczyną, która mnie interesuje, jest moja Kama. Ubrana w bojówki, zieloną wojskową koszulkę i czapczkę z daszkiem, pomagała Wasylowi ogarnąć porozkładany sprzęt. Trzeba było te wszystkie graty spakować i zanieść do auta. Potem musieliśmy pojechać do hotelu, żeby zabrać swoje rzeczy, i czekała nas kilkugodzinna podróż do Warszawy.

Wszystko, co mieliśmy zrobić, zostało zamknięte i odhaczone. Teraz tylko montaż i postprodukcja, ale to już w dużej mierze praca Wasyla. Oczywiście będę z nim siedział i pomagał mu, jak potrafię, ale podczas sesji montażowych miałem czasem wrażenie, że powinienem milczeć i się nie wtrącać. W końcu Wasyl dobrze wiedział, co robić. *Każdy w naszym zespole jest specjalistą w jakiejś dziedzinie i dlatego każdy powinien robić swoje*, myślałem, patrząc na moich ludzi.

Kama wyczuła moje spojrzenie, które – nie wiedzieć dlaczego – zatrzymało się na jej kształtnej pupie, prezentującej się doskonale nawet w workowatych spodniach. Uśmiechnęła się do mnie, a ja poczułem mrowienie w brzuchu. Trzeba wracać do domu...

– To słuchajcie, my pojedziemy teraz do szpitala w Bielsku, nie, kotku? – odezwała się Dżesi tonem usprawiedliwienia. Tak jakby ktoś oczekiwał od niej, że pomoże nam w pakowaniu. – Dlatego nie pomożemy wam w pakowaniu, bo musimy pojechać do cioci. Miałam telefon od lekarza, że już dochodzi do siebie, ale wiecie, po tylu dniach zamknięcia w trumnie... Jest ciągle w szoku.

– Jasne, jedź – rzuciła Kama, pakując obiektywy do wielkiej torby na kamerę. Powiedziała to pogodnym i niemal przyjacielskim tonem.

Coś się, cholera, zmieniło w ciągu tych dwóch dni. Zauważyłem, że dziewczyny przestały na siebie krzywo patrzeć. Czyżby ta wspólna akcja sprawiła, że Kama przestała traktować Dżesi jak intelektualny pustostan? Nie, niemożliwe. Tej niechęci nie mogła przecież zlikwidować wspólna

walka za pomocą grabi i łopaty. Tak wyglądało ich braterstwo broni, choć w tym wypadku to raczej siostrzeństwo. Muszę się temu przyjrzeć.

– Pozdrów od nas ciocię – rzuciłem jeszcze, gdy Dżesika ruszyła do auta, by się przebrać.

– Pozdrowię. W ogóle to chciałam powiedzieć, że jesteście zajebišci. Nie wiedziałam, że rozwiązywanie zagadek kryminalnych jest takie superanckie. Gdybyście chcieli jeszcze coś tam gdzieś rozwiązać, to ja jadę z wami. Zgadza się, co nie?

– Jasne – odpowiedziałem, bo niby co miałem odpowiedzieć. W końcu te jej grabie się przydały. A i ten Łuki wcale nie jest tak beznadziejny, jak mi się na początku wydawało.

– To co, kiedy zapraszacie mnie na kolaudację? – zapytał nasz zleceniodawca.

– Za jakiś tydzień – odparł Wasyl.

Do takiej roboty potrzebował trochę czasu. Zresztą jeszcze nie mieliśmy podesłanej muzyki, którą zamówiliśmy u menedżera zespołu Kwiat Jabłoni.

– No to widzimy się w przyszłym tygodniu – uznał Łuki i klepnął mnie w ramię.

– Powiedz mi jeszcze... – zwróciłem się do niego, a on zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się do mnie uśmiechnięty.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego mam tak dobre układy z siostrami, że otwierają dla mnie w nocy klasztor?

Zaniemówiłem. Łuki czytał mi w myślach.

– To ja kupiłem ten upadły pensjonat, który należał do dawnej rozlewni. Wyremontowałem go i w zasadzie nie wiedziałem, co z nim zrobić. Wtedy spotkałem siostrę Perpetuę, która powiedziała mi, jak można go dobrze wykorzystać.

Chciałem jeszcze o coś zapytać, ale Dżesi ponagliła go:

– Łuki, bo ciocia na nas czeka!

Pokiwałem głową.

To szczęście, że ciotka przeżyła, choć lekarze na samym początku twierdzili, że jest z nią bardzo źle. Ale widać to silna kobieta, więc jakoś sobie poradziła. Poradzili sobie też obaj policjanci. Jeden ranny w klatkę piersiową leży na OIOM-ie, a drugi czuje się całkiem dobrze, bo zainkasował tylko niegroźny postrzał. Gdyby dłużej byli zakopani, pewnie byłoby po nich. Wczoraj do naszego pensjonatu Źródełko przyjechała

babcia Matylda z Frankiem, czyli komisarzem Kaczmarkiem. Ten przybył z Warszawy, by porównać swoje ustalenia śledcze w sprawie zaginionej Małgorzaty Wróbel i sprzedaży jej domu na Saskiej Kępie.

– Dzięki babci Matyldzie ustaliliśmy, jak działał system – zaczął opowiadać Franek, gdy wraz z Kamą zaprosiliśmy ich na piwo do hotelowego ogródka. – W klasztorze spędzały czas osoby dość zamożne, a ksiądz Wojda zdobywał ich zaufanie i zbierał informacje. W ten sposób typowali ofiarę. Pierwsza była pani Wróbel. Wtedy jeszcze nie mieli opracowanego systemu. Wytypowali kobietę zamożną i samotną, ale pozwolili jej wrócić do hotelu. Dopadli ją podczas spaceru w górach, a jej koleżankę zrzucili ze skały. Ona ich nie zainteresowała i stanowiła tylko obciążenie.

– Znalazłam ślad w kościele w Ustroniu i mi się wszystko połączyło – odezwała się Matylda, a potem upiła łyk koniaku. – Mają tu całkiem dobry koniak – stwierdziła z uznaniem, wskazując na drzwi do kawiarni.

– Jaki ślad? – wtrąciła się Kama.

– Na figurze Matki Boskiej był różaniec zawinięty na jej dłoniach. Ksiądz mi powiedział, że to wotum od pogotowia górskiego, znalezione podczas poszukiwań zaginionej turystki. Znaleźli ten różaniec przy zwłokach tej kobiety. A ja dostałam taki sam, z paciorkami z egzotycznego drewna, od siostry Perpetuy. Więc wiedziałam już, że te różańce to znak. Myślałam, że to siostra, ale później, w nocy, dowiedziałam się prawdy o księdzu Wojdzie. No i dalej już wiecie.

– Czyli mamy panią Wróbel i jej sprzedany dom – kontynuował Franek. – Myślałem, że ona żyje i to jakieś oszustwo zrobione przez właścicielkę domu. Ale za dużo było tu nieścisłości. W końcu okazało się, że osoba podająca się za Wróblową i posługująca się jej dowodem osobistym to ktoś zupełnie inny. Notariusz nie rozpoznał Wróblowej na fotografii, która ją przedstawiała. No więc miałem już pewność, że to ktoś inny się za nią podawał podczas spisywania aktu notarialnego. Później, gdy zadzwoniłem na jej numer, odebrała kobieta. Poprosiłem o sprawdzenie miejsca logowania się numeru i wyobraźcie sobie, że dostałem namiary z Ustronia. Wtedy już wiedziałem, że trzeba do was jechać. Wszystko zaczęło się właśnie składać. Tylko że nie przypuszczałem, że ten trumniarski biznes to przedsięwzięcie na taką skalę.

– O jakiej skali mówisz, Franek? – zapytała Kama drżącym głosem.

– Wróblowa była pierwsza. Potem były jeszcze cztery panie. Piąta, ostatnia, była ciotka Dześi. I tylko ona przeżyła. Ci goście założyli u siebie prawdziwą farmę żywych trupów, które utrzymywali przy życiu tak długo, dopóki ich ofiary nie przekazały im informacji o swoich kontaktach, zabezpieczeniach w komputerach, telefonach i wszystkiego, co jest niezbędne do kradzieży czyjejś tożsamości.

– Po Wróblowej udoskonalili system – wtrąciła Matyllda. – Zabierali kobiety bezpośrednio z klasztoru. Stróż Karol Matys razem z żoną pakowali je do trumien i odwozili w miejsce koło tartaku. I tam zakopywali w przygotowanych płytkich grobach. Codziennie dostarczali ofiarom jedzenie i picie i jednocześnie czekali na zeznania. Gdy dostawali wszystko, co chcieli, grób zasypywali. Ich ofiary przestawały być potrzebne.

– Miejscowi policjanci wykopali już pozostałe ciała – rzucił cierpko Franek.

– Ja pierdołę – wyrwało mi się i zaraz spojrzałem przepaszająco na Matylde. Nie przeklinam prawie wcale, ale to, co usłyszeliśmy, było tak niewyobrażalne, że nie potrafiłem się powstrzymać.

Kama również zareagowała na tę historię bardzo emocjonalnie. Po policzkach popłynęły jej łzy, zaraz jednak otarła je wierzchem dłoni.

– Mam nadzieję, że ta baba, którą zastrzeliła Matyllda, smaży się teraz w piekle – wyrzuciła z siebie.

– Nic z tego, kochanie – odpowiedziała babcia. – Ta „pompka”, którą dał mi Łuki, nie strzela ostrą amunicją. Łuki miał kule gumowe, takie do rozpędzania demonstrantów. Więc dostała tylko w łeb i ma siniaka na twarzy.

– Cała trójka raczej dostanie dożywocie, ale to chyba marne pocieszenie – skomentował Franek.

– Powiedz mi jeszcze jedno, bo nie dokończyłaś tego wątku – popatrzyłem na Matylde, podobnie jak my, dość przytłoczoną tą paskudną sprawą.

– Jakiego?

– Wiesz, ten różaniec. My się dowiedzieliśmy od goprowca, z którym rozmawialiśmy, że zaniósł go do kościoła. Kto ci powiedział, że to różaniec należący do tej zaginionej kobiety?

Matyllda sięgnęła po papierosa i zapaliła. Przez chwilę delectowała się aromatycznym dymem, milcząc, jakby zbierała myśli.

– Powiedział mi o tym ksiądz Borówka. Proboszcz parafii, z kościoła, w którym był ten różaniec.

– Co dokładnie powiedział? – zainteresowała się Kama, która wytropiła przecież ten ślad, rozmawiając z zauroczonym nią Jankiem Rykałą.

– Powiedział mi, że to dowód na to, że zaginione kobiety morduje Perpetua. Wtedy zrozumiałam, że on jej nienawidzi. A potem sprawdziłam go moimi kanałami kościelnymi...

– Ksiądz Cieślak, brat Bronka – domyśliłem się.

– Nie muszę na szczęście zdradzać swoich tajnych informatorów. No więc mój informator powiedział, że ksiądz Borówka przez pewien czas był pomocnikiem księdza Komarenki, tego, który w Kazimierzu nad Wisłą doprowadził do buntu betanek, a potem do rozwiązania zgromadzenia. Gdy opowiadał mi o siostrze Perpetui, widać było na jego twarzy nienawiść w czystej postaci. On jej za wszelką cenę chciał zaszkodzić. Dlatego już wtedy zrozumiałam, że ta zakonnica nie może mieć nic wspólnego z tymi zaginięciami. Ale to było tylko przeczucie. Tyle że w naszym zawodzie przeczucie od czasu do czasu się przydaje. Nie sądzicie?

Musiałem się z nią zgodzić. Matylda w takich kwestiach raczej nigdy się nie myli.

– A wy nie chcecie koniaczku? – zapytała, podnosząc kieliszek. – Naprawdę, mówię wam, pierwszorzędny. Jak będziemy wychodzić, wezmę z bufetu jedną flaszkę i zabiorę do hotelu. Obiecałam to Alinie.

– Jak ona się czuje? – zapytałem, przypomniawszy sobie o jej kłopotach.

– Świetnie, ale mówi, że trochę pamięć jej szwankuje, a jak wiadomo, na pamięć najlepszy jest kieliszek dobrego koniaku.

Cerekwica, luty 2024

Przypisy

1. Jerzy Dąbczak – uciążliwy sublokator z filmu Stanisława Barei *Nie ma róży bez ognia*. [\[wróć\]](#)
2. Ożarłem, ożreć (gwara śląska) – upić się, upić się. [\[wróć\]](#)
3. Tasia (gwara śląska) – siatka na zakupy. [\[wróć\]](#)
4. Nylonbojtel (gwara śląska) – torba foliowa. [\[wróć\]](#)
5. Hasiok (gwara śląska) – śmietnik. [\[wróć\]](#)
6. Więcej o tym w powieści *Tęczowa Dolina*. [\[wróć\]](#)
7. Więcej o tym w powieści *Tęczowa Dolina*. [\[wróć\]](#)